

Seghers Jan

Panna młoda w śniegu

Przełożyła Elżbieta Kalinowska wydawnictwo- Czarne Wołowice 2010.

Tytuł oryginału niemieckiego DIB BRAUT IM SCHNEE

Projekt okładki ŁUKASZ MIESZKOWSKI zdjęcie Autora by WONGE BERGMANN
Copyright by ROWOHLTVERLAG GmbH, Reinbek bei Hamburg, 2005 Copyright
for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2010 Copyright for the Polish
translation by ELŻBIETA KALINOWSKA, 2010

Redakcja TERESA LEŚNIAK

Korekta BARBARA SIERADZKA / D2D.

PL

ZUZANNA SZATANIK / D2D.

PL

Skład ZUZANNA SZATANIK / D2D.

PL

Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.

PL

Tłumaczenie książki zostało dofinansowane przez GOBTHB-INSTITUT ze
środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych

Słońce, niemając wyboru, Świeciło na nic nowego.

Samuel Beckett, Murphy (tłum.

Irena Kowalik)

BOETHE-INSTITUT

ISBN 978-83-7536-187-2.

Część pierwsza.

Jeden

Po południu 11 listopada dentystka Gabriele Hasler usłyszała, że jej asystentka zamyka za sobą drzwi, ogarnął ją niewytłumaczalny niepokój.

W ciągu ostatnich dni pojawiał się zresztą już wielokrotnie, podobnie jak wrazenie, które odnosiła, zerkając przelotnie w lustro, że wygląda za staro jak na swoje ledwie dwadzieścia dziewięć lat.

Co się ze mną stało, pomyślała, choć w gruncie rzeczy wcale nie chciała odpowiadać sobie na to pytanie.

Skończyła pracę, czekała jeszcze tylko na starszego pacjenta, który prosiło wyznaczenie wizyty w godzinach późnopopołudniowych.

Ponieważ chodziło o konsultację, wysłała asystentkę do domu, żeby zaoszczędzić najej nadgodzinach.

Dla zabicia czasu usiadła przy biurku i zaczęła porządkować papiery, szybko poczuła jednak, że nie może się skupić.

Co chwila spoglądała na zegarek, w końcu poszło do kuchni poszklanę wody.

Gabriele nie miała złudzeń co do swojej sytuacji zawodowej.

Wiedziała, że otwarcie samodzielnej praktyki nie będzie proste.

Nie spodziewała się jednak aż takich trudności.

Pierwszy kredyt musiała wziąć, żeby skończyć studia, a gdy zaczęła wyposażać skromny gabinet na placu Kleiner Friedberger, długi urosły do kwotastronomicznych.

Na razie udało jej się nie dopuścić do sprzedaży domu w Oberrad, ale wkrótce nie będzie miała wyboru.

Unikała tego miejsca od chwili, kiedy się stamtąd wyprowadziła.
Wróciła dopiero dwalata temu, gdy ojciec i matka umarli w odstępie kilku zaledwie tygodni.
Dom był jedynym, co pozostało jej po rodzicach.

Siedziała przy biurku w recepcji, wbiła wzrok w drzwi wejściowe i nasłuchiwała.
Chociaż wiedziała, że to nonsens, miała wrażenie, jakby nie była sama.
Żeby się uspokoić, weszła do gabinetu, zamknęła uchylone okno i zaciągnęła zasłony.
Włączyła radio i pomyślała: Brakuje jeszcze, żebym zaczęła gwizdać dla dodania sobie otuchy.
Gdy tuż popiętej zadzwieczał dzwonek u drzwi, odetchnęła z ulgą.
Ale podczas wizyty nadal była rozkojarzona.
W końcu poprosił pacjenta, by zaczekał, aż spakuje swoje rzeczy, włączył alarm i pozamykał wszystkie pomieszczenia.

Wyszli razem.

Pożegnali się na ulicy.

Gabriele Hasler popatrzyła za mężczyznę, który skręcił w przecznicę, gdzie zaparkował samochód.

Zanim zniknął, odwrócił się, żeby jej pomachać.

Zmęczona i głodna, marzyła o kąpieli.

Lodówkabyła pusta, a ona nie miała ochoty ani na zakupy, ani na gotowanie, postanowiła więc wstąpić do pobliskiego baru.

W ostatnich miesiącach często jadła tam kolacje.

Roger Millas Grill, nazwany tak na cześć piłkarza narodowej reprezentacji Kamerunu, prowadził Afrykanin.

Był wysoki, korpulentny, miał ciemnobrązową, niemal czarną skórę i, ku jej zdziwieniu, niemieckie imię Rudolf.

Mówił, że jest potomkiem legendarnego wodza Rudolfa Mangi Bella, który dzieciństwo spędził w Ulm, zanim poprowadził swój naród do powstania przeciw niemieckim kolonialistom, za co ostatecznie go stracono.

Historia jej się podobała, wszystko jedno, czy była prawdziwa czy nie.

W półmroku baru błyskały tylko białka oczu i zęby Rudolfa młodszego.

Na półce nad kuchenką stał spryskany

10

tułuszczem magnetofon, z którego wiecznie szło to samo:

koncertowe nagranie Tetes Brulees.

Za studenckich czasów słyszała ich w Paryżu, muzyka budziła więc miłe wspomnienia.

Rudolf przywitał się wylewnie, w stylu właścicieli knajp, nieproszony postawił na bufecie puszkę coli light i polecił menu dnia: udko kurczaka w sosie z orzeszków ziemnych z grillowaną dymką.

Gabriele poczuła, jak spływa z niej napięcie.

Zabrała się do jedzenia, przysłuchując się jego beztroskiej paplaninie.

Zastanawiała się, czy jechać do Oberrad jak zwykle tramwajem, czy wyjątkowo zafundować sobie taksówkę.

Zdecydowała się na taksówkę.

Jak zawsze pochwaliła kulinarny kunszt Rudolfa, on odwdzieczył się komplementem na temat jej wyglądu, akurat dzisiaj było jej to szczególnie potrzebne.

Po wyjściu poczuła, że zaczyna marznąć.

Iprawie natychmiast wróciło zdenerwowanie.

Rozejrzała się, jakby niebezpieczeństwo mogło nadejść z każdej strony, ale zobaczyła tylko matkę z dzieckiem w wózku, dwie starsze kobiety wracające z zakupów z

wielkimi, papierowymi torbami i kilku młodych mężczyzn debatujących nad samochodem z otwartą klapą silnika.

Rozglądając się za taksówką, zeszła w dół Friedberger Landstrasse.

Zmierzchało się, kierowcy włączyli światła.

Nie znosiła tej pory roku i tej pogody, siebie też coraz mniej lubiła.

Nie cieszyła się nawet najtrzejsze urodziny.

I wcale nie poprawiała jej nastroju zapowiedź Holgera, że wyjedzie z Kolonii wczesnym rankiem, żeby zjeść z nią śniadanie.

Tyle już razy planowała, że w końcu się z nim rozstanie, jednak zamiast tego jeszcze wiosną zgodziła się, by wydalili oficjalne przyjęcie zaręczynowe i zaprosili jego rodziców i kilku krewnych.

By ją uhonorować i oszczędzić jej trudów podróży, wszyscy przyjechali do

Frankfurtu.

Spotkali się na parkingu przy frankfurckim dworcu głównym i w małym konwoju pojechali do GutNeuhof, popularnej i bynajmniej nie taniej restauracji, piętnaście kilometrów na południe od miasta.

Ojciec Holgera większość czasu spędził ukryty za kamerą cyfrową, matka wciąż zapewniała, jak jest dumna z przyszłej synowej, a wieczorem wszyscy poczuli ulgę, że już mają tę sprawę za sobą i że zachowali się przyzwoicie.

Myśl, że jest prawdziwą narzeczoną, przez chwilę nawet jej schlebiała.

Ale już następnego dnia, kiedy została sama, wszystkowydawało się znów tak obce jak wówczas, gdy Holger poraz pierwszy wspomniało zaręczynach.

Zawsze marzyła o mężczyźnie równym sobie, który nie będzie jej przewyższał ani w niczym jej ustępował.

Nie było powodu, żeby nie lubić Holgera, i to znacznie utrudniało rozstanie.

Nie spotkała miłszego i bardziej taktownego mężczyzny.

Na początku czuła się tym dobrze.

Ale jej nie dorównywał.

W każdym sporze w końcu dawał zawygraną, gotów biec za nią jak zbity pies.

I była pewna, że nie odpuściłby, nawet gdyby go odpędzała.

Z zamyślenia wyrwał ją rowerzysta, musnął ją, przejeżdżając.

Wzdrygnęła się wystraszona.

Zakłęła.

Zatrzymał się kilka metrów dalej obejrzał.

Już miała na niego huknąć, ale młody mężczyzna uśmiechnął się niepewnie i przeprosił.

Skręciła w boczną ulicę.

Przy Scheffeleck wreszcie uśmiechnęło się do niej szczęście.

Przed szpitalem Maingau stała taksówka, kierowca palił obok.

Spojrzał na nią, obszedł samochód i otworzył drzwi pasażera.

Wsiadła, choć właściwie wolałaby zająć miejsce z tyłu.

- Do Oberrad - rzuciła.

Kątem oka zauważyła, że równo z nimi ruszył jakiś samochód, który parkował niedaleko taksówki.

Odwróciła

12

się, granatowe bmw włączyło się w popołudniowy ruch.

Spuściła klapkę przeciwsloneczną i zaczęła malować usta.

W lusterku widziała jadące za nimi bmw.

- Coś nie gra?

- zapytał taksówkarz.

Zaprzeczyła.

Spróbowała się odprężyć.

Ruch był duży, posuwali się wolno.

W pewnej chwili taksówkarz, zmieniając bieg, niby przypadkiem dotknął jej kolana.

Zamiast przeprosić, spojrzał na nią, jakby chciał ocenić jej reakcję.

Odsunęła nogi.

Gdy kolejny raz zerknęła do tyłu, zobaczyła, że bmw wciąż za nimi jedzie.

Poprosiła kierowcę, żeby zmienił kierunek.

- Wszystko zapchane.

Poza tym to będzie objazd - odparł.

- Niech pan robi, co mówię.

Ale nagle bmw zniknęło.
Wydawało jej się.
Nikogo nie było w gabinecie.
Nikt nie obserwował jej na ulicy.
Nikt jej nie śledził.
Nic jej nie zagrażało.
- Niezłe - powiedział taksówkarz i wyszczerzył zęby.
Pochylił się w jej stronę.
Poczuła zapach wody po goleniu.
- Słucham?
Zamiast odpowiedzieć, popatrzył na jej nogi.
- Proszę się zatrzymać!
- zażądała.
-Dalej pójdziesz.
-Co?
- Nie co, tylko proszę!
Chcę zapłacić.
- Nie mogę tu stanąć.
-Możesz pan.
Otworzyła drzwi.
Gwałtownie zahamował.
Za nimi roztrąbiły się klaksony.
Ale Gabriele nie dała się zbić z tropu.
Zaczęła grzebać w przepastnej torbie.
Pozbierała drobne.
Taksówkarz przeliczył.
13.

- Brakuje pięćdziesięciu centów.

Zabrała monety i podała mu dwieście euro.

Zezłościł się.

- Nie mam wydać.

Dopiero zacząłem zmianę.

- Taaa.

To co teraz?

Widać było, jak tamten gorączkowo myśli.

- Dawaj drobne i spadaj!

- wybuchnął.

- Przećwiczmy tojeszcze raz.

-Co?

- Proszę!

Wreszcie chyba pojął.

- Proszęmi daćpieniądzei wysiadać!

A jak następnymrazem zadzwoni pani po taksówkę, to niech pani powiew centrali, że pod żadnym pozorem nie chce pani jechać z numerem czterysta siedemdziesiąt sześć.

Proszęzapamiętać: cztery siedem sześć!

- Tak - odparła.

- Takimam właśniezamiar.

Wrzuciła monety do przegródki pod taksometrem.

Siedziała.

Taksówkarz czekał.

- Coś jeszcze?

-Poproszę o rachunek.

Zabębnił pięściami w kierownicę.

Przez chwilę bałasię, że ją uderzy.

Ale tylko pokręcił głową i zaśmiał się nerwowo.

Podał jejwypełniony rachunek.

Wysiadła, zostawiając drzwi otwarte tak szeroko, że nie byłw stanie dosięgnąć do klamki.

Żeby je zamknąć, musiał wysiąść i obejść auto.

Nie zrozumiała, co za nią zawołał.

Odchodząc, słyszała corazgłośniejszy koncert naklaksony wwykonaniu rozwścieczonych kierowców.

Przy Main Plaža doszła do rzeki.

Powietrze byłowilgotne i chłodne.

Zaczęło siąpić.

Na nadbrzeżnym deptaku, zwykle pełnymspacerowiczów, amatorów sportui właścicieli psów - żywego ducha.

Tymczasem zmrok zapadł jużna dobre.

Postawiłakońierz płaszczai ruszyła szybkim

14

krokiem.

Po prawej widziała światłanowej dzielnicyDeutschherrn.

Gdy skończyły się zabudowania, droga, wzdłuż której ciągnął się żywopłot, zrobiła sięszersza, ale też ciemniejsza.

Drzewa zasłaniałyświatło.

Zawahała się, ale poszła dalej.

Chciała sprawiać wrażenie osoby zmierzającej wprost do celu i zdecydowanej.
Nie dać po sobie poznać, że się boi.
Pięć minut później minęła niska zabudowania wodnych klubów sportowych, miała przed sobą jeszcze jeden krótki, ciemny odcinek.
Gdy dotarła do hotelu Gerbermühle, odetchnęła.
Teraz tylko przejść przez ulicę, przebiec tunelem pod torami i będzie w domu.
Przed furką wymacała w kieszeni pęk kluczy.
Wejście do domu słabo oświetlała zewnętrzna lampa.
Włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i poczuła, jak sztywnieją jej ramiona.
W ciemności za nią ktoś stał.
Odwróciła się.
Patrzył na nią obcy mężczyzna.
Obcy, który jednak obudził jakieś wspomnienia.
W następnej chwili poznała go i zaczęła krzyżeć.
Nikt jej nie słyszał.
Mężczyzna wpełznął ją do korytarza i zamknął za sobą drzwi.

Dwa

Dwunastego listopada Nikolas Schafer obudził się swoim mieszkaniu w Hanau-Steinheim o piątej rano.

Włączył lampkę nocną, ułożył się na plecach i uśmiechnął.

Wysunął spod kołdry prawą rękę i zaczął głaskać futerko kota śpiącego w koszu obok łóżka.

Nikolas Schafer pracował jako pielęgniarz w klinice na frankfurckim Miihlbergu.

Dziś wieczorem był umówiony na kolację z Rosi, koleżanką z pracy.

Tym razem, ku jego zdumieniu, zgodziła się.

W obawie że zmieni zdanie, od razu zadzwonił do restauracji Maingau i zarezerwował stół na dwie osoby.

Miał jeszcze dużo czasu, ale już dziesięć minut później nastawił w kuchni wodę.

Popatrzył na termometrza oknem: dwa stopnie poniżej zera.

Poszedł do łazienki, umył się, włożył szlafrok, wypił kubek herbaty i zjadł dwa tosty z dżemem pomarańczowym.

Otworzył szafę, długo zastanawiał się, w co się ubrać.

Omam niezapomniał włączyć radia.

Lubił stare szlagiery, wiele tekstów znał na pamięć.

Jego matka była piosenkarką, występowała w różnych tancbudach w okolicy, niekiedy, w weekendy albo w ferie, zabierała go z sobą, wolno mu było wtórować jej do tej czy innej piosenki.

Lubił patrzeć, gdy w garderobie, jeszcze w halce, wypróbowała przed lustrem uśmiech, potem zakładała sukienkę i okręcała się przed

16

nim, jakby nie potrzebowała żadnej innej publiczności.

Czasem rano powstąpił z jej sypialni wymyślał się jakiś mężczyzna, zażenowany witał się z Nikolasem, zanim zamknął za sobą drzwi od mieszkania.

Gdy później spoglądał na matkę, kręciła głową i uśmiechała się: Nie bój się, synku.

Zawsze będziesz moim królewiczem.

Todzięki tym wspomnieniom mógł mówić, że miał piękne dzieciństwo.

Po śmierci matki plakat z jej zdjęciem, anonsujący występ w klubie Rotę Rosen w Seligenstadt, kazał oprawić i powiesił w dużym pokoju.

Usłyszał zawsze najomy głos spikera, nastawił radio niecogłośniej: Na prośbę naszego wiernego słuchacza Nikolasa Schafera z Hanau-Steinheim - Marina w oryginalnym włoskim wykonaniu Rocca Granaty.

Zaczął nucić.

Wiedział, że melodia będzie mu towarzyszyć przez cały dzień.

Zanim wyszedł z domu, przykręcił kaloryfery we wszystkich pomieszczeniach.

Wrócił do łazienki, skropił się odrobiną wody po goleniu.

Dopiero na sam koniec wyłączył radio.

Zimową kurtkę zapiął na ulicy.

Ze skrzynki na listy wyjął gazetę, wsunął doplecaka i ruszył w drogę.

Nastając podmiejskiej kolejki spojrzał na zegarek.

Przyszedł dziś wcześniej niż zwykle i dlatego nie znał ludzi czekających na pociąg.

Miał szczęście, znalazł wolne poczwórne siedzenie, zajął miejsce przy oknie.

Zaczął przeglądać gazetę, szybko jednak zorientował się, że nie wie, co czyta.

Za bardzo cieszył się na wieczór z Rosi.

Oparł głowę o zimną szybę, wpatrywał się w ciemność.

Kolejka przejechała przez Muhlheim, potem przez Offenbach.

Samochody na ulicach tkwiły w korkach, migały światłami.

Niektórzy kierowcy trąbili;

przy przejściach dla pieszych stali zmarznięcie przechodnie o zmęczonych twarzach.
17.

Za Kaiserleikreisel kolejka jeszcze raz wyjechała na otwartą przestrzeń.
Po prawej stronie Men i Deutschherrnufer, po lewej pola gospodarstwa ogrodniczego.
Pociąg jak zwykle zwolnił, przed wjazdem do Frankfurtu musiał poczekać na wolny tor.
W polu, tuż przy torach, stał samotny stary dom z żółto-czerwonej cegły.
Wiedział, że mieszka tam młoda kobieta.
W ostatnich miesiącach widywał ją od czasu do czasu.
Czesła się przy oknie w łazience.
Albo wносиła do domu ciężkie siatki z zakupami.
Kilka razy opalała się na turystycznym leżaku na małym, zapuszczonym trawniku.
Zazwyczaj była sama.
Wyobrażała sobie, że ją poznaje i odwiedza.
Teraz przytknęła szyby obierając nadzieję, że jedno z okien domu będzie jasne i że nadarzy się okazja do poobserwowania jej.
Ale dom był ciemny.
Wszystkie żaluzje opuszczone.
Zaczęło świtać.
Wtedy to zobaczył.
Na podwórzu leżała coś na kształt jasnej kopki.
Przyjrzał się dokładniej, ale nie mógł rozpoznać, co to.
Było jeszcze za ciemno.
Żeby lepiej widzieć, przeszedł do następnego wagonu.
Stanął przy drzwiach i znów wyjrzał.
Teraz był pewien, na podwórzu domu coś było.
Zwierzę, pomyślał, może duży pies.
Polną drogą zbliżał się samochód dostawczy.
Gdy mijał dom, reflektory na kilka sekund oświetliły podwórze.
Tachwila wystarczyła.
Nikolas cofnął się o krok.
Poczuł, jak kurczy mu się żołądek.
To nie było zwierzę.
To był człowiek.
Ciało kobiety.
Półnagiej kobiety skulonej w ciemności na wysypanym żwirem podwórzu.
Miał pewność, że nie żyje.
Przy tych temperaturach nikt dobrowolnie nie leży półnagi na zewnątrz.
Wysiadł na Miihlbergu.
U szczytu schodów prowadzących na stację parkowała furgonetka z pieczywem.
18
- Co z panem?
- zapytała sprzedawczyni.
- Błąd pan jak ściana.
Zabalowało się wczoraj, co?
Skinął głową, jak zawsze kupił bułkę z szynką i serem.
Położył pieniądze na plastikowej tacce.
Ręce mu drżały.
Odszedł bez słowa.
Usiłował się uspokoić, ale nie mógł zebrać myśli.
Jeden jedyny raz miał do czynienia z policją, jako młody chłopak, oskarżono go wtedy o kradzież elektrycznej gitary z witryny sklepowej.

Ciągle jeszcze pamiętał wstyd, gdy dwaj mundurowi stanęli w drzwiach, a potem rozmawiali z matką.

Do dziś na widok radiowozu ogarniały go wyrzuty sumienia.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić natelefon alarmowy, bez podawania nazwiska.

Mógłby powiedzieć, co zobaczył, a potem odłożyć słuchawkę.

Ale natychmiast wystraszył się, że rozmowa będzie nagrywana i że później wyemitują w telewizji.

Mógłby po prostu milczeć.

Ktoś tę kobietę znajdzie i zgłosi.

Nie chciał kłopotów.

Na dotarcie do szpitala potrzebował niespełna dziesięciu minut.

Gdy wszedł do dyżurki, Rosi spojrzała na niego przyjaźnie.

Potem jej uśmiech zamarł.

- Jak ty wyglądasz?

Nie zdejmując kurtki, opowiedział, co się wydarzyło.

Ze zdenerwowania trochę się jąkał.

- A jeśli ta kobieta jeszcze żyje?

- zapytała Rosi.

- Możemy tam posłać karetkę?

- Nie, nie żyje.

I jestem pewien, że nie umarła sama z siebie.

- To znaczy?

- Myślę, że ktoś ją zabił.

- Zabił?

Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie wiem, ale jestem pewien.

- To co tu jeszcze robisz?

Musisz iść na policję.

Schafer wahał się przez chwilę.

Potem skinął głową.

- Tak, chciałem tylko powiedzieć, że zacznę trochę później.

Dzisiejszy wieczór bez zmian?

- Naturalnie - powiedziała.

- już się cieszę.

Gdy nabiurko spadła trzecia kropla wody, nadkomisarz Robert Marthaler popatrzył na sufit w swoim nowym biurze i zaczął wrzeszczeć.

- Znowu!

Do jasnej cholery, znowu!

Jego sekretarka Elvira ostrożnie otworzyła drzwi i wsunęła głowę.

Ledwie o dziesięć lat starsza, przez czas wspólnej pracy stała się dla Marthalera kimś w rodzaju matkującej mu przyjaciółki.

Dopiero przyszła, jeszcze nie zdążyła zdjąć płaszcza, gdy z sąsiedniego pokoju doleciały choleryczne okrzyki szefa.

- Co się stało, Robert?

Mogę jakoś pomóc?

Wyglądało na to, że jej nie zauważył.

Zamachnął się furją i jednym ruchem stracił z biurka wszystkie papiery.

Bezradnie powtórzyła pytanie.

Wreszcie na nią spojrział.

- Co?

Tak, pomóż mi!

Zamów firmę burzącą!

Powiedz, że mają zmieścić z powierzchni ziemi cały ten budynek.

Popatrz na to kurewstwo!

Znów dach przecieka!

Jak my mamy pracować?

Chcę się stąd wynieść, rozumiesz?

Żądam natychmiast suchego i ciepłego miejsca pracy.

Elvira pracowała z Marthalerem wystarczająco długo, by znać jego okresowe napady wściekłości.

- Poczekaj - próbowała go uspokoić.

- Zaraz się tym rozprawimy.

Przyniosę szmatę.

- Właśnie tego nie zrobisz!

I powiadomisz Herrmanna!

Ma przyjść i to obejrzeć.

I szef techniczny budynku!

Chcę, żeby się w końcu coś wydarzyło!

Przez trzy miesiące pociliśmy się jak w saunie, bo nie działała klimatyzacja.

Teraz na zewnątrz jest zimno, a my musimy marznąć, bo

20

znowu coś się zepsuło.

I jeszcze mamy niechciany prysznic!

Nie zostanę tu ani minuty dłużej.

Wziął kurtkę, wyszedł z biura i zatrzasnął za sobą drzwi sekretariatu.

Na korytarzu spotkał młodszą koleżankę Kerstin Henschel.

- Dzień dobry, co się dzieje?

- przywitała się nim zdumiona.

- Już wychodzisz?

Marthaler zatrzymał się i machnął bezradnie ręką.

- Tak, idę i więcej mojanoga w tejruderze nie postanie.

Do wielkiej, nowej siedziby komendy przy Adickesalleena północy Frankfurtu wprowadzili się zaledwie przedtrzema miesiącami.

Policjanci cieszyli się, że wreszciemogą się wynieść ze starego, ciasnego budynku przy placuRepubliki.

Dla niektórych trwająca tygodniami przeprowadzka była miłą odmianą.

Robert Marthaler należałzaś do tychnielicznych, którzyod początku głośno wyrażali niezadowolenie z powodukonieczności opuszczenia znajomych kątów.

- Nasza codzienność jest wystarczająco burzliwa- powiedział na jakimś zebraniu.

- Musimy ciągle nastawiaćsię na nowe sytuacje, nowe biura i nowe warunki pracybędą nas rozpraszać, nic dobrego z tego nie wyniknie.

Młodszy policjanci, którzy znali jego upór, uśmiechali się.

A on wiedział, że sprzeciw jestdaremny.

Oprzeprowadzce zdecydowanowiele lat temu, nie pozostało munic innego, jakdopominać się, by przynajmniej wolnomu było zabrać stare biurko.

Gdy usterki w nowym budynku i skargi policjantów zaczęły się mnożyć, w duchu triumfował.

Zapomnianonawet wybudować toalety w celach, więc teraz jeden człowiekzawsze musiał pilnować aresztantóww drodze do

ubikacji.

Marthaler nie ukrywał, że nie lubi architekturnowej komendy.

Wyglądał jak zimne, bezdusznokoszary, była właściwie całym kompleksem budynków, którym mieszkańcy Frankfurtu zaczęli już nazywać "hotelem dla glin".

Wyszedł na podwórze, odetchnął.

Naraz jego furia wydała mu się śmieszna.

Zasunął zamek grubej zimowej kurtki, założył wełnianą czapkę i rękawiczki.

Wsiadł na rower i ruszył Alleenring.

Policzki piekły od zimnego wiatru.

Niedługo będzie musiał odstawić rower do piwnicy.

Skręcił w lewo w Eckenheimer Landstrasse.

Zatrzymał się kilkaset metrów dalej, tuż za wielkim supermarketem.

Wokół cementarza przez dziesiątki lat wyrosły tylko gospodarstwa ogrodnicze i zakłady kamieniarskie, lecz także kawiarnie, których klientela składała się przede wszystkim z ubranych na czarno starszych kobiet i mężczyzn.

Zagląдали tu, odwiedzili groby, skarżyli się beznamytnie, rozmawiali o chorobach i emeryturze.

Czasem zawierali znajomości.

Sprawiali wrażenie, jakby nigdy nie podejmowali kapeluszy.

Marthaler lubił łagodny szmer błahych rozmów.

Lubił w słuchawce się w ciche poszczekiwanie sztuców i podzwanianie naczyń.

Przebywanie wśród ludzi, którzy dawno już stracili wszelkie ambicje i wyzbyli się pychy, uspokajało go.

Może dlatego czuję się tu tak dobrze, pomyślał, bo sam powoli się starzeję.

Ale ta myśl bynajmniej go nie uspokoiła.

Powiesił kurtkę w szatni, znalazł wolny stolik, zamówił herbatę i bułkę z serem, poprosił kelnerkę o paczkę mentolowych.

Przez chwilę przeglądał gazetę, aż zauważył, że jest sprzed dwóch tygodni.

Jak widać, emeryci nie przykładali wagi do nowości.

Właśnie miał zapalić, gdy zadzwoniła komórka.

To była Elvira.

22

- Co jest?

- Obawiam się, że będziesz musiał wrócić do tej rudery.

- Nie!

- A jednak.

W Oberrad znaleziono zwłoki młodej kobiety.

Wygląda to na zabójstwo.

Za pięć minut zebranie grupy operacyjnej.

Marthaler wszedł do sali konferencyjnej i rozejrzał się.

Niezdążył nawet usiąść, gdy napadł na niego Herrmann:

- Gdzie pan znowu był?

- Na kawie.

Szef wydziału zabójstw przełknął ślinę.

Nie przyszłamu do głowy żadna riposta, jakby nie był przygotowany nauczciwą odpowiedzią.

Środkowym palcem poprawił nowe, bezramkowe okulary.

Taki sam model, jaki od kilku tygodni nosił komendant policji.

Odchrząknął.

Machnął ręką.

- Nieważne, przejmuję panto dochodzenie.

Ja mam pilne zebranie.

Był już prawie przy drzwiach, gdy Marthaler zawołała nim:

- Musimy się stąd wynieść - najspokojniej jak umiał.

Wiedział, jak łatwo każde spotkanie z Herrmannem może przerodzić się w awanturę.

Na przestrzeni lat jego zastrzeżenia do szefa urosły, a niechęć ustabilizowała się na wysokim poziomie.

Herrmann spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

- Co to znaczy: musimy się stąd wynieść?

- To co pan słyszał.

Że opuścimy nasze biura.

Że nie możemy tu pracować.

Że musi się pan nad tym zastanowić.

Herrmann patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

Potem skinął głową.

23.

- Rozumiem - powiedział - rozumiem.
- Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.
 - Opowiesz, co się stało?
- Marthaler zwrócił się do Elviry.
 - Zadzwonili z ósmego komisariatu.

Dziś rano przyszedł do nich mężczyzna i zgłosił, że w pobliżu samotnego domu w Oberrad widział zwłoki.

Posłali radiowóz, żeby to sprawdzić.

Doniesienie potwierdziło się.

We wskazanym miejscu znaleziono ciało kobiety.

Tyle mi powiedzieli.

I że wszystko przemawia za tym, że mamy do czynienia z zabójstwem.

- Co za tym przemawia?

Elvira pokręciła głową.

- Nic więcej nie wiem.

Dałam już znać sekcji zabezpieczania śladów.

Walter Schilling obiecał, że natychmiast wyruszą.

- Okej.

Kto jest wolny?

- Spojrzał wokół.

- Kto maczasz, żeby tam ze mną pojechać?

Wiedział, że za dobrze, że wśród jego współpracowników w pierwszym wydziale zabójstw nie ma nikogo, kto chciałby wziąć kolejną sprawę.

Liebmann i Döring od trzech dni męczyli się z ustaleniem tożsamości wyciągniętego z menu topielca.

Kerstin Henschel przygotowywała zeznania w procesie o zabójstwo.

A Manfred Petersen badał wypadek na autostradzie sprzed tygodnia, troje zabitych, żadnych świadków.

Nikom nie palił się do dodatkowej pracy.

- Sven, przykro mi, ale muszę cię prosić, żebyś to z zemną obejrzał.

Dopóki nie ustalimy, o co chodzi, Kai będzie działał sam.

Sven Liebmann, wysoki i niezgrabny, skinął głową.

Wszyscy wiedzieli, że Marthaler lubił z nim pracować.

Cenił jego powściągliwość, małą mówność i to, że w sytuacjach

24

stresowochnie tracił całościowy ogłąd sprawy.

Pozatym Liebmann wielokrotnie dowiódł, że wybuchowy temperament Marthalera nie robi na nim wrażenia.

- Dobrze.

W takim razie doroboty.

Proponuję, żebyśmy się spotkali po obiedzie.

Elvira odczekała, aż wszyscy wyjdą.

- Robert, pamiętasz, że Tereza dzisiaj wraca?

Chciała ją odebrać z lotniska.

Miałam ci przypomnieć.

Marthaler spojrział na nią i uśmiechnął się.

- Tak.

O tym z całą pewnością nie zapomnę.

' Jechali przez miasto w milczeniu.

Sven Liebmann prowadził szarego daimlera, Marthaler siedział obok, wyglądał przez okno i próbował nie myśleć, co ich czeka.

Ale jak zawsze, gdy wzywano ich na miejsce przestępstwa, nie mógł opanować niepokoju.

Miasto było bure.

Chłodostatnich dni zapowiadał zimę.

Przechodnie poruszali się jak w zwolnionym tempie, dzieci w grubych płaszczach przypominały sztywne pluszowe misie.

Tęsknił za południem.

Ostatni dłuższy urlop miał prawie półtora roku temu.

Zaraz po świętach wielkanocnych spotkał się z Terezą w małej miejscowości Tina Mayorna hiszpańskim wybrzeżu Atlantyku.

Spędził dwa tygodnie w małym domku emerytowanego ratownika.

Był wprawdzie zimno i popadywało, ale Marthaler lubił wspominać tamte spokojne dni.

Wstawali późno, szli do wsi na śniadanie w małym barze, wieczorem gotowali i długo siedzieli przy kominku z butelką czerwonego wina.

Tereza jeszcze dwukrotnie przyjechała na przedłużony weekend do Frankfurtu.

I za każdym razem Marthaler czuł, że dystans nie robi im dobrze.

Spędzali z sobą za mało czasu, by pokonać nieśmielenie.

Minęły trzy lata, odkąd poznali się w Lesecafe.

Tereza przeniosła się wówczas z Pragi do Frankfurtu.

Mieszkała u niego kilka tygodni, potem wyjechała do Madrytu, żeby

26

oprowadzać niemieckie wycieczki i kontynuować studia.

Więc szansę na to, żeby wytworzyła się między nimi jakaś zażyłość, były niewielkie.

Tym bardziej cieszył się, że dziś wraca.

Przyjęła propozycję współpracy z muzeum Stadel.

Miała odpowiadać za organizację wystaw, zaczynała.

już jutro.

Sven Liebmann przejechał przez Alte Brücke na Menie, potem minęli Alt-Sachsenhausen, słynną dzielnicę z licznymi restauracjami, latem i w weekendy tłumnie odwiedzaną przez turystów szukających miejsc, gdzie można napić cydru.

Nikt im nie mówił, że frankfurczycy oddawna już omijali ją szerokim łukiem.

Napięcie Marthalerarosło.

Przejechali pod wiaduktem kolejowym, skręcili w lewo w Offenbacher Landstrasse.

Tuż przed Oberrad zaczął padać śnieg.

- Jeszcze to - mruknął Liebmann.

Komisarz nadal w milczeniu wyglądał przez okno.

Zatrzymali się w centrum miejscowości, żeby zapytać o drogę.

Szosa była coraz węższa i śliska; potem zabudowania ustąpiły miejsca rozległemu polom gospodarstwa ogrodniczego.

Już zdaleka zobaczyli samotny dom.

Stary, z żółto-czerwonej cegły.

Przednim bus sekcji zabezpieczania śladów.

Drogę dojazdową zagradał pusty radiowóz.

Liebmann chciał zatrzeć, ale Marthaler powstrzymał go.

- Zostaw.

Podejźmy tam.

Miejsce zdarzenia odgrodzono białą-czerwoną taśmą.

Obok domu w gęstych krzakach stała drewniana szopa, z nią widać było zadaszony placyk wypełniony rupieciami.

Mundurowi patrolowali teren wokół blokady, bo mimo złej pogody już pojawili się pierwsi gapię.

Marthaleri Liebmann zatrzymali się przy wjeździe na podwórze, obserwowali, jak policjanci rozciągają białą plandekę, żeby

osłonić je przed coraz gęstszym śniegiem i spojrzaniemciekawskich.

Walter Schilling, szefsekcji zabezpieczaniaśladów, uniósł na ich widok obie ręce.

- Nie ruszajcie się - zawołał.

- Zaraz do wasprzyjdę)Marthaler przestąpił z nogina nogę.

Nogawkispodniły mokre od topniejącego śniegu.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki,wyjął paczkęmentolowych,rozmyśliłsię jednak i schował papierosy.

Schilling podszedł do nich po dwóch minutach.

- Co za syf.

-To znaczy?

- zapytał Marthaler.

Schilling spojrział w niebo.

- Śnieg, akurat teraz.

- Odwrócił głowę w kierunkudomu.

-To tam oczywiścieteż.

- Kiedy skończycie?

-Nie mam pojęcia.

Domjestduży.

Ta kobieta najwyraźniej mieszkała sama.

Musimy zbadać wszystko.

I jednojest pewne: to nie będzie rutyna.

Marthaler czekał, że powiecoś więcej, ale on schowałgłowę w ramiona i milczał.

- No, opowiadaj.

Schilling otworzył usta, ale się rozmyślił.

- Nie, proszę, poczekajcie jeszcze z dziesięć minut.

Naszoperator zaraz skończy.

Wtedy będziecie mogli wejść.

- Kto to jest?

Ile ma lat?

Jakzginęła?

Kiedy?

Coś przecież dasię powiedzieć.

Jakmamy zacząć, skoro nic niewiemy?

Schilling zajrzał Marthalerowi w oczy, potem powiedział zociąganiem:

- Wyglądana to, że została uduszona.

Może sznurkiem,ale raczejpaskiem.

Zakładamy, że to właścicielka.

Nazywasię Gabriele Hasler.

Na moje oko przed trzydziestką.

Możeamordowano ją w domu.

Są ślady prowadzące od drzwi

28

wejściowych na podwórze, jakby ktoś ciągnął coś dużego.

Zwłoki zostały.

nie wiem, jak to nazwać.

wystawione.

Jakby ktoś ją upozował.

Marthaler chciał to uściślić, ale Schillingwpadł muw słowo.

- Robert,proszę,dziesięć minut!

Komisarz skinął głową.
Odwrócił się iruszył bez słowa.
Szedł polami.
Raz się zatrzymał.
Wilgotna kurtkaciążyła mu.
Niedaleko stały trzy wielkie szklarnie.
Środkowa była jasno oświetlona.
Zobaczyłzarys poruszającej się wewnątrz postaci.
Zapalił papierosa, zaciągnął się kilka razy, ale śnieg zgasił żar.
Nie myślał o niczym.
Spojrzał w górę, patrzył na wirujące płatki, aż zakręciłomu się w głowie.
Słowa Schillinga wywołały w nim poczucie dziwnej pustki.
Czuł, jak wraz z wilgocią w kościwpełza marność tego poranka.
Naraz przypomniał sobie dzień ze swojego dzieciństwa, gdy szkoła urządziłazimową wycieczkę.
Miał sześć albo siedem lat.
Na chwilę został w tyle za resztą, zawiązywał sznurówki.
Kiedypodniósł wzrok, kolegów nie było.
Wołał, ale wydawało się, że niktgo nie słyszy.
W końcu usiadł na sankachi rozplakał się.
Kiedy wrócił przeddom, popatrzył na zegarek.
Byłotuz po jedenastej.
Sven skinął głową.
Kamerzysta właśnie pakował sprzęt.
- Mam zostawić włączone?
- zapytał, wskazując nadwareflektery na wysokich statywach oświetlające miejsce zdarzenia i zwłoki.
Spadający na lampy śnieg parował, tworząc białą mgłę.
Marthalerzaprzeciżył ruchem głowy.
Obszedł białą plandekę.
To, co zobaczył, trafiło go jak nieoczekiwany cios.
Zamordowana nieleżała, klęczała na ziemi.
Najpierw wzroknatrafiał na obnażone, wypięte pośladki.
Instyktownie
29.

zmrzył oczy, obraz rozmył się.
Lekko rozsunięte nogibyłygołe.
Bez rajstop i butów.
Majtki miała ściągnięte dokolan i zadartą spódnice.
Faktycznie wyglądało totak, jakby ktoś chciał ją pokazać w szczególnie bezwstydnysposób.
Tułów był wysunięty do przodu, opierała się nazgiętych w łokciach rękach.
Odchyłona bok głowa leżała nalewym przedramieniu.
Obszedł ofiarę, żebyzajrzeć w twarz.
Miała wykrzywione rysy, nabiegłekrwiaoczy były wpółotwarte, kąciki ust w grymasie bólu uniesione w górę.
Spomiędzy sinych warg wystawał koniuszek języka.
Odwrócił się.
Spojrzał na Liebmanną, jakby szukającpomocy.
Gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał skrzekliwie.
- Możeszmi wytłumaczyć, co tu się stało?
Co to jest?
Z jakim przestępstwem mamydo czynienia?
Rozumieszcoś z tego,co tu widzimy?
Sven Liebmannstał w odległości dwóch metrów, popatrzył na Marthalerą, kręcąc głową.
Potem zrobił ostrożnyruch w stronę martwej kobiety.
- Widziałeś to?
-Co?
- Ma coś w ręce.
Kawałekmateriału.
Marthaler przykucnął obok ofiary.
Jej prawa ręka tkwiłapodułowiem, ale można było rozpoznać, że palcekurczowo ściskają jakiś biały skrawek.
- Wygląda jak strzęp firanki.
Cokolwiek tojest, niechsię tym zajmą technicy.
Ja rozumiem tylkotyle, że nic nierozumiem.
Spojrzał na młodszego kolegę.
Przez moment miał wrażenie, że Sven płacze.
Ale to nie były łzy, tylko woda z topniejących płatków śniegu.
- Człowiek chciałby się odwrócić natychmiast wszystko zapomnieć - powiedział.
- Tymczasem to jeden ztych
30
przypadków, które zmuszają do bardzo dokładnego patrzenia.
Nie wolno nam nic przeoczyć,bo wszystko w tejinscenizacji ma znaczenie.
- Zadzwońię dokomendy - zaproponował Sven.
- Potrzebujemy więcej ludzi.
Musimy spróbować znaleźćświadków, trzeba przepytać sąsiadów.
Musimydowiedziećsię, kim są jej krewni.
Nie możemy tak tu stać igapić sięna nią.
Marthaler skinął głową,ale niemógł się ruszyć z miejsca.
I był przeciwnyzwykłej rutynie dochodzeniowej.
Miałwrażenie, że byłaby jedynie przykrywką dla ich bezradności.
Nagle na drodze podniósłsię rwetes.

Ktoś krzyczał.

Ktoś się kłócił.

Podszedł do blokady.

Dwaj mundurowi trzymali mężczyznę, który z całych sił im się wrywał.

- Co tu się dzieje?

Kim pan jest?

Czego pan chce?

- zwróciłem się do mężczyzny, jednocześnie dając sobie sprawę, jaki jest żalosny.

Mężczyzna awanturował się dalej.

Marthaler krzyknął.

- Proszę się natychmiast uspokoić, bo każę pana aresztować!

Tamten spojrzał na niego zbity z tropu.

Od razu odpuścił.

- Chcę się zobaczyć z moją narzeczoną.

Mieszka tu.

- Kim pan jest?

Jak się nazywa narzeczona?

Proszę pokazać dowód osobisty.

Mężczyzna pogrzebał w kurtce i wyciągnął portfel.

Podał Marthalerowi dowód.

Komisarz rzucił na niego okiem i przekazał jednemu z policjantów.

- Wpiszemy dane do systemu i sprawdzimy personalia.

Jak nazywa się pańska narzeczona, panie Assmann?

Kiedy ostatni raz pan ją widział?

Gdzie pan był przez ostatnie piętnaście godzin?

31.

- Nazywa się Gabriele Hasler - odpowiedział mężczyzna metalicznym głosem.
- Przyjechałem właśnie z Kolonii.
Tam mieszkam.
Byłem tu ostatni raz trzy tygodnie temu.
Spóźniłem się.
Gabriele na mnie czeka.
Zamilkł.
Wbił wzrok w Marthaler i w końcu cicho zapytał.
- Co się stało?
Proszę mi powiedzieć, co się stało.
Komisarz patrzył w ziemię.
Bolą go głowa.
Nie był w stanie zaprowadzić tego człowieka na podwórze i poprosić o zidentyfikowanie zwłok.
Rozejrzał się dokoła, szukając pomocy, i kiwnął na Liebmann.
- Proszę poczekać - poprosił - kolega się panem zajmie.
Liebmann, który usłyszał ostatnie zdanie, spojrzał badawczo na Marthaler i skinął głową.
Położył rękę na ramieniu mężczyzny.
- Proszę mnie.
Marthaler wyprzedził ich.
Nie patrząc na ciało, ruszył przez podwórze do drzwi domu, gdzie czekał na niego Walter Schilling.
- Teraz możesz wejść - powiedział - ale proszę, niczego nie dotykaj.
- Jeszcze nie - odparł Marthaler.
- Dopóki twoi ludzie pracują, nie czuję tego domu.
Jest jakieś miejsce, gdzie już skończyliście?
Moglibyśmy gdzieś porozmawiać?
- Tak.
Chodźmy do kuchni.
Powie mi, żeby nam nie przeszkadzali.
- Nie wyglądasz najlepiej - stwierdził Marthaler, gdy usiedli naprzeciw siebie przy starym stole kuchennym.
- A siebie widziałeś?
- Odparował Schilling.
- Wiem, pracowałem do wieczora, potem źle spałem - zaczął się tłumaczyć.
32
- Tak, to pewnie dlatego - Schilling spróbował się uśmiechnąć.
- Grunt, żebyś mi się nie przyznał, że to od widoku zamordowanej, prawda?
Marthaler nie zareagował.
- Co dotychczas odkryliście?
Możesz mi powiedzieć, co się tutaj stało?
Schilling zamknął oczy, jakby zbierał się w sobie.
- Nazywa się Gabriele Hasler, wiek trzydzieści lat.
Jest dentystką i prowadzi gabinet w Nordend.
To znaczy.
prowadziła.
W każdym razie tak wynika z dokumentów, które znaleźliśmy.
Proszę, zapisałem ci adres - podał Marthalerowi kartkę.

- Jeszcze nie wiemy, czy mających skrewnych.

Materiał, który uznaliśmy za ważny, spakowaliśmy do dwóch kartonów, żebyście mogli go przejrzeć.

Tusą tysiące książek, całe archiwum czasopism, segregatory.

Jeśli mamy to wszystko zbadać, to wejdziecie dopiero za kilka dni.

Inna możliwość jest taka, że obejrzyjecie to namiejsu i powiecie, czy potrzebujecie naszej pomocy.

- To chyba jest lepszy pomysł - zdecydował Marthaler.

- Musimy zacząć jak najszybciej, żeby stworzyć sobie jakiś obraz.

Jak myślisz, czy wchodzi w grę zabójstwo na tlerabunkowym?

Schilling popatrzył na niego sceptycznie.

Potem stanowczo pokręcił głową.

- Nie, uważam, że to wykluczone.

Telewizor, wieża, komputer.

W łazience znaleźliśmy kasetkę z biżuterią.

Złodziej by sobie przecież tego nie darował.

- Czy patolog widział ciało?

- Tak.

Doktor Herzlich już tu był.

Ocenia, że śmierć nastąpiła około północy.

Co się tyczy przyczyny zgonu, to jeszcze nie mógł powiedzieć nic pewnego.

W każdym razie była duszona.

- Duszona?

33.

- Tak.

i...

Obok domu kolejny raz przejechał pociąg.

Hałas byłtak wielki, że musieli przerwać.

Deskipodłogiwpadływ wibracje, naczynia w kuchennej szafce zaczęły brzęczeć.

Marthaler czekał, żeSchilling będzie mówić dalej.

- Co i?

- zapytał w końcu.

-I była torturowana.

- To znaczy?

-Mówi, że nie została po prostu zabita, lecz że długotrwało, zanimumarła.

Najlepiej sam z nim porozmawiaj.

- Tak zrobię.

Ale chcę też wiedzieć, co ty o tym myślisz.

- Myślę, że walczyła.

Myślę, że nie została zamordowana na podwórzu,tylko tutaj, w domu.

Są ślady w wielupokojach.

Myślę, że sprawca wywłókł ją już martwą, a potem.

no cóż, przyrządził tak, jakją znaleźliśmy.

- Widziałeś już coś takiego?

-Nie, nigdy, tylko w podręcznikach.

To..

- zawałał się - wygląda jak z innej planety.

- Z innej planety?

-Wydaje mi się, że sprawca nie chciał po prostu kogośzabić - znowu zawiesił głos.

- Tylko?

-Tylko siębawił- wyglądał,jakby nie był pewien,czyznalazł właściweśłowa, czy nie powiedział czegoś niestosownego.

Marthaler milczał dłuższą chwilę.

Z trudemukrywałbezzadność.

Nie miał jeszcze do czynienia z morderstwem,którego podłożem byłby sadyzm.

Obezwałdniała gonietyle brutalność przestępstwa, cojego niewyobrażalnaobcość.

Jeśli prawdą było to, co Schillingwłaśnie zasugerował, to mieli do czynienia z przypadkiem, któryprzekraczał jego wszelkie wyobrażenia.

34

- Jak sprawcadostał się do domu?

Są ślady włamaniana drzwiach albo oknach?

- Nie, nie ma.

Wygląda wprawdzie na to, że drzwibyłyjuż raz wyważane,ale to sięzdarza, gdy ktoś zapomniklucza.

Poza tym te śladysą starsze.

Ten dom jest gorzej zabezpieczony niż każda altanka na działkach.

- Czy to znaczy, że ofiara wpuściłaspprawcę?

Że byćmoże go znała?

Schilling podniósł ręce.

- To wy musicie się tego dowiedzieć.

Może wszedł przezuchylone okno i zamknął je od środka.

- Przecież żaluzje są opuszczone.

-Tak.

Ale nie musiało tak być, gdy wchodził.

To możeteż po prostu znaczyć, że nie chciałwidzów.

- Rozumiem.

Macie coś, comogłobywskazać sprawcę?

- Jeśli pytasz, czy zostawiłwizytówkę na stole w dużym pokoju, to nie.

Proszę, Robert,zebraliśmy setkiśladów.

Włosy i odciski palców różnego pochodzenia, używane naczynia,noszone ubrania, liczne szczoteczki dozębów, ślady stóp, całagama, Sabato będzie miał używanie.

Nie mogę jeszcze powiedzieć, czy coś z tegodasię przyporządkować sprawcy.

I jak sam wiesz,jeśli dotychczasnie zwrócił naszej uwagi, to niebędzie próbekporównawczych.

Ajeśli nie mamy go w bazie danych, toślady przydadzą się dopiero gdy go złapiecie.

Marthaler widział, żeto niema sensu.

- Jeszczejedno.

Mówiłeś o śladachwalki?

- Tak.

Wyglądanato, że kuchnia jestjedynym pomieszczeniem, gdzie ofiarai sprawca nie przebywali równocześnie.

W korytarzu i prawie wszystkich pokojach tychśladówjest cała masa.

Wdużym pokojuprzewróconyfotel iprzesunięty dywan, urwana firanka.

W sypialniczęści garderoby porozrzucone popodłodze.

Na podeście

35.

schodów na piętro skorupy dużego flakonu, kilka stopniżej kobiecy but.

I tak dalej.

Ponieważ wyglądana to,żemoje zdanie cię interesuje: sądzę,że ten typ bawił się nią w kotka i myszkę.

- Skąd takie przypuszczenie?

-Kiedyzobaczyłem ten chaos, adoktor Herzlich stwierdził, że była torturowana, natychmiast wyobraziłem sobie, jak goni ją po domu.

Marthaler milczał.

Następnypociąg wprawił domw drzenie.

- Nie rozumiem,jak można tu mieszkać - powiedziałSchilling.

Marthaler skinął głową, alemyśłami byłjuż gdzie indziej.

Nie słyszał ostatnich słów szefa techników.

Ta sprawa zminuty na minutę coraz bardziej go absorbowwała.

Jużteraz miał wrażenie, że jest w stanie obłączenia, że nie dociera do niego prawie nic, conie miałoby związkuz morderstwem.

Wszystkie myśli, wszystkie uczucia byłynakierowanena to,co wydarzyło się w tym domu minionej nocy.

Zawsze tak było,gdy dostawali nowąsprawę:

Robert Marthaler jako osoba prywatna przestawał istnieć.

Zostawał tylko śledczy, którego postrzeganie byłonastawione wyłącznie naznalezieniesprawcy.

I to ta cecha sprawiała, że odnosił sukcesy.

Wśród współpracowników iprzełożonych wzbudzała zarówno podziw, jaki nieufność.

Marthaler to wiedział.

Carlos Sabato w jakiejś kłótni wykrzyczał mu prosto w twarz: Nie jesteśpracowity, masz obsesję.

Marthaler nigdymu tego niezapomniął, ich przyjaźń niemal się torozbiła.

Wielokroćpostanawiał sobie, że zachowa większy dystans dopracy.

Ale nad tym nie panował.

Każdy nowy przypadeksprawił, że wracał do starych przyzwyczajzeń.

36

Zostałw kuchni sam.

Nie zauważył,kiedy Schilling wyszedł.

Podszedł do okna.

Śnieg padałnieco słabiej.

Znówzobaczył trzy szklarnie oddalone oddomu o jakieś stometrów.

Środkowa wciąż jeszcze byłaoświetlona.

Wzdrygnąłsię, gdy zadzwonił telefon.

Zastanawiałsię przez chwilę, potem wyjął chusteczkę i podniósł słuchawkę.

-Tak?

Na drugim końcuzapadło milczenie.

Wkońcu odezwała się kobiecy głos.

- Przepraszam, pomyliłam numery.

-Może jednak nie.

Kto mówi?

Nikt nie odpowiedział.

Kobieta odłożyła słuchawkę.

Pół minuty później telefon zadzwonił ponownie.

- Tu Robert Marthaler.

Jestem w domu Gabriele Hasler.

Z kim rozmawiam?

-Gabinet dentystyczny doktor Hasler.

Nazywam się Marlene Ohlbaum.

Chciałabym rozmawiać z szefową.

Czy może domnie oddzwonić?

- Proszę posłuchać, jestem policjantem.

Pani szefowanie oddzwoni.

Gabriele Hasler nie żyje.

I niech pani nie wychodzi z gabinetu.

Zjawię się tam najdalej za pół godziny.

W domu wciąż jeszcze pracowali technicy w białych kombinezonach.

Marthaler wyszedł na podwórze i zobaczył samochód zakładu medycyny sądowej.

Właśnie zamykali klapę.

- Robert, gdzie się podziewał?

- podszedł do niego Sven Liebmann.

- Schilling złożył mi wstępny raport.

Czy przesłuchanie narzeczonego coś dało?

- Zidentyfikował zamordowaną.

I jeszcze na podwórzu załamiał się.

Teraz czuje się trochę lepiej.

Podaliśmy mu silny środek uspokajający.

37.

-Ma alibi?

- Powiedział, że wczoraj wieczorem był z kolegą w Siidstadt, w Kolonii, do około dwudziestej trzeciej.

Już powiadomiłem tamtejszą policję, mają to sprawdzić.

Potem pojechał do domu.

Około północy próbował zadzwonić do Hasler, żeby złożyć jej życzenia urodzinowe, ale nie odbierała.

Nie sądzę, by miał coś wspólnego z jej śmiercią.

Mimoto powinniśmy go zatrzymać.

Kazałem odwieźć go do komendy.

Nie sprzeciwiał się.

- Mówisz, że dziś są urodziny Gabriele Hasler?

- Tak, dziwne, prawda?

- Niewiem.

Może.

Tak.

- Co dalej?

Nie sądzisz, że powinniśmy wezwać posiłki?

- Tak, masz rację.

Zajmij się tym.

Trzeba przesłuchać sąsiadów, może coś rzuciło im się w oczy.

I musimy powiadomić krewnych, jeśli takowi istnieją.

Pojadę teraz do gabinetu doktora Hasler.

Właśnie dzwoniła tu jej asystentka.

Może wie coś, co mogłoby nam pomóc.

Sven patrzył na Marthaler z poważną miną.

- Co sądzisz o tej sprawie?

- Sądzę, że wdepnęliśmy w kupę gówna.

Liebmann skinął głową.

- Tak, inaczej tego nazwać nie można.

I obawiam się, że przez jakiś czas z niegonie wyleziemy.

Cztery

Z jakiegoś powodu Marthaler założył, że kobieta o nazwisku Marlene Ohlbaum będzie starsza. Ale chuda pomoc dentystyczna była najwyżej po dwudziestce.

Miała zapuchnięte oczy i drżący głos.

Zanim otworzyła drzwi, poprosiła Marthalera o legitymację.

W środku uderzył go w nozdrza specyficzny zapach i natychmiast ogarnęło go poczucie winy.

Przeciągnął językiem po wewnętrznej stronie zębów.

Ostatni raz był u dentysty ponad rok temu.

Postanowił jeszcze tego popołudnia umówić się na wizytę.

Przez otwarte drzwi zobaczył foteldentystyczny i szybko odwrócił wzrok.

- Co teraz ze mną będzie?

- to było pierwsze pytanie, jakie zadała, gdy usiedli naprzeciw siebie w kuchni.

Marthaler spojrział na nią.

Górną warstwę jasnych włosów zebrała na czubku głowy w kucyk.

Wygląda jak koń cyrkowy, pomyślał.

Zagłodzony koń cyrkowy, który płakał.

- Nie interesuje pani, co się stało?

- zapytał.

- Oczywiście, jasne.

Przepraszam.

Wszystkich pacjentów odesłałam do domu.

Nie wiedziałam, jak im wytłumaczyć.

Powiedziałam, że pani doktor jest chora.

A samajestem przeziębiona.

- Gabriele Hasler nie żyje.

Została zamordowana.

Proszę opowiedzieć mi wszystko, co pani o niej wie.

39.

Znów się rozplakała.
Kucyk podskakiwał.
Marthaler podał jej paczkę chusteczek higienicznych.
Czekał.

- Nic o niej nie wiem.

Była nerwowa.
Wiem, że miała problemy finansowe.
Wciąż przychodziły listy z upomnieniami.
To wszystko jest takie straszne.
Mam nadzieję, że nie muszę jej oglądać.
Nigdy nie widziałam trupa.

- Proszę się nie martwić.

Jej narzeczony już ją zidentyfikował.

- Jej narzeczony?

Nic nie wiedziałam.

Ja..

- Co chciała pani powiedzieć?

- przerwał jej Marthaler.

Nie chciał krzyknąć, więc mówił szczególnie cicho.

- Ja.

Że pani też jest zaręczona?

Chce mi pani teraz o tym opowiadać?

Ja, ja, ja.

Niezauważyła pani, że mówić o sobie?

Pani szefowa została zamordowana.

Kiedy widziała ją pani ostatni raz?

- Ja.

- popatrzyła na niego niepewnie.

Marthaler skinął zachęcająco głową.

- Niech pani mówi!

Wolno pani powiedzieć "ja", dopóki odpowiada pani na moje pytania.

- Wysłałam zgabinetu pogodzinach przyjęć.

Ona miała jeszcze jedną wizytę.

Potem poszłam na zakupy.

Widziałam ją na Scheffeleck.

Wsiadała do taksówki.

Pomachałam do niej.

Ale mnie niezauważyła.

- Nie takszybko - uniósł rękę.

- Wszystko jest ważne.

Kim był ten pacjent?

Najakim postojem taksówek ją pani widziała?

I o której?

Niech pani spróbuje to sobie dokładnie przypomnieć.

Musimy znaleźć taksówkarza.

I porozmawiać z tym pacjentem.

Zaczął szukać notesu, ale zorientował się, że go zapomniał.

Z kieszeni kurtki wyjął kawałek papieru.

Zaproszenie na zebranie Związku Zawodowego Policjantów, które już dawno odbyło się bez niego.

Odwrócił kartkę, czekał, aż będzie mógł zacząć notować.

Ale asystentka Gabriele

40

Hasler tylko na niego patrzyła.

Z półotwartymi ustami.

Oczy w wąskiej twarzy sprawiały wrażenie ogromnych.

Rzęsy zaczęły trzepotać.

Marthaler odniósł wrażenie, że jego pytania ją przerastają.

Trudno, będzie musiał powściągnąć niecierpliwość.

Postanowił dać jej czas.

- Zrozumiała pani, czego chcę?

Marlene Ohlbaum przytaknęła, lecz dalej milczała.

W końcu zapytała, czy może przynieść papierosy.

Marthaler popatrzyła na nią.

Spod krótkiego fartucha wyłaniały się nogi niewiele grubsze od jego przedramion.

Obawiał się, że mogą złamać się przy każdym kroku.

Upłynęło kolejne pół godziny, nim wreszcie zebrał wszystkie konieczne informacje.

Ohlbaum opuściła gabinet około szesnastej trzydzieści.

Poszła do domu, przebrała się, wyjęła ze zmywarki czystenacznia, nakarmiła chomika, sama coś zjadła.

Potem udała się na zakupy.

Około osiemnastej zobaczyła, jak szefowa wsiada do taksówki przed szpitalem Maingau.

Przypomniała sobie, że usłyszała dzwony pobliskiego kościoła.

- Co mam teraz robić?

- sprawiała wrażenie wyczerpanej.

Naszcześnie było to pytanie z gatunku retorycznych.

Nie mógł jej pomóc.

Wiedział, że nie będzie jej łatwo znaleźć nową posadę.

Poprosił o adres pacjenta, który przyszedł jako ostatni.

Potem się pożegnał.

- Dziękuję za cierpliwość - młoda kobieta wyciągnęła do niego wąską rękę.

Zdziwił go mocny uścisk.

Zawstydzził się.

Jeśli coś wyróżniało go w kontaktach z ludźmi, to niecierpliwość.

W korytarzu coś jeszcze musiał przypomnieć.

- Nie ma tu przypadkiem zdjęcia Gabriele Hasler?

- zapytał.

41.

Marlene Ohlbaum zastanowiła się.

- Jest.

Wiosną w gazecie wydrukowali o niej artykuł.

Pokazała mi go cała dumna i kazała schować.

Zniknął w sąsiednim pomieszczeniu.

Chwilę później podała mu wycinek naklejony na kartkę papieru.

Był to artykuł z cyklu "Drogi samodzielności".

Obok tekstu widniało zdjęcie roześmianej kobiety.

Była bardzo ładna, pomyślał Marthaler.

Ładna i pewna siebie, mimoto widać, że miała kłopoty.

Chciał przeczytać tekst, alen nie mógł się skupić.

Złożył kartkę i schował w portfelu.

Wychodząc z budynku na placu Kleiner Friedberger, poraz pierwszy od wielu godzin spojrzął na zegarek.

Była czternaście pięćdziesiąt.

Zamarł.

Pół godziny temu powinien być na lotnisku.

Obiecał Tereziesolennie, że po nią przyjedzie.

Jeszcze rano zapewnił swoją sekretarkę, że na pewno nie zapomni.

Bezradnie okręcił się dookoła własnej osi.

Nie wiedział, co robić.

Najchętniej nawrzeszczałby na kogoś przechodniów czekających wraz z nim na zielone światło.

Wystukując numer Terezy, zaczął szukać sprawiedliwien.

I natychmiast zrobiło mu się wstyd.

Czuł się jak dziecko, które coś przeskrobało.

Cieszył się na jej przyjazd, już dawno na niego nie cieszył.

A teraz po prostu zapomniał.

To niewszystko, na dodatek chciał ją okłamać.

Dzwonił długo, ale bezskutecznie.

Po trzeciej próbie poddał się.

Może kazała się zawieźć na Grosser Hasenpfad i teraz czekała przed jego drzwiami.

Ale dlaczego nie odbierała?

Dlaczego nie próbowała do niego zadzwonić?

Odpowiedź była tylko jedna: Nie chciała z nim rozmawiać.

Była na niego zła.

I nie chciała, żeby wiedział, gdzie jest.

W końcu wybrał numer Elviry.

- Dzwoniła Tereza?

42

- Nie, dlaczego?

Nie spotkaliście się na lotnisku?

Samolot musiał już dawno wylądować.

- Tak.

Może.

Nie wiem.

Elvira zamilkła.

Zrozumiała.

- Robert, nie.

Powiedz, że to nieprawda.

Nie zapomniałeś chyba?

Odruchowo skinał głową.

Wsunął telefon do kieszeni.

Zapadł się w siebie.

Poczuł, że opuszczają go siły.

Nic niemógł zrobić.

Musiał czekać, aż Terezasama się odezwie.

Jeśli wogóle zechce.

Dwadzieścia minut później po raz drugi tego dnia wszedł do nowej komendy.

Nie podnosząc głowy, skinał portierowi, minął bramkę, skierował się do windy i wyjechał na drugie piętro.

Był tak spięty, że dostał skurczu mięśni.

Kłujący ból pełzał od karku w stronę szyi i głowy.

Gdy otworzył szklane drzwi wydziału zabójstw i zobaczył, co się stało, dostał ataku śmiechu.

Elvira klęczała na podłodze, obok niej stały trzy wiadra.

Wykręcała szmatę.

Zalało cały korytarz i wszystkie pomieszczenia.

Drzwi do biura Herrmanna były otwarte.

Szef wydziału stał obok biurka boso, z podwiniętymi nogawkami, i wrzeszczał do telefonu.

Kiedy zobaczył Marthaler, przywołał gokiwnięciem ręki.

Trzasnął słuchawką i krzyczał dalej.

- Nie widzi pan, że to jakaś katastrofa?

Z czego się panśmieje?

Niech pan z łaski swojej zdejmie buty i skarpetki i pomoże!

Marthaler zachował spokój.

- Nie, szefie, zrobię coś zupełnie innego.

Nie czekając na reakcję Herrmanna, poczłapał zalany korytarzem do swojego sekretariatu, gdzie Elvira wciąż próbowała usunąć choćby część wody.

43.

- Zostaw, proszę.

To nie jest nasze zadanie.

Zawiadom wszystkich, że o dziewiętnastej spotykamy się u mnie w domu.

Wszedł do swojego biurka i zaczął wysłuchiwać e-maili do Terezy.

Długoszukał właściwych sformułowań.

Kilka razy zaczął od nowa.

Chciał to zrobić jak najlepiej, a bał się, że nieodpowiednie słowo może go pograżyć.

Dopiero teraz dotarło do niego, że nigdy nie próbował jasno określić charakteru ich znajomości.

Poznał się, Tereza wprowadziła się do niego, wkrótce się wyprowadziła, wyjechała do Madrytu.

Było miło, nie musieli nic mówić.

Raz rano zapytał, czy potrafi sobie wyobrazić, że będzie z nim dłużej.

Położyła mu palec na ustach.

- Zobaczmy, co życie przyniesie - powiedziała po chwili namysłu.

- Życie już to dobrze poukłada.

Wtedy przyznał jej rację.

Ale teraz, gdy bał się, że ją straci, i szukał właściwych słów - nie znajdował ich.

Zamknął kłapkę telefonu, niewysławszy wiadomości.

Pojął, że wreszcie muszą porozmawiać.

Morderstwo detystki nie zostawiało mu właściwie czasu na wyjaśnianie prywatnych spraw.

Mimo to zdecydował, że ją znajdzie.

Już wychodził, gdy w drzwiach pojawił się Hans-Jürgen Herrmann.

Przygotowany na to, że szef podejmie kolejną próbę wykorzystania go jako sprzątacza, podniósł rękę odmownym gestem.

- Nie ma mowy, szefie, sprawa w Oberstadion ma pierwszeństwo.

- Dobrze, dobrze - odparł Herrmann.

- Niech mi panda dojdzie do słowa.

Chciałem tylko powiedzieć, że może pani się opuścić biuro.

Marthaler spojrzał na niego z osłupieniem.

Herrmann zaśmiał się.

44

- Nie, nie to, co pan myśli.

Pańska komórka się przeprowadza.

Rozmawiałem z kolegą z urzędu nieruchomości, jest stara kamienica na Glinthersburggasse z dwoma dużymi pustymi mieszkaniami.

Zamówiłem wóz meblowy na dziś wieczór.

Trzej technicy wezmą nocną zmianę, żeby zainstalować telefony i komputery.

Może się pan tam jutro wprowadzić ze swoimi ludźmi.

Musicie się na jakiś czas nastawić na prowizorkę.

Ale grunt, że to sucha prowizorka.

Marthaler nie ukrywał zdumienia.

O ile nie miał najlepszego zdania o Hansie-Jürgenie Herrmannie jako policjancie, o tyle podziwiał jego talent organizacyjny.

Trochę się zawstydział.

Pojął, że przełożony posiadał zdolności, których brakowało jemu samemu i które w tej sytuacji byłyby bardziej pomocne niż umiejętności dobrego śledczego.

Ale też w tej samej chwili zirykowała go pełnowartościowa mina, z jaką szef poprawił okulary, i protekcyjny uśmiech błakający się na jego wargach - widać było wyraźnie, że rozkoszuje się triumfem.

Nie, pomyślał Marthaler, nie wyświadczęmu tej uprzejmości i niepodziękuję.

- A co z panem?

- zapytał.

Herrmann popatrzył na niego jak na idiotę.

- Ja oczywiście zostaję.

Muszę mieć stały, bezpośredni kontakt z komendantem.

Moja obecność tutaj jest nieodzowna i poza dyskusją.

Marthaler skinął głową.

Choć czuł niechęć do napuszonej mowy Herrmanna, ta odpowiedź go ucieszyła.

- Będzie mi pan codziennie składał raport.

Oczekuję telefonu co rano o dziewiątej.

Ma mi pan zagwarantować sprawny przebieg śledztwa.

I odpowie pan, gdy coś pójdzie nie tak.

Marthaler ziewnął.

Zawsze reagował zmęczeniem, gdy ktoś mówił, żeby tylko mówić.

45.

- Poza tym - ciągnął Herrmann - lepiej nam zrobi, gdy nie będziemy musieli codziennie się widywać.

Prawda?

- Tak, szefie.

Właśnie coś w tym rodzaju sobie pomyślałem - odwrócił się i ruszył w kierunku windy.

- Marthaler - zawołał za nim Herrmann.

- Jak brzmi magiczne słowo?

Udał, że nie rozumie.

- Magiczne słowo?

- Magiczne słowo brzmi: dziękuję.

Byłoby miło, gdyby raz powiedział pan po prostu dziękuję.

Marthaler uśmiechnął się.

Gdy drzwi windy zamknęły się za nim, poczuł, że skurcz karku powoli mija.

Rower zostawił w komendzie.

Wysiadł z metra na stacji Schweizer Platz, wyjechał stromymi schodami na powierzchnię.

Na Mörfelder Landstrasse wszedł do włoskiego baru, od lat był tam stałym klientem.

Odchylając głowę, przyglądał się menu na dużej tablicy i jak zwykle już po krótkiej chwili odniósł wrażenie, że nadwyreżacierpliwość personelu.

- Ma pan czas, dottore - powiedział człowiek przygotowujący pizzę, Marthalerowi wydało się jednak, że zmrużnął do kolegi.

Nie mógł się zdecydować, w końcu zamówił sześć razy Quattro Stagioni.

Ale potem przypomniał sobie, że Manfred Petersen jest wegetarianinem, więc skorygował zamówienie.

I znów poczuł, że traktuje się go z demonstracyjną pobłażliwością.

- Dlaczego wy, Włosi, musicie nieustannie demonstrować całemu światu, jacy jesteście sprytni i energiczni?

Dlaczego człowiek w waszej obecności zawsze czuje się jak niezręczny, ociężały głupek?

- Wybuchnął natychmiast tego pożałował.

Ale na szczęście nikt najwyraźniej go nie zrozumiał.

Kiedy właściciel zapytał, czy spodziewa się gości, skinął głową, zapłacił i wyszedł.

Niemiał ochoty na bratanie się.

Chciał być sam ze swoimi myślami.

47.

Dziesięć minut później wszedł do domu.
Otworzył skrzynkę na listy w nadziei, że Tereza wrzuciła jakąś wiadomość.
Ale znalazł tylko gazetkę reklamową i pocztówkę od rodziców ze Szwarcwaldu.
Zapowiadali, że wracając, wpadną do Frankfurtu, żeby wypić z nim kawę.
Natychmiast ogarnęły go wyrzuty sumienia.
Już teraz podejrzewał, że będzie musiał im odmówić.
Wspiął się po schodach.
Wszedł do mieszkania, nie zapalając górnego światła.
Sprawdził, czy nie mruga zielona lampka automatycznej sekretarki, ale nikt nie próbował się dodzwonić.
Położył pudełka z pizzą na stolew kuchni, wszedł do dużego pokoju, stanął przy oknie i wyjrzał.
Kobieta z kamienicy naprzeciwko była w domu.
Widział, jak porusza się za mleczną szybą okna w łazience.
Rozpoznawał tylko kontury, ale przypuszczał, że jest naga.
Patrzył, nie myśląc, co robi.
Gdy weszła do pokoju, miała na sobie szlafrok, a na głowie ręcznik.
Zrobiła kilka szybkich kroków, podniosła słuchawkę i poruszyła ustami.
Widział, że się śmieje.
Cieszyła się, że ktoś zadzwonił.
Odwróciła się dookna i spojrzała w kierunku Marthalerów.
Choć był pewien, że nie może go widzieć, instynktownie cofnął się o krok.
Mina jej zrzędnęła.
Skinęła głową.
Sprawiała wrażenie rozczarowanej.
Odłożyła słuchawkę i zaciągnęła zasłony.
Zdjął kurtkę.
Włączył odtwarzacz i puścił CD z sonatą Arpeggione Schuberta.
To było stare nagranie z Rostropowiczem i Benjaminem Brittenem.
Skręcił poziom głośności tak daleko w lewo, że muzykę ledwie było słyhać.
Starał się nie myśleć o Terezie, która szczególnie lubiła ten utwór, nie myśleć o niczym.
Usiadł w fotelu, czekał na kolegów.
Zebrali się pół godziny później.
Jako ostatni przyszedł Walter Schilling.
Przeprosił za spóźnienie.
Podczas gdy
48
inni żuli podgrzaną pizzę i debatowali o czekającej ich przeprowadzce, szef techników otworzył teczkę i wyjął grubą kopertę.
- Proszę.
- Podał Marthalerowi plik zdjęć.
- Koleżanka z dokumentacji wydrukowała pierwszą partię fotografii z miejsca zbrodni.
Nie chcę psuć wam apetytu, ale sądzę, że zanim zaczniemy rozmawiać, wszyscy powinni je zobaczyć.
Marthaler skinął głową.
Wziął zdjęcia i, nie patrząc, podał je Manfredowi Petersenowi.
Poszedł do kuchni powino i kieliszki.
Gdy wrócił, część materiału leżała na stole.
Panowało przytłaczające milczenie.

Nawet Kai Döring, którego wszyscy w równym stopniu lubili i bali się go ze względu na jego przemądrzałe powiedzonka, patrzył w milczeniu przed siebie.

Twarzmu pobladła, przez copięgi stały się wyraźniejsze.

Kerstin Henschel sięgnęła po zdjęcie, na którym widniała wykrzywiona twarz martwej Gabriele Hasler.

Pokręciła głową niemal natychmiast i odłożyła, opuszczając ręce.

Petersen wstał i odwrócił się od reszty.

Przeciągnął ręką po twarzy, jakby w ten sposób mógł zetrzeć z oczu to, co właśnie zobaczył.

- Przepraszam - powiedział - ale na taki widok nie byłem przygotowany.

Petersen od niedawna pracował w wydziale zabójstw.

Wcześniej był w prewencji.

Marthaler docenił go, gdy przed trzema laty wsparł ich w trudnym śledztwie.

I udał się go przekonać, by się dokształcił i dołączył do wydziału zabójstw.

Petersen miał wszkole najwyższe noty z prawie wszystkich przedmiotów, ale Marthaler wiedział, że teraz mu nie pomoże.

Są doświadczenia, z którymi obchodzić się nienauczy żadna szkoła.

Głośno wypuścił powietrze.

- Nie ma powodu do wstydu - powiedział.

- Wszyscy czujemy się tak samo.

Na coś takiego nie można się przygotować.

Nawet w naszym zawodzie.

To Kerstin Henschel przerwał w końcu ciszę.

- Może najlepiej będzie, jak po prostu opowiecie, co dotychczas ustaliliście.

I proszę, skupcie się na faktach, nie próbujcie na razie wyciągać wniosków.

Walter Schilling rozejrzał się wokoło.

- Jeśli się zgodzicie, ja zacznę.

Potem przysłała kolej na Marthaler i Liebmann.

Pozostali słuchali, notowali, od czasu do czasu zadawali pytania.

O dwudziestej pierwszej trzydziści Marthaler spojrzął na zegarek.

Potrzebowali dużo czasu, by przekazać to, co wiedzą.

Mimo to miał wrazenie, że niewiedzący.

Że od przedpołudnia nie posunęli się ani o krok.

- To jakiś kanał.

Wszyscy rozpoznają Gabriele Hasler, ale nikt jej nie znał - zakończył Liebmann.

- Co masz na myśli?

- zapytał Petersen.

- Gdziekolwiek dziś po południu pokazywałem jej zdjęcie, w każdym sklepie, w supermarkecie, w sąsiedztwie - wszyscy wiedzieli, że chodzi o dentystkę z domu obok przejazdu kolejowego. Ale nikt nie mógł mi nic powiedzieć.

"Tak, kupowała tu.

Tak, raz jadła tu pieczoną kiełbasę.

Tak, widywałem ją na przystanku".

To wszystko.

Wygląda na to, że w całym Oberrad nie ma nikogo, kto miałby z nią jakiś kontakt.

- A czego się spodziewałeś?

- zapytał Marthaler.

- Dopiero zaczęliśmy.

Jutro dalszy ciąg przesłuchań.

Znajdziemy taksówkarza, który wiozł ją wczoraj wieczorem.

Pierwszy raz naprawdę porozmawiamy z jej narzeczoną.

Przejrzymy materiał zabezpieczony przez techników.

Ustalimy, czy miał krewnych i znajomych.

W którymś momencie dostaniemy raport z obdukcji.

Jesteśmy na samym początku.

Uświadomcie to sobie, proszę.

50

Próbował dodać swoim ludziom otuchy.

Nie chciał, by już teraz odnieśli wrażenie, że ich praca mogłaby być daremna.

Ale czuł, że coś z tego, co przed chwilą wyraził Sven Liebmann, jest prawdą.

Jemu też przyszedł po południu do głowy, że mają do czynienia z niezwyklejną sprawą, która będzie wymagała czegoś więcej niż rutynowe metody.

Propozycja Kaia Dóringa, żeby zrobić krótką przerwę, została przyjęta aprobującymi pomrukami.

Marthaler otworzył drzwi balkonowe i wpuścił zimne wieczorne powietrze.

Był już nieco podпиты, ale poszedł do kuchni pokolejne dwie butelki wina.

Nagle za jego plecami stanęła Kerstin ze zgniecionymi pudełkami po pizzy w ręku.

- Gdzie z tym?

Głową wskazał kosz na śmieci.

- Jest pełny.

- To zajrzyj, proszę, do szafki pod zlewem, jest tam rolka worków.

- Co powiesz na dzbanek kawy?

Marthaler odwrócił się.

- Czego chcesz?

- To znaczy?

- Kręcisz się tu, szukasz kosza, pytasz o kawę, ale chcesz czegoś innego!

No więc: o co chodzi?

- Właśnie o to samo chciałam zapytać ciebie - roześmiała się.

- Co siądzieje?

Marthaler uniósł brwi.

Nie chciał odpowiedzieć wymijająco na pytanie koleżanki.

Przez chwilę milczał.

- To znaczy, że znowu pomnie widać - powiedział w końcu.

- A jakże.

Znowu sprawiasz wrażenie przygnębionego.

Skinął głową.

- Czy to.

serce?

51.

Zaskoczyła go.

Przytaknął.

- Tak, serce - tym razem się uśmiechnął.

-Tereza?

- Słuchaj, Kerstin, nie mogę o tym mówić, a już napewno nie teraz.

-A powinieneś się nauczyć.

Najwyższy czas.

Nie zrozum mnie źle.

Nieuważam, że musisz się zwierzyć właśnie mnie, ale z kimś powinieneś porozmawiać o swoim sercu.

- Wydaje się, że mówisz z własnego doświadczenia.

Może powinniśmy pójść na piwo.

Jakto się skończy.

W tym momencie w kuchennych drzwiach ukazała się głowa Manfreda Petersena.

-Przeszkadzam?

Kerstin Henschel odwróciła się szybko.

- Tak, przeszkadzasz.

Petersen pobałdł.

Usunął się bez słowa.

Marthaler spojrział na Kerstin ze zdziwieniem.

Takiej ostrości w jej głosie jeszcze nie słyszał.

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy zbyt długo czekać tym piwem.

-Tak, byłoby miło.

Dopiero teraz zrozumiał, że zaoferowała mu pomoc, bo sama też jej potrzebowała.

I że nie miała odwagi, by ją poprosić.

- Kerstin?

-Co?

- Cieszę się, że pracujesz przy tej sprawie.

Myślę, że jeszcze nie mieliśmy przypadku, w którym tak bardzo bylibyśmy zdani na pomoc kobiety.

I cieszę się, że ty jesteś tą kobietą.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję.

Sądzę, że wiem, co masz na myśli.

52

- A z tą kawą to dobry pomysł.

Marthaler wyszedł na balkon, koledzy stali ubrani w kurtki.

- Ma ktoś papierosa?

- zapytał.

Sven podsunął mu otwartą paczkę.

Gdy chciał podać ogień, Marthaler pokręcił głową.

- Dziękuję, chcę mieć tylko wrażenie, że palę.

No, wracajmy do pracy.

Gdy ponownie usiedli przy stole, Marthaler zdał sobie sprawę, że czekają, aż coś powie.

A on tylko na nich patrzył.

Pływam, pomyślał.

Nie wiem, co sądzić.

Niemam pojęcia, jakie pytania powinniśmy sobie postawić.

Kai Dóring pierwszy się zniecierpliwił.

- Robert, no zacznij!
Ale Marthaler pokręcił głową.
- Nie - powiedział.
- Wolałbym, żeby wyjątkowo zaczął ktoś z was.
Może ty?
- Dobrze, mogę być ja.
No więc: Jesteśmy zgodni, że mamy do czynienia z zabójstwem wyjątkowo brutalnym.
Ale moim zdaniem nie powinniśmy zachowywać się, jakby chodziło o jakiś koszmarny przypadek.
Młoda kobieta została napadnięta i zamordowana.
Wygląda na to, że miała spore długi.
Więc prawnie niemożliwa jej było zabrać.
A to, co można było, sprawca zostawił.
Nie chodziło zatem o pieniądze.
Jakikolwiek miał motyw, nie zadał sobie trudu upozorowania zabójstwa na tle rabunkowym.
Nie podjął najmniejszej próby odwrócenia naszej uwagi.
Jest mu obojętne, co o nim myślimy.
Chciał zabić tę kobietę i to zrobił.
Nie było to z pewnością zbrodnią w afekcie ani wynikiem eskalującej kłótni.
Myślę, że to możemy wykluczyć.
Może zabił ją były kochanek.
Może ktoś, u kogo miała długi i nie mogła ich spłacić.
Może zabójstwo zlecił azdrosna kobieta.
Albo

człowiek, któremu Gabriele Hasler dowierzyła się w gabinecie do nerwów.
Ostatecznie dentysta ma tylu śmiertelnych wrogów, ilu pacjentów.

- Kai, daj spokój - przerwał Marthaler.

Dóring podniósł ręce.

- No dobrze już, dobrze.

Alesam przed chwilą powiedziałaś, co mamy zrobić.

Zając się jej znajomymi.

Jestem przekonany, że jak w większości przypadków, znajdziemy sprawcę w jej otoczeniu.

Nie możemy przecież tak się zachowywać, jakby to było nasze pierwsze zabójstwo.

Twarz Dóringa poczerwieniała.

Usiadł głębiej na krześle, patrzył po kolegach, jakby szukał wsparcia dla swojego punktu widzenia.

Widać było, że czuje się niepewnie, mimo iż swoje argumenty wyłożył z ogromnym przekonaniem.

Początkowo nikt nieskomentował jego wyводу.

Wreszcie Kerstin pokręciła głową.

- Co?

Nie zgadzasz się?

- Nie - odparła spokojnie.

- To, co mówisz, nie trafia do sedna.

Wydaje mi się, że wszystko jest o wiele głębsze, niż przypuszczamy.

Mordercy wcale nie jest obojętne, co o nim myślimy.

Sposób, w jaki upozował ofiarę, wydajemy się taki.

nie wiem, jak to nazwać.

wszystko wydaje mi się takie przemyślane.

Jakby miejsce zbrodni było pełne znaków.

- Kerstin, proszę cię!

- Dóring przewrócił oczami.

- Mamy do czynienia z mordercą, a nie z jakimś kapłanem voodoo.

Musimy wiedzieć, czy wpuściła go dobrowolnie, czy też dostał się do domu siłą.

A to sprowadza się do pytania: znała go czy nie?

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na Waltera Schillinga.

Szef techników zmarszczył czoło.

- Jak mówiłem, nie znaleźliśmy śladów włamania.

Tyle że to niewiele nam pomoże.

Nie musi jeszcze znaczyć, że

wpuściła go dobrowolnie.

Równie dobrze mógł sobie dorobić klucz.

Albo wszedł przez piwnicę i na nią czekał.

Drzwiny były zamknięte, gdy przyjechaliśmy.

I wygląda na to, że nawet nie ma do nich klucza.

W każdym razie go nie znaleźliśmy.

Trzecią możliwością: czekał na nią przed domem i zmusił ją, by go wpuściła.

- No więc?

- spytał Kai Dóring.

- No więc co?

- No więc musimy się kierować tym, co prawdopodobne, i założyć, że ofiara i zabójca się znali.

Zanim zacznemy macać we mgle, powinniśmy spróbować wy badać, kto z jej otoczenia mógłby mieć motyw i kto byłby zdolny do tak bestialskiego zabójstwa.

Sven Liebmann i Manfred Petersen przytaknęli.

Marthaler też zaczął skłaniać się do przyjęcia stanowiska Dóringa.

Jeśli jego założenie jest słuszne, to znacząco ułatwi śledztwo.

Właśnie chciał zaproponować, żeby zakończyć zebranie, gdy odezwała się Kerstin Henschel.

- Jest jeszcze jeden wariant.

Mogłobyć tak, że Gabriele Hasler nie znała swojego zabójcy, ale on bardzo dobrze wiedział, kim on jest.

Współpracownicy rozeszli się, a Marthaler wciąż jeszcze siedział w fotelu i zastanawiał się nad tym, co powiedziała Kerstin.

Był jednak zbyt zmęczony, by wyciągać jakieś wnioski.

Poza tym jego myśli wciąż uciekały do Terezy.

Oczyzamykały mu się w coraz krótszych odstępach czasu.

Głowa przechyliła się na bok.

Zasnął.

Gdy pół godziny później obudził się z niespokojnego snu, poczuł, jak kołacze mu serce.

W ustach miał sucho, w głowie kołatał tępy ból.

Ledwie podniósł się z fotela, zrobiło mu się czarno przed oczami.

Kolanadrżały.

Żeby nieupaść, oparł się o kant stołu, kilka razy głęboko odetchnął.

5455

Niepewnie dotarł do łazienki, otworzył szafkę z lustrem i z licznych pudełek na lekarstwa wyjął dwie tabletki przeciwbólowe.

Napełnił szklankę wodą z kranu i wypił jednym haustem.

Umył zęby, poczuł się lepiej.

Włączył kuchenkę, napełnił ekspres i czekał, aż zrobi się espresso.

Właśnie upił pierwszy łyk, gdy w sąsiednim pokoju zadzwonił telefon.

Serce mu podskoczyło.

Odstawił filiżankę, jeszcze przed trzecim dzwonkiem złapał za słuchawkę.

- Tereza, nareszcie!

Na drugim końcu nikt się nie zgłosił.

A więc się mylił, tonie ona.

Potem rozległ się chichot i chłopiący głos.

- Przepraszam, musiałem się pomylić.

- Tak - potwierdził Marthaler i odłożył słuchawkę.

Wrócił do kuchni, dopił kawę.

Zastanawiał się, co robić.

Spać, tego był pewien, i tak już nie będzie mógł.

Podjął decyzję.

Wziął książkę telefoniczną, wybrał numer korporacji taksówkowej i zamówił kurs.

Już chciał zamknąć za sobą drzwi, gdy coś mu się jeszcze przypomniało.

Zdjął płaszcz, podszedł do długiej szafki w przedpokoju, wziął kaburę z bronią.

Potem zmienił baterie w małej latarce, którą zwykle ze sobą nosił, wsunął ją do kieszeni i wyszedł.

Na chodniku przed domem kilka razy głęboko odetchnął.

Świeże nocne powietrze do brzemu zrobiło.

Ból głowy powoli ustępował.

Zobaczył światławolno zbliżającej się taksówki.

Kierowca najwyraźniej miał kłopot z rozpoznaniem w ciemności numerów domów.

Marthaler zrobił kilka kroków w stronę latarni, wyszedł na jezdnię i pomachał.

Usiadł z tyłu, podał adres.

Nocne ulice były puste.

Po dziesięciu minutach wjechała rondo w centrum Oberrad.

- Słyszał pan już o morderstwie?

- Kierowca spojrzał w tylne lustro.

- Tak - odpowiedział Marthaler.

- Możesz pan tu zatrzymać.

Poproszę o rachunek.

Zapłacił i wysiadł.

Powietrze było zimne i wilgotne, niebo bez gwiazd, księżyc schował się za grubą warstwą chmur.

Zapiął płaszcz.

Po drodze nikogo nie spotkał.

Tylko w niektórych mieszkaniach paliły się światła.

Zabudowania wkrótce się skończyły.

Zbliżając się do domu Gabriele Hasler, zwolnił.

Myślało tym, jak sprawca się tu dostał.

Czy tak jak on przyszedł pieszo z centrum miejscowości?

Przyjechał samochodem?

Kolejką podmiejską?

Taksówką?

Czekał na ofiarę?

Czy teźdentystka była już w domu, gdy się zjawił?

I naprawdenikt go niewidział?

57.

Zdziwił się. Na wjeździe na podwórze, na wpół ukryty w nastroszonych krzakach, stał samochód. Gdy się zbliżył, rozpoznał radiowóz. Przyszło mu do głowy, że Walter Schilling poprosił w prewencji, by na razie pilnowali miejsca zdarzenia. Zajrzał przez przednią szybę. W środku siedziało dwóch policjantów. Obaj spali. Rozzłościł się. Już miał im dać reprimendę za niedbalstwo, zdecydował jednak, że ich nie obudzi. Przynajmniej nie będzie musiał tłumaczyć, co tu robi w nocy.

Oddalił się od radiowozu możliwie cicho. Raz po raz na chwilę włączał latarkę. Obszedł dom, aż znalazł się przy małych, kamiennych schodach do piwnicy. Z ręką na żelaznej balustradzie zszedł ostrożnie po pięciu stopniach. Wymacał klamkę, powoli ją nacisnął. Jego nadzieje się spełniły: drzwi jeszcze ciągle były otwarte. Z wnętrza uderzył w nozdrza zapach łągu. Oświetlił ścianę, znalazł włącznik. Oczy dopiero po chwili przyzwyczyły się do światła. Zamknął drzwi.

Znajdował się w wykafelkowanej na niebiesko pralni. Nad nim rozciągnięte były sznury z kobiecymi ubraniami. Pod ścianą stała pralka i stara suszarka, na niej pusty kosz na bieliznę. Przypomniało mu się, jak matka krzyczała na niego, gdy zakradał się między sznury, żeby przyłożyć nos do jeszcze wilgotnych bluzek i koszul i poczuć ich świeży zapach. I uspokajające słowa ojca.

- Zostaw go, dzieci to lubią. Też tak robiłem.

Otworzył ciężkie drzwi przeciwpożarowe prowadzące do wnętrza domu. Zatrzymał się zaniepokojony. Wydało mu się, że z piętra doleciał jakiś odgłos.

Stał w ciemnościach u stóp schodów, wstrzymując oddech, nasłuchiwał. Z napięcia zaczęły mu drgać mięśnie twarzy. Poczul, jak wilgotnieją mu ręce, a krople potu spływają po plecach. Czekał. Ale odgłos się nie powtórzył. Widać się przesłyszał. Głośno wypuścił powietrze.

Wszedł po schodach na parter. Znalazł kontakt w korytarzu. Włączył światła wszystkich górnych lamp.

Najpierw przeszukał duży pokój. Pod dłuższą ścianą stał sięgający sufitu regał wyładowany starymi książkami. Obok kanapy fotel z małym stolikiem do czytania, na którym leżało rozłożone jakieś kobiece czasopismo. W drugim końcu zobaczył stary telewizor i odtwarzacz CD, musiał być drogi.

Śladów walki, o których mówił Schilling, nie było już widać. Ci z wydziału dokumentacji sfilmowali wszystko i sfotografowali, potem zabrano przedmioty, które mog-

ły posłużyć jako materiał dowodowy.

Przejrzał kolekcję płyt. Było tu wiele nagrań, które on także miał. Pasja według św. Mateusza pod dyrekcją Harnoncourta, Dydona i Eneasza Purcella pod dyrekcją René Jacobsa, stare angielskie pieśni w pięknym wykonaniu Barbary Bonney. Gabriele Hasler miała dobry gust.

Podszedł do regału. Książki były pokryte warstwą kurzu, jakby od dłuższego czasu nikt nie brał żadnej do rąk. A więc nie była czytelniczką. Prawdopodobnie odziedziła bibliotekę i po prostu zostawiła wszystko bez zmian. Obrazy na ścianach też nie wyglądały na powieszony przez młodą kobietę. Oleje i sztychy z widokami miasta i okolicznych krajobrazów.

Usiadł w fotelu. Usiłował wyobrazić sobie Gabriele Hasler w tych pomieszczeniach, w tym fotelu. Przychodziło mu to z trudem. Zastanawiał się, czy trzydziestoletnia dentystka mogła czuć się dobrze w takim wnętrzu. Mieszkała tu, ale miał wrażenie, że to nie był jej prawdziwy dom. Co robiła? Oglądała telewizję, czytała gazety,

58

59

śłuchała muzyki? Ktoś ją odwiedzał? Siedziała ze swoim narzeczonym wśród tych zakurzonych książek i starych obrazów? Plotkowała z przyjaciółką?

Przeszedł do kuchni. Najpierw otworzył lodówkę. Była prawie pusta. Napoczęty słoik dżemu grejpfrutowego, musztarda, masło, woreczek mleka i talerz z reszką żółtego sera przykryty folią. W szafce też nie znalazł zbyt wielu zapasów: paczka spaghetti, przyprawy, puszka gruszek. Z wyjątkiem nowoczesnego ekspresu do kawy wyposażenie kuchni było stare i zużyte. Widać, że Gabriele ograniczała się w zakupach do tego, co dla niej ważne. Czuł się, jakby brodził we mgle. Nie wiedział, czego szukać. Chciał wyrobić sobie obraz Hasler. Czuł, że aby zrozumieć, co się tu poprzedniej nocy wydarzyło, musi się dowiedzieć, kim była ta kobieta. Dlaczego akurat ona padła ofiarą tego bezprecedensowego przestępstwa? Musiało być coś, co zwabiło sprawcę, coś w jej wyglądzie, charakterze. Albo jakieś wydarzenie z jej przeszłości.

Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął portfel i wycinek z gazety, który dała mu Marlenę Ohlbaum. Długo wpatrywał się w zdjęcie dentystki. Była młodą, piękną kobietą. Ciemnoblonde włosy z przedziałkiem na środku głowy opadały jej na ramiona. Choć wydało mu się, że w jej rysach rozpoznaje jeszcze niemal dziewczęcy wyraz, wokół oczu widniały pierwsze zmarszczki. Uśmiechała się, ale nie był to uśmiech bez troski. Taka ostrożna radość, pomyślał. Lubi życie, ale nie zawsze miała dobre doświadczenia. Ta twarz jest niejednoznaczna. Jak te pomieszczenia, jak ten dom.

Zaczął czytać artykuł, który w południe w gabinecie tylko przejrzał. Gabriele Hasler opowiadała dziennikarzowi o radości płynącej z wykonywanej pracy, ale też o trudnościach usamodzielniania zawodowego. O tym, że

60
zaczęła studia razem z przyjaciółką i że przez jakiś czas dzieliły małe mieszkanie w Bockenheim. Kolejne zdania obudziły jego czujność: „Wydaje się niemal, że słyhać ślad tęsknoty w głosie młodej lekarki, gdy wspomina pierwsze lata studiów. Jakby szczęście tego czasu na zawsze przeminęło. O życiu prywatnym Gabriele Hasler nie chce mówić. Z pewnym wahaniem zdradza jednak czytelnikom, że niedawno się zaręczyła”.

To był niewinny artykuł w lokalnej gazecie, ale ten akapit wydał się komisarzowi znaczący. Przeczytał go jeszcze raz, znów odniósł wrażenie, że coś zdradza na temat tej kobiety. Złożył kartkę i schował ją z powrotem do portfela.

Wyłączył światło w kuchni i wszedł na pierwsze piętro. Otworzył drzwi do dużej sypialni. Zawahał się na moment, zanim wszedł. Zawsze, nawet gdy prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa, wzdrygał się przed wtargnięciem w prywatną sferę obcej osoby. Znów odniósł wrażenie, że meble mają przynajmniej trzydzieści lat. Najwięcej miejsca zajmowało francuskie łóżko małżeńskie z ramą obciążoną granatowym sztruksem. Pościeli nie było, technicy wzięli ją do zbadania w laboratorium. Na ścianie wisiało trzyczęściowe lustro o ruchomych skrzydłach. Przed nim stała wąska, podłużna toaletka i proste krzesło kuchenne, pod krzesłem waga.

Marthaler podszedł do łóżka, otworzył szufladę nocnego stolika. Kilka pudełek z lekarstwami, zapasowa żarówka do lampki do czytania, długopisy, pęk kluczy, miarka, przybory do szycia, pudełko zapalek z nadrukiem pensjonatu w Bockenheim i otwarta paczka chusteczek higienicznych. Gdy chciał nieco bardziej wysunąć szufladę, poczuł, że się zacina. Sięgnął do środka i wyjął paczkę prezerwatyw. Zastanawiał się, czy fakt, że Gabriele

61
Hasler schowała je w głębi szuflady, ma jakieś znaczenie, ale nie doszedł do żadnego wniosku.

Potem zaczął badać szafę. Przejrzał bluzki, spódnice i spodnie. Wciąż wyobrażał sobie w nich Terezę. Na pewno by jej się spodobały. Wydawało się, że zaniedbując wyposażenie domu, Gabriele Hasler przykładała dużą wagę do swojej garderoby. Jej ubrania nie były drogie, ale tym staranniej dobrane.

Chciał już zasunąć ciężkie drzwi, gdy znów na coś natrafił. Z górnej półki zdjął stos zimowych swetrów, stanął na palcach i wyciągnął dużą, czarną reklamówkę. Otwo-

rzył, zajął do środka i zdębiał. Potem wysypał zawartość na podłogę. Przed nim leżały koronkowe biustonosze, małe jedwabne majtki, czarne siatkowe pończochy, podwiązki, kilka par długich czerwonych gumowych rękawiczek, ale też krótki pielęgniarski fartuch z czerwonym krzyżem. I fartuszek z czepkiem, taki, jakie noszą kelnerki w niektórych kawiarniach.

Seksowna bielizna, pomyślał, tak to kiedyś nazywalimy. Przeczuwał, że musi być na to jakieś nowe słowo, ale go nie znał. Przypomniał sobie, jak będąc nastolatkiem, po kryjomu oglądał w katalogu wysyłkowym koronkową bieliznę i daremnie próbował wyobrazić sobie w niej matkę. Teraz widok kupki tekstyliów leżących przed nim na podłodze wydał mu się śmieszny. Śmieszny i trochę smutny.

Zaczął pakować wszystko do reklamówki, gdy nagle...

Tym razem się nie przesłyszał. Z wnętrza domu doleciał jakiś odgłos. Jakby trzask podłogi. Nie był sam. Miał absolutną pewność, że ktoś znajdował się w pomieszczeniach najwyższego piętra. Ktoś się tam poruszał.

Cicho zbliżył się do drzwi, zgasił światło i wyszedł na klatkę schodową. Nasłuchiwał w ciemnościach. Prawa ręka szukała drewnianej poręczy. Powoli wspinał się po schodach. Oceniał, że jest w połowie, zatrzymał się. Czekał. Znowu. Taki sam odgłos jak przed kilkoma chwilami, tyle że o wiele wyraźniejszy.

Ktoś tu był. Bardzo blisko. Wręcz czuł obecność drugiego człowieka.

Wstrzymał oddech, wymacał broń. Zanim zdążył ją wyjąć, usłyszał kliknięcie. Oślepił go jasny błysk. Instynktownie podniósł ramię, żeby osłonić oczy. W tym momencie silny cios trafił go w klatkę piersiową. Zatoczył się, stracił równowagę i runął w tył ze schodów. Ostry ból przeszył plecy. Leżał na podłodze, miał mdłości. Na ułamek sekundy stracił przytomność, podczas gdy ktoś z łomotem zbiegł po schodach. Wyciągnął rękę, próbował go schwycić, ale sięgnął w pustkę. Napastnik zniknął.

Chciał zawołać o pomoc, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Każdy oddech sprawiał ból. Wreszcie udało mu się wyciągnąć pistolet z kabury. Wystrzelił w powietrze. Strzelał raz za razem, aż opróżnił magazynek.

Na chwilę zapanowała cisza, potem usłyszał wołanie.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Ktoś włączył światło w korytarzu. To był policjant z radiowozu. Krzyknął do Marthalera, żeby podniósł ręce.

Komisarz zamknął oczy i skinął głową. Chciało mu się śmiać. Siedział na podłodze z rękami w górze. Pistolet leżał obok.

Wreszcie drugi policjant rozpoznał go i zaczął przeproszać, jękając się.

- Macie go?

Zaskoczenie policjantów nie mogło być większe.

- Kogo?

Marthaler zrezygnowany pokręcił głową.

- Już dobrze - powiedział. - Nikogo.

62

63

- Mam wezwać lekarza? Co się właściwie stało?

- Nic - odparł. - Nic się nie stało. Proszę, zawieźcie mnie do domu.

Policjant zawahał się.

- Ale... mamy rozkaz pilnować miejsca zdarzenia - odezwał się w końcu.

Komisarzowi nie starczyło sił na wybuch gniewu.

- Macie rozkaz zawieźć mnie do domu - powiedział cicho.

Z trudem udało mu się wstać. Gdy jeden z policjantów chciał mu pomóc, odepchnął go. Podeszedł do radiowozu, otworzył drzwi i opadł na tylne siedzenie. Każdy oddech, każdy ruch, każde słowo sprawiało mu ból.

Podał kierowcy adres. Strachliwe pytania mundurowych zbył milczeniem. Dziesięć minut później zatrzymali się przed domem na Grosser Hasenpfad, wysiadł.

Doczłapał do mieszkania, nawet nie spojrzął na zegarek. Rozebrał się i położył do łóżka. Dopiero po chwili znalazł pozycję, w której mógł leżeć. Większe jednak niż ból było wyczerpanie.

A Tereza? - pomyślał, zanim opadły mu powieki - gdzie jest Tereza?

Siedem

Następnego ranka miasto było białe, a niebo nad nim błękitne. Marthaler wyjrzał przez okno. Drzewa, ulice i dachy pokrywał śnieg, komisarz odniósł wrażenie, że znalazł się w innym świecie. Nic nie było w porządku, mimo to czuł się spokojny. Tereza wciąż jeszcze się nie odezwała, plecy bolały, a on miał rozwiązać jedną z najbardziej tajemniczych spraw w swojej karierze. Ale widok uczniów obrzucających się na chodniku śnieżkami nastrajał go radośnie. Spokoju nie zburzyło nawet to, że zasnął. Było mu obojętne.

Długo stał pod prysznicem. Potem spojrzął w lustro, przemył startą skórę pleców środkiem dezynfekującym. (Odczekał, aż wyschną mu włosy, ubrał się i wyszedł. Słońce stało już wysoko na niebie. Zatrzymał się i na chwilę zamknął oczy, by poczuć na twarzy ciepło. Dziesięć minut później dotarł na Schweizer Platz i wszedł do Lesecafe. Przywitał się z Carolą, która stała za barem, skinęła mu w milczeniu głową. Od lat przychodził tu czasem nawet kilka razy w tygodniu na śniadanie albo żeby po prostu wypić cappuccino i przeczytać gazetę.

Zamówił podwójne espresso i sok pomarańczowy. Usiadł na swoim stałym miejscu w najdalszym kącie kawiarni, gdzie pomieszczenie otwierało się na zimowy ogród. Przejrzał lokalną prasę, żeby sprawdzić, co pisano o zabójstwie

65

dentystki. Wszystkie gazety przedrukowały wydany wczoraj po południu komunikat wydziału prasowego policji. Poza tym dziennikarze gubili się w spekulacjach. Ale nie dadzą za wygraną, będą próbowali dowiedzieć się szczegółów. Marthaler był pewien, że gdy zdobędzie informacje, nadadzą sprawie większy rozgłos i będą go podtrzymywać przez wiele dni. On i jego ludzie mieli jeden dzień przewagi, nie więcej. Najdalej jutro poczują na plecach oddech sfory. Złożył gazety i odwiesił je na hak.

- Odezwała się? - zapytał, gdy Carola przyniosła kawę i sok.

Nie spojrzała na niego.

- Kto miał się odezwać?

- No jak to? Tereza. Czy Tereza się odezwała?

Nie odpowiedziała.

- A więc tak...

- Muszę wracać za bar - odwróciła się.

Marthaler przytrzymał ją za nadgarstek.

- Nie, nie musisz. Za to musisz mi powiedzieć, gdzie ją znajdę.

- Robert, obiecałam, że nie dam jej adresu. Proszę cię, zostaw mnie - uwolniła się z jego uchwytu.

- Daj mi go mimo to - nie ustępował.

- Nic z tego.

- Powiedz, proszę! Przecież tylko zapomniałem wyjechać po nią na lotnisko. Nic więcej nie przeskrobałem.

Carola spojrzała mu prosto w oczy. Spuścił wzrok.

- Kobiecie by się to nie zdarzyło - powiedziała spokojnym głosem. - Kobiecie mogłoby coś wypaść. Ale przynajmniej by zadzwoniła i zawiadomiła. Nie zapomnieliby.

Odwróciła się i odeszła. Marthaler popatrzył za nią.

Espresso tymczasem wystygło. Zostawił je. Wypił sok dwoma haustami, włożył płaszcz i podszedł do baru

66

zapłacić. Carola wydała mu resztę, po czym zniknęła w kuchni. Chciał już wyjść, gdy zobaczył małą kartkę wyrwaną z notesu. Leżała tuż obok kasy. Było na niej imię Terezy i adres. Rozpoznał jej pismo. Schował notatkę i wyszedł. W drodze do metra raz po raz łapał się za kieszeń, żeby wymacać kartkę. Uśmiechał się. Czuł się jak myśliwy, który trafił na wielką zwierzynę. Gdy tylko znajdzie czas, odwiedzi Terezę. Nie od razu, ale wkrótce.

Wysiadł na Höhenstrasse. Ruszył Alleenring, po drodze minął secondhandy i budki, pod którymi mimo zimowej aury jak zawsze stało kilku mężczyzn, racząc się piwem

prosto z butelek. Gdy przechodził obok dużego sklepu z elektroniką, rzucił okiem w lewo, w Burgstrasse, gdzie wznosił się kościół luterński z jasną, błyszczącą w słońcu wieżą. W tym kościele przed ponad osiemnastu laty odbyło się nabożeństwo żałobne za jego żonę. Tuż przed egzaminem magisterskim Katharina padła ofiarą napadu na oddział banku, została postrzelona przez jednego z bandytów. Dwa tygodnie leżała na intensywnej terapii w klinice uniwersyteckiej w Marburgu, potem umarła.

Po jej śmierci położył się do łóżka i przestał mówić. Przyszłość bez żony wydawała mu się bezsensowna. Do dziś często miał wrażenie, że wspomnienia związane z Kathariną to najcenniejsze, co posiada. Upięknęło dużo czasu, nim wola życia powróciła na tyle, że był w stanie podjąć jakąś decyzję. Gdy wreszcie zaczął mówić, postanowił ubiegać się o miejsce w policji. Przez piętnaście kolejnych lat sądził, że w stosunku do żadnej kobiety nie będzie umiał czuć niczego więcej niż przyjacielskiej sympatii. Potem spotkał Terezę.

Za zielonym wieżowcem skręcił w prawo w Giinthersburgallee. Wybrukowaną jezdnię przedzielał szeroki pas

zieleni. Na końcu ulicy widać było wejście do parku. Marthaler poszukał numeru podanego przez Herrmanna. Budynek stał po lewej stronie ulicy. Świeżo pobielona fasada wyróżniała go spośród innych kamienic. Miał pięć pięter, dach był pokryty szarym łupkiem. Od razu wiedział, że w tej dzielnicy, w tym budynku będzie się czuł dobrze. Wiedział też, jakie przewisko nadałby nowej siedzibie wydziału zabójstw: Biały Dom.

Było tak, jak się spodziewał. Przed wejściem zobaczył ciężarówkę firmy przeprowadzkowej. Tragarze wnosili do domu skrzynie, biurka i krzesła. Na klatce schodowej panował chaos. Wszędzie piętrzyły się kartony z aktami. Z lokalu na parterze wyszedł robotnik. Zaklął, gdy Marthaler chciał się obok niego precyzyjnie.

- Pewnie, pchaj się pan! Jeszcze jedna zawalidroga, co ma tu coś do gadania.

Marthaler wyszczerzył zęby. Zobaczył Elvire, która biegła podenerwowana po pokojach, usiłując zaprowadzić w tym chaosie trochę porządku.

- Robert - zawołała - tylko nie zacznij wydawać poleceń! Idź po prostu do reszty. Właśnie udało mi się wepchnąć całą bandę do jednego pokoju.

Banda składała się z Liebmana, Döringa, Petersena i Henschel. Usiłowali właśnie zaaranżować w wielkim pustym pomieszczeniu prowizoryczną salę odpraw, zsuwając dwa stoły i ustawiając wokół nich krzesła.

- Świetnie - powiedział Marthaler, stając w drzwiach. - Mamy wszystko, czego nam trzeba. Zaczniemy od razu.

Odwrócili się i spojrzeli na niego, jakby zobaczyli ducha. Kai Döring wzniósł oczy do nieba.

- Coś nie w porządku?

- Wiesz, która godzina? - odezwała się Kerstin Henschel. - Wiesz, ile na ciebie czekamy?

Herrmann dzwonił

68

już kilka razy. Rozeszła się plotka, że zostałeś napadnięty. Martwiliśmy się. A teraz wchodzisz tu tak po prostu i zaczynasz komenderować... Mógłbyś przynajmniej włączyć telefon.

Marthaler wyjął z kieszeni komórkę. Zobaczył, że jest rozbita. Nie przetrwała nocnego upadku.

- Dobrze, usiądźmy. Zdam wam relację.

Ale zanim zaczął opowiadać o swojej nocnej wizycie w domu Gabriele Hasler, na korytarzu rozległ się głos Herrmanna i szef wydziału zabójstw wszedł do sali odpraw. Widać było, że z trudem powstrzymuje gniew.

- Wiem - powiedział Marthaler - próbował się pan do mnie dodzwonić. Ale mój telefon jest rozbity. Tak, zgadza się, byłem dziś w nocy na miejscu zbrodni. Chciałem wyrobić sobie dokładny obraz Gabriele Hasler i tego, co się tam wydarzyło. Ja...

- Nie obchodzi mnie, czego pan chciał. Herrmann stanął przy oknie i wyjrzał. Jego głos brzmiał

ostro. Prawą ręką ze zdenerwowania machał w powietrzu.

- Ja chcę wiedzieć, czy to prawda, że nie był pan tam sam? Czy to prawda, że został pan napadnięty? Czy to prawda, że napastnik zbiegł? I przede wszystkim, dlaczego natychmiast nie wszczął pan pościgu?

- A nie chce pan wiedzieć, jak się czuję? Pytanie wyraźnie spieszyło Herrmanna.

- Tak... Przepraszam... - zająknął się. - Pan... Jak się pan czuje?

- Nie mogę oddychać ani się śmiać, a jak chcę zasnąć, nie wiem, jak się ułożyć. Ale poza tym czuję się świetnie. Przede wszystkim cieszę się z naszego nowego lokum. Dziękuję. No... a teraz co do nocnych wypadków. Nawet nie wiem, czy osoba znajdująca się w tamtym domu to był mężczyzna. Prawdopodobnie tak, ale pewien nie jestem.

69

Nic nie widziałem.

Zostałem oślepiiony fleszem, potem ktoś zepchnął mnie ze schodów i zniknął.

Niczego więc nie mogę powiedzieć.

Gdy policjanci, którzy mieli zabezpieczać miejsce zdarzenia, wreszcie się obudzili, było już za późno.

Kogo mieliśmy ścigać?

Wszystkich mężczyzn i kobiety znajdujących się aktualnie we Frankfurcie czy w Oberrad?

I niech mi pan powie, szefie, jak by pan zareagował, gdyby usłyszał taki rozkaz?

Herrmann spojrzał na Marthaler.

Milczał.

Środkowym palcem poprawił okulary.

- Rozumiem - odezwał się w końcu - rozumiem.

Sądzi pan, że to był...

- Nie - przerwał mu Marthaler - nie sądzę, że to był sprawca.

Sądzę, że to fotograf, który wykorzystał głęboką ksenostróżów prawa i włamał się do domu, żeby porobić zdjęcia.

- Fotograf?

- Tak, inaczej nie mogę wytłumaczyć tego flesza.

To był ktoś z aparatem.

I myślę, że niedługo w jakiejś gazecie zobaczymy zdjęcia, które zrobił.

Herrmann podszedł do drzwi.

- Ale wtedy mielibyśmy go na widelcu.

- Może, a może nie.

Wiemy, że dziennikarze są wystarczająco sprytni.

Szef wydziału zabójstw skinął głową.

Wyraźnie stracił zainteresowanie całą sprawą.

Opuścił pokój bez pożegnania.

Chwilę później usłyszeli, jak zapala silnik.

- No więc - powiedział Marthaler - możemy wreszcie zacząć.

- Zaczęliśmy już dawno.

- Sven Liebmann demonstracyjnie spojrzał na zegarek.

- Przepraszam, nie to miałem na myśli.

A więc, co nowego?

70

Liebmann powiedział, że znalazł rano taksówkarza, który jako ostatni widział Gabriele Hasler żywą.

- Nieprzyjemny, dość gburowaty typ.

Od razu ją sobie przypomniał.

Nazwał ją zarozumiałą gęsią.

To znaczy, nie chciałbym przytaczać słów, których użył: Wyglądana to, że nie zawiózł jej pod dom.

Postanowiła wysiąść namiętnie Obermain.

Chciała zapłacić banknotem dwieście euro, a on nie miał wydać, więc się pokłócili.

Wciąż jeszcze był zbieszony, jak o tym mówił.

- Sądzisz, że mógłby mieć coś wspólnego z tą sprawą?

Może był tak wściekły, że ją śledził?

- Nie, nie!

Sprawdziłem to.

Od razu zgłosił się do centrali i wkrótce wziął kolejnego pasażera.

Jeździła noc.

Marthaler skinął głową.

Popatrzył po innych.

Kerstin Henschel otworzyła teczkę, wyjęła plik zadrukowanych kartek i położyła na stole.

- Pamiętacie naszą dyskusję, Kaia i moją, z wczorajszego wieczoru?

Chodziło o to, czy Gabriele Hasler znał swojego mordercę.

Może Kai marację.

Poszperałam dziś rano w internecie.

Przejrzałam statystyki kryminalne z ostatnich lat i trafiłam na raport "Policyjna diagnoza natemat gwałcicieli".

Jak może wiecie, od ponad piętnastu lat BKA analizuje poszczególne przypadki przestępstw z użyciem przemocy.

Dzięki temu wiemy już dość dużo o sprawcach.

Na przykład to, że zazwyczaj mieli wcześniej do czynienia z policją.

Interesujące, że niekiedy z powodu przestępstw seksualnych, najczęściej były to kradzieże, oszustwa czy pobicia.

Większość tak zwanych zabójstw na tle seksualnym jest popełnianą z chęci ukrycia czynu: gwałciciel chce uniknąć oskarżenia ze strony

- BKA (Bundeskriminalamt) - Federalny Urząd Kryminalny (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

71.

ofiary.

Faktyczne morderstwa o podłożu sadystycznym zdarzają się rzadko.

Kerstin zamilkła na chwilę.

Było widać, że nienajlepiej czuje się w roli wykładowczynie.

Nie była pewna, czy pozostali są gotowi słuchać.

Ze zdenerwowania poczerwieniały jej policzki.

Ale Kai Döring skinął zachęcająco głową.

- Mów dalej.

Przed wszystkim jestem ciekaw, dlaczego być może przyznasz mi rację.

- Okej.

Sprawa przedstawia się następująco: Wszystkie statystyki pokazują, że w przypadku gwałcicieli chodzi o mężczyzn mniej więcej trzydziestoletnich.

I że większość sprawców znała swoje ofiary.

Tylko jedna czwartą szuka ofiar spoza własnego środowiska.

Czyli że szansa znalezienia mordercy Gabriele Hasler w kręgu jej znajomych jest jak trzy do jednego.

Dlatego powinniśmy się chyba na tym skoncentrować.

- Nie!

- zaproponował Marthaler.

- Jestem przeciwny zawężaniu kręgu podejrzanych już teraz.

Na razie za mało wiemy.

Musimy prowadzić śledztwo w wielu kierunkach.

Ale masz rację, wątek sadystyczny potraktujemy priorytetowo.

Może powinniśmy nawiązać kontakt ze specjalizacją BKA.

Jeszcze jakieś nowości?

Manfred Petersen pokręcił głową.

- Nie.

Kai i ja ponownie przesłuchaliśmy sąsiadów w Oberrad.

Nikt nie utrzymywał kontaktów z Hasler.

Ale przynajmniej dowiedzieliśmy się, że jej rodzice jeszcze kilka lat temu prowadzili mały antykwariat na Bergerstrasse.

Właściciel restauracji, do której od czasu do czasu chadzali, przypomniał sobie, że przed laty poróżnili się z córką.

Szczegółowo ją znał.

Obydwoje nie żyją.

A innych krewnych chyba nie miała.

- Wygląda na to, że była konfliktozowa - powiedział Marthaler.

- Musimy dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Jeśli sąsiedzi nic nie wiedzą, to cofniemy się w czasie.

Gdzieś chodziła do szkoły, studiowała.

Miała nauczycieli i profesorów.

Miała kolegów po fachu i pacjentów.

Ktoś musiał ją przecież lepiej znać.

Proponuję, żebyśmy się podzieliли zadaniami.

Dopóki nasze biura nie będą gotowe i komputery nie zostaną podłączone, w tym pokoju będzie centrala.

Na tym stole zbieramy wszystko, co dotyczy sprawy - wszystkie dokumenty, zeznania, protokoły i materiały dochodzeniowe.

- No to mamy zabójczy stół - odezwał się Liebmann.

-Co?- Marthaler spojrział na niego pytająco.

- Zabójczy stół.

Tak nazywają to Amerykanie.

Członkowie grupy dochodzeniowej zestawiają stoły i pracują wspólnie nad jedną sprawą tak długo, aż ją rozwiążą.

Sven w czasie studiów spędził pół roku w Los Angeles, gdzie pracował w wydziale zabójstw i napadów.

Już się zdarzało korzystać z jego ówczesnych doświadczeń.

Mimo to Marthaler zawsze reagował nieco nerwowo, widząc, jak młodsi koledzy podziwiają pracę amerykańskiej policji.

Co było dobre w Stanach, w Europie mogło się okazać niesłuszne.

Nie można tak po prostu przejmować metod śledztwa.

Wiedział, że dobrze jest uczyć się od innych, ale był przekonany, że każdy nowy przypadek jest wyjątkowy.

Że chodzi oto, aby skoncentrować się na tym, co szczególne.

Nawet jeśli istniały podobieństwa, żadna ofiara nie była taka jak inne.

I żaden sprawca.

- W takim razie mamy zabójczy stół.

Jak procedujemy?

Ktoś powinien przejrzeć materiał zabezpieczony przez techników.

Dziwi mnie, że w domu nie znalazłem żadnych prywatnych notatek, żadnych adresowników, pamiętnika - niczego w tym rodzaju.

Ktoś musi pod tym kątem zbadać kartony przywiezione przez ludzi Schillinga.

Możemy jeszcze raz wziąć pod lupę

72

73.

gabinet na placu Kleiner Friedberger.

Kto chce się tymzająć?

Dóring i Liebmann spojrzeli po sobie i równocześnie skinęli głowami.

- Dobrze.

A ty - zwrócił się do Petersena - porozmawiaj z kolegami z obyczajówki.

Zapytaj o otwarte sprawy.

Może wśród nich klientów są tacy, którzy byliby zdolni do czegoś takiego.

Ja zająłbym się narzeczonym, zanimostatecznie wypuścimy go zaresztu.

Czy jego alibi się wyjaśniło?

Kerstin Henschel podniosła głowę, ale zanim zdołała odpowiedzieć, do pokoju weszła Elvira.

- Przepraszam, że przeszkadzam, lekarz sądowy przy telefonie.

Kto z nim rozmawia?

Marthaler wziął słuchawkę.

Kilka razy skinął głową, wydając tylko pomruk i znak, że się zgadza.

Potem rozłączył się i w milczeniu popatrzył na kolegów.

Odwzajemnił spojrzenie.

- No i?

- Kai Dóring zabębnił palcami o blat stołu.

- Bawimy się w głuchofon czy zdradzisz nam, o co chodzi?

Marthaler wypuścił powietrze.

- To był doktor Herzlich.

Mówi, że pobrał próbki z ciała Gabriele Hasler.

Właśnie dostał wyniki.

Chce, żebym popołudniu przyszedł do instytutu i był przy oględzinach.

Stwierdził, że kobieta nie została zgwałcona.

Nie znalazł śladów wskazujących na stosunek płciowy.

Zastanawiam się, oczymy cały czas rozmawiamy?

Byli bezradni.

W końcu Kerstin pokręciła głową i gwałtownie, że jej kucyk zakołysał się w tę i z powrotem.

- To niemusimy nic znaczyć.

Robert, wyświadczy mi uprzejmość i porozmawiaj z nim o seksie.

Marthaler spojrziała na nią ze zdumieniem.

- Co?

Z kim mam rozmawiać o seksie?

- Z narzeczonym.

Wypytał go o upodobania seksualne, jego i jej, jak często i na jakie sposoby się z sobą kochali.

Na cokolwiek to zabójstwo wskazuje, rzeczma coś wspólnego z seksem.

Nawet jeśli ofiara nie została zgwałcona.

Marthaler pomyślała o paczce prezerwatyw i o bieliznie znalezionej w szafie.

Skinął głową.

- Dobrze.

Ale chciałbym, żebyś był przy tym przesłuchaniu.

Kerstin uniosła brwi.

Uśmiechnęła się.

- Okej.

Kiedy zaczynamy?

- Im szybciej, tym lepiej.

Może od razu?

- Dobrze.
Ale najpierw muszę coś zjeść.

Pół godziny później weszli do kantyny w komendzie.

Wydawanie obiadów już siękończyło, więc bez problemu znaleźli miejsce przy stoliku na galeryjce.

Marthalerzamówił talerz sałaty z dressingiem jogurtowym i szklanę wody mineralnej.

- Odchudzasz się?

- zapytała Kerstin, okręcając nawidelcu spaghetti bolognese.

- Dlaczego miałbym się odchudzać?

-Bo może stanąłeś na wadze i stwierdziłeś, że to konieczne.

Nieodpowiedział.

Poczuł się nieswojo.

Nie chciałmówić o swoim ciele; unikał nawet myślenia o nim.

Miałnadzieję, że Kerstin zmieni temat.

Ale nie wyświadczyła mu tej uprzejmości.

- Naprawdę, Robert, popatrz na siebie.

W ciągu ostatnich kilku lat przytyłeś pewnie z dziesięć kilo.

Powinieneś mniej jeść i uprawiać jakiś sport.

- Jeśli tylko pogoda pozwala, jeżdżę do pracynarowerze.

-Tak, jeśli pogoda pozwala.

Ale to najwyraźniej niewystarcza.

Musiszrobić coś więcej.

Zamilkła na moment.

- A co zTerezą?

- zapytała po chwili.

Marthaler spojrział na nią skonsternowany.

- Kerstin, proszę.

To ani właściwe miejsce, ani czas.

76

- Dla mężczyzny nigdy nie ma dobrego czasu, żeby odpowiedzieć na niewygodne pytania kobiety.

Zirytowało go to.

Ale wiedział, że Kerstinma rację.

Myślał przez chwilę i zdecydował się powiedzieć prawdę.

- Zapomniałemodebraćjąz lotniska.

-Nie było jej ponad trzy lata, a ty po prostu zapominasz jechaćpo nią na lotnisko?

Z pochyloną głową grzebał widelcem w sałacie.

-Jeszcze się nie odezwała.

Ale teraz mam jej adres.

Naprawię to.

- Nie, Robert, tak łatwo tego nie naprawisz.

- Kerstinpokręciła głową.

-Długo się nie widzieliście.

Przez trzylatażyła swoim życiem.

Dlaczego teraz miałabyś chcieć dzielićje z kimś, kto zapomina o niej przy pierwszej okazji?

- Co to znaczy:żyła własnym życiem?

-Że miała innych mężczyzn, to mam na myśli.

Jest.

ile..

dwanaście lat młodsza od ciebie?

Myślisz, że nie miała nic innego do roboty, tylko czekać, aż niemiecki komisarz z nadwagą przyjedzie do niej kilka razy do roku, żeby opowiadać jej pasjonujące historyjki ze swojego życia zawodowego?

Marthaler przeciągnął ręką po twarzy, jakby chciał odsunąć myśli.

- Tak - powiedział wymijająco - możesz rację.

Nasza relacja nie jest nieskomplikowana.

Kerstin Henschel parsknęła śmiechem.

Śmiała się tak głośno, że dwie pracownice kantyny odwróciły się zdziwione.

- Kerstin, proszę - podaj jej serwetkę.

Zachowanie koleżanki było dla niego krępujące.

Uspokoili się dopiero po chwili.

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Przepraszam.

Ale spodziewałam się tego zdania.

Znów się mylisz.

Nic nie jest skomplikowane.

Kochasz ją czy nie?

77.

Tak czy nie?

Ona cię kocha czy nie?

To dwa prostopytania, na które są dwie odpowiedzi.

Skomplikowanie robi się, jak się tych odpowiedzi unika.

A w tym jesteście mistrzami świata.

Marthaler skinął głową.

Czuł się wyczerpany, ale ulżyłomu.

Wiedział, że Kerstin Henschel w ostatnim czasieo nim myślała, i cieszył się, że teraz to usłyszał.

Zdziwiłogo jednak, jak otwarciem potrafiła mówić o takich rzeczach.

I jak precyzyjnie.

Ale też pojął, że musipoddać się jej wyrokowi.

Zaczął podejrzewać, że czasem jej nie doceniał.

- A co.

z Manfredem i z tobą?

Zadał to pytaniez wahaniem.

Nie chciał, żebywyglądało, że chceuciec od własnej historii.

- Ach, gdybywszystko było.

- sama sobie przerwała.

Tym razem to on się roześmiał.

- Chciałaś powiedzieć: gdyby wszystko byłotakie proste?

Chciałaś może powiedzieć, że to skomplikowane?

Spodziewał się, że tym ironicznym pytaniem Kerstinpoczuje się złapana wewłasną pułapkę.

Ale ona skinęła głową.

- Tak, to chcę powiedzieć.

Obawiam się, że w naszym przypadku to rzeczywiście nie jest takie proste.

Pogadajmy o tym przy piwie.

Ty możeszzamówić piwo dietetyczne.

Choć.

szczerze mówiąc, wcale nie jestem pewna, czy w ogóle mam ochotę o tym rozmawiać.

Właściwie tonie chcę cięw to wciągać.

Naraz coś odwróciło uwagę Marthalera.

Spojrzałw dółna salę.

Zobaczył Herrmanna siedzącego samotnie przystole podoknem.

Od tyłu zbliżał się do niego policjantz prewencji, sprawiałwrażenie niezdecydowanego.

- Spójrz, znasz go?

- zapytał, mimowolnie zniżając głos.

- Kogo?

Herrmanna?

78

- Nie, tego w mundurze.

Czy to nieten typ z ósmegokomisariatu?

- Masz rację.

To ten dupek Toller.

Pan Rambo!

Raimund Toller pracował w prewencji w Sachsenhausen.

Przed kilkoma laty na wniosek Marthalera wszczęto przeciw niemu postępowanie dyscyplinarne, jednak zostałoono umorzone.

Podczas jakiejś akcji Toller przyznał się Marthalerowi, że byliby gotów strzelić uciekającemu w plecy.

Potem zaprzeczył.

Dochodzenie wewnętrzne rozmył się.

Wcześniej już odnotowywano skargi na Tollera, ale koledzy go kryli.

W końcu Marthaler musiał się poddać, nie miał nic w ręku.

Policjant zagadnął szefa wydziału zabójstw.

Herrmann najpierw nie wydawał się ucieszony tym, że ktoś mu przeszkadza, ale słuchał z rosnącą wagą.

- Co oni mają ze sobą wspólnego?

- Kerstin zmarszczyła czoło.

- Też bym się chętnie dowiedział - odparł Marthaler.

Ich szef rozejrzał się ostrożnie.

Najwidoczniej nie chciał, żeby ktoś zobaczył go z Tollerem.

W końcu skinął głową i zdenerwowany machnął ręką.

Toller ruszył powoli w stronę wyjścia.

Marthaler odniósł wrażenie, że na jego ustach błąka się uśmiešek.

- A tam, nieważne - powiedziała Kerstin.

- Może mają jakieś samo hobby.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

Jakoś nie mógł sobie wyobrazić, że tych dwóch mogłoby mieć jakieś wspólne sprawy.

Ni stąd, ni z owąd zachichotał jakuczennica.

- Tak, może obydwaj zbierają jajka niespodzianki.

Holger Assmann siedział naprzeciw nich w małym pokoju Przesłuchań.

Patrzył pustymi oczami.

Jego ciężkie ciało zapadło się w sobie.

Znikła gdzieś młodość, która

jeszcze wczoraj uderzyła Marthaler.

Jakby po zidentyfikowaniu zwłok narzeczonej przez noc postarzał się o całata.

Wielkie dłonie drżały, miał cienie pod oczami, wyglądał na zmęczonego.

- Zakładam, że nie ma pan nic przeciwko temu, bym nagrywał naszą rozmowę?

- zapytał Marthaler.

Assmann pokręcił w milczeniu głową.

- Przykro nam, że znowu musimy pana dręczyć.

Wiemy już, że nie miał pan nic wspólnego ze śmiercią Gabriele Hasler.

Pańskie alibi dziś rano zostało potwierdzone.

Ale jest wiele pytań bez odpowiedzi.

Mamy nadzieję, że pomoże nam pan znaleźć tego, kto to zrobił.

Marthaler mówił, żeby mówić.

Z doświadczenia wiedział, że w pierwszych minutach przesłuchania nie chodzi o to, co się mówi, tylko że się mówi.

Taka rozmowa byłaby trudna zwłaszcza wtedy, gdy świadek w sprawie morderstwa był związany z ofiarą.

Ból i konsternacja były często tak wielkie, że zeznania doniczego się nie nadawały.

Dlatego tym bardziej należało stworzyć atmosferę, w której świadek będzie czuł, że jego żałoba jest rozumiana, a wtedy być może udzieli informacji, które mogą się okazać istotne dla śledztwa.

- Mieszka pan w Kolonii - zaczął niezobowiązująco Marthaler.

- Tam pan pracuje?

Assmann skinął głową.

- Mieszka pan sam?

W domu czy w mieszkaniu?

- W domu.

Toznaczy mam mieszkanie w domu rodziców.

- A kim pan jest z zawodu?

- Technikiem sanitarnym.

- Jest pan gdzieś zatrudniony czy prowadzi własną firmę?

- Mam własną firmę.

Należała do ojca, przejąłem ją.

- I dobrze panu idzie?

Toznaczy, ma pan dużo zleceń?

Assmann zerknął na Marthaler.

Widać było, że nie rozumie sensu pytań.

- Tak, dobrze.

Bardzo dobrze.

Zatrudniam cztery osoby, mamy dużo pracy.

Kerstin stuknęła kciukiem w blat stołu.

To, co sprawiałowrażenie mimowolnego gestu, było dla Marthalera znakiem, że chce się włączyć w przesłuchanie.

- Wolno zapytać, jak poznał pan Gabriele Hasler?

Wspomnienie nazwisk narzeczonej wytrąciło mężczyznę z równowagi.

Jego ciało zaczęło drżeć, wyglądało na

to, że zaraz się rozplacze.

- Proszę wybaczyć - ciągnęła Kerstin spokojnym głosem - ale musimy zadać kilka osobistych pytań.

Prawienic nie wiemy o pańskiej narzeczonej.

Musi nam pan pomóc.

Inaczej nie ma szans na schwytanie sprawcy.

Assmann oparł się łokciami na stole, schował twarz w dłoniach.

Nie chciał, żeby widzieli jego łzy.

- Przez agencję - powiedział w końcu.

- Zgłosiłem się do agencji matrymonialnej.

Dałem ogłoszenie, a Gabi odpowiedziała.

- Ma je pan jeszcze?

Może pan nam przysłać kopię?

Ku zdziwieniu obojga, Assmann wyjął z portfela wyświechtany wycinek z gazety i podał Kerstin.

"Dobrze sytuowany, po trzydziestce, czuły i wierny, szuka miłej, do zakochania i więcej.

Jeśli nie oczekujesz tylko przygody, jeśli tęsknisz za mężczyzną twardo stojącym na ziemi, który zapewni ci bez troską przyszłość, odezwij się.

W perspektywie małżeństwo.

Ucieszyłyby" Inie zdjęcie, ale nie jest ono niezbędne".

Przeczytawszy tekst, Kerstin podsunęła kartkę Marthalerowi.

Mieliście się państwo niebawem pobrać, prawda?

80

81.

Wydawał się wahać.

- Tak, ale już dwa razy przesuwaliśmy termin.

Gabimiaław ostatnim czasie dużo pracy.

- Proszę nam opowiedzieć o Gabriele Hasler.

Miała poczucie humoru?

Była towarzyska?

Co pan wie o jej przeszłości?

Miała hobby?

Jakichś przyjaciół?

- Nie wiem.

Kerstin uniosła brwi.

Rzuciła Marthalerowi ukradkowespojrzenie.

- Nie wie pan?

Assmann patrzył w stół.

Miarowo stykałopuszki palców.

- To byłproblem.

Prawie nic o niej niewiedziałem.

Nicnieopowiadała.

Mówiła, że każdy człowiek ma prawo doswoich tajemnic.

- Ale muszaprzecież być jacyśprzyjaciele, rodzina.

Musieli się państwood czasu do czasu z kimś spotykać.

- Nie chciała.

Nie chciała nigdzie wychodzić.

I niechciała o sobie mówić.

- Nic pan o niej nie wie, ale chciałsię panz nią ożenić?

-Tak.

Kocham ją.

- Czy Gabriele Hasler była pana pierwszą kobietą?

To było ryzykowne pytanie,ale Kerstin trafiła w sedno.

Assmannskinął głową.

- Nie miał pan wcześniej dziewczyny?

-W każdym razie żadnej, z którą bym.

- Z którąby pansypiał?

Znów potwierdzenie.

Niedała po sobie poznać,co sądzi o tej informacji.

Ciągnęła przesłuchanie przesadnierzeczowym tonem.

- A jak było z Gabriele?

Czy pańska narzeczona miaławięcej doświadczenia?

- Nie wiem,zawsze byłem trochę zdenerwowany, gdybyliśmy razem, ale Gabi była.

bardzo zręczna.

- Zręczna?

-Umiała mnie uszczęśliwić.

Nauczyła mnie mówićo tym, co lubię.

- A ona?

Czy pan też potrafiłją uszczęśliwić?

- Myślę,że jej o to niechodziło.

-Naprawdę pan tak myśli?

Naprawdęmyśli pan, żekobiecie o to nie chodzi?

Przez chwilę zastanawiał się nadodpowiedzią.

- Niewiem.

U niej tak było.

- Ale jej pan o to nie pytał?

-Pytałem.

I za każdym razem powiadała, że wszystkim porządku - głos Assmanna zabrzmiał ostrzej.

Kerstin zignorowała to.

Zadawała pytania w niezmiennym tempie.

- Jak często ze sobą sypialiście?

-Tak często, jak chciałem.

- Jak pan chciał?

-Tak.

Nie miała nic przeciwko temu.

Ale też mnie niezachęcała.

- Nigdy?

-Nie, nigdy.

- I to pana nie dziwiło?

-Dziwiło.

Ale czy pani nie rozumie?

Bałem się, że ją stracę, gdy zapytam, a onami szczerze odpowie.

- Myśli pan, że byli inni mężczyźni?

Assmann wzruszył ramionami.

Sprawiał wrażenie zrezygnowanego.

Widać było, że nurtowało go to pytanie.

- Były jakieś wyjątkowe rzeczy, które robiliście, jakieś odbiegające od normy?

- naciskała Kerstin.

Zaprzeczył.

- Lubi pan śmiałą bieliznę?

83.

Pokręcił głową.

Kerstin ponownie rzuciła spojrzenie Marthalerowii uniosła brwi.

- Proszę powiedzieć prawdę, znaleźliśmy taką w szafiepańskiej narzeczonej.

Assmann zacisnął pięści.

Nie starał się już ukryć złości.

- Do cholery, czego ode mnie chcecie?

Koniecznienie musicie mnie upokarzać?

Powiedziałem, że nie mam doświadczenia z kobietami.

Nie mam porównania.

Aleni jestem idiotą.

Nie, Gabriele nie nosiła seksownej bielizny, gdybyliśmy razem.

Pytała mnie o to, ale tego nie lubię.

Nie, nie sądzę, żebyśmy robili jakieś wyjątkowe rzeczy.

Myślę, że wszystko było normalnie.

Marthaler zauważył, że doszli do miejsca, z którego dalej nie ruszą.

Dał Kerstin znak, żeby zakończyła przesłuchanie.

Na moment zapadł milczenie.

- Mogę iść?

- Assmann był wyczerpany i blady.

Przesłuchanie pozbawiło go resztki sił.

- Tak - odpowiedział Marthaler.

- Gdyby jednak przyszło panu do głowy jakieś nazwisko, proszę do mnie zadzwonić.

Policjant odwiezie pana do samochodu.

Ale Assmann odmówił.

Wolał pojechać taksówką.

Włożył płaszcz, skinął na pożegnanie i ruszył do wyjścia.

- Ach, jeszcze jedno.

Czy pańska narzeczonej opowiadała kiedykolwiek o swojej kłótni z rodzicami?

Assmann spojrzał na Marthalera.

Takim wzrokiem, jakby właśnie wyszedł z krainy cieni.

- Tak, opowiadała.

- O powodach?

- Jej rodzicom nie podobało się życie, jakie wiodła.

Takto ujęła.

- Domyśla się pan, co mogła mieć na myśli?

- Nie, panie komisarzu, nie mam pojęcia.

84

Odwrócił się i powoli ruszył w głąb korytarza.

Marthaler patrzył zaniemówiony.

Nieszczęśliwy świadek oddalał się zgarbiony w stronę windy.

- Musiałaś to robić?

- zapytał, gdy zostali sami.

- Naprawdę musiałaś go tak osaczać?

Tak go spieszyć?

Kerstin pokiwała głową.

Patrzyła na niego niedowierzająco.

- Robert, nie mówisz serio!

Morduję się tu, próbując wyciągnąć z tego maminsynka cokolwiek, a ty robisz mi wyrzuty?

- Przepraszam, to nie miało tak zabrzmieć.

Ale ten mężczyzna stracił właśnie wszystko, co kochał.
Nie chciałem cię krytykować, tylko rozumiem, co się z nim dzieje.
Martwię się o niego.

Wyobraziłem sobie, jak wraca taksówką na miejsce zbrodni, stoi pod domem narzeczonej, wsiada do samochodu, a potem jedzie do Kolonii.

Skinęła głową, ale równie dobrze mogła i pokręcić.

W żadnym razie wydawała się udobruchana.

-Cudownie!

Znów to ty jesteś ten dobry.

Ale taksy nie da.

Niezależnie od współczucia, musimy wykonywać naszą pracę.

Bądź co bądź to ty mnie nauczyłeś starej zasady, że przy każdym przesłuchaniu ktoś musi odgrywać rolę złego gliniarza.

A ponieważ nie otworzyłeś gęby, możesz być pewien, że ciebie zapamięta dobrze.

- Tak właśnie jest - uśmiechnął się Marthaler.

- Jak Jeden jest zły, to drugi musi być dobry.

Obawiał się, że Kerstin znów wybuchnie.

Ale powoli się rozpuściła.

- Dobrze.

Masz rację.

- Zmieniłaś się.

- Marthaler przyglądał się jej badawczo.

- No nie, i ty też to mówisz.

- Ale to prawda.

Skinęła głową.

85.

- Wiem, stałam się twardsza, co?

Nie mógł zaprzeczyć.

- Ale też odważniejsza - dodał.

-I dokładniejsza.

W każdym razie dzięki twoim pytaniom dowiedzieliśmy się o Gabriele Hasler czegoś, czego wcześniej nie wiedzieliśmy.

- Przynajmniej to przyznajesz.

-Tak - powiedział, wkładając płaszcz.

- Nawet jeśli nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy.

Jeszcze ciągle nie mogę sobie wyrobić o niej zdania.

Wydaje mi się, że miała coś do ukrycia.

Ta kobieta jest prawdziwą zagadką.

Kerstin uśmiechnęła się.

Szli korytarzem.

Wyprzedził go i otworzył drzwi.

- Robert?

-Tak?

- Czy to możliwe, że większość kobiet jest dla ciebie zagadką?

Roześmiał się.

Podniósł rękę na znak, że się poddaje.

- Okej, okej.

Jeden zero dla ciebie.

Dziewięć

Friedensbrucke ruch zamarł.

Na dużym skrzyżowaniu przy alei Kennedy'ego doszło do wypadku.

Zderzyło się kilka aut, co zablokowało jezdnię.

Radiowoz i karetka z trudem torowały sobie drogę.

Marthaler popatrzył na zegarek.

Dochodziła trzecia.

Doktor Herzlich prosił, żeby stawił się w zakładzie medycyny sądowej punkt piętnasta.

Samochodem niezdają.

Zdecydował, że dalej pójdzie pieszo.

Pożegnał się z Kerstin i wysiadł.

Postawiwszy kołnierz, ruszył zaśnieżoną boczną ulicą.

Cieszył się, że przez kilka minut może być sam ze swoimi myślami.

Kerstin miała rację.

Jest za gruby.

Musi się więcej ruszać i uważać na zdrowie.

Zmienić tryb życia.

Postanowił jutro wstawać godzinę wcześniej, żeby się gimnastykować.

Poza tym przestać jeść masło i kupić dietetyczną książkę kucharską.

I jeśli zdobędzie się na odwagę, przy okazji zapyta Terezę, czy go kocha.

Stanął przed zakładem medycyny i popatrzył w oświetlone okna.

Jak zwykle zwlekał z wejściem.

Uroda starej willi wydała mu się zwodnicza.

Nie cierpiał tego, co rozgrywało się w środku, więc jak mógł, unikał tego miejsca.

Prawie zawsze wysyłał kogoś ze swoich współpracowników.

Być może, pomyślał, ci, którzy muszą tu pracować, czują się podobnie.

Może dlatego wybrali taki imponujący

87

dom, bo inaczej w ogóle nie mogliby wytrzymać zajmowania się martwymi ciałami dzień w dzień.

Zgłosił się w recepcji i poprosił portiera, by powiadomił doktora Herzlicha, że już jest. Dwie minuty później korytarz wyszła młoda kobieta w białym fartuchu, uśmiechnęła się. Miała około dwudziestu pięciu lat, krótko ostrzyżone rudoblonde włosy i okrągłą twarz.

- Nadkomisarz Marthaler?

Nazywam się Thea Hollmann, jestem nową asystentką doktora Herzlicha.

Proszę wejść, nadole wszyscy już na pana czekają.

- Wszyscy?

- Marthaler mimowolnie pochylał się stroną młodej kobiety, wciągnął w płuczapach jej perfum.

- Tak.

Mamy gości.

Grupa studentów doktora, którzy po raz pierwszy są w sali sekcyjnej.

Miejmy nadzieję, że zadennie ma wrażliwego żołądka.

Zwłaszcza młodzi mężczyźni bywają nerwowi.

Zeszli do piwnicy, dotarli na koniec korytarza.

Gdy stanęli pod drzwiami gabinetu Herzlicha, te otwały się.

Marthaler się przestraszył.

Medyk zaśmiał się filuternie, jego ptasia głowa z zachwytu pokiwała się kilka razy w tył i w przód.

- Ach, wspaniale.

wszyscy razem.

pan komisarz.

wszyscy razem.

Wypchnął prawe ramię w przód, więc Marthaler mimowolnie cofnął się krok.

Nie zdążył uściśnąć kościę dłoni dryblasowatego doktora, bo Herzlich szybko ją cofnął.

- Ha.

rozumiem.

brak czasu na formalności.

Wszyscy bardzo zajęci.

Odepchnął Marthalera na bok i popędził korytarzem wielkimi krokami, naraz zatrzymał się, odwrócił głowę, wyrzucił w górę ramiona, zamachał rękami, jakby chciał zademonstrować jakiś taniec.

88

- Proszę za mną.

Za mną.

Adelante!

Marthaler pamiętał, jakim zdumieniem przejęła go gestykulacja doktora, gdy przed kilkoma laty spotkał go po raz pierwszy.

Herzlich zastępował wówczas profesora Prusseita, który w wypadku samochodowym doznał tak ciężkich obrażeń, iż nie wrócił do pracy i pół roku później nieoczekiwanie zmarł w klinice rehabilitacyjnej.

Mianowanie jego zastępcy na szefa zakładu było długo dyskutowane.

Ale choć wciąż wychodziły najaw nowe dziwactwa doktora Herzlicha, okazało się,

że jest jednym z najlepszych w swoim fachu, był powszechnie lubiany, występował jako ekspert w wielu procesach.

A ponieważ Marthaler miał coraz przemożniejsze wrażenie, że otaczają go przede wszystkim menadżerowie i technokraci, cieszył się, że jeszcze od czasu do czasu spotyka dziwaków.

Ale za każdym razem, gdy mówiono o kimś "świr", musiał myśleć doktorze Herzlichu. Do żadnej ze znanych mu osób to określenie nie pasowało tak bardzo jak do niego.

Gdy weszli do sali sekcyjnej, w ich stronę odwróciło się siedem głów.

Nawszystkich twarzach zakwitł niepewny uśmiech.

Trzy studentki i pięciu studentów nie wydawali się zachwyceni czekaniem w chłodnym, wykafelkowanym pomieszczeniu.

Doktor Herzlich klasnął, pociągnął głośno nosem, wyjął z kieszeni fartucha chusteczkę i z namaszczeniem go wydmuchał.

Podciągnął rękawy, założył przezroczyste rękawiczki lateksowe.

Odwrócił się do chłodni znajdujących się na przeciwległej ścianie, odryglował największą szufladę, odwrócił się i popatrzył na zebranych z uniesionymi brwiami, skinął głową, wreszcie wyciągnął ciężkie metalowe sanki i zsunął je na stojący obok wózek, po czym wręcz eleganckim ruchem pchnął na środek sali.

Zdawało się, że wszyscy w tym samym momencie wstrzymali oddech, by chwilę później wypuścić powietrze z głośnym westchnieniem.

Stojący obok Marthaler student popatrzył na niego z przerażoną miną.

Odruchowo zasłonił usta ręką.

Komisarza także zaskoczył widok, jaki im się ukazał.

Oczekiwał, że ciało Gabriele Hasler będzie przykryte i że będzie leżało.

Tymczasem ofiara klęczała w takiej samej pozycji, w jakiej znaleziono ją przed domem: z wypiętymi pośladkami, pochylonym tułowiem i przekreśloną na bok głową.

Nie zamknięto jej nawet oczu.

I wciąż miała na sobie to samo ubranie.

Doktor Herzlich wydał gardłowy odgłos.

Potem dłużej pokręcił głową.

- Ach, pardon.

nie powinienem.

bezostrzeżenia.

straszne.

pardon.

Chyba dopiero teraz dotarło do niego, na co wszystkim naraził.

Zaległo przytłaczające milczenie.

Każdy usiłował zahaczyć wzrokiem o jakiś inny punkt, nie patrząc na ciało.

W nadziei, że urok minie.

Jedna ze studentek nerwowo zachichotała.

W końcu odezwała się Thea Hollmann.

- Rozumiem państwa przerażenie.

I dobrze, że okazujecie uczucia.

Bo tylko ten, kogo widok zmarłych porusza, może ich dotykać.

A właśnie to będziecie musieli robić.

Jeśli zdecydujecie się na ten zawód, będziecie oglądać bardzo bliska wiele ciał.

Szacunek dla nich musi przejawiać się tym, że będziecie wykonywać swoją pracę jak najuczciwiej.

To jednak uda się tylko wówczas, gdy nie pozwolicie, by emocje wzięły górę.

Marthaler zobaczył, że doktor kiwa z aprobatą głową.

Towarzyszyło temu błogie mrugnięcie, będące wyrazem podziwu dla młodszej koleżanki.

90

- Wasze uczucia chcą, żebyście odwrócili się od tego strasznego widoku - ciągnęła Thea Hollmann - ale wasz przyszły zawód wymaga czegoś przeciwnego.

Więc patrzcie!

Im dokładniej, tym lepiej.

Studenci z wahaniem podnosili głowy.

Marthaler był pewien, że pod koniec dnia niektórzy jeszcze raz zastanowią się, czy ich wybór jest słuszny.

I odniósł wrażenie, że tak był cel Thei Hollmann.

Dziwiła go pewność, z jaką przemawiała.

Sama przecież musiała skończyć studia niedawno, tymczasem z jej słów biła dojrzałość, powaga i zdecydowanie.

- Dziś ograniczymy się do oględzin.

Ta kobieta została znaleziona wczoraj rano przed swoim domem w takim stanie, w jakim ją tu widzicie: klęcząca, półnaga, martwa.

Namiejszu zdarzenia zmierzono temperaturę per rectum.

Ze stosunku masy ciała do temperatury otoczenia wynika, że śmierć nastąpiła prawdopodobnie około północy.

Ponieważ pierwsze oględziny sugerowały przestępstwo na tle seksualnym, pobrano wymaz z wagi, odbytu i ust.

Wynik negatywny.

Ale kierujmy się zasadami, postępujmy systematycznie: zbadajmy najpierw ubranie.

Jedna ze studentek ołówkiem zaczęła robić notatki w bloku.

Reszta natychmiast zaczęła grzebać w torbach, "Ihea Hollmann poczekała, aż zapanuje cisza.

- Nogi i stopy są gołe.

Majtki zostały ściągnięte do kostek.

Ofiarą na sobie czarną, półdługą spódnicę zadartą na biodra.

Dolna część ciała jest obnażona.

Górną część ciała ubrana jest w białą bluzkę z długimi rękawami i w cienki czarny sweter.

Wszystkie części garderoby w chwili pierwszych oględzin były przemoczone, częściowo zabrudzone.

Sporządzono dokumentację fotograficzną.

91.

Thea Hollmann przerwała.

W ciszy rozległ się metaliczny szcęk.

Doktor Herzlich zbliżył się do zwłok z wielkimi nożycami w ręku.

Najwyraźniej chwilowo przejął rolę asystenta.

Kilkoma zręcznymi ruchami rozciął sweter i bluzkę.

Nie dotykając ciała, zdjął ubranie i poddał je krótkim oględzinom.

Włożył dowodryzeczowe do osobnych plastikowych misek, jednym cięciem rozdzielił majtki i wrzucił do trzeciego pojemnika.

- Przechować!

- zaskrzeczał, podnosząc w górę palec wskazujący.

-Laboratorium.

zbadać ślady.

Studenci zrozumieli.

Pokiwali głowami.

Znow zabrał głos Thea Hollmann.

- Proszę teraz podejść bliżej.

Nie wolno nam nic przeoczyć.

Każdy szczegół jest ważny, pozwala na wyciągnięcie wniosków co do przebiegu zdarzenia.

Nie, pomyślał Marthaler, nie muszę tego oglądać.

Wystarczy, że słyszę.

Odszedł kilkakrotnie, zrobił miejsce studentom.

Oparł się o ścianę i zamknął oczy.

Każde słowo Thei Hollmann odciskało mu się w pamięci.

Patolożka stwierdziła, że kobiecie wyrwano z głowy liczne kępy włosów.

Prawdopodobnie ofiara przez jakiś czas miała usta zaklejone szeroką taśmą izolacyjną.

Twarz jest nabrzniata, wargi i paznokcie palców rąk zasiniawe - to efekt braku tlenu.

Gałki oczne wykazują punktowe wybroczyny, na powiekach, kości jarzmowej i czole rozległe zasiniawienie.

Wokół szyi biegnie ślad zadzierzgnięcia, wyraźny znak, że ofiara została uduszona pętlą.

Na nadgarstkach i kostkach nóg Thea Hollmann odkryła nakładające się na siebie ślady stłuczeń i otarć różnego pochodzenia, co skłoniło doktora Herzlicha do przypuszczenia, że ofiara była wielokrotnie krępowana - kajdankami oraz kablami.

Ciało jest usiane ranami tłuczonymi i oparzeniowymi, które zadano kobiecie jeszcze

92

życia, ale na krótko przed śmiercią.

Liczne włókna w ranach wskazują na to, że podczas tortur była zmuszana do zmiany ubrania.

- Co z obcym materiałem?

- zapytał Marthaler.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

Miał nadzieję, że Gabriele Hasler się broniła, że zraniła napastnika.

Patolodzy często znajdowali pod paznokciami ofiar obceskrawki skóry czy włosy, które później pomagały zidentyfikować sprawcę.

Thea Hollmann popatrzyła na niego i pokręciła głową.

- Na pierwszy rzut oka nic.

Niestety.

Musimy poczekać na wyniki analiz, ale obawiam się, że sprawca nie zostawił żadnych śladów, które można by wykorzystać.

Wyglądano to, że pomyślał o wszystkim.

Marthaler skinął głową.

Usłyszał wystarczająco dużo.

Reszty dowie się z raportu z obdukcji.

Pożegnał się i opuścił salę sekcyjną.

Odetchnął, gdy drzwi się za nim zatrzasnęły.

Wyszedł po schodach, skinął portierowi.

Nazewnątrz zapalił papierosa.

- O Boże, panie komisarzu, jest pan blady jak ściana.

Rozejrzał się.

Nikogo nie było widać.

Potem wychynęła głowa spod maski żółtego porsche targi zaparkowanego przy krawężniku kilkadziesiąt metrów dalej.

Rozpoznał administratora zakładu medycyny sądowej, szczupłego mężczyznę przed czterdziestką, którego z powodu rudobrazowych włosów nazywano Lisiurem.

Mężczyzna uśmiechał się.

- Odwiedzał pan jakiegoś klienta, tak?

Co pan powinien mieć w kieszonce?

Wygląda pan, jakby tego potrzebował.

W pierwszej chwili chciał odmówić, ale zmienił zdanie.

Wszedł za mężczyzną do małej przybudówki, gdzie mieścił się warsztat iskład materiałów.

Lisiur zniknął w jednym z pomieszczeń, chwilę później wyłonił się z dwoma

93.

kieliszkami i z butelką.

Napełniwszy kieliszki do połowy, mrugnął do Marthalera jak spiskowiec.

- Mam coś nowego.

Chcepan posłuchać?

Upił duży łyk i skinał głową.

- Tak!

Administrator stanął przed nim, nabrał powietrza i zaczął gwizdać.

Gwizdał tak rzewnie i tak pięknie, że Marthaler musiał się uśmiechnąć.

To była aria Królowej Nocy z pierwszego aktu Czarodziejskiego fletu.

Zamknął oczy, poddał się działaniu wódki i muzyki.

Gdy przebrzmiały ostatnie tony, administrator popatrzył na niego z oczekiwaniem.

- To było piękne, piękniejsze niż wszystko, co spotkałem w ostatnich dniach.

- Alei tak nic nie może się równać z piękną panią Hollmann - westchnął administrator.

- Widział ją pan?

- Tak, jest bardzo elegancka.

- Elegancka - rozmarzył się.

- Elegancko słowo, którego szukałem.

Thea Hollmann jest najelegantszą istotą, jaką kiedykolwiek dane mi było spotkać.

- Niezły z pana flirciarz.

Ale dobrze mi to teraz zrobiło.

- Marthaler dopił wódkę.

- Niech mi pan zamówi taksówkę.

- A gdzie pan jedzie?

Skończyłem pół godziny temu.

Mogę pana zawieźć.

I tak nie czeka na mnie nic oprócz pustego mieszkania i pełnej butelki.

Jeszcze jeden, pomyślał Marthaler, jeszcze jeden samotny jak kamień.

Wyjął z kieszeni płaszcz kartkę z adresem Terezy.

- Muszę się dostać na Lorsbacher Strasse.

Nie mam pojęcia, gdzie to jest.

- Jawiem - odparł administrator.

- Mieszkam za rogiem.

To w Kamerunie.

94

Jechali starym porsche w milczeniu: nadkomisarz policji kryminalnej, który miał wszystko naprawić, i administrator zakładu medycyny sądowej, który pewnie zapije kolejną samotną noc.

Marthaler oparł czoło o zimną szybę i wyrzwał w ciemność.

Był wyczerpany, lecz cieszył się, że zobaczy Terezę.

I bał się.

Zastanawiał się, jak zareaguje na jego widok.

Niecałe dwadzieścia minut później dotarli do zachodniego krańca dzielnicy Gallus.

Nikt już dokładnie nie pamiętał, dlaczego to osiedle od stu lat nazywano Kamerunem.

Administrator długo krążył, zanim znalazł miejsce do zaparkowania.

Zatrzymał się przy krawężniku.

- Druga w lewo to Lorsbacher - powiedział, gdy stanęła na chodniku.

- Jeśli będzie pan miał ochotę, zapraszam potem do mnie na kieliszki.

- Dziękuję.

Zobaczę.

Jeszcze nie wiem.

- Elegancka.

flirciarz.

Ale pan zna słowa.

- pokręcił głową Lisiur.

- Nie rozumiem.

A jakie to słowa?

- Nie wiem.

w każdym razie dość staromodne.

- Tak sobie pomyślałem.

Od razu znalazł właściwy adres.

To był jeden z tych starych domów z czerwonej cegły zbudowanych w pierwszej połowie ubiegłego wieku dla pracowników kolei.

Prawie wszystkie zostały odrestaurowane i wystawione nasprzedaż.

Stał na ulicy i patrzył w oświetlone okna parterze.

Nikogo nie było widać.

Schylił się do żelaznej furtki, przyświecił sobie zapalniczką.

Na dzwonku było nazwisko Maurer.

Nic mu nie mówiło; Tereza nigdy go nie wspomniała.

Co ma powiedzieć, gdy od razu mu otworzy?

Co go czeka?

Niemiał jeszcze okazji o tym pomyśleć.

Pogrzebał w kieszeniach, szukając papierosów.

Paczka była

95.

pusta.

Zdecydował się poszukać automatu i w ten sposóbzyskać trochę czasu.

Dwie przecznicedalej zobaczył reklamębrowaru nadszyldem restauracji.

Gdyotworzył drzwi, trzech mężczyźnisiedzący przy stole obok wejścia podnieśli głowy.

Potemwrócili do gry w karty.

- Piwko?

- zwrócił się do niego barman.

Zanim odpowiedział, na ladzie pojawiła się szklanka.

Usiadł na wysokim stołku i zapytał o papierosy.

Było słyhać tylko szumzlewozmywakai odgłosy wydawaneprzezautomat do gry.

Zaniepokoiłogo, żenikt nic nie mówi.

- Miły lokal - powiedział.

Barmanprzetarłszmatą pipę do piwa i spojrzął naniego martwymi oczami pijaka.

- Są głuchoniemi - wskazał głową nagrającychw karty.

-Włączyć muzykę?

- Dla mnie nie - odparł.

Jeszcze nie dopił piwa, gdy na podstawce przed nim pojawiło się nowe.

Zostawił je nietknięte, zapytał, ile płaci,i wyszedł, nie czekając na resztę.

Wrócił pod dom kolejarski, tym razem zadzwonił bezwahania.

Przyłożyłuchodo drzwi, nasłuchiwał.

Dopieropo chwili wewnątrz coś się poruszyło.

Potem usłyszałmęski głos.

Gdy kroki się zbliżyły, cofnąłsię o metr.

Drzwi się otwarły.

Przednim stał jasnowłosy mężczyznapod czterdziestkę, zapinał koszulę.

Marthaler niewiedział, copowiedzieć.

Mężczyznauniósł brwi.

- Czym mogę panusłużyć?

-Chciałbym się widzieć z Terezą.

- A kim pan jest?

- zawahał się blondyn.

Zamiast odpowiedzieć, Marthaler wyjął z kieszeni legitymację służbową i podstawił mu ją pod nos.

96

- Chwileczkę.

Mężczyzna zniknął w korytarzu.

Gdy wrócił kilkasekund później, na nosie miał okulary.

Wziął legitymację przyjrzał jej się uważnie.

Niecierpliwość Marthalera rosła.

- Proszę posłuchać, chciałbym porozmawiać z Terezą.

Mężczyzna uśmiechnął się.

Albo wyszczerzył zęby.

- Tak, ale nie sądzę, żeby Tereza chciała rozmawiać z panem.

Dostałszału.

Zakrećilo mu się w głowie.

Zacisnął lewądłoń w pięść i uderzył mężczyznę w twarz.

Blondyn zatoczył się na futrynę, popatrzył naniego zaskoczony.

Z nosaleciała mukrew.

Okulary spadły na ziemię.

Marthaler opuścił ramię.
Z domu doleciał kobiecy głos.
Tereza wyszła nakorytarz.
Jednym spojrzeniem ogarnęła sytuację.
Rzuciła okiem na komisarza i pokręciła głową.
Podeszła blondyna, położyła mu rękę na ramieniu.
- Chodź - powiedziała - zrobimy zimny kompres.
Zniknęli w łazience, zostawiając go w otwartych
drzwiach.
Tereza nawet się nie odwróciła.
Usłyszał szum
wody i jej uspokajający głos.

Dziesięć ",

Odwrócił się i nie zamykając za sobą drzwi, wyszedł na ulicę.
Ruszył naprzód w ciemnościach, nie zastanawiając się, dokąd właściwie zmierza.
Nie był ani dumny z tego, co zrobił, ani oburzony.
Wyłącznie zdziwiony.
Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek użył przemocy.
A teraz uderzył obcego mężczyznę bez żadnego uzasadnionego powodu.
Zaatakował, a tamten się nie bronił.
Gdyby wystąpił z oskarżeniem, Marthaler straciłby pracę.
Być może nawet prawo do emerytury.
Alety się nie martwił.
Zmartwił go reakcja Terezy.
Pewnie wszystko zniszczył.
Kaźda próba wyjaśnienia jej teraz cokolwiek byłaby śmieszna.
A jednak niczego nie żałował.
Zdarzało się, że mężczyźni bili się, gdy szło o kobiety.
To wszystko.

Szedł Mainzer Landstrasse, uskakując, gdy śnieg obabreja przyskała spod kół samochodów na chodnik.

Nadjechała taksówka.

, zamachał.

Otworzył drzwi i usiadł natylnym siedzeniu.

Nie potrafił dokładnie powiedzieć kierowcy, gdzie chce jechać.

- Do miasta.

Wysiadł na dworcu.

Miał ochotę wejść do taniego baru ze striptizem, wypić kilka piw, popatrzeć na dziewczyny, które rozbierają się powoli, a potem szybko znikają.

Przedtem jednak po-winien coś zjeść.

Nie chciał myśleć o niczym,

98

co się dziś wydarzyło, tylko pić tak długo, aż będzie wystarczająco zmęczony, żeby pojechać do domu i zasnąć.

Idąc od strony Kaisereck, dotarł na Moselstrasse.

Zatrzymał się przy oświetlonych oknach włoskiej restauracji.

Nie był pewien, ale wydało mu się, że przy jednym z stolików siedzi Thea Hollmann.

Kobieta podniosła głowę.

To była rzeczywiście ona.

Spojrzała na niego zdziwiona, dała mu znak, żeby wszedł.

Stanął przy jej stoliku trochę niezdecydowany.

- Nie chciałbym przeszkadzać.

Wskazała trzy wolne krzesła.

- Widzi pan tu kogoś, komu mógłby przeszkodzić?

Przynajmniej nie będę musiała jutro dzwonić.

Proszę mi dotrzymać towarzystwa, jeśli nie ma pan nic lepszego doroboty.

I jeśli to panu nie przeszkadza, że nie jestem dzisiaj najlepszą towarzyszką do rozmowy.

No, proszę siadać.

- Nocóż.

W takim razie chętnie.

Odniosł płaszcz do szatni, usiadł.

Był trochę skrępowany, nie wiedział, jak zacząć rozmowę.

- Dlaczego zamierzała pani do mnie dzwonić?

- Bo podczas oględzin odkryliśmy coś, o czym panjeszcze nie wie.

Ale tak się pan spieszył.

- Co?

- nie dał jej skończyć zdania.

- Co odkryliście?

- Blizny.

Ofiara miała ślady wskazujące na stare zranienia.

I są to zarówno oparzenia, jak i ślady krępowania i duszenia.

- Jak stare?

Jak dawno je zadano?

- Ostrożnie licząc, kilka lat temu.

- I co pani z tego wnioskuje?

- Nic.

Nic nie wnioskuje.

Tylko stwierdzam fakty.

Od Wyciągania wniosków jest pan.

Marthaler przytaknął.

To była typowa odpowiedź badacza.

Nie wiedział, co sądzić o nowej informacji.

Będzie

99.

musiał przemyśleć to w spokoju i przegadać z kolegami.
Ale to, czego właśnie się dowiedział, bardzo zaniepokoiło.

- Mogę coś panu polecić?

Bardzo pan głodny?

- Nie.

tak.

ale się odchudzam.

- Dobry pomysł - uśmiechnęła się absolutnie niewinnie.

- W takim razie pan weźmie coś chudego z grilla.

- Często tu pani bywa?

Skinęła głową.

- Tak, mieszkam za rogiem.

-Tu? Wdzielnicydworcowej?

Samotna kobieta?

- Jak pan wpadł na to, że jestem samotna?

-Och,przepraszam, pomyślałem tylko.

- Nie, nie.

Ma pan rację.

Ale nie wiedziałam, że tak topo mnie widać.

Co pan powie na szaszłyk wołowy z Apulii?

I czerwone wino z tej samej okolicy.

Zapraszam.

Przeglądała menu, a Marthaler przyglądał się jej.

Gdy po południu odebrała go z portierni, wyglądała świeżo i bez troski.

Teraz była blada, sprawiała wrażenie wyczerpanej i znużonej.

- Wygląda pani nazmęczoną - powiedział.

-No cóż, to stanowimy elegancką parę: gruby komisarz i wyczerpana patolożka.

- Naprawdę uważa pani, że jestem taki.

gruby?

- Nie.

Ale trochę za bardzo przysadzisty - roześmiała się.

Szybko podniosła rękę, żeby przywołać kelnera.

Zamówiła.

Gdy zostali sami, powtórzył pytanie.

- I? Co z panią?

Dzieńdał pani w kość?

Przyglądała mu się dłuższą chwilę.

- A jak pan myśli, dlaczego w naszym zawodzie prawie wszyscy piją, łykają prochy albo otumanią się w inny sposób?

Każdy dzień daje w kość.

Wszyscy udają, że to

100

po nich spływa, każdy żartuje, każdy próbuje zająć się czymś innym.

Ale tonie do wytrzymania.

Niecały czas.

Nie przez całe życie.

- Ale trzeba to robić.

Do studentów powiedziała pani.

- Pamiętam, co powiedziałam - przerwała mu.

-I mówiłam serio.

Ale wie pan, czasem idę przez miasto i mam wrażenie, jakbym nie należała do tego świata, jakbym.

sądzę, że nie wiem.

- Jakbyś świat się pani wymykał?

- Tak, to ładne sformułowanie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, grzebali w talerzach.

Marthaler zastanawiała się nad innym, mniej poważnym tematem rozmowy.

Ale miała wrażenie, że Thea chce mówić o swoim zawodzie, że ulży jej, gdy się wygada.

- Jak codziennie musisz oglądać, co ludzie robią sobie nawzajem, to w którymś momencie zaczynasz wątpić, czy na prawdę jesteśmy wyższym gatunkiem.

Są dni, kiedy chciałabym, żeby ludzie opuścili tę planetę, żeby wreszcie dali spokój przyrodzie.

Milczała.

Rozumiał ją, ale uważał, że jest za młoda na taką postawę.

Mimo to pozwolił jej mówić.

- Są też inne dni, bez troski.

Ale te są coraz rzadsze.

Dni, kiedy chciałabym zatrzymać na ulicy każdego przechodnia i zapytać o jego historię.

Dni ciekawości, kiedy życie sprawia przyjemność.

- I? Dziś to raczej nie był taki dzień?

- Nie- odparła zdecydowanie.

- Dzisiaj było do dupy.

- A co sprawia pani radość?

Zastanawiała się długo.

Upiła duży łyk wina, odstawiła kieliszek.

Zauważył, że jej dłoń lekko drży.

- Słońce.

Słońce sprawia mi radość.

We wcześniej, podczas studiów, lubiłam oglądać filmy, odkąd zaczęłam pracować w zakładzie, prawie nie chodzę do kina.

Przez jakiś

101.

czas wypożyczałam wideo i DVD.

Alenawet na tym niemogę się skupić.

Do niedawnabyłam z kimś.

Rozstaliśmy się, bo nie mógł wytrzymać, że każdego wieczoru siedzę przed telewizorem, piję czerwone wino i gapię się przed siebie.

Po prostu sobie poszedł.

Spuściła wzrok.

Potem podniosła kieliszek.

- Jeśli to nie jest powód do picia.

- Wie pani, że ma wielbiciela?

- Niemożliwe!

Czyżby doktor Herzlich się przyznał?

- A więc on też?

Nie, nie mówię o nim.

Mówię o Lisiurze.

Spojrzała na niego skonsternowana.

Potem zachichotała i pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Dlaczego się paniśmiej?

Uważa pani zaniestosowne, że administrator budynku zakochuje się w lekarce?

- Nie, wcale nie - odparła poważnie.

- Uważam nawet, że jest bardzo szarmancki.

Mówią, że jest niezwykle zręczny.

Ale nic nie wiedziałam o jego sympatii.

Podrugie, jeszcze długo nie będę w stanie.

- A po trzecie?

- Potrzebie jeździ żółtym porsche.

- Tak, to poważny powód, żeby dać mu kosza - zaśmiała się Marthaler.

- Aleza to potrafi przepięknie gwizdać!

- A pan?

- zapytała.

- Co by pan robił dziś wieczorem, gdybyśmy się nie spotkali?

Przez kilkasek odczuwał pokusę, żeby wyłgać się jakimś niewinnym kłamstwem.

Potem jednak zwyciężyła ciekawość, chciał zobaczyć, jak zareaguje na prawdę.

- Poszedłbym do baru ze striptizem.

Nie wyglądała na zdziwioną.

- Żeby co?

- Patrzeć, pić.

- Nic więcej?

- Nic więcej.

102

- Pan też nie miał najlepszego dnia, prawda?

- Nie, nie miałem - zaśmiał się.

- Ale teraz zamówię taksówkę, pojedę do domu i spróbuję zasnąć.

- Nie, panie nadkomisarzu.

Myślę, że teraz pan tegonie robi.

Myślę, że odprowadzi pan teraz wesołą Theę Hollmann do domu i wstąpi pan do niej na jeszcze jeden kieliszek wina.

Miała rację tylko w połowie.

Pan nadkomisarz odprowadził ją do domu, ale wino nie pili.

Jej mieszkanie znajdowało się niedaleko dworca, w tej części Munchener Strasse, gdzie Marthaler czasem kupował we włoskich delikatesach ser i szynkę, okazynie także ośmiornice, pepperoni czy marynowane oliwki.

Były tu też sklepy tureckie, afrykański fryzjer, małe azjatyckie restauracje, marokańskie stoiska z warzywami i niezliczone budki z kebabem.

W ubiegłych latach wielokrotnie próbowano przegonić z dzielnicy pozbawionych środków do życia imigrantów, prostytutki i drobnych dealerów, rzekomo dlatego, że miejsce, gdzie człowiek po raz pierwszy styka się z miastem, powinno być czyste.

Ale zawsze wracali, wciąż udawało im się wcisnąć na nowe place między wieżowcami banków i biur linii lotniczych.

Na małej przestrzeni spotykały się tu zarządy wielkich korporacji z najbiedniejszymi. Marthaler miał świadomość, że policja podejmuje stanowczo za mało działań przeciw handlarzom ludźmi i narkotykami.

Ale wszyscy wiedzieli też, że prawdziwe zbrodnie planowane i przeprowadzane są wiele pięter wyżej.

I że jedno z drugim ma wiele wspólnego.

- Tędy - Thea pchnęła Marthalerą przez łuk bramy naciemne podwórze.

Szukała kluczy, a on z rękami w kieszeniach patrzył na czarno-granatowe nocne niebo widoczne między ścianami budynków.

Kręciło mu się w głowie.

Szybko ją więc spuścił,

103

na chwilę zamknął oczy i głęboko odetchnął, by złagodzić działanie wina.

- Ochładza się - powiedział. - Widać Wielki Wóz.

- Cholera - zakłęta - światło w korytarzu znów nie działa. Daj rękę.

Pociągnęła go ciemnymi schodami na pierwsze piętro. Włączyła światło w mieszkaniu, odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

- Zauważyłeś? Właśnie odezwałam się do ciebie per ty. Zdjął płaszcz i odwzajemnił uśmiech.

- Jestem pijany.

- To żadne wytłumaczenie. Zrobię kawę.

Poszedł za nią do wąskiej kuchni. Gdy nalewała wodę i sypała kawę do ekspresu, przyglądał się linii jej karku widocznej u nasady krótkich włosów. Nagle zatrzymała się w pół ruchu.

Zadrzała. Marthaler zobaczył, że płacze.

- Co jest?

Nie odpowiedziała. Podeszedł do niej od tyłu, położył ręce na ramionach.

- Dlaczego płaczesz? Co z tobą?

- Nic... Wszystko - powiedziała i spróbowała się roześmiać. - Przepraszam.

Dopiero teraz się odwróciła. Płacząc, zaczęła go całować. Tak gwałtownie, że Marthaler zabolął język.

- Chodź - poczekaj, aż pójdzie za nią do sypialni. Powoli rozbierali się nawzajem w ciemnościach. Nie

rozmawiali. Gdy położyła się na podłodze, zrobił to samo. Raz jęknął z bólu, bo zapomniał o obtartych plecach. Potem się odprężył. Gładziła jego skórę. Odwzajemnił pieśczętę.

Oddychali szybko. Zachichotała. Obejmowali się z taką żądzą, jakby chcieli zatrzeć wspomnienia minionego dnia. Odwróciła się, pociągnęła go na siebie.

104

Nie podnosząc się z podłogi, zaświeciła małą stojącą lampę. Leżeli obok siebie, patrzyli w sufit.

- Co ci się stało w plecy?

- Nic. Upadłem. Nie dopytywała.

- Zrobiliśmy to, co robią wszystkie ssaki. Czekał, sądząc, że powie coś więcej.
- I? - zapytał w końcu.
- Czy mimo to możemy spróbować odnosić się do siebie jak w miarę porządni ludzie? To znaczy z odrobiną szacunku?
- Oczywiście - zaśmiał się cicho. - Sądysz, że to był błąd?
Upłynęła chwila, zanim odpowiedziała.
- Dla mnie nie. Jestem sama. Dla ciebie może tak, sam powinieneś to wiedzieć. W każdym razie obojętne to nigdy nie jest.
Marthaler skinął głową.
- Mimo to cię lubię.
- To miło - uśmiechnęła się. - Bylebyś tylko nie zaczął mnie kochać.
- Jestem dla ciebie za gruby?
- Za stary.
- I za gruby?
- Trochę za przysadzisty. Roześmiali się.
Dziesięć minut później stanął ubrany w drzwiach.
- Nie będziesz zła, jak sobie teraz pójdę?
- Nie. I tak nie ma śniadania.
Zastanawiał się, z jakiego filmu zna to zdanie. Chciał zapytać, ale nie zdążył. - Ani dyskusji - dodała. Teraz sobie przypomniał.
- Solo Sunny - powiedział - Konrada Wolfa. NRD 1980.

- Roku nie pamiętam - skinęła głową.

- Reszta się zgadza.

Świetny film.

Będziesz miał coś przeciwko, żebyśm się zwracali do siebie po nazwisku?

Marthaler przeciągnął palcem wskazującym po jejskroni.

- Życzę pani dobrej nocy, Theo Hollmann;

- I ja panu, nadkomisarzu Marthaler.

Jedenaście

Marthaler spał jeszcze, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

Spróbował powiązać ten odgłos ze snem.

Przewrócił się na drugi bok; plecy wciąż bolały.

Dzwonek zabrzmiał ponownie.

W końcu utworzył oczy.

Wstał, podszedł do drzwi i nacisnął przycisk domofonu.

Załóżył szlafrok.

W korytarzu stał mężczyzna, który wydał mu się znajomy, ale nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska.

- Chciałbym z panem porozmawiać.

" - Tak?

Słucham?

- Mogę wejść?

Chciał odmówić, lecz wreszcie go rozpoznał.

To był Maurer, jasnowłosy przyjaciel Terezy.

Mężczyzna, którego wczoraj uderzył.

Rozbudził się gwałtownie.

- Niech pan posłucha.

Jeśli chce pan złożyć doniesienie, to niech pan składa.

Nie wiem, o czym tu gadać.

Mógłbym panu przeprosić, ale nie jestem pewien, czy tego chcę.

Tym razem mężczyzna się nie uśmiechnął.

- Nie, w ogóle mnie to nie interesuje.

Interesuje mnie Tereza.

O niej chciałbym porozmawiać.

- No proszę, to wszystko w porządku.

Bo wygląda na to, że Tereza interesuje się panem.

- To nieporozumienie - mężczyzna nie tracił spokoju.

- Jestem żonaty.

Moja żona i Tereza poznały się w Madrycie.

107.

Tereza dwa dni temu zadzwoniła z lotniska, bo nie wiedziała, dokąd pójść.

Zapytała, czy może zostawić u nas bagaż.

Od tego czasu mieszka w pokoju do pracy mojej żony, która jest w Hiszpanii.

Byłby zaskoczony, żeby odpowiedzieć.

Otworzył drzwi nieco szerzej i wpuścił gościa.

Zaprowadził go do kuchni, przeprosił na chwilę.

Ubrawszy się, zaparzył kawę, postawił na stole dwie filiżanki i sam usiadł.

- Słucham.

- Musi pan z nią porozmawiać.

- Achat?

Wczoraj przecież chciał pan temu zapobiec.

- To onanie chciała.

I mogę ją zrozumieć.

- I? Coś się zmieniło od wczorajszego wieczoru?

- To, że nie zmrzyłem oka, tylko przegadałem z nią całą noc.

Jest na pana wściekła.

I ma do tego pełne prawo.

Marthaler wpatrywał się w stół, milczał.

Powoli docierało do niego, co nawyrabiał.

- Wściekła?

Dlaczego?

Bo nie odebrałem jej lotniska, czy dlatego, że pana uderzyłem?

- Niech pan posłucha, to wszystko mnie nie obchodzi.

Chcę tylko.

- Właśnie.

To wszystko pana nie obchodzi.

W takim razie pozwolę panu, że zapytam, dlaczego pan tu siedzi?

Twarz mężczyzny poczerwieniała.

Mimoto odpowiedział spokojnym tonem.

- Właściwie dlaczego nigdy nie trafiłem na policjanta, który zwyczajnie i bez podtekstów interesowałby się otoczeniem?

Zawsze bije od was ta zatęchła nieufność.

Taciekawość, w której wcale nie chodzi o nowe informacje, tylko o to, żeby coś obnażyć, zawsze macie się na baczności, bo zakładacie, że każdy coś ukrywa.

Dzielicie świat na "my" i "reszta".

I w razie wątpliwości kogoś takiego jak

108

ja zaliczycie oczywiście do reszty - do cywilów, którzy w najlepszym przypadku są naiwnymi idiotami, w większości jednak potencjalnymi wrogami.

Tego, że chcę poprostu pomóc Terezie, bo jest przyjaciółką mojej żony, najwyraźniej nawet nie może pan sobie wyobrazić.

Marthaler milczał.

Chciał, żeby Maurer mówił dalej.

Zaczynałmu się podobać jego sposób bycia.

- Tereza jest wściekła, ale jeszcze panem nie skończyła.

Niech pan podejmie drugą próbę!

Niech pan z nią porozmawia!

- A jeśli dalej nie będzie chciała?

- Sądzę, że będzie.

- Bo ja pan przekonam?
- To pan musi zrobic pierwszy krok.
- Maurer polozyla na stole wizytowke ze swoim domowym numerem telefonu.
- Niech pan do niej zadzwoni, niech pan ja zaprosi na kolacje.
Niech pan z niq porozmawia.
I naprawde juz mnie nie obchodzi, co z tego wyjdzie.
Wstal, odwrócił się do wyjścia.
- Jedno mnie jeszcze interesuje - odezwał się Marthaler.
- Dlaczego pan się wczoraj nie bronił?
- Pyta pan serio?
Naprawde chce pan wiedziec?
Skinął głową.
- PrzecieZ jest pan policjantem.
- Policjantem?
- Pamięta pan konflikt wokół zachodniego pas startowego na naszym lotnisku?
Jako mlody czlowiek brałem udział w demonstracjach.
Tak samo jak moi rodzice, moi dziadkowie i wszyscy sąsiedzi.
Raz zobaczyłem, że policjant bije i kopie starca.
Gdy pospieszyłem z pomocą, rzucił się na mnie z pałkami dwóch kolejnych.
Podniosłem jakąś gałąź, żeby się obronić, a lećmy byli szybsi.
Zbili mnie tak, że wylądowałem w szpitalu.
Na zdjęciach
109.

policyjnych, które mi później pokazali, widać było tyłkomnie z tą gałęzią.

Nikogo innego podobno nie było.

Zostałem skazany za stawianie czynnegooporu organom ścigania,uszkodzenie ciała i naruszenie spokoju publicznego.

I gdy wczoraj podstawił mi panpod nos legitymację.

Marthaler machnął ręką.

- Już dobrze.

Znamte historie.

I myślę, że mówi panprawdę.

- To nie koniec.

Tenstarzec to był mój dziadek.

Zmarłpo dwóchlatach, wskutek tamtego pobicia.

Czego oczywiście niemożna było udowodnić.

Komisarz wbił wzrok w ziemię.

Zawahalsię, nim podałamtemu rękę.

Ale się przemógł.

- Dziękuję.

I przepraszam.

Maurer uśmiechnął się.

Potemwyciągnął dłoń.

Marthaler spojrział na zegarek.

Za kwadrans dziewiąta.

Właściwie chciał się jeszcze pogimnastykować.

Ale jużbyło późno.

Nowe życie będzie musiało poczekać.

Wyjąłz zamrażalnika dwie bułki, włączył piekarnik iwsunąłje do środka.

Poszedł do łazienki.

Umyty usiadł na krześle iwybrał numer zostawionyprzez Maurera.

Tereza odebrała po dwóch dzwonekach.

- To ja- powiedział.

-Wiem - głos jej się załamał.

- Zobaczmy się?

Milczenie.

- Porozmawiajmy, proszę.

-Tak.

- Chcesz przyjśćna kolację, dziś wieczorem?

Mam cośgotować?

- Nie.

Nie u ciebie.

- Nieważne gdzie.

Zaproponuj coś.

110

- Chcę wyjść, na powietrze.

-Lohr?

Mam po ciebie przyjechać?

- Nie, sama przyjadę.

Jestem jużduża.

Umówili się na siódmą.

Marthalerniewiedział, cojeszczepowiedzieć, więc się pożegnał.

Już odkładał słuchawkę, gdy się odezwała.

- Robert?

-Tak?

- Jesteś niepewnym człowiekiem.

Roześmiał się, ale zrozumiał, co miała na myśli.

I prawdopodobnie miała rację.

Rozłączyła się.

A on wciąż jeszcze siedział zesłuchawką ręką.

Wtedy poczuł, że coś nie gra.

Śmierdziało spalenizną.

- Kurwa mać.

Poderwał się z fotela i pobiegł do kuchni.

Gdy otworzył piekarnik, z wnętrza buchnął gęsty dym.

Chwycił bułki przez ścierkę i wyrzucił je do kosza.

Po drodze zobaczył tytuł w gazecie: "Martwa panna młoda w śniegu- bestialskie zabójstwo w Oberrad".

W najbliższym kiosku kupił trzy dzienniki.

Przejrzał je, jadąc metrem.

Wszystkie zamieszczały obszernie relacje, wszystkie twierdziły, że policja ma twarde orzeczenia.

Przeciekły już jakieś szczegóły o pozycji, w której znaleziono Gabriele Hasler, i o tym, co sprawca jej zrobił, zanim ją zamordował.

"City-Express" ogłaszał na stronie tytułowej:

"Jedynie zdjęcia z domu zbrodni".

Komisarz otworzył gazetę i spojrzał w swoją własną twarz.

Miał szeroko otwarte oczy, rysy zniekształcone z napięcia i zestrachu.

Lohrberg, w skrócie Lohr - wzniesienie we Frankfurcie, jedyna zachowana winnica w obrębie miasta.

Jego skóra w ostrym świetle flaszka wydawała się blada.

Z pewnością nie było to zdjęcie policjanta wykonującego swoją pracę ze spokojem i zdecydowaniem.

Szlag go trafił.

Na Höhenstrasse przepchał się do wyjścia.

Wbiegł po ruchomych schodach, przeszedł przez wąską Berger Strasse i w ostatniej sekundzie wskoczył do odjeżdżającego właśnie autobusu.

Wysiadł na następnym przystanku.

Od Białego Domu dzieliło go niecałe dwieście metrów.

Już daleka zobaczył ekipę telewizyjną, która zajęła miejsce w bramie wjazdowej.

Na chodniku parkował niebieski volkswagen bus z napisem "Hessischer Rundfunk".

Zatrzymał się po przeciwległej stronie ulicy, kawałek dalej przeszedł przez jezdnię i ruszył w stronę Białego Domu.

Tuż przednim skręcił na podwórko sąsiedniej posesji, przysunął pojemnik na śmieci do płotu i przelazł przez niego.

Spojrzał w okna okolicznych domów.

Nikogo nie było widać.

Wszedł na klatkę schodową tylnymi drzwiami.

Dziennikarze go nie zauważyli.

Jeszcze w korytarzu zawołał Elvirę.

Zobaczyła zabiurkiem w małym pokoju przechodnim, drzwi miała otwarte.

Najwyraźniej zadomowiła się już w nowym miejscu.

Przywitała się, wskazując głową na pomieszczenie za jej plecami.

- Nie chcesz obejrzeć swojego nowego biura?

- Nie mam czasu.

- Rzucił jej na biurko gazetę.

- Chciałbym, żebyś zadzwoniła do "City-Express" i dowiedziała się, kto zrobił to zdjęcie.

Niech dadzą ci nazwisko i adres.

I nie pozwól się zbyć.

Możesz ich postraszyć policją.

- Policją?

- Żartowałem, Elviro, żartowałem.

Czy wszyscy są już przy zabójczym stole?

Znowś spojrzała pytająco.

- To znaczy: czy koledzy są już w sali odpraw?

112

- Tak, czekają na ciebie.

I właśnie dzwonił Herrmann.

Masz się natychmiast do niego zgłosić.

Ale Marthaler machnął tylko ręką.

Gdy wszedł do sali odpraw, zza wielkich kartonów, którymi zastawiony był zabójczy stół, wychynęły głowy Kaia Dóringa i Svena Liebmann.

Byli zajęci przeglądaniem materiału dowodowego przywiezionego przez techników z domu ofiary.

Manfred Petersen stał przy oknie i rozmawiał przez telefon, Kerstin Henschel wpatrywała się w monitor komputera.

- Jakieś nowiny?

- zapytał.

Popatrzyły na niego cztery pary zmęczonych oczu.

Kolejno zrelacjonowali, czego dowiedzieli się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Niewiele tego było.

Kerstin pojechała do gabinetu na Kleiner Friedberger i zrobiła wyciąg z kart pacjentów, nie napotkała niczego szczególnego.

Sven przejrzał dokumenty bankowej i stwierdził, że długi Gabriele Hasler wynosiły ponad dwieście tysięcy euro.

- W ostatnich miesiącach miała najwyraźniej coraz większe problemy ze spłatami.

Były już pierwsze rozmowy z bankiem na temat sprzedaży domu.

Ale to nie posuwa nas dalej.

- Posuwa - zaproponował Marthaler.

- Ponieważ wiemy mało, każda kolejna informacja jest pomocna.

A co z osobistymi papierami?

Jakieś notatniki, dokumenty ze studiów, listy, pocztówki, dziennik?

Każdy człowiek ma przecież szufladę albo karton, gdzie przechowuje takie rzeczy.

Liebmann pokręcił głową.

Nie, nic, ani śladu.

Tylko kilka albumów ze zdjęciami, jeszcze ze zbiorów rodziców.

Nie znaleźliśmy nawet kalendarza.

Albo nie miała życia prywatnego, albo nie robiła notatek.

113.

- Co mówią technicy?

Cośnam się przyda?

- następny Marthaler skierował do Kaia Dóringa.

- Śladów jest ile bądź.

Najlepsze zostawili policjanci z ósmego komisariatu.

Ci dwaj przetoczyli się przez dom jak stadłoni.

- Którzydwaj?

;

- Toller i Steinwachs.

Kiedy świadek zgłosił znalezienie zwłok, pojechali na miejsce zdarzenia.

I najwyraźniej najpierw zwiędzali.

Kerstin popatrzyła na Marthaler.

- Może szukali jajek niespodzianek?

- rzuciła z sarkastycznym uśmiechem.

- Nie rozumiem - zdziwił się Dóring.

- I nie możesz rozumieć.

- Marthaler przewrócił oczami.

- Kerstin próbuje być zabawna.

Okej, co jeszcze?

- Nic.

Ślady ofiary i Holgera Assmanna.

Poza tym ludzie Schillinga przepuścili przez komputer kilka próbek nieznanego pochodzenia. Zertrafięń.

Nikt, kogo mielibyśmy w bazie.

- Co to znaczy "nieznanego pochodzenia"?

- To, co można znaleźć wszędzie.

U ciebie w domu też jest nieskończenie wiele śladów, których pochodzenie moglibyśmy ustalić.

Na przykład: napodłódz pod twoją szafą odkryliśmy długi, jasny włos.

Zapewniasz, że nigdy nie miałaś odwiedzin długowłosej blondynki.

Zgoda, prawdopodobnie włos pochodzi z rękawa twojej kurtki, która ostatniej wiosny przez pół godziny wisiała w poczekalni lekarza pierwszego kontaktu obok płaszczakobiety.

Albo na kubku jogurtu w twojej lodówce znajdujemy odciski palców trzech różnych osób - z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że należą do innych klientów twojego supermarketu, kasjerki czy pomocnika magazyniera.

114

- To wszystko wiem, ale co to znaczy?

- Tylko tyle, że mamy odciski palców i próbki DNA, a lenikogo w kartotece.

- A co ze śladami walki?

Schilling coś powiedział?

- Tak.

Zwrócił uwagę na liczne części garderoby porozrzucane po całym domu.

Twierdzi, że morderca zmusza ofiarę, żeby się przebierała, jakby się z nią bawił.

- A ten skrawek firanki, który Gabriele Hasler miał w ręce.

- ... tonie firanka, tylko welon.

Był przyszyty do stroika, który już pewnie kupiła na ślub.

- Welon?

- zdziwił się Marthaler.

- A wiesz może, czy ta informacja została udostępniona prasie?

- Nie mam pojęcia.

Zresztą to bez znaczenia, bo podobno "Express" jakiś czas temu zrobił z nią wywiad, w którym sama opowiadała o planowanym ślubie.

Stąd te nagłówki.

Nawiasem mówiąc - rzucił Kai od niechcenia - naprawdę mógłbyś dać lepsze zdjęcie.

Marthaler rozejrzała się po twarzach kolegów.

Potem zamknął oczy, żeby odczekać, aż przestaną się śmiać.

- Jeszcze coś?

Manfred?

Co mówi obyczajówka?

- Dostałem listę skazanych za najrozmaitsze przestępstwa seksualne, którzy aktualnie są na wolności i mieszkają we Frankfurcie albo w okolicy.

Myślę, że w najbliższych dniach powinniśmy ich wszystkich odwiedzić.

Pozatym usiłowałem stworzyć możliwie dokładny opis naszego przypadku.

Dziś rano wysłałem go do BKAw nadziei, że coś im się skojarzy. Pudło.

W ostatnich dwudziestu latach nie mieli z niczym podobnym do czynienia.

Ale byli bardzo zainteresowani.

Oferują wszelką pomoc i proszą o natychmiastowe informacje, gdyby wydarzyło się coś nowego.

- Wyobrażam sobie.

- Marthaler skinął głową.

- I obawiam się, że niestety będziemy ich potrzebować,

115.

Sven Liebmann wstał, wyjrzał przez okno.
Popatrzył na kolegów.
Jego wąska twarz była blada.
- Coś robimy źle - stwierdził.
- Wydaje mi się, że tkwimy w stopniach wilgotnym cementu, a on powoli zastyga.
Przez te dwa dni nie posunęliśmy się ani o milimetr.
Pracujemy jak dzicy.
Ale pracujemy tylko po to, żeby coś zrobić, żeby nie siedzieć bezczynnie.
Widzieliście, co pisze prasa.
Brutalny morderca jest na wolności, a my nie mamy zielonego pojęcia, kogo szukać.
Ludzie wmieście się boją, przed wszystkim kobiety.
I ten strach będzie rósł.
Poruszamy się po omacku.
Równie dobrze mogliśmy po prostu czekać, aż coś się znowu wydarzy.
Liebmann głośno powiedział to, co myśleli inni.
Mielili wrażenie, że wszystko, co robimy, prowadzi donikąd.
Ale Marthaler wiedział, że nie mogą popuścić.
Nie mogą sobie pozwolić na rezygnację.
Nie ma czegoś bardziej szkodliwego niż taki nastrój.
- Nie, nie, nie.
Nasza praca jeszcze nigdy nie poszła namarnie.
To prawda: Jesteśmy bezradni.
I dlatego musimy być uparci.
Macać dalej.
W którymś momencie natrafimy na coś, co posunie nas o krok naprzód.
Może nie od razu zauważymy, ale tak będzie.
Nie mamy wyjścia.
Popatrzył po twarzach swoich ludzi.
Widział, że niewierzą jego zdecydowanie.
Poczuł wdzięczność, gdy zobaczył, że Kerstin kiwa potakująco głową.
- Robert ma rację.
Co proponujecie?
Co robimy?
- Byłem wczoraj w zakładzie medycyny sądowej - podjął Marthaler.
- Na ciele ofiary odkryto stare blizny.
Gabriele Hasler była już wcześniej krępowana i torturowana.
I to w taki sam sposób jak teraz.
To znaczy, że nasz przypadek ma historię.
Sprawdźcie, czy kiedyś wcześniej zostało wniesione takie oskarżenie!
Jeśli była badana przez lekarza, to musimy go znaleźć.
I jeszcze coś.
W tym
116
artykule, o którym wspomniał Kai, jest mowa o koleżance ze studiów.
Kto to jest?
Musimy z nią pomówić.
Znajdziemy ją, nawet gdybyśmy mieli przeszukać cały kraj.
I zrobimy to, co zaproponował Manfred: sprawdzimy wszystkich przestępców seksualnych,
zamieszamy w tym środowisku.

Może będziemy potrzebować wsparcia.
Aleje dostaniemy.

Skończył, w sali zaległa cisza.
W drzwiach pojawiła się głowa Elviry.
- Co się dzieje?

Ktoś umarł?

- Co tam?

- zapytał Marthaler.

- Herrmannznów dzwoni.

Chce żebyś natychmiast przyszedł do komendy.

- Herrmann działa mi na nerwy.

Nie mogę nieustannie składać raportów.

Mamy robotę.

- Jak chcesz, to mu topowiem -uśmiechnęła się Elvira.

-Powiedz mu - Marthaler westchnął - że będę za kwadrans.

Co z telewizją pod drzwiami?

- Poszli.

Powiedziałam im, że jesteś chory.

-Dobrze.

Dowiedziałą się czegoś w "City-Express"?

- Mówią, że nie wiedzą, kto zrobił to zdjęcie.

-Co to znaczy: nie wiedzą?

Albo zrobił je ich pracownik, albo kupili je od wolnego strzelca.

Ktoś nacisnął migawkę, ktoś dostał pieniądze za to, że włamał się nocą do zaplombowanego domu i zrobił zdjęcia, których niewolno mu było robić.

-Tak, ale redaktorka prowadząca mówi, że kupili je od agencji.

- To zadzwoń do tej agencji i zażądaj nazwiska i adresu fotografa.

Nie chcę, żeby takim typom uchodziło nasucho.

Elvira westchnęła.

117.

- Robert, jak długo razem pracujemy?

Dlaczego musicie ciągle zachowywać się, jakbyś był otoczony nowicjuszami?

Oczywiście, że zadzwoniłam do tej agencji.

Najpierw niechcieli mówić.

Ale jak zagroziłam rewizją, powiedzieli, że zadzwonił jakiś mężczyzna.

Honorarium przelali na anonimowe konto w Szwajcarii.

- Kurwa mać.

- To samo powiedziałam panu z agencji.

- I jak zareagował?

- Roześmiał się.

Dwanaście Marthaler pukał dwa razy.

Przyłożył ucho do drzwi i w końcu usłyszał ciche "proszę".

Po zalaniu całe zachodnie skrzydło na drugim piętrze nowej komendy nie nadawało się do użytku, więc Hans-Jürgen Herrmann przeniósł się do prowizorycznego biurka na parterze.

Szef wydziału zabójstw urzędował w małym pomieszczeniu bez okien.

Cichym głosem poprosił Marthalera, by usiadł.

Jedynym źródłem światła w pomieszczeniu był monitor komputera.

Oczy komisarza dopiero po chwili przyzwyczyły się do półmroku.

- Co się tu dzieje?

Zawołała elektryka?

- Nie, mam straszną migrenę.

Pan wybaczy.

Przyjmuję pana w tak zwanych utrudnionych warunkach.

Marthaler skinął głową.

Nagle drgnął.

Dopiero teraz zauważył, że w pokoju jest jeszcze jedna osoba.

Rozpoznał Raimunda Tollera, który wstał z krzesła, żeby się przywitać.

Zanim zdołał się otrząsnąć, tamten już ścisnął mu dłoń.

- Usiądźcie, panowie - powtórzył Herrmann.

- Usiądźcie.

Marthaler niechętnie posłuchał.

- A teraz, proszę, niech pan zdarelację ze śledztwa.

Doczego doszliście?

Jakie postępy?

119.

Marthaler bezradnie wzruszył ramionami.

Nie zdążył stworzyć ciast.

- Nic, prawda?

Nie mamy zupełnie nic - Herrmann rozłożył ręce.

- Jutro znów będę musiał wystąpić przed prasą i powiedzieć: patrzcie, to wszystko co mam.

Nic.

Puste ręce.

Tam gdzieś grasuje zabójca, a miasto nie ma żadnej ochrony.

Bo my, policja, nie wiemy, kto to jest, gdzie jest jak go dopaść.

Marthaler odniósł wrażenie, że jego głos z każdym zdaniem przybiera nasile.

Prawdopodobnie atak migreny był symulowany, nauczył się tego na tych swoich seminariach zarządzania i sztuki negocjacji.

Nie miał jednak pojęcia, do czego ta rozmowa zmierza.

- Zgadza się, szefie, mamy niewiele.

Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli, przynajmniej na razie, skoncentrować się wyłącznie na tej sprawie.

Gdyby koledzy z MK II najakimś czasie przejęli inne śledztwa.

- Właśnie to - odparł Herrmann - zarządziłem pół godziny temu.

- Poza tym - ciągnął komisarz - potrzebowalibyśmy wsparcia, przynajmniej jednego, dwóch ludzi.

Śledztwo będzie dość absorbujące i.

Herrmann i Toller wymienili spojrzenia.

Szef się uśmiechnął.

- Panie nadkomisarzu, pańska prośba zostanie wysłuchana.

Kolega Raimund Toller przez czas trwania śledztwa będzie pana wspierał ze wszystkich sił.

Marthaler pokiwał głową.

Dopiero teraz zorientował się, że wpadł w pułapkę.

Ani przez moment nie przyszło mu do głowy, że to był powód obecności Tollera.

Powoli pokręcił głową.

MK II - Mordkommission II, II Wydział Zabójstw.

120

- Nie, szefie.

Wie pan, że to niemożliwe.

Wie pan, że kilka lat temu domagałem się wewnętrznego śledztwa przeciw panu Tollerowi.

- Z którego Toller wyszedł czysty jak łąka.

- Śledztwo zostało umorzone, bo mieliśmy słowo przeciwko słowu - odparł.

- Nieważne.

Każdy człowiek może się zmienić.

Kolega Toller chce się rozwijać.

Zgłosił się do PIF, akomendant podpisał jego podanie.

Marthaler westchnął.

PIF to był skrót nazwy wewnętrznego programu szkoleniowego policji, który miał na celu rekrutację narybku do policji kryminalnej spośród własnych szeregów.

To był ten sam program, dzięki któremu Manfred Petersen przeszedł do nich z prewencji.

- Jeśli jest pan tak zdecydowany i chce dać Raimundowi Tollerowi szansę, to niech go pan przydzieli do MK II - podjął ostatnią próbę odwrócenia tego, co nieuniknione.

Hans-Jürgen Herrmann pokręcił głową.

- Myli się pan, komisarzu.

Nie poprosiłem pana, żeby dyskutować o czymś, co już zostało postanowione.

Zaprosiłem panów, bo chcę, żebyście sobie podali ręce.
Zabójstwo w Oberrad będzie pierwszą sprawą Raimunda Tollera.
Urodził się i dorastał w tej dzielnicy.
Chodził do szkoły w Sachsenhausen, od wielu lat pracuje w ósmym komisariacie.
Zna tę okolicę jak mało kto.
I ostatecznie to oni Steinwachs jako pierwsi zjawili się na miejscu zbrodni.
- Tak.
I zostawili tyle śladów, że technicy musieli pracować dzień dłużej.
Naten zarządczyni wydziału zabójstw też miał gotową odpowiedź.
- Słyszałem.
Ale pamiętajmy, że nie są doświadczonymi śledczymi.
Musieli zbadać miejsce zdarzenia.
Nie

121.

wiedzieli, czy sprawca nadal nie przebywa w domu.
Zrobili to, co w tym momencie uznali za jedynie słuszne.

Marthaler machnął ręką.

Skapitulował.

Nie przychodziłmu do głowy żaden argument, którym mógłby się przeciwstawić tej ofensywie dobrej woli.

Toller odezwał się dopiero teraz.

Muskularny mężczyzna sprawiał wrażenie niepewnego.

Spojrzał Marthalerowi w oczy, potem spuścił wzrok.

Wyglądał jak skruszony drugoklasista, który spowiada się za swoich małych grzeszków wyuczonym tekstem.

- Chciałbym pana poprosić o drugą szansę.

Proszę mi wierzyć, zmieniłem się.

Bardzo bym chciał z panem pracować.

Marthaler przyjrzał mu się.

Prawie się roześmiał.

Tym razem jednak nie uściśnął wyciągniętej dłoni.

Skinął tylko głową.

Herrmann wyglądał na zadowolonego.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

Co pan zamierza?

Jak włączy pan kolegę Tollera w śledztwo?

Marthaler zastanowił się.

- Niech się zgłosi jutro do Białego Domu.

Mamy listę przestępców seksualnych.

Chcemy przyjrzeć się każdemu z nich.

Tu będzie potrzebna pomoc.

- No proszę, to się nazywa zadanie.

A pan, nadkomisarzu?

Co pan będzie robił?

- Ja pojadę na stomatologię.

Gabriele Hasler mieszkała kiedyś z koleżanką.

Musimy z nią porozmawiać.

Muszę dowiedzieć się o jej nazwisko i adres.

Znajdziemy sprawcę tylko wówczas, gdy będziemy mieć obraz przeszłości ofiary.

Zakładamy, że ta koleżanka może być ważnym świadkiem.

- No to mam jeszcze tylko jedno pytanie: jakie nazwisko nosi Doro?

- Herrmann patrzył na nich zesprytnym uśmiechem.

122

Marthaler nie miał pojęcia, o co chodzi.

- O kim pan mówi?

Nie znam żadnej Doro.

.Wydawało się, że jego bezradność sprawia Herrmannowi przyjemność.

- Boty, Doro nazywa się Boty.

Do roboty, moi panowie!

Marthaler nie uśmiechnął się.

Odwrócił się i wyszedł.

Jechał przez miasto samochodem i kolejny raz dziwił się, jakie jest małe.

Przy niewielkim ruchu można dotrzeć z jednego końca na drugi w niecałe pół godziny.

Frankfurt to wieś z wieżowcami, myślał.

I właśnie mu się podobało: centrum z muzeami, ulicami handlowymi, parkami i zatłoczonymi placami, z katedrą, kościołem św.

Pawła, ratuszem Rómerbergiem.

A wokół małe miejscowości z domami z muru pruskiego, chłopskie gospodarstwa i restauracje z ogrodami ocienionymi przez drzewa, brzeg Niddy, sady, rozległe pola i ogromny Las Miejski.

To wszystko stało mu się przez lata tak bliskie, że nie wyobrażał sobie życia gdzie indziej. Choć często narzekał na tejsze warunki, czuł się tu zadomowiony.

I mimo że lubił wyjeżdżać na urlop nad morze albo spędzać weekendy w Rhön, Vogelsberg, Odenwald czy w górach Kasseler, zawsze przecież cieszył się na powrót.

I wciąż reagował niechęcią, gdy ktoś, kto nie znał tego miasta, wypowiadał się o nim pogardliwie.

Czasem miał wrażenie, że on i Frankfurt są jak rodzeństwo, które nieustannie się kłóci, lecz natychmiast zwraca się do siebie, gdy ktoś próbuje być bezczelny.

Jadąc przez Alte Brücke, przyglądał się bezlistnym, pokrytym śniegiem gałęziom drzew na Maininsel.

Kusiło go,

Rómerberg - plac przed ratuszem (Rómer), centrum starego miasta.

Rhön, Vogelsberg, Odenwald - pasma górskie w środkowych Niemczech.

123.

żeby pomachać zimującym tam łabędziom.

Przedostał się przez zachodnią część Sachsenhausen, na końcu Gartenstrasse znów zbliżył się do rzeki.

Zaparkował daimlera na parkingu przed kliniką, potem zapytał mężczyznę, który właśnie wsiadał do swojego samochodu, o drogę do Carolinum, gdzie mieścił się wydział stomatologii.

- Stoi pan przed nim - odpowiedział nieznajomy, wskazując głową na kompleks nowoczesnych, trzypiętrowych budynków rozciągający się wzdłuż brzegu Menu.

Wszedł do holu.

Recepcję oblegali pacjenci.

Podszedł do dużej tablicy informacyjnej i spróbował się rozeznać.

Zdecydował, że pojedzie windą na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się sale wykładowe i biblioteka.

- Mogę panu w czymś pomóc?

- kobieta za biurkiem miała szeroką, przyjazną twarz.

Spojrzała na Marthalerza nadokularów.

- Szukam kogoś, kto pracuje tu trochę dłużej.

- To pan znalazł.

Odsiedemnaście lat i dziewięć miesięcy jestem tu bibliotekarką.

Czy to wystarczająco długo?

Marthaler skinął głową.

- Szukam kobiety.

Uniosła brwi i popatrzyła na niego kąpiąco.

- Przykro mi bardzo - powiedziała, pokazując obrączkę.

- Ja już swoje szczęście znalazłam.

Dopiero teraz zorientował się, co powiedział.

Grzebiąc po kieszeniach, usiłował ukryć zakłopotanie.

Wyjął legitymację.

- Czy mówi pani coś nazwisko Gabriele Hasler?

Ztwarzy kobiety natychmiast zniknął uśmiech.

- Tak, oczywiście.

Studiowała tu.

Słyszeliśmy, co się

stało.

Jesteśmy wszyscy przerażeni.

- Czy to znaczy, że dobrze ją paniznała?

124

Nie, niemożę tak powiedzieć.

Często przesiadywała w czytelni.

Czasem sama, czasem z koleżanką.

Musiałam je pominąć, kiedy zbyt głośno szeptały.

To chyba wszystko.

Tylko raz.

- jakby się zawahała się.

- Tak?

- skinął głową zachęcająco.

- Raz miałam z nią scysję.

Pozwoliłam jej wyjątkowo wypożyczyć na weekend bardzo drogi podręcznik.

Kilkarazy obiecywała, że następnego dnia go odda.

W końcu przyznała się, że zgubiła książkę.

- I co pani zrobiła?

- Poprosiłam, by go odkupiła.

Bezskutecznie.

W końcu zaczęłam pisać upomnienia.

Ale podobno nie miała pieniędzy.

Pewnego dnia przyszedł profesor Wagenknecht, położył na stole dwieście pięćdziesiąt marek i powiedział, że na tym sprawa się kończy.

- Nie zdziwiło to pani?

- Uważałam, że to wielkoduszny gest.

Gabriele Hasler była studentką, chciał jej pomóc.

- Mówiła pani o koleżance.

- Czy to ta kobieta, której pan szuka?

- Tak - uśmiechnął się Marthaler.

- Chciałbym porozmawiać z nią o Gabriele Hasler.

Pamięta pani, jak się nazywała?

- Nie, ale niech pan zapyta profesora Wagenknechta.

On sobie przypomni.

Przez jakiś czas chodziły na wszystkie jego wykłady.

- Gdzie go znajdzie?

Wstała, przechyliła się przez biurko i wyrzła na korytarz.

Potem poprawiła okulary i zerknęła na zegarek.

- Przed chwilą tędy przechodził.

Pewnie poszedł coś zjeść.

Przy odrobinie szczęścia znajdzie go pan w Latającym Lisie.

125.

Marthaler przeszedł przez ulicę, ruszył deptakiem, oddalając się od miasta.

Na zarośniętym kawałku między rzeką a jezdnią znajdowały się ogródkidziałkowe i kemping, na którym stało kilka przyczep.

Był tu już przed laty, gdy szukali mężczyzny, który napadał na bezdomnych w parkach i zabijał ich młotkiem.

Mieszkańcy kempingu nie byli turystami, żyli tu nastale.

Niektórzy dlatego, że stracili pracę, więc nie mieli na wyśzyczysz, inni po prostu zostali po jakimś urlopie.

Przypomniał sobie strach i nieufność tych ludzi podczas przesłuchań.

"Wydawało się, że obawa przed policją dorównuje lękowi przed nieznanym mordercą.

Zobaczył zmurszałą tabliczkę wiszącą krzywo na pionulchy.

Ktoś zieloną farbą namalował na niej strzałkę i napis: Do Latającego Lisa.

Strzałka zaprowadziła Marthalerawprost na wąskąmierzję ciągnącą się wzdłuż brzegu rzekijakieś pięćset metrów.

Restauracja mieściła się w dawnym hangarze dla łodzi.

Budynek wyglądał, jakby gooddawnanie remontowano.

Z okiennic łuszczyła się farba, tynk na ścianach w niektórych miejscach był niemal czarny, na ziemi obok wejścia leżały porozbijane dachówki.

Otworzył drzwi i od razu znalazł się w sali restauracyjnej.

Za barem stała młoda kobieta.

Kiedy się do niejouśmiechnęła, zauważył, że brakuje jej jednego zęba.

Wykonała gest mający mu powiedzieć, żeby znalazł sobiemiejsce.

Przy stole pod oknem tyłem do sali siedział mężczyzna.

Marthaler stanął za nim.

- Profesor Wagenknecht?

Plecy siedzącego stężały.

Odwrócił się powoli.

- A kto pyta?

- Nazywam się Robert Marthaler.

Jestem policjantem Muszę pomówić z panem o Gabriele Hasler.

Twarz medyka zachmurzyła się.

Miał jakieś pięćdziesiąt pięć lat, krótkie, czarne, kręcone włosy, widać było, że

126

sport utrzymuje go w dobrej formie.

Gęste brwi zrastały

się nad nosem.

- Muszę się przygotować do seminarium - wskazał plik papierów leżący przed nim na stole.

- Nie mam wiele czasu.

- Ja też nie - odparł Marthaler.

- Wobec tego obu nam będzie na rękę, jeśli odpowie pan na moje pytania szybko.

Pozwoli pan, że się przysiadę i też coś zjem.

- Jedzenie jest tu wstrętne.

Profesorowi najwyraźniej nie przeszkadzało, że tę uwagę usłyszała młoda kelnerka, która właśnie przyniosła kiełbasę z musztardą i sałatkę kartoflaną.

- To dlaczego pan tu przychodzi?

- Bo chcę mieć spokój.

Marthaler usiadł.

Przejrzał kartę.

Zamówił mieszanąsałatę i piwo bezalkoholowe.

- Od czego chce pan mieć spokój?

-Od kolegów, pacjentów, studentów.

I policji.

- Znał pan Gabriele Hasler i wie, co się stało.

Mężczyzna milczał.

Zrobił kilka notatek, potemzrezygnowanym gestem zgarnął papiery, zakręcił pióroi odłożył je na stół.

- Znałem ją, jak profesor zna studentkę.

Kłamiesz, pomyślał Marthaler.

Kłamiezi wiesz, że cinie wierzę.

Ale mówisz tak, bo nie mogę ci nic udowodnić.

- Dlaczego mówi pantak,jakbyto był komentarz dlatelewizji?

Tak mówiałudzie w kryminałach.

Niewiem,Jak dobrze profesor zna swoich studentów.

Proszę mi towytłumaczyć.

Wagenknecht odchylił się i skrzyżował ręce na piersi.

Uśmiechnął się.

- Nie mam telewizora, panie komisarzu.

Marthalerusiłował zachować spokój.

Ale jego głos nabrał ostrzejszego tonu.

127.

- Niech pan w końcu odpowie na pytanie, profesorze!

-Gabriele Hasler chodziła na moje wykłady i seminaria.

Wygłaszała referaty, pisała u mnie prace.

Dwa albo trzy razy była wraz z całą grupą ize mną na cydrze.

A raz zapłaciłem za drogi podręcznik, który wypożyczyła z biblioteki wydziałowej i zgubiła.

- To wszystko?

I nie ma pan pojęcia, kto ją zabił?

- Nie, jak mówiłem, nie oglądam kryminałów.

Marthaler wyczuł, że nie posunie się dalej.

Postanowił zmienić temat, miał wątpliwość, że tym razem dostanie zadowalającą odpowiedź.

- Wiemy, że Gabriele Hasler miała koleżankę, z którą mieszkała.

Pamięta ją pan?

- Tak, oczywiście.

Nazywa się Stefanie Wolfram.

Wyjątkowo zdolna dentystka.

Spotkałem ją jakieś pół roku temu na kongresie, przekonywałem, żeby przyjęła posadęw Carolinum, właśnie zwolnił się etat.

Marthaler odetchnął.

- I wie pan, gdzie ją znajdzie?

- Proszę zapytać w moim sekretariacie.

Tam panu dadzą adres.

O ile się nie mylę, mieszka w Darmstadt.

- Nie chciała tego miejsca, które jej pan zaoferował?

- Nie, to naprawdę wielka szkoda.

Zawsze była trochę kapryśna.

Interesowała się zbyt wieloma rzeczami.

Niewiem, jakie miała plany.

Nie chciała o tym mówić, powiedziała tylko, że ma inne plany.

Marthaler skinął głową.

Pierwszy raz odniósł wrażenie, że trzyma w ręku jakąś nić, która nie ma dwóch wolnych końców.

Trzyznaście

Zaczął się popołudniowy ruch.

Jak każdego powszedniego dnia setki tysięcy dojeżdżających do pracy puszczały miasto, wracając do domów.

Wszystkie drogi wyjazdowe były zakorkowane.

Marthaler posuwał się zółwim tempem.

Włączył radio, ucieszył się, gdy spiker zapowiedział symfonię Dvoraka Z Nowego Świata poddyrekcją Nikolasa Harmoncourta.

Po półgodzinie wreszcie zostawił za sobą skrzyżowanie Frankfurter Kreuz.

Polai łąki rozciągające się poobustronach autostrady były pokryte śniegiem.

Od czasu do czasu na drzewie w pobliżu jezdni widać było ptaka czatującego na łup.

Z Latającego Lisa wrócił do Carolinum, poprosił sekretarkę Wagenknechta o adres i numer telefonu Stefanie Wolfram.

Zadzwoił do niej od razu, żeby zapowiedzieć wizytę, ale nie odebrała.

Przy zajeździe Grafenhausens skręcił z A5 i zjechał na parking.

Wyjął ze schowka atlas regionu Ren-Men, znalazł adres dentystki.

Mieszkała w darmstadtzkiej dzielnicy Kranichstein.
Dojedzie tam w niecałe pół godziny.
Wszedł dojazdu, żeby jeszcze raz zadzwonić.
Wybrał numer, czekał.
Nikt nie podnosił słuchawki, już chciał się poddać, gdy ktoś jednak odebrał.
Dopiero po chwili usłyszał słaby kobiecy głos.

- Halo?

Zirytowało go jej niezdecydowanie.

- Przepraszam, że przeszkadzam.

Nie zna mnie pani.

Nazywam się Marthaler.

Jestem policjantem.

Muszę z panią pomówić.

Znów cisza.

A potem szeptał.

- Jestem chora, spałam.

- Chodzi o Gabriele Hasler.

Będę u pani za pół godziny.

Spróbuję nie zabrać pani zbyt wiele czasu.

Nie odpowiedziała.

Usłyszał dzwonek do jej drzwi, powtórzył się kilkakrotnie.

- Ma pani gości.

Proszę mi tylko powiedzieć, czy mogą za chwilę przyjechać.

Kobieta milczała, ale słyszał, jak oddycha.

Znów dzwonek, trzy, cztery razy, jeden za drugim.

- Nie otworzy pani?

- Marthaler mocniej przycisnął słuchawkę do prawego ucha, lewe zasłonił, żeby odgrodzić się od hałasu w restauracji.

- Mam gorączkę.

Nagle w słuchawce rozległ się huk.

Walenie, jakby ktoś kopnął ciężkimi butami w drzwi.

Kobieta zaczęła krzyczeć.

- Pomocy!

Niech pan mi pomoże, ktoś włamuje się do mojego domu.

To napad.

Niech pan sprowadzi pomoc.

Drewno poddało się z głośnym trzaskiem.

Wiedział, co to znaczy.

Ktoś wylał drzwi.

Spanikowana kobieta krzyczała.

Głos jej się załamywał.

Chciał coś dalej powiedzieć, ale usłyszał, że słuchawkę wypadła jej z ręki.

Chyba uciekła do innego pokoju.

Potem padł strzał.

Był pewien, że to strzał.

Na moment zaległa cisza.

- Jadę - zawołał.

- Sprowadzę pomoc!

- ale wiedział, że jest za późno.

Że jego słowa już nikomu nie uspokoją.

130

Zaraz potem padł drugi strzał.

Przeszył go dreszcz.

Rzadko czuł się tak bezradny.

Był świadkiem przestępstwa i nie mógł nic zrobić.

Słuchał z napięciem.
Ale nic się nie działo.
Kilka sekund później połączenie zostało przerwane.
Ktoś odłożył słuchawkę.
Gorączkowo zastanawiał się, co robić.
Usiłował zachować spokój.
Wybrał numer Elviry.
Odebrała po drugim dzwonku.
- Był napad z bronią - powiedział.
- W Darmstadt.
Zawiadom natychmiast tamtejszą policję.
Najwyższy stopień alarmu.
Musi przyjechać pogotowie.
Podał nazwisko i adres Stefanie Wolfram.
Wsiadł do samochodu.
Dwadzieścia pięć minut później dojechał na miejsce.
Przed małym domem jednorodzinnym w ślepej uliczce na zbiegu stały dwa radiowozy.
Pojawili się już pierwsi gapię.
Na podjeździe garażu zobaczył karetkę z włączonymi światłami otwartymi tylnymi drzwiami.
Zaparkował daimlera dwadzieścia metrów dalej, przy chodniku.
Gdy wysiadł, na parterze pobliskiego budynku otworzyło się okno.
Wyjrzał z niego mężczyzna z wąsami na rękach, coś do niego zawołał.
Marthaler nie zrozumiał.
- Powiedziałem, że tu nie wolno parkować, młody człowieku.
Popatrzył na mężczyznę oniemiały.
W tej chwili wyrażenie "właściciel jamnika" wydało mu się najgorszą możliwą obelgą.
Ale pokręcił tylko głową.
Nie odezwał się, odwrócił i ruszył w stronę domu Stefanie Wolfram.
Jeden z policjantów chciał go zatrzymać, ale przepuścił go, widząc legitymację.

Drzwi nie zostały wyłamane, zrobiono w nich dziurękopniakiem.
Drewniane wypełnienie w okolicy zamka wpadło do środka, więc sprawca mógł sobie otworzyć od wewnątrz.

W korytarzu natknął się na młodego sanitariusza z walizką pierwszej pomocy.
Mężczyzna był blady.

- Za późno?

- zapytał, chociaż znał odpowiedź.

Sanitariusz skinął głową, minął go bez słowa.

- A pan kim, kurwa, jest?

Czego pan tu szuka?

Odwrócił się zaskoczony.

Za nim stała mała, korpulentna mężczyzna w o wiele za ciasnym, wystrzępionym płaszczu.

Jego okrągła, prawie łysa głowa poczerwieniała ze złości.

Wyglądał, jakby miał zamiar przejść do rękoczynów.

Marthaler uśmiechnął się mimowolnie.

Podniósł palec wskazujący.

- Mortadela, uważaj na ciśnienie.

Gruby wlepił w niego wzrok.

Kilka razy otworzył i zamknął usta.

Wreszcie rozpoznał komisarza.

- Robert, Robert Marthaler.

Jesteś doprawdy ostatni, któremu jeszcze wolno nazywać mnie Mortadela.

Nie mów mi tylko, że to ty jesteś tym frankfurckim kolegą, który wpakował nas w to gówno.

- Tak bym tego nie nazwał.

- Marthaler wyciągnął rękę.

Spotkał Konrada Morella przed wieloma laty na kursie doskonalenia zawodowego w szkole administracji w Muhlheim.

Przezwisko Mortadela przylgnęło do niego już pierwszego dnia i od tej pory nazywali go tak wszyscy: koledzy i prowadzący.

Gdy podczas jakiejś zażartej dyskusji Moreli zademonstrował swój choleryczny charakter i wałnął pięścią w stół, prowadzący zajęcia podniósł palec i ku uciesze uczestników napomniął go właśnie tymi słowami: "Mortadela, uważaj na ciśnienie".

132

Od razu polubił młodszego o kilka lat kolegę po fachu.

Moreli pochodził z małej wsi w Odenwald, po rozwodzie rodziców wychowywała go ciotka.

Wciąż jeszcze mówił z silnym akcentem rodzinnej okolicy.

Mimotusz był niezwykle zwinny.

Marthaler najbardziej zaścenił w nim otwartość i uwagę, jaką zwracał na wszystko i wszystkich.

Pamiętał wspólny, długi spacer w porze obiadowej do kamieniołomów w Dietesheim.

Moreli opowiadał, jak w dzieciństwie wciąż uciekał nocą z mieszkania ciotki do pustego domu rodziców.

Kładł się do ich łóżka, godzinami wgapiał się w sufit, czekał, że przyjdą.

Opowiadając, wielokrotnie przerywał, żeby zwrócić uwagę Marthalera na stukanie dziecięcia, rzadką roślinę czy szczególnie pięknego owada.

Nic nie wydawało mu się zbyt małe czy za mało ważne, żeby nie było warte sympatii.

- Tylko?

Jakbyś to określił?

Chcesz sobie obejrzeć, jak to tam w środku wygląda?

- Nie, proszę.
Oszczędź mi.
- To przejdźmy się, a ty mi powiesz, co się dzieje.
Gdy wyszli z domu, drogę zagroził im jakiś mężczyzna.
Marthaler poznał go.
To był właściciel jamnika.
- Można wiedzieć, co tu się dzieje?
- zapytał.
Wiedziony odruchem, chciał odburknąć, że nic mu dotego, ale Moreli go uprzedził.
- Kim pan jest?
- Sąsiadem, mieszkam tam - wskazał głową na dom, przed którym Marthaler zaparkował.
- Znał pan panią Wolfram?
- Oczywiście, że ją znam.
Od czasu do czasu moja żona i ja grywamy z nią w karty.
Dlaczego pyta pan, czy ją znałem?
To brzmi, jakby nie żyła.
- Bo nie żyje.
Została zamordowana.
133.

Mężczyzna zaśmiał się i pokręcił głową.

Przyjrzeni mu

się uważnie.

- Nie - powiedział.

- Niemożliwe.

-Ajednak.

- Proszę posłuchać, Stefanie Wolfram od półtora miesiąca jest w podróży.

Jeśli w jej domu ktoś został zamordowany, to może to być tylko ta młoda dama, która chwilowo tam mieszka.

Moreli spojrzał na Marthaler.

Ten pokręcił głową, że nie ma pojęcia, o czym mowa.

- O jakiej młodej damie pan mówi?

- Pani Wolfram skorzystała z usług biura pośrednictwa.

Mieli wynająć dom na czas jej nieobecności.

Od razu powiedziałem dożony, że ja bym czegoś takiego nie zrobił.

Nigdy nie wiadomo, kogo sobie człowiek sprowadzi.

- Zna pan nazwisko tej lokatorki?

- Nie.

Dość arogancka osobka.

Widziałem ją dopiero parę razy.

Nie uznała za stosowne przedstawić się.

Dziwna.

- Wie pan, gdzie przebywa pani Wolfram?

- zapytał Marthaler.

- Musimy się z nią koniecznie skontaktować.

- To macie panowie problem.

Wróci do Niemiec najwcześniej w lutym albo w marcu.

Pojechała do Australii i na Nową Zelandię.

Powiedziała, że bierze kilkamiesiący wolnego od życia.

Żadnej komórki, żadnego faksu, żadnych maili.

Moreli podziękował.

Odwracali się, gdy tamten złapał Marthaler za rękaw.

- I niech pan pamięta, że.

- Wiem - przerwał mu komisarz.

- Nie podoba się panu mój samochód.

Mimo to zostaniemy, gdzie stoi.

- A teraz ty - zażądał Marthaler, powiedziawszy Morellowi, w jaki sposób został telefonicznym świadkiem morderstwa w Kranichstein.

- Powiedz, co znaleźliście.

134

- Właściwie wiesz więcej od nas.

Drzwi były rozbite, stały otworem, gdy przyjechaliśmy.

Przeszukaliśmy wszystkie pomieszczenia, nikogo nie znaleźliśmy.

Sprawca zniknął, ofiary też nigdzie nie było.

Pomyśleliśmy, że dom jest pusty.

Potem ją odkryliśmy.

Leżała w dużym pokoju za kanapą.

Prawdopodobnie schowała się tam, podczas gdy ty czekałeś przy telefonie.

Miała na sobie tylko koszulę nocną.

Wyglądana to, że najpierw postrzelono ją z większej odległości w płuca.
Nie można jeszcze powiedzieć, czy był to strzał śmiertelny.
Drugi oddano z bliska, w głowę.
Sprawca prawdopodobnie przyłożył jej broń do skroni i kilkakrotnie pociągnął za spust.
Chyba mogę ci oszczędzić szczegółowego opisu?
Marthaler gorączkowo myślał.
Nie mógł sformułować żadnego wniosku.
Miał same pytania.
- Możesz mi powiedzieć, co to wszystko ma znaczyć?
- Mnie pytasz?
Importujecie nam tu to frankfurckie gówno, a teraz musimy je za was usunąć.
I najlepiej żebyśmy przy okazji wyjaśnili też waszą sprawę.
- Ale co łączy te zabójstwa?
Kim była ta kobieta?
Tego musimy się dowiedzieć na początku.
Dlaczego zastrzelono ją akurat w chwili, kiedy rozmawiała ze mną przez telefon?
Nie widzę związku.
Myślisz, że to mógł być przypadek?
Moreli popatrzył na Marthalera i skrzywił się.
- Robert, nie mówisz serio.
Chcesz porozmawiać ze świadkiem w sprawie morderstwa.
Świadek jest na urlopie, o czym w tym momencie jeszcze nie wiesz.
W słuchawce zgłasza się kobieta, którą bierzesz za świadka.
I podczas waszej rozmowy także zostaje zamordowana.
Więc proszę, niewylatuj mi tu przypadkami.
Marthaler zatrzymał się.
- Ale ta kobieta była w domu przez przypadek.
Stefanie Wolfram może nawet jej nie znała.
Znalazła to mieszkanie przez biuro pośrednictwa.

Moreli stanął tuż przed, nim, skrzyżował ręce na brzuchu.
Kołysał się, przenosząc ciężar ciała z palców na pięty, to przyzwyczajenie Marthaler zauważył już wcześniej.

- Robert, dodaj po prostu dwa do dwóch.

Jeśli tyznałeś tę kobietę za Stefanie Wolfram, to dlaczego nie miałeś zrobić sprawca?

Pomyliłeś się.

On też.

Chciał usunąć świadka.

I omyłkowo natrafił na nieznaną.

- To by oznaczało, że nie znał Stefanie Wolfram.

Inaczej by się nie pomylił.

Moreli pomachał ręką na znak, że to nie takie pewne.

- Ale jeśli jej nie znał ciągnął niewzruszenie Marthaler - to dlaczego miałby chcieć ją zabić?

- Może dlatego, że mógłby powiedzieć o frankfurckiej sprawie, co nie powinno dotrzeć do twoich uszu.

- Ale musiałby wiedzieć, że zamierzam ją przesłuchać.

Rozumiesz, co to znaczy?

- powoli zaczynali pojmować, jakie wnioski można wyciągnąć z tezy Morella.

- Nie, Konrad, to niemożliwe.

Moje dochodzenie.

- Wtedy można by powiedzieć, że twoje dochodzenie było wyrokiem śmierci dla Stefanie Wolfram.

Czy to możliwe, że macie w wydziale przeciek?

Marthaler poczuł, jak krew dopływa mu do stóp.

I jemuprzemknęło to przez głowę, ale wydało mu się to tak straszne, że nawet nie chciał tego domyśleć do końca.

Zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie.

Nikt nie wiedział, jakie mam plany.

Nikt nie wiedział, że chcę przesłuchać Stefanie Wolfram.

Ja sam poznałem jej nazwisko dopiero dziś po południu.

I nikt nie mógł nawet przypuszczać, że pojedę do niej od razu.

- No, to najgorsze masz za sobą.

Ale wciąż jeszcze może być tak, że sprawca znał jej nazwisko już przed tobą i obawiał się, że w którymś momencie zostanie przesłuchana

136

jako świadek.

W każdym razie powinieneś założyć, że to ten sam człowiek.

Marthaler skinał głową.

Nie mógł się pozbyć myśli, że być może jest współodpowiedzialny za śmierć nieznaną lokatorki Stefanie Wolfram.

Przyszłemu coś do głowy.

- Daj mi telefon.

Muszę coś sprawdzić.

Wygrzebał wizytówkę profesora Wagenknecht i wybrał numer sekretariatu.

- Gdzie jest pan profesor?

- zapytał.

- Muszę się z nim pilnie skontaktować.

- Przykro mi, prowadzi właśnie seminarium.
- Od której?
Jak długo je prowadzi?
- Prawie od trzech godzin.
Mam mu coś przekazać?
Ma do pana oddzwonić?
- Nie.
Dziękuję.
Już nie trzeba.
Potarł oczy.
Poczuł, że jest zmęczony i że niedługo będzie musiał coś zjeść.
Zaczynało się ściemniać.
Popatrzyła na zegarek i przestraszył się.
- Cholera.
Muszę jechać.
Zdzwonił się jutro przedpołudniem.
O dziewiętnastej był umówiony z Terezą na Lohr.
Teraz było tuż po wpół do szóstej.
Jeśli ma zdążyć wykapać się przebrać, będzie musiał się pospieszyć.
W żadnym razie nie może znów wystawić jej do wiatru.
Ani się spóźnić.
Był już w drodze do samochodu, gdy Moreli zawołała nim.
- Masz - wyciągnął rękę z telefonem.
- Do ciebie.
Najwyraźniej frankfurckiej policji nie stać na komórki.
To była Elvira.
- Streszczaj się, muszę natychmiast wyjechać.
Spiesz się.
- Nie spieszysz się - odparła.
137.

-Co to znaczy?

- Tereza dzwoniła.

Nie może dziś wieczorem.

- Dlaczego?

-Robert, a skąd ja mam wiedzieć?

Chciałaz tobą rozmawiać.

Powiedziała, że nie ma dziś czasu i że się odezwie.

Tylko ci przekazuję.

Wszystko inne musisz wyjaśnić z nią sam.

Ale jeśli mnie pytasz, to ma całkowitą rację, że jest taka powściągliwa.

- Tak, rozumiem.

Przepraszam.

Ale nie rozumiał.

I nie wiedział, za co przeprosił sekretarkę.

Wsiadł do daimlera i odjechał.

Za Arheilgen skręcił na drogę krajową.

W radio grali Carmina Burana Orffa.

Zniechęceni ją wyłączył.

Nigdy nie lubił tego utworu.

Za głośny, za pozerski.

I nie mógł się pozbyć myśli, że ta muzyka, skomponowana w czasach nazistowskich, właśnie wtedy odniosła wielki sukces.

Dobrze pasowała do tamtego okresu.

Jadąc A66i, zobaczył w lusterku, że samochody za nim mrużą.

Tuż za Offenbach skręcił w prawo i zatrzymał się na parkingu.

Dopiero teraz zorientował się, że zapomniał światła.

Wyłączył silnik.

Poczuł, że nie jest w stanie jechać ani metra dalej.

Miał dosyć wszystkiego.

Nie wiedział, o czym najpierw myśleć.

Wysiadł, żeby przejść się kilka metrów.

Problemy z Terezą, komplikujące się dochodzenie, własny stan fizyczny - to wszystko sprawiło, że po raz pierwszy w życiu zapragnął być kimś innym.

Choć w ostatnich dwóch latach często przeklinał swój zawód, jeszcze nigdy nie czuł się tak rozstrojony jak teraz, w wilgotnym chłodzie, na ciemnym parkingu przy drodze między Frankfurtem a Offenbach.

Kilka metrów od niego przystanął młody mężczyzna w grubej skórzanej kurtce, palił.

Podszedł i poprosił

o ogień.

Mężczyzna zapalił zapałkę i podsuwając ją Marthalerowi, niby niechcący musnął grzbiet jego dłoni.

- No to jak?

- zapytał.

- O co chodzi?

-Idziemy?

- Czego pan chce?

- nie zrozumiał Marthaler.

-Dokąd mamy iść?

Mężczyzna miał głęboko osadzone oczy o długich rzęsach i ładną, wąską twarz.

- To twój pierwszy raz?

Naraz Marthaler przypomniał sobie, że geje wykorzystują ten parking jako miejsce spotkań, że nawiązują tu kontakty i czasem po prostu znikają z nowymi znajomymi w krzakach.

Był skołowany.

Nie wiedział, jak odpowiedzieć.

- Nie.

Nie wiem.

Niejestem.

- wyjąkał.

Zaciągając się papierosem, zauważył, że drży mu ręka.

- Przepraszam - powiedział w końcu.

- Okej - młody człowiek uśmiechnął się.

A jednocześnie wyglądał na nieskończenie smutnego.

Odszedł.

Marthaler wrócił do samochodu i opadł na siedzenie.

Zamknął oczy.

Nie, pomyślał, taksję nie da.

Tak nie wolno żyć.

Ale gdyby go zapytano, o co mu właściwie chodzi, nie umiałby odpowiedzieć.

Gdy otworzył oczy, zobaczył, że mężczyzna rozmawia z kierowcą ciężarówki.

Kierowca skinął głową.

Marthaler włączył silnik i światła.

Odjeżdżając, widział w lusterku, jak chłopak otwiera drzwi szoferki.

Kiedy zajechał przed swój dom, zobaczył, że stara dozorczyńca stoi przed drzwiami, szukając kluczy.

Siedział.

w samochodzie, dopóki nie poszła.
Nie chciał jej spotkać.
Wysiadł, gdy zobaczył światła w jej mieszkaniu.
Powiesił płaszcz w przedpokoju, spojrzął w lustro.
Zmarszczył nos, odwrócił wzrok.
W kuchni nalał sobie kieliszek czerwonego wina.
Przeszedł do dużego pokoju i włączył grzewanie.
Gdy zasuwiał zasłony, w oknie naprzeciwko zobaczył młodą sąsiadkę.
Stała tak jak on, miała w ręku kieliszek wina i patrzyła w ciemność.
Nagle wydało jej się, że go zauważyła.
Uniósł kieliszek w jej stronę, odpowiedziała tym samym gestem, ale nie uśmiechnęła się.
O Boże, pomyślał, ale z nas ofiary.
Począł czekać, aż kobieta zniknie we wnętrzu mieszkania, dopiero wtedy zaciągnął zasłony.
Rozebrał się w łazience.
Wepchał ubrania do znowu przepelnionego kosza.
Wrócił do dużego pokoju, położył się na dywanie i zrobił kilka ćwiczeń.
Po pierwszych pięciu pompkach opuściły go siły.
Odwrócił się na plecy i uniósł nogi.
Nawet nie udało mu się doliczyć do dwudziestu, musiał opuścić je z powrotem.
Odpoczął chwilę, powtórzył ćwiczenie.
Tym razem liczył nieco szybciej.
Wstał, wyciągnął obieraczkę w górę i zaczął kręcić dłońmi małe kółka, aż poczuł skurcz w mięśniach pleców.
Zrobił kilka przysiadów.
Na koniec spróbował dotknąć rękami podłogi.
Nie udało się.
Ucieszył się, gdy zadzwonił telefon.
Odebrał, wciąż jeszcze ciężko dysząc.
- Och, przepraszam, chyba przeszkadzam.
Dlatego tak ci się spieszyło.
Martha wreszcie zobaczyła uśmiešek na okrągłej twarzy Konrada Morella.
- Nie, właśnie wszedłem.
- Nie mieszkaś na parterze?
- Nie.
- Pomyślałem, że od razu ci powiem.
Mamy nazwisko ofiary z domu Stefanie Wolfram.
Jeden z naszych ludzi
140
pojechał do biura pośrednictwa.
Była żoną samotnego architekta.
Niedawno się rozstali.
To on wynajmował dla niej dom.
- Rozmawiałeś z nim?
- Tak, właśnie niegdyś byłem.
- I?
- Sprawiał wrażenie wstrząśniętego, ale równocześnie jakby poczuł ulgę.
- Ulgę?
- Tak.
Gdy mu zakomunikowałem, że jego żona nie żyje, pomyślał, że popełniła samobójstwo.

To on chciał się rozwieść.

Mówi, że ostatnie miesiące były piekłem.

Alenie wyciągaj fałszywych wniosków, ma alibi.

Musimy to jeszcze sprawdzić, lecz jeśli znajomość ludzi całkiem mnienie zawodzi, to możesz przyjąć, że nie ma nic wspólnego z jej śmiercią.

- Dziękuję.

Coś jeszcze?

- Nie.

Zadzwoń jutro przed południem.

Ach.

Robert.

-Co?

- Możecie kontynuować.

Bawcie się dobrze.

I pozdrowienia.

- Głupi osioł.

Ale tego Konrad Moreli już nie usłyszał.

Było dopiero po ósmej, gdy następnego ranka Marthaler z torbą na ramieniu zbliżał się do Białego Domu.

Na chodniku zobaczył czerwoną klatkę dla kota.

Obok najezdni parkował samochód dostawczy z napisem "Bodega La Passionaria - tapasy, paella, muzyka".

Kucnął, zajrzał do klatki.

- Antonie Pawłowiczu - powiedział - co na Boga Ojcatu robisz?

- No jak to co?

Przeprowadza się, jakiego pańciusa.

Głos Carlosa Sabata słyhać było na całejutycy.

Marthaler powstrzymał atakśmiechu.

To, że technik określił się mianem "pańciusia", nie było ot, takim sobie zdrobnieniem.

Bo Sabato ważył ponad sto kilo i miał ponadstodzieci centymetrów wzrostu.

I ta jegotusza częstosłużyła Marthalerowi jako usprawiedliwienie własnej nadwagi.

Takigruby, uspokajał się czasem, to jajeszcie nie jestem.

- A co?

Myśleliście, że możecie tak po prostu zostawić mnie samego w klasztorze dla glin?

- I piętro szefów się zgodziło?

Sabato uniósł potężne ramiona i opuścił je.

- Zgodziło się, nie zgodziło, nieważne.

Położyłem na stole rezygnację i powiedziałem: jak nie dacie mi się, to odejdę.

142

Marthaler uśmiechnął się.

Cieszył się, że znów będzie miał go w pobliżu.

Techniki jego żona należeli do tych nielicznych, których określał mianem przyjaciół.

Ich przyjaźń rodziła się powoli i nie była łatwa, ale przetrwała kilka lat pełnych zmian.

Co wynikało pewnie z tego, że zarówno Sabato, jak i Marthaler, chociaż bardzo uparci, skłonni byli zmienić zdanie, jeśli okazywało się, że nie mieli racji.

- Jest tylko jeden problem - powiedział Marthaler.

- Nie mamy dla ciebie miejsca.

- Tararara.

Wszystko już załatwione.

Rozmawiałem z innymi lokatorami.

Wprowadzam się do piwnicy.

Z Antonem.

- A ja myślałem - odparł Marthaler, wskazując na samochód dostawczy - że przeczuciłeś się na gastronomię.

- Ach Roberto, La Passionaria to restauracja mojego szwagra.

Otwarcie w przyszłym tygodniu.

Niniejszym oficjalnie cię zapraszam.

Miguel robi taką paellę rybną, że będziesz oblizywał wszystkie palce.

- Dziękuję bardzo - pokręcił głową i poklepał się po brzuchu - ale robię właśnie to, co imy powinieneś zrobić.

Sabato skrzywił się, jakby usłyszał coś nadzwyczajnie przyjemnego.

- Mówisz, że chcesz.

- Się odchudzić!

Gimnastyka dla seniorów!

Picie wody!

Twarz technika wyrażała zdecydowaną odrazę.

- Wiesz, co by powiedziała moja mama?

Powiedziałyby:

albo jesteś chory, albo zakochany.

Być może jedno i drugie, pomyślał Marthaler.

Ale się nie odezwał.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- I wiesz, co jeszcze powiedziałyby moja mama?

- zawołała nim Carlos swoim głębokim głosem.

- Że jednogorsze od drugiego.

143.

Było jeszcze pusto.

Marthaler otworzył drzwi do biura, włączył górne światło i rozejrzał się.

Podniósł rolety w oknie.

Pierwszy raz miał czas bliżej przyjrzeć się swojemu nowemu miejscu pracy.

Elvira ułożyła jego rzeczy na biurku, postawiła kwiaty na oknie i powiesiła obydwa obrazy, które wszędzie z nim wędrowały.

Kopie Planów podróży Adolfa Menzela i Śniadaniaw pracowni Edouarda Maneta.

Zawsze, gdy na nie patrzył, odnosił wrażenie, że spływa na niego jakaś część emanującej z nich spokojnej koncentracji, że czerpie z nich siłę.

Chociaż wielokrotnie nauczył się od Terezy sztuce minionych wieków, zachował swój naiwny sposób patrzenia.

I cieszył się, gdy Tereza go w tym utwierdzała.

- Najważniejszą twoją oczą - mówiła.

- Musisz poprostu patrzeć.

I rozumiał, co miała na myśli.

Postawił torbę na biurku, przebrał się.

Ostatni raz miała sobiesiedres lat temu.

Ale spodnie jeszcze pasowały, nawet jeśli nieco opinały się na brzuchu.

Założył grubą kurtkę "rowerową" i starą wełnianą czapkę.

Pomyślał, że pewnie wygląda śmiesznie, ale postanowił się tym nie przejmować.

Gdy wyszedł na klatkę schodową, z podwórza doleciały głosy Kerstin Henschel i Elviry.

Chwilę później drzwi otworzyły się i zobaczył zdziwione twarze obu kobiet.

- Nie, proszę, żadnych komentarzy!

I nie patrzciez takim przerażeniem.

Idę do parku pobiegać.

Starszy pan zaczyna uprawiać sport.

Słyszysz się o tym, tacy ludzie istnieją.

Wrócę najdalej za godzinę.

Wtedy zaczniemy zebranie.

Wyszedł, nie czekając na reakcję.

Zanim zamknął drzwi, usłyszał, jak chichoczą.

Pomaszerował w górę ulicy nie jak sportowiec, ale jak spieszący się spacerowicz.

Przekroczywszy żelazną bramę parku Gunthersburg, zaczął powoli truchtować.

Na drodze załaził śnieg i lód, ślizgał się i potykał.

Ranek był przejrzysty

144

i zimny, pierwsze promienie słońca padały przez nagie gałęzie starych drzew.

To był jego ulubiony park we Frankfurcie.

Latem, wracając od grobu Kathariny na cmentarzu w Bornheim, często się tu zatrzymywał, siadał na ławce przed małą kawiarnią, zamawiał ciasto i cydr i patrzył na dzieci na placu zabaw.

Łagodna pagórki, stare drzewa liściaste, fontanna z mocnym strumieniem wody, boulodrom, rodziny, które przy ładnej pogodzie piknikowały na trawnikach - wszystko to pozwalało mu zapomnieć, że mieszka w jednym z centrów międzynarodowej przestępczości.

Przez kilka cennych chwil miał wrażenie, że jest na ulicy, nie musi o niczym myśleć ani nic robić - pozawystawianiem twarzy do ciepłego popołudniowego słońca.

Pokonał pierwsze wzniesienie i zauważył, że wszystkie jego myśli koncentrują się na ciebie.

Choć przebiegł dopiero kilkaset metrów, nie mógł złapać tchu.

Z tym się liczył.

Postanowił zwolnić.

Wciąż wyprzedzali go szybsi biegacze, inni zbliżali się z naprzeciwka, pozdrawiali go skinieniem głowy.

Dotarł do górnej części parku, gdzie prawie nie było drzew, zobaczył wieżę targową. Niebo wysklepiało się nad miastem błękitem, tu i ówdzie upstrzone jasnymi obłokami, lecące wysoko samoloty ciągnęły za sobą biały smugi.

Zrobił przerwę.

Chętnie dowiedziałby się, jak długi odcinek pokonał.

Spojrzał na zegarek.

Zajął mu to prawie dwaście minut.

Odpocząwszy, ruszył dalej.

Jeszcze trzy rundy, postanowił.

Starał się pamiętać o kontrolowaniu prędkości.

Gdy nie mógł biec, zatrzymywał się i robił kilka ćwiczeń.

Żeby nie przystawać za często, szukał punktów, które chciał osiągnąć przed następną pauzą: do tego zakrętu, do tej ławki, jeszcze pięćset kroków.

Tuż przed

145.

ukończeniu trzeciego okrążenia miał dosyć, chciał się poddać.

Ale zwyciężyła ambicja.

Wybiegł z ogrodzonego terenu.

Na wzniesieniu ścieżki zaśnieżonymi łąkami zobaczył kobietę w futrze, patrzyła w dal.

Wczesna spacerowiczka rozkoszująca się widokiem miasta.

Zbliżył się do niej powoli.

Gdyby miała pieska, wyglądałaby jak dama z opowiadania Czechowa, pomyślał.

Chciałby ją sfotografować.

Odwrócił się, ruszyła dalej.

Przebiegł obok, zasapany.

Mimowolnie wciągnął brzuch i spróbował dodać swoim krokom lekkości.

Wtedy usłyszał, jak woła jego imię.

Najpierw pomyślał, że się przesłyszał.

Ale zawołała jeszcze raz.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Tereza?

- podszedł dwa kroki.

Nagłowie miała futrzaną czapkę.

Patrzyła na niego niedowierzająco.

Bał się tej chwili.

A teraz jego dziwienie było tak wielkie, że nie wiedział, co robić.

Po prostu stał.

- Tereza - powtórzył.

- Tereza, Tereza.

- Mojego imienia w każdym razie nie zapomniałeś - uśmiechnęła się.

- Nie chcesz mnie przytulić?

- Tak.

nie, jestem spocony.

I wyglądam jak.

- Jak cudak.

Zaśmiał się.

Ale zagłębno.

- Tak, jak cudak.

Wydawało się, że wyczuwa jego zmieszanie.

Pocałowała opuszki palców i przytknęła do jego czoła.

Wiedziała, jak bardzo lubi ten gest.

- Nie poznałbym cię - wskazał na futro i czapkę.

Skinęła głową.

- Niemcy są zimne, gdy przyjeżdża się słońca.

- Tereza, to, że zapomniałem.

Tak mi przykro.

Nie uśmiechnęła się.

Patrzyła na niego w milczeniu.

- Wiem - powiedziaław końcu.

- Ale mimo to.

"

- Co mimo to?

- To nie było miłe, jak tak stałam na lotnisku.

- Jak?

- Z wielkim smutkiem.

I jak głupia.

Jak owieczka nadeszczu.

Słyszac to porównanie, omal się neroześmiał.

Szukał właściwych słów, alenić nie przychodziło mu do głowy.

Więc ucieszył się, gdy znów się odezwała.

- Byłam u Elviry.

Mówi, że uprawiasz sport.

- Tak, chyba przytyłem.

- Mówi, że chcesz być nowy.

To dobrze.

Nie wolno nam tak skończyć.

Marthaler spojrziała na nią pytająco.

- Jak ludzie, którzy są sobie obojętni.

Czekał na ciąg dalszy, ale i po niej znać było zakłopotanie.

- Tereza, nie jesteś mi obojętna - pogładził ją po policzku.

Patrzyła na niego badawczo ciemnymi oczami - W jej wzroku nie odkrył śladu twardeści, tylko wielką powagę i niepewność, której do tej pory nie znał.

- Jak chcesz, odbiorę cię dziś wieczorem.

Miałabyś czas spakować rzeczy. Włączyłem już ogrzewanie w twoim pokoju.

- Nie chcę - spuściła głowę,

patrzyła w ziemię. Poczul, jak pot stygnie muna skórze.

Zaczal marznąć, przestepował z nogi na nogę.

- Dlaczego?

- Wynajęłam pokój w pensjonacie, przeprowadziłam się wczoraj.

Dlatego nie mogłam przyjść.

Poczul, że jego odwaga maleje.

Nagle wystraszył się, że to może być koniec.

Że rozejdą się, nie mówiąc sobie, ile dla siebie znaczą.

146

147

- Chciałbym, żebyśmy byli razem.

Roześmiała się, a jemu wydało się, że to bolesny śmiech.

- Ja też.

Jesteś ładniejszy, nie będąc policjantem.

- Ale jestem.

- Lepiej nie, jak jesteśmy razem.

Nie wiedział, jak wytłumaczyć sobie jej słowa.

Przypomniałom się, co powiedziała Kerstin.

Może Tereza poznała w Madrycie innego mężczyznę.

A może tylko zorientowała się, że Marthaler nie jest tym, z kim chciałaby być, i teraz próbowała pożegnać się w miarę przyzwoity sposób.

Ipomyślał o tym, że niecałe dwa dni temu pijany leżał z Theą Hollmann na podłodze w jej domu.

Przeklinał siebie.

Przeklinał swoją nieporadność.

Odniosł wrażenie, że ma tylko jedną możliwość.

Musi powiedzieć Terezie prawdę, o której sam dowiedział się dopiero niedawno.

Szukał właściwych słów, ale mógł powiedzieć tylko to.

- Kocham cię.

Spojrzała na niego.

Między jej brwiami utworzyła się marszczka.

Pokręciła głową.

Potem odwróciła się plecami.

Patrzył na futro.

Czekał, a lenic.

Teraz to on poczuł się tak, jak Tereza musiała czuć się na lotnisku: jakowieczka w deszczu.

Wreszcie odwróciła się.

Zobaczył, że się uśmiecha.

Ale w oczach miała łzy.

- O Boże, Robert.

- Co, do licha?

Powiedz coś.

Znow pokręciła głową, sekundy ciągnęły się w nieskończoność.

- Jaciebie też.

Był tak zaskoczony, że pomyślał, że się przesłyszał.

Powtarzał w myślach jej słowa.

Nie byłowatpliwości,

148

powiedziała to, co usłyszał.

Najchętniej, mimoprzeoconego ubrania, wziąłby ją w ramiona i pocałował.

Jej wzrok jednak do tego nie zachęcał.

- Ja ciebie też - powtórzyła.

- Ale mimoto.

- Znow mimo to!

Mimo co?

Głos prawie załamał mu się ze zdenerwowania, zobaczył, jak mijająca ich właśnie biegaczka odwróciła się z zaciekawieniem.

- Mimo to pójdę do pensjonatu.

Gdy się z nim pożegnała, Marthaler poczuł się tak lekko, że najchętniej zrobiłby jeszcze cztery rundy wokół parku.

Alen nie miał czasu.

Mimo to nie spieszył się z powrotem do Białego Domu.

Cieszył się tak bardzo, że chciał jeszcze pobycić tam, choćby kilka minut.

Nie zastanawiając się, corobi, przez całą drogę gwizdał.

Arię Cherubina z drugiego aktu Wesela Figara.

Otworzył drzwi do sali odpraw.

Już na niego czekali.

- Przepraszam, zaraz do was przyjdę.

Zignorował ironiczne spojrzenia kolegów.

Uśmiechnął się i zamknął drzwi.

Elvira popatrzyła wyczekująco, gdy przechodził koło jej biurka.

Pękała z ciekawości.

Ale on tylko się uśmiechał.

Zabrał torbę, mrugnął do sekretarki i poszedł wziąć prysznic.

Dziesięć minut później, już przebrany, usiadł przy zabójczym stole.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Nikt nie mówił.

W końcu Kai Dóring przerwał ciszę.

- I?

- Co i?

- Jak było.

w parku?

- Tak jak bywa, gdy dawno nie uprawiało się sportu.

Wyczerpująco, ale dobrze.

149.

- Nie, mam na myśli.

Wiedział, co Dóring miał na myśli.

Najwyraźniej wieśćo jego spotkaniu z Terezą już się rozniosła.

- Robert, nikt tu nie chce być niedyskretny.

zaczęła Kerstin.

-Ale?

- Ale chcielibyśmy wiedzieć, jak się ma nasz szef.

-Odpowiedź jest prosta: musicie wyobrazić gosobie jako człowieka szczęśliwego.

Przyjrzał się twarzom kolegów.

Najwyraźniej cieszyli się razem z nim.

Pojął, że Kaiem Dóringiem nie powodowała ciekawość.

Chyba naprawdę się o niego martwili.

- A teraz do roboty.

- powiedział, chcąc zatuszować zakłopotanie i uniknąć kolejnych pytań.

-Zanim jednak zaczniemy, muszę wam coś powiedzieć.

Dołączy do nas Raimund Tollerz ósmego komisariatu.

Przyjdzie tu w ciągu przedpołudnia.

Nie jestem tym zachwycony i przypuszczam, że wy też nie.

Mimo to chcę spróbować to wyjaśnić.

Sven Liebmann machnął ręką.

- Już wiemy.

Herrmann był tu pół godziny temu.

Najwidoczniej chciał się upewnić, że to przełknijemy.

A potem zapytał jeszcze o coś.

- Chyba nie o to, jak nazywa się Doro?

Liebmann wyszczerzył zęby i skinął głową.

- Dobrze.

Więc nie musimy rozmawiać o Tollerze.

Musimy za to spróbować jakoś się z nim dogadać.

Opowiedział oswojej wizycie w Carolinum i spotkaniu z profesorem Wagenknechtem.

O tym, jak dowiedział się, gdzie mieszka koleżanka Gabriele Hasler i próbował nawiązać z nią kontakt.

Staralsię nie opuścić żadnego detalu, chciał, żeby wszyscy wiedzieli o co on.

Zrelacjonował fakt zabójstwa żony darmstadtzkiego architekta i jak stał się jego świadkiem.

Skończył po godzinie.

150

Natychmiast zaczęli wszystko analizować.

Zastanawiali się nad tym, o czym Marthaler i Konrad Moreli rozmawiali już na miejscu zbrodni.

Pracowali długo, bardzo skoncentrowani.

Wreszcie doszli do takiego samego wniosku: nawet jeśli obydwaj przestępstwa na pierwszy rzut oka wyglądają tak, jakby nic ich nie łączyło - w jednym przypadku kobieta była torturowana przez wiele godzin; w drugim sprawca z miejsca zastrzelił ofiarę i od razu zniknął - musiał to być ten sam człowiek.

Wszystko inne było po prostu zbyt nieprawdopodobne.

Być może przypadkiem morderca wdarł się do domu w Kranichstein akurat w chwili, gdy Marthaler tam zadzwonił.

Ale musiał wiedziećo Stefanie Wolfram, o jej przyjaźni z Gabriele Hasler.

I nie chciał, by ta pierwsza spotkała się z policją.

Nie spodziewał się, że w domu Stefanie Wolfram napotka inną kobietę.
Pomylił się, tak jak pomylił się Marthaler.

- Stefanie Wolfram żyje - powiedział Marthaler- ale jest w wielkim
niebezpieczeństwie.

Nie wiemy, gdzie przebywa.

Podróżuje.

Prawdopodobnie po Australii albo Nowej Zelandii.

Jeśli morderca dowiedział się o swojej pomyłce, a prawdopodobnie już się dowiedział, będzie
próbował ją odnaleźć, żeby naprawić błąd.

To znaczy, że musimy być szybsi.

Musimy znaleźć koleżankę Gabriele Hasler, zanim ją znajdzie.

- A jak to sobie wyobrażasz, skoro nikt nie wie, gdzie jest?

- zapytał Sven.

- Ktoś musi wiedzieć.

Może rodzice.

Nikt nie znika tak po prostu na wiele miesięcy.

I musimy być pewni, że nikt poza nami nie dowie się, gdzie jest i kiedy wraca.

Proponuję, żeby zajęli się tym Kerstin i Kai.

Kerstin skinęła głową.

Popatrzyła na Marthaler z wdzięcznością.

Najwyraźniej ucieszyła się, że nie musi

151.

jak zwykle pracować w parze z Manfredem Petersenem Cokolwiek się między nimi wydarzyło, miała rację: niebyłoby dobrze, gdyby Marthaler wiedział za dużo. W przeciwnym razie musiałby być może wziąć czyjaś stronę, co z pewnością zaszkodziłoby wspólnej pracy.

- Chciałbym jednak, żebyście jeszcze zostali.

Przejrzymy listę, którą Manfred dostał z obyczajówki.

Myśle że powinni być przy tym wszyscy.

Nie robię sobie wielkich nadziei, ale musimy to zbadać.

Petersen wetknął jakąś wtyczkę do swojego laptopa, potem wstał, żeby włączyć rzutnik.

Zanim zdążył otworzyć usta, uchyliły się drzwi.

Staną w nich mężczyzna, którego w pierwszej chwili nikt nie rozpoznał.

Potem zorientowali się, że to Toller.

Nikt nie widział go dotychczas bez munduru.

Miał na sobie flajersa i lustrzane okulary słoneczne.

Wyglądał jak detektyw z amerykańskiego serialu.

Prawdopodobnie taki miał zresztą zamysł.

Uśmiechną się, ale znać było po nim niepewność.

Jego mocna szczęka drgała z napięcia.

Marthaler poprosił, by znalazł sobie jakieś krzesło i zdjął okulary.

- Jesteś przyzwyczajeni patrzeć sobie w oczy.

Toller zdjął kurtkę i powiesił na krześle, usiadł.

Pod bluzą odznaczała się silna muskulatura klatki piersiowej ramion.

- To jestem - powiedział.

Milczeli.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

Manfred podszedł do kłosa i zasunął rolety.

Piętnaście

Pokój odprawy rozświetlał tylko obraz rzucany na ścianę.

Zdjęcia dwunastu osób.

Wyłącznie mężczyzn.

Jedni sprawiali wrażenie eleganckich, inni zaniedbanych.

Byli wśród nich starsi i młodzi.

Z niektórych twarzy bił strach i zaniepokojenie, większości jednak wrogość i bezwzględność.

W każdym razie zdjęcia zrobiono podczas aresztowania.

Petersen nacisnął jakiś guzik, na ścianie pojawiło się dwanaście kolejnych twarzy.

- Jak widzicie, obyczajówka oddała mi do dyspozycji swój elektroniczny album.

Dużą liczbę skazanych mogłem z góry wykluczyć, bo albo umarli, albo siedzą.

Zostało pięćdziesięciu dwóch kandydatów, którymi powinniśmy się przyjrzeć.

Ostatnie znane miejsca zamieszkania tych mężczyzn to Frankfurt lub okolice.

Każdy z nich to trzynastka.

Mają na sumieniu wszystko, co wymienione jest w artykułach sto siedemdziesiąt cztery do sto osiemdziesiąt cztery.

- Manfred, proszę.

- przerwał mu Marthaler.

Petersen podniósł przepaszającą rękę.

- Okej, okej.

Trzynasty rozdział kodeksu karnego mówi o przestępstwach przeciwko wolności seksualnej i obyczajności.

Zaczyna się artykułem sto siedemdziesiąt cztery o wykorzystaniu seksualnym podopiecznych, a kończy

153.

na sto osiemdziesiątym czwartym, mówiącym o prostytutce zagrażającej małoletnim. Artykuł sto siedemdziesiątych, jak wszyscy wiecie, chwala Bogu, został usunięty -zawahał się na moment, jakby nie był pewien, czy musi wyjaśnić.

- W porządku- odezwał się z ciemności Kai Dóring -masz namyśli zapis o homoseksualistach.

-Właśnie.

Ale wracając do naszych chłopców.

Niemaświństwa, którego by nie popełnili.

Spróbowałem stworzyć listę rankingową.

Szczególnie trudne przypadki i recydywistów powinniśmy sprawdzić od razu, resztę, jak znajdziemy czas.

Petersen kliknął na jedno zdjęcie, które zobaczyli teraz w powiększeniu.

Widniała na nim szczerpa twarzy mężczyzny, ciemne oczy niewzruszenie wpatrywały się w policyjny obiektyw.

- Zaczniemy od niego: Marko Anschutz, dziś czterdziestosześcioletni.

Pochodzi ze wsi w Lesie Bawarskim.

Przyjechał z matką do Frankfurtu w latach sześćdziesiątych.

Już na szkolnym podwórku wyróżniał się skłonnością do przemocy.

A może powinienem powiedzieć na podwórkach, bo wielokrotnie musiał zmieniać szkołę.

Jeszcze jako dzieciak podpalił ze starszymi kolegami kamerę nabudowie, napadł na kiosk.

Mając szesnaście lat, próbował sprzedać swoją czternastoletnią siostrę

jugosłowiańskiemu górnikiem.

Mając siedemnaście, odurzył kroplami KO trzydziestopięcioletnią kobietę poznaną w knajpie w Alt-Sachsenhausen i zgwałcił ją.

Ofiara wycofała zeznania, stwierdziła, że stało się to za jej zgodą.

Przypuszczano, że Anschutz ją zastraszył.

Jeszcze jako niepełnoletni bywał w dzielnicy dworcowej na Alte Gasse.

Czasem jako klient, czasem przesiadywał w knajpach, żeby nawiązać kontakt ze środowiskiem, co coraz lepiej musiał udawać.

154

Był znany z brutalności, także w stosunku do kobiet.

Mówią, że sutenerzy chętnie się nim wysługiwali, gdy trzeba było złamać opór dziewczyn.

W lutym 1990 w lesie za Niederursel znaleziono zwłoki młodej Wietnamki.

Przed śmiercią została zgwałcona przez pięciu mężczyzn.

Jednym z nich był Marko Anschutz.

Wszyscy zostali ujęci i skazani.

Anschutz na dwanaście lat.

Zważywszy na jego przeszłość i opinię, był to wyrok łagodny, sędzia uzasadnił go niemożnością pełnego wyjaśnienia jego roli w przestępstwie.

Chyba balisę go nawet współnicy, bo próbowali go kryć.

Aktualnie wolności.

Podobno umocnił swoją pozycję w środowisku.

Według zeznań przychylnego mu świadka ma "jakiś brutalny charakter.

Myślę, że z pełną odpowiedzialnością można go nazwać niebezpiecznym dla społeczeństwa.

Słuchali z wytężoną uwagą.

- Mam nadzieję, że was nie nudzę - przerwał na moment Petersen.

- Nawiasem mówiąc, nie musicie robić notatek.

Przygotowałem małe dossier o każdym z tych mężczyzn.

Znajdziecie tam wszystko, co musicie wiedzieć, sprawdzając ich.

Nikt się nie odezwał, więc przełączył na kolejne zdjęcie.

W tym momencie jednak wtrącił się Sven Liebmann.

-Manfred, wszyscy cenimy twoją pracowitość, tyle że jeśli chcesz nam opowiadać historię życia każdego z twoich pięćdziesięciu dwóch łajdaków, to będziemy tu siedzieć jeszcze z tydzień i oglądać ich zdjęcia, zamiast się nimizować.

Robert Martha-lerteż bał się, że ucieka im czas.

Kilkarazy sam był bliski przerwania Petersenowi, lecz zmienił zdanie.

- Nie - powiedział - idźmy dalej.

Nie możemy wysłuchać wszystkich historii, ale przynajmniej przyjrzyjmy się
155.

kilku.

Nie ma sensu zaczynać tej sprawy bez przygotowania.

Chcę wiedzieć, z jakimi ludźmi mamy do czynienia, w jakim środowisku się poruszamy.

Może żaden z tych pięćdziesięciu dwóch mężczyzn nie ma nic wspólnego ze śmiercią Gabriele Hasler.

Mimo to spróbujmy się czegoś dowiedzieć o takich ludziach.

Jeśli nie możemy zbliżyć się do sprawy od zewnątrz, to musimy przyjrzeć się jej od wewnątrz.

Pozostali skinęli głowami potakująco.

Następne zdjęcie ukazywało mężczyznę o miękkich rysach twarzy, mniej więcej sześćdziesięcioletniego.

Miał rzadkie włosy i bardzo małe oczka.

Gdy fotograf naciskał migawkę, jego usta były zaciśnięte, a podbródek wysunięty.

Wyglądał, jakby chciał pokazać, że nie ma sobie nic do zarzucenia, że dzieje mu się krzywda.

Nazywał się Heinz Magenau i pochodził ze Stuttgartu.

Był założycielem i członkiem grupy "Wspólnota Życia Ekoetycznego", zarejestrowanej jako stowarzyszenie użyteczności publicznej i wspieranej ze środków publicznych.

Heinz Magenau początkowo pracował jako pielęgniarz w klinice dla dzieci, zdał jednak zaocznie maturę i zaczął studiować socjologię oraz pedagogikę.

Na początku lat osiemdziesiątych kupił podupadłe gospodarstwo w odludnej dolinie w Spessart, gdzie założył ośrodek dla dzieci sprawiających trudności wychowawcze, oprócz uprawy roślin miały także zajmować się hodowlą zwierząt.

Gdy pojawiły się pierwsze nieregularności w płatnościach i pogłoski o wykorzystywaniu seksualnym podopiecznych, ośrodek zamknięto, a wspólnocie odebrano status stowarzyszenia użyteczności publicznej.

Magenau był już w tym czasie żonaty, miał trzech synów i cztery córki.

Rodzina przeprowadziła się do Frankfurtu, gdzie ojciec znalazł zatrudnienie w domu dziecka.

Kiedy jedna

156

z wychowanek osiągnęła pełnoletniość i opuściła dom, oskarżyła go o molestowanie.

To, co wyszło na jaw w postępowaniu, przekraczało granice wyobraźni.

- Nikt z nas nie lubi tego słowa - powiedział Petersenale Heinz Magenau jest seksualnym potworem.

Udowodniono mu molestowanie w dziewięciu tysiącach czterystu dwudziestu trzech przypadkach.

Wyczytał wszystko, o czym kiedykolwiek słyszano.

Uprawiał seks oralny i analny zarówno z młodzieżą, jak i z powierzonymi mu dziećmi.

Z dziewczynkami i chłopcami.

Bił żonę i zmuszał ją do uprawiania siebie.

Regularnie odwiedzał prostytutki, które miały w ofercie sado-maso.

Stale uprawiał seks z każdym ze swoich siedmiorga dzieci.

A nawet ze zwierzętami.

Niestety, gdy doszło do procesu, wiele z jego czynów uległo przedawnieniu.

Został skazany na karę więzienia i poddany leczeniu psychiatrycznemu.

Obecnie jest na wolności, uchodzi za wyleczonego.

Wciąż jeszcze mieszka z żoną, które reżymnaria bardzo go obciążały, w ruderze na północy Frankfurtu.

Dwoje jego dorosłych już dzieci mieszka z nimi.

W pobliżu znajduje się, nawiasem mówiąc, duża szkoła.

Magenau prowadzi kiosk na nazwisko żony, gdzie uczniowie kupują słodkie napoje.

- Co za gówno - skrzywił się Marthaler.
- Co za śmierdzące bagno.
Długo tak jeszcze będziesz?
- Dobrze - zgodził się Petersen.
- Trzy następne przypadki pójdą szybciej, ale muszę je omówić, żebyśmy mieli możliwie kompletny obraz.
Naekranie znów pojawił się duży portret mężczyzny.
- Theodor Lenau, pół-Niemiec pół-Rosjanin.
Jak widać dość silny facet.
Z zawodu mechanik samochodowy, ale miał się wszystkich możliwych zajęć.
Samotnik.
Dla podreperowania domowego budżetu grał w pokera na pieniądze, od czasu do czasu szmuglował na Wschód luksusowe

samochody.

Ale nas interesuje co innego.

Lenau częstokorzystał usług prostytutek, najchętniej takich, które świadczą usługi w mieszkaniach prywatnych.

Kazał się rozbierać, podczas gdy sam zostawał w ubraniu.

Nagie kobiety bił po twarzy.

Trzeba podkreślić, że chodzi o prostytutki, które w swojej ofercie nie miały sado-maso.

Kupował ich milczenie sowitymi napiwkami.

W którymś momencie zaczął nie tylko bić, ale również dusić.

Jedną ofiar ledwo uszłaż życiem.

Przed sądem bronił się, że takbyli umówieni.

Jak zwykle znalazł się ekspert, który wyraził przypuszczenie, że powodów zachowania Lenaua należałoby szukać w jego dzieciństwie.

Matka sprzedawała się, przyjmowała klientów w domu, podczas gdy chłopiec siedział zamknięty w sąsiednim pokoju i nie wolno mu było pisać.

Nawet jeśli Theodor Lenau nie jest klasyczną trzynastką, to jednak sądzę, że jego przypadek znalazł się tu nie bez racji.

Został skazany, odsiedział swoje, znów jest na wolności.

Gdy Manfred kliknął na następne zdjęcie, Kersting wzdęła przez zęby.

- Temu to kobiety słały się do stóp.

- A jakże.

Ina dodatek w dosłownym znaczeniu.

Luigi Pavese, zwany Pięknym Lutzem.

Włoskiego pochodzenia, ale wychowany w Niemczech.

Przedstawiciel firmy produkującej sprzęt gospodarstwa domowego.

Zaczął wyłącznie mężatki, umawiał się z nimi na kawę, a następnie zabierał na spacer.

Zawsze wyszukiwał ustronne restauracje zamiastem.

Zwabiał ofiary nałęką albo do lasu, gdzie muszał je, żeby się rozebrały i uklęły.

Następnie zawiązywał im oczy, obrzucał najbardziej obscenicznymi przekleństwami, dotykał i onanizował się.

Kobiety musiały powtarzać jego obelgi i zapewniać, że to rozkosz być pieszczoną przez Pięknego Lutzę.

Po zaspokojeniu zabierał im ubrania i znikał.

Skazany, odsiedział karę, obecnie na wolności.

158

Ostatnim sprawcą, którego Manfred Petersen pokazał im tego ranka, był fotograf Helmut Drewitz.

Przez dłuższy czas miał w branży znakomite notowania.

Uchodził za jednego z najlepszych, sprzedawał zdjęcia do wszystkich ważnych gazet i czasopism.

Bank sfinansował mu willę w Kronbergu.

Jeździł wielkimi samochodami, trzy razy do roku brał urlop.

Zaczął się staczać, gdy odeszła od niego żona.

Popadł w alkoholizm, długi rosły.

By zarobić na życie, zaczął przyjmować brudne zlecenia.

Specjalizował się w tak zwanych dziecięcych portretach.

Fotografował na placach zabaw, basenach i plażach nudystów.

Im młodsze były dzieci, im bardziej rozebrane, tym lepiej sprzedawały się zdjęcia.

Szukał i znajdował rodziców, którzy za stosowną płatą pozwalali fotografować swoje dzieci tak, jak tego chciał.

Podczas aresztowania znaleziono archiwum składające się z ponad trzydziestu tysięcy negatywów i kartotek klientów liczącą blisko pięćset nazwisk.

Marthaler uderzył ręką w stół.

- Okej, wystarczy!

Podnieść rolety, otworzyć okna!

Zaraz się uduszę.

Wstał, żeby wypuścić do sali światło i powietrze.

Döring wyszedł bez słowa.

Gdy minutę później otworzył drzwi, był w płaszczu.

- Chodź, Kerstin.

Muszę stąd wyjść.

Dobrze, że mamy co innego do roboty i nie będziemy się zajmować tym gównem.

- Obawiam się, że nie zostanie wam to oszczędzone - powiedział Marthaler.

- Jeśli chcemy przejść całą tę listę, przez jakiś czas roboty będzie huk.

- To znaczy, że musimy pomnożyć przez dziesięć wszystko, co tu sąsiedziliśmy.

Dopiero wtedy obraz będzie pełny - odezwała się Kerstin.

159.

Petersen skinął głową, nie patrząc na nią.

- Tak, niestety nie mogę zaprzeczyć.

Henschel i Döring wyszli, reszta omówiła dalszy plan działań.

Zgodzili się, że utworzą dwie grupy.

Liebmanni Petersen będą pracowali razem; Marthaler z Tollerem.

Każda grupa w ciągu jednego dnia sprawdzi pięciu przestępców.

Do przypadków, o których opowiedział Manfred, dojdzie jeszcze pięć, z którymi będą musieli się zapoznać.

Petersen wyjął dossier, sporządzone razem z kolegami z obyczajówki.

Podzielili się, nie patrząc na nazwiska.

Były szef domu dziecka Heinz Magenau przypadł Marthalerowi i Tollerowi.

Podobnie jak fotograf Helmut Drewitz i pół-Rosjanin pół-Niemiec Theodor Lenau.

Do tego jeszcze dwóch, ich akta będą musieli przejrzeć, przygotowując się do przesłuchania.

- Nieważne, ile mamy pracy - powiedział Marthaler.

- Jestem głodny.

Czytając, możemy równie dobrze jeść.

Coś przyniosę.

A Elvira będzie może tak miła i zrobię dla niej mocną kawę.

- Idź do Harry'ego - powiedziała Elvira.

- Mały sklep na Rohrbachstrasse.

Najlepszy piekarz w okolicy.

Założę się, że będziesz zachwycony.

I przynieś mi, proszę, bułkę kukurydzianą.

Ucieszył się, że może wyjść z Białego Domu.

Długie zbranie go zmęczyło.

Niebo wciąż jeszcze było niebieskie, południowe słońce topiło śniega ulicach.

Wreszcie miał okazję przez chwilę pomyśleć o Terezie.

Cieszył się z spotkania z nią i tym razem nie mąciło jego radości.

Umówili się wieczorem na kolację, potem mają wypić jednego kieliszek wina.

Może, powiedziała Tereza.

Z przeciwka nadeszła grupka dzieci.

Wracały zeszkoły.

Wszystkie niosły kolorowe tornistry, ugięły się pod ich

160

ciężarem.

Po raz pierwszy od dawna Marthaler zastanowił się, jakby to było samemu mieć dziecko.

Ciekawe, czy Tereza o tym myślała.

Nigdy nie rozmawiali na ten temat.

Wyszedł z piekarni obciążony dwiema wielkimi torbami z pieczywem.

Nie mógł się oprzeć, otworzył jedną.

Chciał spróbować tylko mały kawałek bułki kukurydzianej.

Gdy wrócił do Białego Domu, już jej nie było.

Elvira miała rację.

Szesnaście " , " .

Toller prowadził w milczeniu.

Mrużył oczy,

słońce go oślepiało.

- Możepanzałożyć okulary - powiedział Marthaler.

-I spokojnie może pan cośpowiedzieć.

Jeśli mamy razempracować, to musimy ze sobą rozmawiać, czy tego chcemyczy nie.

- Tak - zgodził się Toller.

-Tak - powtórzył zanim Marthaler.

Tollerwyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Nie wiem, jakmam się dopanazwracać.

Nie jestemprzyzwyczajony, między kolegami.

- Nie - przerwał mu komisarz - nie będziemy sobiemówić per ty!

Jestempańskim przełożonym izostaniemyprzy pan!

Toller skinął głową.

Potem pogrzebał w wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął okulary i założył.

Jechali do Westend.

Mężczyzna, którego mieli odwiedzić,nazywał się Anton MariaGótz.

Mieszkał na Feldbergstrasse,niedaleko ogrodu botanicznego Palmengarten.

W jego aktach zapisano, że pochodzi zmałej miejscowości wpobliżu jeziora Starnberger.

Był psychoterapeutą i do początku latdziewięćdziesiątych pracował w dużej prywatnej klinice w Monachium.

Został zwolniony, bo wiele pacjentek się naniego skarżyło.

Wtedy jeszcze niewszczęto śledztwa.

Gótz

162

przeprowadził się do Dusseldorfu, gdzie otworzył własnygabinet, przyjmowałprzede wszystkim kobiety chore naanoreksję i zagrożone samobójstwem.

Jedna z pacjentekoskarżyła go, że podczas wizyty próbował ją zgwałcić.

Gdysprawa wyszła na jaw, osiemkolejnych przyznało, że wykorzystując ich labilność emocjonalną, uzależniał je odsiebiei molestował seksualnie w najrozmaitszy sposób.

Został skazany nacztery lata więzienia.

Od końca dziewięćdziesiątego dziewiątego był zameldowany we Frankfurcie.

Znaleźli adres, zaczęli szukać parkingu.

Zrobilidwakółka, ostatecznie postawili samochód na zakazie.

- Nieźle - odezwał się Toller, gdy zbliżyli się do starego,czteropiętrowego budynku.

- Biedni raczej nie wynajmujątu mieszkań.

Obok wejścia wisiałabiała tabliczka: "Dr Anton MariaGótz.

Kompleksowaterapia ciałai ducha".

- Ładnie - stwierdził Marthaler.

- To tak,jakby diabełnazywał się świętym.

Drzwibyły otwarte.

Weszli na drugie piętro szerokimi,kamiennymi schodami.

Bzyczeniedomofonu rozległo sięniemał w tym samym momencie, kiedy Marthalerwyciągnął rękę, żebyzadzwoić.

Weszli do mieszkania.

Jasnowłosa kobieta przywitała ich uniesieniem brwi.

- Słucham panów?

Jej pytanie zabrzmiało tak, jakby była równocześniezdziwiona i zła.

Mówiła cicho, stanowczym, ostrym głosem.

- Może przyszliśmy na kompleksową terapię.

Dlaczego panią to dziwi?

- zapytał Marthaler.

Kobieta pokręciła głową.

Rysy jej twarzy wyostrzyły się.

- Nie- odparła.

- Nieprzyjmujemy pacjentów.

- Co to znaczy? Dzisiaj?

Nigdy?

- Tu przychodzą tylko kobiety.

Marthaler popatrzył na Tollera, który nie krył uśmiechu.

163.

- Przychodzą tylko kobiety, czy pan doktor przyjmuje tylko kobiety?

- Proszę, by panowie opuścili gabinet.

Marthaler nasłuchiwał.

Za zamkniętych drzwi dolatywała cicha muzyka.

Wydało mu się, że słyszy sitar.

- Prosić pani może, ale my tej prośby nie spełnimy.

Musimy porozmawiać z panem Gótzem.

- To niemożliwe - teraz sprawiała wrażenie niemal wystraszonej.

- Doktor Gótz zaczął właśnie spotkanie.

Proszę wyjść.

Marthaler dał partnerowi znak głową, żeby poszedł zanim.

Podłoga długiego korytarza była wyłożona grubym, kremowym dywanem.

Zanim kobieta zdążyła zareagować, doszedł do drzwi, zza których, jak mu się zdawało, dobiegała muzyka.

Otworzył je bez pukania.

Zobaczył wielki, jasny, wysoki pokój.

Był prawie pusty.

Na białych ścianach wisiały ogromne obrazy z azjatyckimi symbolami.

Na podłodze leżał taki sam dywan jak w korytarzu.

Pośrodku pokoju na krześle siedziała młoda, naga kobieta.

Miała zamknięte oczy i uśmiechała się.

Za nią stał mężczyzna o długich, srebrnych włosach.

Był boso, nosił białą szatę sięgającą łydek.

Opuszkami palców dotykał skroni kobiety.

Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, zaczął krzyżeć.

- Co to ma być?

Co panowie tu robią?

Proszę natychmiast opuścić gabinet!

Kobieta wzdrygnęła się, próbowała zakryć nagość.

Marthaler otworzył portfel i pokazał legitymację.

- Musimy z panem pomówić, doktorze Gótz.

Teraz!

Potem zwrócił się do Tollera.

- Ta kobieta ma się ubrać.

Niech pan spisz jej personalia.

Potrzebna nam zeznanie.

Jak nie będzie chciała mówić tutaj, to wyślemy jej zaproszenie albo odwiedzimy w domu.

164

Gdy Anton Maria Gótz zobaczył legitymację policyjną, spokojnie.

Śmiało ruchy miały zamaskować skrywaną nerwowość.

Zaprosił Marthalera do swojego gabinetu, wskazał mu krzesło, sam zajął miejsce za biurkiem.

- Dziękuję - powiedział Marthaler - ale wolę się nierozgaszczać, kiedy rozmawiam z podejrzanym.

- O co jest podejrzanym?

- Co tu się dzieje?

Co pan robił z tą kobietą?

- Nic, czego by nie chciała.

- O ile dobrze sobie przypominam, to sam mówił pan podczas procesu.

Ale pańskie pacjentki widziały to całkiem inaczej.

Dlaczego była naga?

- Bo tego chciała.

-Szczerze wątpię.

Ale przesłuchamy ją.

- Proszę to zrobić.

- Gótz rozparł się w fotelu.

-Proszę.

Najwyraźniej wróciła mu pewność siebie.

- Proszę posłuchać, niejestem już lekarzem.

Moja praktyka jestlegalna, płacępodatki zgodnie z prawem.

Nauczyłem się.

Każda kobieta, która tu przychodzi, musi podpisać oświadczenie, że zgadza się na moje metody terapeutyczne.

W tymna intensywny kontakt fizyczny,

- To znaczy, że zalegalizował pan swoje świństwa.

Prowadzi pan teraz luksusowy chlew za urzędowym zezwoleniem.

Gótz spojrzała na Marthalera.

Na jego ustach błąkał

się uśmiezek.

- Może pan to nazywać, jak pan chce.

Ale proszę niewygłaszać mi tuswoich służbowychmorałów.

Niech mi pan coś udowodni, jeśli pan potrafi, jak nie, to proszę mnie zostawić w spokoju.

- Gdzie pan był jedenastego listopada międzydziewiętnastą a dwudziestą czwartą?
165.

- Prawdopodobnie tutaj.

Sprawdzę.

- Gótz przejrzał kalendarz i skinął głową.

Było tak, jak mówię.

Miałem wieczorem trzygodzinną sesję.

Moja pracownica podała panu nazwisko i adres tej pani.

Czemu pan pyta?

- Pytam, bo pytam.

Pytam, bo jestem policjantem i mam prawo postawić każde pytanie.

- Marthaler odwrócił się i wyszedł.

- Gdzie pan się podział?

Jak chce się pan czegoś nauczyć, skoro nie uczestniczy pan w przesłuchaniu?

- zapytał Marthaler, gdy szli do samochodu.

Toller skulił się, słysząc upomnienie przełożonego.

- Czekałem, aż ta kobieta się ubierze, spisałem jej personalia.

A potem nie wiedziałem, czy mam tam wejść czy nie.

Nawiasem mówiąc, ona twierdzi, że terapia doktora Gótza dobrze jej robi.

Wszystko dzieje się za jej zgodą.

Pytałem.

Marthaler zatrzymał się.

Na moment odebrałem umowę.

Potem huknęła:

- Co panu strzeliło do głowy?

Jak mógł pan samodzielnie przesłuchać świadka?

IMam nadzieję, że jest dla pana jasne, co pan narobił?

Ale dla Tolleran nic nie było jasne.

Wyjął przeprosiny, wbijając wzrok w ziemię, i zapytał, na czym polegał błąd.

- Nic o tej kobiecie nie wiemy.

Nie wiemy, jak duży wpływ ma na nią Gótz.

Zaskoczyliśmy ją, kiedy siedziała na krześle w obcym mieszkaniu.

A pan wali prosto z mostu.

Co miała powiedzieć?

Zeznała na korzyść Gótza.

Dlaczego miałyby to teraz odwołać?

Wyszła by na klamczynię.

Toller, dobrze panu radzę, niech pan się niewtrąca!

Nie ma pan pojęcia, jak przesłuchuje się świadków, więc niech pan tego nie robi!

Dopóki się pan nie nauczy.

A obawiam się, że to chwilę potrwa.

166

Gdy doszli do samochodu, Marthaler zobaczył za wycieraczką mandat.

Wyjął go z wściekłością i schował do kieszeni płaszcza.

- Następny punkt, następna świnia- powiedział.

- Jedziemy do Fechenheim.

Na Dieburger Strasse.

Tam mieszka ten mechanik Theodor Lenau.

Pojedziemy Hanauer, a potem przez strefę przemysłową.

- Myślę - zaproponował Toller - że o tej porze lepiej będzie pojechać przez Offenbach.

Marthalera zdziwił jego sprzeciw.

- Dobrze, jedźmy zatem - zgodził się po chwili.
Posuwali się wolno, choć popołudniowy ruch jeszcze się nie zaczął.
Z mostu Kaiserlei widać było cały Frankfurt.
Marthaler zobaczył wieżę Henninga śniącą w słońcu.
Tuż przed rogatkami Offenbach skręcili w stronę Menu, który przekroczyli jeszcze raz, tym razem mostem Carla-Ulricha.
- Co to?
- zapytał Marthaler.
Odchylił głowę, zamknął oczy i węszył.
- O czym pan mówi?
- Pachnie chlebem.
Świeżo wyjętym z pieca.
- Nic dziwnego.
Tam są dwie wielkie piekarnie, które obsługują połowę regionu Ren-Men.
Fechenheim było jedną z tych dzielnic, które wprawdzie należały do Frankfurtu, sprawiały jednak wrażenie zapomnianych.
Mieszkania były tu tańsze, a większość czynszowych kamienic wyglądała biednie.
Wielu, którzy mieszkali w tej części miasta, jeździło do city tylko od czasu do czasu - jak goście z innego świata.
Stare centrum miasteczka otaczały hale produkcyjne, budynki firm spedycyjnych, magazyny i olbrzymie masarnie.
A między nimi wciąż jeszcze rozciągały się ugory, podmokłe łąki, zagajniki i zarośnięte ogrody przypominające Marthalerowi

dzieciństwo.

Podobne miejsca znał z północnej Hesji, tobyły ulubione kryjówki jego i kolegów z osiedla. Zaszyswali się tam, budowali małe chatki, palili potajemnie i godzinami marzyli o rycerskich przygodach.

I może właśnie dlatego w tych rejonach Frankfurtu czuł się bardziej swojsko niż w wymuszanych dzielnicach śródmieścia.

Toller trzeci raz przejechał wzdłuż Dieburger Strasse, ale wciąż jeszcze nie trafili na budynek, w którym mieszkał Theodor Lenau.

Wreszcie zauważyli, że podany numernie oznacza domu, a ogródek działkowe.

Większość skleconych z drewna altanek była tak mała, że zmieściłoby się w nich najwyżej kilka narzędzi.

W końcu znaleźli murowany domek kryty dachówką.

Z komina unosił się dym.

- Czy to nie jest zabronione mieszkać tu na stałe?

- zapytał Toller.

- A odkąd?

- Marthaler wzruszył ramionami.

On sam na początku studiów mieszkał latem w takiej altance, przeniósł się do miasta dopiero jesienią, gdy zaczęło się ochładzać.

Żelazna bramka zaskrzypiała, gdy Toller ją otworzył.

Zbliżyli się do domku dróżką wyłożoną płytami.

W oknie obok drzwi wejściowych poruszyła się żaluzja.

Marthaler mimowolnie sprawdził, czy ma broń.

Zanim zapukali, drzwi się otworzyły.

Stała w nich przysadzista kobieta o szerokiej twarzy.

- Chcielibyśmy rozmawiać z Theodorem Lenauem.

Z wnętrza domu doleciał męski głos.

Nie zrozumieli, co powiedział.

Mężczyzna mówił po rosyjsku.

Kobieta odpowiedziała w tym samym języku, potem gestem zaprosiła policjantów do środka.

W trójkę ledwie mieścili się w małym korytarzu.

Marthaler jako pierwszy wszedł do niskiego pomieszczenia.

Najwyraźniej służyło za kuchnię

168

i pokój w jednym.

Był tu stary piec na drewno, mały kociołek, stół, dwa krzesła i kanapa.

Nadzlewem, na wiszącej półce, stał telewizor, był włączony, ale bez głosu.

Mężczyzna siedział, sprawiał wrażenie o wiele starszego niż nazdjęciu, które ranopokazał im Petersen, mimo to Marthaler rozpoznał Lenaua.

Nie wyglądało na to, że zamierza wstać, żeby się przywitać.

Na kolanach miał wełniany koc, który spływał do podłogi.

Prawa ręka leżała nieruchomo na kocu, lewą wyjął pudełko papierosa, zapalił.

- Policja?

- zapytał.

Marthaler skinął głową.

Nie zadał sobie trudu, żeby pokazać legitymację.

Czuł się niepewnie, bo nie wiedział, co znajduje się pod kocem.

- To pańska żona?

- Tak - na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

- Niepomyślałby pan, że taki jakja znajdzie kobietę, która zaniego wyjdzie.

- Mnie nic nie zdziwi- odpowiedziałMarthaler.

- Zastanawiam się tylko, czy chce pan, żeby pana żonadowiedziała się, co mamy z panem do omówienia.

- Och, niech się pan nieboi.

Olga nie rozumie poniemiecku.

Pozatym wie, za kogo wyszła.

Marthaler skinął.

Nie zamierzał rozmawiać z Lenauemo jego małżeństwie.

- Czytał pan ozabójstwiew Oberrad?

Oczy podgęstymi brwiami zamigotały.

Lewą rękązgniółł pustąpaczkę po papierosach.

- Nieczytam gazet.

-Ale oglądapan telewizję.

Słyszał pan otym, co sięstało, czy nie?

-Tak.

Marthaler odniósł wrażenie, że z niewytlumaczalnychpowodów Lenausię znimbawi.

169.

- To może pan wie, czego od pana chcemy?

-Chcecie wiedzieć, gdzie byłem, gdy zabito tę kobietę, zgadza się?

- Zgadza.

Lenau uśmiechnął się szerzej.

- Byłem w domu.

-Ale jeszcze niepowiedzieliśmy, kiedy to się stało.

- Zawsze jestem w domu.

- Theodor Lenau podniósł lewą rękę i wziął z parapetu nową paczkę papierosów.

- Oczywiście.

A pańska żona to naturalnie potwierdzi.

Lenau skinął głową.

I nadal się uśmiechał.

- A jeszcze ktoś może to potwierdzić?

Mężczyzna nagle zrobił gwałtowny ruch.

Zerwał z kolan koc i rzucił go w stronę policjantów, koc upadł na podłogę.

Toller i Marthaler jednocześnie wyjęli broń.

Potem zobaczyli.

Theodor Lenau nie miał nóg.

Koc przykrywał plastikowe protezy.

- Towszystko, co ze mnie zostało - powiedział.

Uśmiechnął mu z twarzy.

Prawa ręka zwisała bezwładnie wzdłuż oparcia fotela.

Dopiero teraz Marthaler zauważył, że to, co wystawało z rękaw swetra, było plastikiem.

Lenau nie miał obu nóg i ręki.

Nie wiedział, jak zareagować.

Opuścił pistolet, schował go.

- Zakładam, że miał pan wypadek - powiedział i w tym samym momencie uświadomił sobie, jak bezsensowne było to zdanie.

-Nic panu do tego, co miałem, czego nie - zaśmiał się Lenau.

- I nic to pana nie obchodzi.

Poza Olganie mała świecie człowieka, którego to obchodzi.

Miał rację.

Marthaler to nie obchodziło.

Mimo żałobnego widoku, jaki im się ukazał, nie był - w stanie wykrzesać

170

z siebie współczucia.

Nie po tym, czego się dowiedziało.

- Wyjdźcie - głowa Lenau opadła na pierś.

Policjanci jeszcze przez chwilę stali bezradnie.

Potem Lenau zaczął krzyczeć.

- Wynocha!

- uderzył plastikową ręką w oparcie fotela.

-Wyjdźcie wreszcie i zostawcie mnie w spokoju!

Daniel Hildesheimer w połowie lat dziewięćdziesiątych został skazany na cztery i pół roku za to, że w samochodzie kempingowym prawie przez tydzień przetrzymywał dwie autostopowiczki, zmuszając je do uprawiania seksu.

Jeździł z dwiema kobietami po południowych Niemczech, głodził je.

Na jakichś świątkach dziewczynom udało się zwrócić uwagę załogi przypadkowego radiowozu.

Policjanci pojechali za samochodem, zmusili go do zatrzymania się i oswobodzili ofiary. Hildesheimerowi, który był wówczas trenerem lekkoatletyki dużego frankfurckiego klubu sportowego, udało się zbiec.

Cztery dni później został zatrzymany, gdy na parkingu przed restauracją próbował włamać się do samochodu kempingowego, którego właściciele właśnie jedli obiad.

W jego aktach napisano, że był zameldowany w domu matki w Röderbergweg, gdzie w piwnicy miał mieszkanie.

Ale podobno przebywał tam tylko wówczas, gdy nie mógł pomieszkiwać u jednej z często zmieniających się dziewczyn.

Mieszkanie wynajmował gościom targów.

Manfred Petersen dołączył do dossier notatkę: "Od roku pracuję w FitSunny.

Tam próbować!

Sandweg".

- Znam - powiedział Toller.

- Co? To studio czy Daniela Hildesheimera?

- Nie, tego typu chyba nie.

Ale to studio.

Trenowałem tam jakiś czas.

171.

Tak, pomyślał Marthaler, tak właśnie wyglądasz: za dużo hantli, za dużo solarium.

- Totym razem puszcze pana przodem - powiedział, gdy wysiedli, żeby przejść kawałek Sandweg.

Toller popatrzył na niego gębowo.

- Bez obaw - uśmiechnął się komisarz.

- Mapa tylko powiedziec dzień dobry i zapytać o Hildesheimera.

Resztą zajmę się ja.

Otworzył drzwi studia.

Tuż przy wejściu siedziała młoda Murzynka, przeglądała gazetę.

Zobaczył, jak zmieszana widok Tollera.

Nie wyglądała na zadowoloną z tego spotkania.

- Cześć, Ray, dawno cię niewidziałam.

- Cześć, Angie.

- Toller skinął głową.

- Podobno pracuje tu Daniel Hildesheimer.

- Danny, tak.

I co?

- Musimy z nim pomówić.

- Jest w Kanadzie.

Toller odwrócił się, szukając pomocy u szefa.

Nie wiedział, co dalej.

Balsię, że znów popełni błąd.

- Jest pan pewna?

- zapytał Marthaler.

- Przedwczoraj w każdym razie jeszcze go tam widziałam - uśmiechnęła się Angie.

- Wróciłam wczoraj po południu.

- On jest pani.

- Był.

- I od kiedy byliście państwo w Kanadzie?

Cotamrobiliście?

- Pojechaliśmy dwa tygodnie temu.

Wynajęliśmy kampera, jeździliśmy.

Mnie to denerwowało.

On chce zostać jeszcze tydzień.

Coś przeskrobał?

- Towszystko - przerwał jej Marthaler, nie odpowiadając.

- Dziękuję.

172

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Potem zwróciła się do Tollera.

- A jak twój kumpel?

- O kogo pytasz?

- O kogo?

O twojego kumpla czy kolegę z pracy.

Tego drugiego Raya.

Toller skinął głową.

Miał na myśli Steinwacha, jego kolegę z ósmego komisariatu, też miał na imię Raimund.

- Jak się miewa?

- Dobrze.

- Szkoda.
Nie pozdrawiaj go ode mnie.
- Coto było?
- zapytał Marthaler, gdy stanęli na chodniku, a oklejone kolorowo drzwi FitSunny zamknęły się za nimi.
- Steinwachs miał z nią romans.
Chyba jej się nie podobało.
- A onnie jestżonaty?
-Jest.
Ale od kiedy to przeszkoda?
Tak, pomyślał Marthaler.
Od kiedy.
I znów przypomniał sobie o Thei Hollmann.
Spojrzał na zegarek.
- Obawiam się, że dziś nie skończymy.
Tego właściciela domudziecka możemy odwiedzić jutro rano.
Proponuję, żebyśmy przyjrzeni się jeszcze fotografowi, temu Helmutowi Drewitzowi.
Potem koniec.
- Dobrze - zgodził się Toller.
- To będę zaraz w domu.
Drewitz mieszka w Oberrad.
Nic więcej nie zdziałali.
Potrzebowali prawie pół godziny, żeby dostać się z Sandweg na osiedle wieżowców, gdzie mieszkał Helmut Drewitz.
Parking, na którym zostawił samochód, przypominał mały cmentarz.
Minęli autocalkowicie spalone, inne miało powybijane szyby, w środku

piętrzyły się śmieci.

W dwóch kolejnych ktoś poprzebijał opony.

Ogrodzenie z żywopłotu służyło najwyraźniej za wysypisko śmieci; ściany domów upstrzone były graffiti.

- Na willę w Kronbergu już go najwyraźniej niestać - stwierdził Marthaler.

Poszukali nazwiska na tabliczce domofonu.

Długodzwonili, ale nikt nie otwierał.

Wślizgnęli się do środka, gdyż domu wyszły dwie dziewczynki z hulajnogami.

Drewitz miał mieszkanie na szóstym piętrze.

Winda nie działała, więc musieli wejść po schodach.

Znow zadzwonili, potem Marthaler kilka razy zastukał w drzwi.

- Co to za hałas, do kurwy nędzy?

Chyba przecież niema go w domu!

Odwrócili się zaskoczeni.

Za nimi w drzwiach sąsiedniego mieszkania stał mężczyzna.

Miał nasobie krótki, wystrzępiony frotowy szlafrok, spod którego wystawały włosione nogi. Ziewnął.

- Zna pan pana Drewitza?

- zapytał Marthaler.

- Wiepan, gdzie jest?

- Nikogo nie znam i nie chcę znać.

Chcę tylko spać w spokoju.

Jak tak będziecie dalej walić, to zawołam policję.

- Już tu jest - powiedział Marthaler, pokazując legitymację.

- Będzie pan tak miły i odpowie?

Mężczyzna znów szeroko ziewnął.

- Już powiedziałem.

Nie znam go.

Mieszkał tu oddwóch miesięcy.

Spotkałem go z dziesięć razy.

Wymienialiśmy ukłony, to wszystko.

Gdyby nie miał nazwiska nadzwyczaj, to bym nawet nie wiedział, jak się nazywa.

Jak pan myśli, gdzie jesteście?

W tych domach sąsiedzi się nie kochają.

174

- Ma pan pojęcie, co pan Drewitz robi zawodowo?

- Nie.

Czasem wychodzimy razem z domu.

Ja pracuję w nocy; może on też.

Mogę już iść spać?

- odwrócił się i zniknął w mieszkaniu.

- Jeszcze jedno!

- zawołał za nim Marthaler.

- Jak go pan zobaczy, to proszę mu nie mówić, że pytała o niego policja.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

Mruknął coś niezrozumiale pod nosem.

Zamknął drzwi.

Siedemnaście

Marthaler zaklął.

Leżał w wannie z głową pod wodą.

Właśnie się wynurzył, gdy usłyszał dzwonek.

Nie chciał, żeby mu przeszkadzano.

Chciał myśleć o Terezie i cieszyć się na wspólny wieczór.

Ale dzwonek nie przestawał terkotać.

Wyszedł z wanny, przebiegł przez korytarz i nacisnął domofon.

Nie mogąc znaleźć szlafroka, owinał biodra dużym ręcznikiem.

Jego zdumienie nie mogło być większe, gdy otworzywszy drzwi, zobaczył Terezę.

Stała przed nim i uśmiechała się.

- Och, policjancino są teraz nowe mundury?

Był zbyt zaskoczony, żeby coś powiedzieć.

- Tereza- wyjąkał - ty.

ja..

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

- No co?

Mogę wejść czy przeszkadzam?

Jeszcze ciągle stał jak zamurowany.

- Nie, przepraszam, tak.

Cieszę się.

Tylko właśnie byłem w wannie.

Wpuścił ją do mieszkania.

- Wracaj do łazienki.

Ja włączę muzykę i wezmę sobie coś do picia.

Jeśli mogę.

- Tak.

Nie spodziewałem się ciebie.

To nie potrwadługo.

Tylko szybko umyję głowę.

- No już!

Cieknie z ciebie.

Podłoga już cała mokra.

- Tak.

176

Zobaczył, że wokół jego stóp utworzyły się małe kałuże.

Popchnęła go palcem w stronę łazienki.

Zrzucił ręcznik, wszedł z powrotem do wanny i namydlił głowę.

Słyszał, jak krząta się pod dużym pokojem.

Przez chwilę nasłuchiwał, potem rozpoznał utwór.

Początek Symfonii Nr 33 Mozarta.

Uśmiechnął się.

Lubił tę muzykę, aledawno jej nie słuchał.

To było nagranie praskiej orkiestry kameralnej pod dyrykcją Charlesa Mackerrasa, które Tereza podarowała mu po powrocie od rodziców.

Opowiadała, że słyszała tę symfonię pod batutą tego samego dyrygenta w wykonaniu tych samych muzyków w swoim rodzinnym mieście przed wieloma laty, jeszcze w szkole.

Drzwi do łazienki były przyknięte.

Teraz się otwały.

Tereza stanęła w nich naga, z dwoma kieliszkami czerwonego wina.

Jeden podała Marthalerowi.

Usiadła na skrajku wanny i podniosła w górę swój.

- Co jest?

- zapytała.

- Śmiejesz się do nosa.

- Ty też.

Aleni śmiejemy się, tylko uśmiechamy.

I niedo nosa tylko od ucha do ucha.

- Tak jest, wodzu.

Za co wypijemy?

- Za nas.

Sądzę, że na to zasłużyliśmy.

- Tak.

To mi się podoba.

Gdy wypili, wzięła od niego kieliszek i odstawiała obydwa na pralkę.

Usiadła z powrotem.

Zanurzyła prawą rękę w wodzie i uszczypnęła go w brzuch.

- Och.

Zrobiło się ciębie dużo.

Zanim zdążył odpowiedzieć, objęła go za szyję i pocałowała w usta.

Potem wsunęła się do powoli stygnącej wody.

Raz prawie wrzasnął na kelnera.

Gorliwość, z jaką chwilę upewniał się, czy goście są zadowoleni, czy nie przynieść jeszcze chleba, wina albo wody, działała Marthalerowi na nerwy.

177.

Ale nie wrzasnął.

Zamiast tego odpowiedział twierdząco na pytanie, czy mają jeszcze jakieś życzenie.

- Tak, mamy życzenie, żeby w końcu zostawił nas w spokoju.

Mimo to nieżałował wyboru restauracji.

Kotletjagnięcy w sosie limonkowym był smaczny, Tereza też była zadowolona z risotto alla milanese.

To Sabato poradził mu, żeby nie szli do starego Gattopardo w Sachsenhausen, tylko zamówili stolik w jego małej filii w Nordend.

Tam mając tylko lepszego kucharza, ale i większe porcje.

Mimo postanowień Marthaler zmiotł z talerza wszystko i gdy Tereza zamówiła na deser panna cottę, ledwie oparł się pokusie, by nie pójść w jej ślady, zdecydował się jednak na sorbet malinowy.

- Wyglądasz, jakbyś dużo przeżył - powiedziała Tereza.

Siedziała naprzeciwko niej przez kilka długich sekund przyglądała mu się badawczo.

- Zgadza się.

Ale nic, o czym chciałbym rozmawiać.

Niemiałem ostatnio zbyt miłych chwil.

Z wyjątkiem dzisiejszego wieczoru.

Opowiedz lepiej o Madrycie.

- Opowiadałam ci kiedyś.

Wiesz wszystko.

- Naprawdę?

- Co masz na myśli?

- Byli tam jacyś mężczyźni?

Popatrzyła urażona.

Natychmiast pożałował, że nie ugryzł się w język, za późno.

Mógł tylko próbować nadać temu pytaniu żartobliwy wydźwięk i udawać, że nie był pomyślany całkiem serio.

- No, jesteś piękna.

I często byłaś sama.

Tereza uniosła brwi.

- Nie byłam sama.

A potem lekko pokręciła głową.

Dopiero teraz zdawała się pojmować, co miał na myśli.

Nie odpowiedziała, ale jej

178

spojrzenie pozostało przyjazne.

Mimo to mówiło Marthalerowi, że zadał pytanie, którego nie miał prawa stawiać, na które nie powinien oczekiwać odpowiedzi.

Na kilkadziesiąt minut zaległa krępująca cisza.

Potem Tereza zrobiła znowu coś, czego się nie spodziewał.

Zamiast poszukać jakiegoś niewinnego tematu, zadała poważne pytanie.

- Myślisz jeszcze często o Katharinie?

- Tak, ale również często myślę o tobie.

- Chodzisz jeszcze na jej grób?

- Tak, jak mam czas, często tam chodzę.

- I rozmawiasz z nią?

Skinął głową.

Poczuł się nieswojo.

Niechętnierozmawiał o zmarłejżonie.

Ale pojął, że nie może się teraz wykreścić.

Jeśli chce, żeby poznali się lepiej, musi być gotówmówić o Katharinie.

- Odpowiada ci?

-Nie tak często jak kiedyś.

Aleczasem jeszcze tak.

Dlaczego pytasz?

- Bo nie wolno zapominać o zmarłych.

Chciałabym,żebyś o niejmyślał, bo należy do ciebie.

- Tak.

Długi czas była najpiękniejszym, co miałem.

Nawet kiedyjuż nie żyła.

A teraz jesteś ty.

Ale postanowiłem was nie porównywać.

Myślę, że nie wolno tegorobić.

Tereza zamyśliła sięna chwilę.

- Chyba wolno.

Będziesz to robił.

I to niejest złe.

Nieboję się.

Najważniejsze, że rozmawiamy.

- Pamiętasz jeszcze?

Jak się poznaliśmy, nie chciałaś,żebyśmy rozmawiali o nas.

- Tak - odpowiedziała Tereza - to był błąd.

-Mnie się podobało.

I może na początku tak byłodobrze.

Może już nie jest.

A teraz zamówię espresso.

179.

Zobaczył, że kelner zezuje w ich stronę.

Najwyraźniej bał się pytać, czy mają jeszcze jakieś życzenia.

Właśnie chciał go przywołać, gdy za barem zadzwonił telefon.

Kelner odebrał.

Skinął kilkakrotnie głową, a potem podszedł do ich stolika i podał Marthalerowi słuchawkę.

- Ktokolwiek jest po drugiej stronie - powiedział do słuchawki - mnie tu niema.

A teraz odkładam.

W tym samym momencie pojął, że to Toller przeprasza, że przeszkadza.

Poprosił odziesięć sekund uwagi, potem Marthaler zdecydował, czy chce słuchać dalej.

Szybko zrozumiał, że to ważne.

Przeprosił Terezę, wstał, zobaczył, że w głębi zwołał się stolik.

Kelner jeszcze niesprzątnął brudnych kieliszków i filiżanek po kawie.

- Jak ulica dowiedział się pan, gdzie jest - tem?

- Podzwoniłem trochę.

Carlos Sabato powiedział, że bym spróbował w Gattopardo.

- Dobrze - odparł Marthaler.

- Teraz niech, pan mówi.

- Jestem w Oberrad.

Nad Menem.

Tam, gdzie wioślarze mają swoje klubowe knajpy.

Po naszym rozstaniu jeszcze trochę powęszyłem.

Dowiedziałem się, że fotograf Helmut Drewitz pracuje w jednej z tych knajp jako pomocnik kucharza.

Knajpa nazywa się Pustelnia Neptuna, właściwie nie jestem.

Piechotę to tylko pięć minut od domu Gabriele Hasler.

A ze swojego mieszkania Drewitz potrzebowałby może kwadrans.

- Dobrze.

Jeśli mam w głowie dobry plan miasta, znaczy to, że Drewitz przechodzi obok domu ofiary za każdym razem, gdy idzie do pracy i kiedy z niej wraca.

- W każdym razie może iść tą drogą - zgodził się Toller.

- Zmienił imię.

Koledzy i goście mówią o nim nie Helmut, a Arthur Drewitz.

Nikt tu chyba nie wie, że był kiedyś znanym fotografem i że później został skazany.

Moje podejrzenie wzbudziło to, że pracuje pod fałszywym imieniem.

180

- Wcale mnie to nie dziwi.

Gdybym miał taką przeszłość, też nie chciałbym, żeby ktoś się dowiedział, kim jestem.

- Może.

Ale to niewszystko.

Rozmawiałem z kierowcą taksówki, który regularnie przychodzi tu jeść.

Przed kilkadziesiątami rozmawiał z Drewitzem.

Mówili też o morderstwie Gabriele Hasler.

Marthalerze ze złościła ta samodzielność Tollera, ale był ciekaw szczegółów.

Przyciskając słuchawkę do ucha, kciukiem drugiej ręki rozgniatł na serwetce kawałek suchego chleba.

- Kto pierwszy zaczął o tym mówić?

- zapytał.

- Toważne, Drewitz czy ten kierowca?

- Ten facet nie mógł sobie dokładnie przypomnieć.

Mówi, że być może to on sam zaczął.

Gazety byłyby dzisiaj pełne informacji.

- Pamiętaj, co powiedział Drewitz?

- A jakże.

Chodziło o to, jak ją znaleźli.

Że klęczał z tyłkiem.

- Wiem, jak wyglądała - przerwał mu Marthaler.

- Comówili?

- Ten facet twierdzi, że żartowali.

- Żartowali?

- Tak.

- Dalej!

- W każdym razie wyszło na to, że Drewitz najwyraźniej pracuje tylko jako kucharz.

Wygląda, że znów zabrał się do starych spraw.

- Jakich starych spraw?

Znowu fotografuje?

- Chyba tak.

Zaoferował temu facetowi zdjęcia.

- Jakie zdjęcia.

Do cholery, Toller, niechże pan gada normalnie!

- Wygląda na to, że się rozwinął.

Że włóczy się nie tylko po placach zabaw i basenach.

Zaoferował temu facetowi

181.

coś, co określił jako "bardzo ostre".

Wyraźnie odniósł się do tego, co stało się z Gabriele Hasler.

Powiedział, że może załatwić "tony" zdjęć, na których widać takie sceny.

- Tony?

- Tak, podobno użył takiego słowa.

I jeszcze coś.

Tenkierowca spotkał go dziś przypadkiem.

Dziś po południu, w czasie, kiedy u niego byliśmy.

- I?

- Był w porcie wschodnim.

Wracając z urzędu celnego na Lindleystrasse, gdy zobaczył, jak Drewitz wychodzi z małego domku należącego do starej fabryki maszyn.

Właśnie zamykał drzwi, więc zatrąbił, Drewitz popatrzył na niego, a potem szybko się odwrócił.

Jakby nie chciał być tam widziany.

- Spisał pan personalię tego kierowcy?

- Tak, mieszka w Chemnitz.

Jeździ do Frankfurtu kilkakrotnie w tygodniu.

- Dobrze.

Musimy działać, od razu.

Gdzie pan teraz jest?

- Stoję przed Pustelnią Neptuna.

Kuchnię zamknęłam kilka minut temu.

Drewitz właśnie skończył.

Myślę, że zaraz wyjdzie.

Dlatego do pana zadzwoniłem.

- Sądzi pan, że coś zauważył?

Dowiedział się, że pana nie wypytuje?

- Raczej nie.

Ale nie jestem pewny.

Głupio się złożyło, bo wyszedł raz na chwilę z kuchni, jak rozmawiałem z tym kierowcą.

Ale natychmiast zniknął.

- Będę się spieszył.

Powinno tam być najdalej z dwadzieścia minut.

Niech pan spróbuj go śledzić.

Pewnie pójdzie do domu.

Ale żadnej interwencji!

Czy to jasne, Toller?

Obojętnie, co się stanie, nie podejmuje pan samodzielnej akcji!

Jak nie dopadniemy go dziś w nocy, to jutro rano!

Ale lepiej byłoby, gdybyśmy go złapali od razu.

182

Poprosił Tollera o numer komórki.

- Zadzwonię do pana za pięć minut.

Potem się rozłączyli wrócił do Terezy, która czekała na niego przy stoliku i uśmiechała się.

- Już dobrze - powiedziała.

- Już zapłaciłam.

Zakładam, że bardzo się spieszysz.

- Tak.

Muszę natychmiast wyjść.
Zawołałam ci taksówkę.
Wiem, że to nasz pierwszy wspólny wieczór oddawna.
Chciałam, żeby było lepiej.
Ale teraz niestety muszę.
Przykro mi.

- Okej.

Już piliśmy wino u ciebie.
I tak jestem zmęczona.

- Muszę cię poprosić jeszcze o jedno: możesz mi pożyczyć komórkę?

Moja niestety się rozbiła.

Podziała mu aparat.

Potempocałowała go.

- I, Robert, proszę.

-Wiem, mam być tchórzem.

Nie bój się, nic mi się niestanie.

Osiemnaście Marthaler biegł w ciemnościach.
Na szczęście zaparkował niedaleko restauracji.
Mimo to nie mógł złapać oddechu, gdy usiadł za kierownicą i wygrzebał z kieszeni serwetkę,
na której zapisał numer Tollera.

Toller od razu odebrał.

-I?

- Właśnie wychodzi.

Siedzę w samochodzie.

Jest sam.

Zapina kurtkę.

Zapala papierosa.

Nie wygląda, jakby się spieszył.

Wiemy, czy jego auto jest zarejestrowane na niego?

- Nie.

Nie mam pojęcia.

W aktach nic takiego nie było.

Albo to przeoczyłem.

- Okej.

Rusza.

Muszę się schylić - Toller mówił szeptem.

- Przechodzi przez parking.

Najwyraźniej nie ma auta.

Teraz doszedł do drogi wzdłuż Menu.

Idzie w kierunku tego hotelu, Gerbermuhle.

Chyba do domu.

Idę zanim.

Samochód tu zostawię.

- Zaraz zadzwonię - powiedział Marthaler.

- Albo najlepiej w ogóle się nie rozłączajmy.

Rzucił komórkę Terezy nasiedzenie pasażera, włączył silnik.

Nacisnął pedał gazu, samochód skoczył w przód.

Upłynęła dłuższa chwila, nim wyjechał z labiryntu jednokierunkowych ulic w Nordend.

Klął.

W końcu znalazł się na Eckenheimer Landstrasse.

Zatrzymał się na czerwonym świetle, podniósł telefon.

Toller nie odpowiadał.

184

- Toller!

Gdzie pan jest?

Niech się pan odezwie!

Czuł rosnące napięcie i bezradność.

Niewiedział, co siedzi nad Menem.

Lewą ręką przycisnął słuchawkę doucha.

Ruszył, nie czekając, aż zmienią się światła.

Trąbilizacja nim.

Wreszcie usłyszał głos Tollera.

- Nie wiem, co robi.

Minął Gerbermuhle.

Właściwie powinien skrócić w prawo.

Ale idzie dalej brzegiem Menu.

Nie mam pojęcia,co zamierza.

- Kurwamać - zdenerwował się Marthaler.

- To gdzie mam jechać?

Na drugą stronę rzeki?

I jedno,i drugie może

być błędem.

- Nie wiem.

Jak nie zmieni kierunku, to wyląduje w Offenbach.

Następny most to dopiero Kaiserlei.

- Dobrze.

Jadę w kierunku Alte Briicke.

Tam zaczekam, aż dowiemy się, co zamierza.

Znów nadepnął na gaz.

Przez Scheffelek przejechał jeszcze raz na czerwonym, za chwilę musiał gwałtownie zahamować, bo telefon zsunął się na ziemię.

O włos niezderzył się z metrem, które tu wyjeżdżało na powierzchnię.

Zignorował jednoznaczne gesty motorniczego i gnał dalej.

Najgorsze,co się może zdarzyć, to że zatrzyma mnię radiowóz, pomyślał.

Wtedy stracę cenny czas.

Gdy usłyszał głos Tollera, jedną ręką zaczął szukać telefonu.

W końcu go wymacał.

- Co jest?

- Zatrzymał się.

Możliwe, że się zorientował.

Muszę pozwolić mu się trochę oddalić.

Rozgląda się.

Ale mnię widzi.

Stoję za drzewem.

Im ciszej mówił, tym bardziej Marthaler mimowolnie także zniżał głos.

- Niech pan będzie ostrożny, Toller, słyszy pan?

Żadnego ryzyka!

- Dobra, idzie dalej.

Chyba mnię jednak nie zauważył.

185.

- Jestem na moście.

Co mam robić?

Jechaćna drugąstronę, czy nie?

- Tak.

Niech pan jedzie.

Niechpan spróbuje jaknajszybciej dostać się do Kaiserlei.

Nie wiem, gdzie jeszczemógłby pójść.

Prawie stona godzinę pruł przez Deutschherrenufer.

Po prawej stronie widziałnocne światła Oberrad.

Terazsamtrąbił na jadące przed nim samochody.

Właśnie minął ciemny domGabriele Hasler przy torach, gdy Tollerznów się odezwał.

- Stop, Marthaler, stop!

Gdzie pan jest?

Komórka mi się zaraz rozładuje.

Niech się panzatrzyma!

- Co jest?

Co się dzieje?

Jestemchyba gdzieś blisko.

Zadwie minuty będęw Kaiserlei.

- Nie, cholera.

Niech się pan zatrzyma!

Ucieka przezMen.

Stopniem wodnym.

Niech pan tu przyjdzie.

Szybko, bogo zaraz stracimy.

- Nie, Toller - Marthaler prawie krzyczał ze zdenerwowania.

Zatrzymał samochód na prawym pasie, włączył światłaawaryjne.

- Niech pan wyjdzie na ulicę.

Czekam!

Spróbujemyodciąć mu drogę.

Jeśli chce się dostać na Lindleystrasse, tomamy szansę go dopaść.

Schował komórkędo kieszeni, nie wyłączył silnika.

Właśniechciał wysiąść i rozejrzeć się zaTollerem, gdyZobaczył go o sto metrów od siebie.

Zatrąbił.

Cieężko dysząc, Tolleropadł na siedzenie.

Drzwisamochodu jeszcze się zatrzasnęły, gdy Marthaler ruszył.

Zobaczył, że partner trzymabroń.

- Po co panuten pistolet?

- zapytał.

- Po nic.

Ale kto wie, może jest uzbrojony.

Nie chciałbym, żeby mi odstrzelił głowę.

186

Marthaler skinął.

- Powiniennem dalej go śledzić.

Ten gnój znalazł drogęprzez służę.

Z tym się liczyłem.

Teraznam się wymknął -gorączkował się Toller.

- Nie - zaprzeczył Marthaler - bezkontaktu głosowegobylibyśmy ugotowani.

Może będziemy mieścić się.

Tak jest lepiej.

Znow przejechali przez rzekę.

Po niecałych pięciu minutach dotarli na Hanauer Landstrasse, skręcili w lewo, na teren portu wschodniego.

Chociaż większość zakładów już nie pracowała, wejścia do wielu budynków były oświetlone.

Pod latarniami naskraju drogi stały ciężarówki.

W niektórych kabinach paliło się światło

- Co teraz?

- zapytał Toller.

- Co robimy?

Port jest duży.

Jak mamy go tu znaleźć?

Tamten facet mówił, że widział, jak Drewitz wychodzi z małego domku.

- I że sam właśnie wyjechał z urzędu celnego.

Todwiewskazówki.

Jedziemy na cło.

Pojechali Lindleystrasse, ale poza samochodem prywatnej firmy ochroniarskiej nikogo nie spotkali.

Przemknęło obok nich wielkie BMW ichwilę później znikło w ciemności.

Na rogu zobaczyli dwóch strażników z psami.

Jeden mówił coś do krótkofalówki.

Marthaler zatrzymał się, opuścił szybę i zapytał, czy nie widzieli jakiegoś przechodnia, ale obydwaj zaprzeczyli.

Zawrócił.

Wiedział, że szansę przechwycenia Drewitza na ulicy ma już z minuty na minutę.

Minęli ciemne hale magazynowe i biura.

Na Pranziusstrasse przejechali obok oświetlonego kolorowo domu.

- Myśli pan, że poszedł tu do burdelu?

- zapytał Toller.

- Nie - odparł Marthaler, znał to miejsce, odwiedzał je przede wszystkim tiry, którzy przyjeżdżali tu wieczorem i musieli czekać do następnego ranka, żeby zdać

187.

towar albo przyjąć nowy.

- Nie, nie sędzę.

Ale może ten kierowca, z którym pan rozmawiał, tu był.

Może w drodze z cła zahaczył oburdel.

I możeto tu widziałDrewitza.

Niech pansiędobrze zastanowi, co powiedział.

Jechali w żółtym tempie.

Potem Marthalerznów zawrócił.

Ale stracił już nadzieję.

Nastawił się nato, że będąmusieli zacząć sięna fotografa pod jego domem.

Naglejego partner poruszył się niespokojnie.

- Stop.

To tam.

Niewiedział, co Toller ma na myśli.

Gapił się wciemność, niepojmując.

- Co?

Co matam być?

- Tam.

Dokładnie przed nami.

To ten dom.

Przypomniało mi się.

Ten kierowcamówił o małym, niebieskimdomu, który wcześniej należałdo fabryki maszyn.

To jestfabryka maszyn i ten dom.

Otynkowane na niebiesko.

Tylko nie zauważyliśmy od razu w tych ciemnościach.

TerazMarthaler też to zobaczył.

Ale w budynku nie paliło się światło,rolety były opuszczone.

Żadnego znaku,żektoś jest wśródku.

Ani z podługowatej hali fabrycznej, ani z małego domku odgradzającego teren od ulicynie docierała nawet słaba poświata.

- Corobimy?

- zapytał Toller.

Marthaler zatrzymałsamochód na skraju drogi.

Wyłączyłsilnik i światła.

- Czekamy.

Może jeszcze go tam nie ma.

Możewpadłgdzieśna piwo.

Poczekamy chwilę,a potem zobaczymy.

- A jak nie przyjdzie?

-Tobędzie znaczyło, że czekaliśmy na darmo.

Alei takwiększość rzeczy robimy na darmo.

Musimy uzbroićsięw cierpliwość.

To najważniejsza cecha policjanta kryminalnego.

Ciągle mamy wrażenie, że czas namucieka.

Mimo to wciążmusimy sięzmuszać do czekania.

188

Marthaler wiedział, że te słowa kieruje także do samegosiebie.

To on był czasem najbardziej niecierpliwymśródm wszystkich współpracowników.

I dlategoczęsto znajdował sięw sytuacjach niebezpiecznych.

Siedzieli w samochodzie ponad dwadzieścia minut, nic się nie działo.
Powoli zaczęli marznąć.
Raz usłyszeli z tyłu hałas.
Ale to tylko kilku pijanych mężczyzn kłóciło się obcym języku.
- Okej - odezwał się w końcu Marthaler.
- Obejrzyjmy sobie ten budynek.
Ale trzymamy się razem, chyba że powiem co innego.
Na podwórzu obok hali dało się słyszeć wejście.
W słabym świetle latarni znad bramy zobaczyli stos palet ustawiony po lewej stronie pod płotem, obok dwa druciane kontenery z odpadami metalowymi.
Do poręczy schodów prowadzących na krótką rampę łańcuchem przyczepiono wózek widłowy.
Marthaler wszedł po schodach, spróbował otworzyć bramę, ale była zabezpieczona ciężką kłódką.
- Myślałem, że interesujemy się tym domkiem, a nie fabryką - powiedział Toller.
- Tak, ale on stoi przy ulicy, a ja nie mam ochoty, żeby przyłapał mnie jakiś pomocnik szeryfa, jak właśnie będę próbował wejść przez piwniczne okno.
Skoro te dwa budynki należą do jednej fabryki, to musi być jakieś wewnętrzne połączenie.
Jak dostaniemy się do hali, wejdziemy też do domu.
Obok rampy widać było ciężkie, metalowe drzwi, także z kłódką.
- Tędy nie wejdziemy - stwierdził Toller.
- Musimy spróbować od tyłu.
Tuż za frontową ścianą hali wznosił się mur.
Było w nim przejście szerokie może na czterdzieści centymetrów,
189.

przez które się przecisnęli.

Marthaler spojrział w górę.

W górnej części ściany hali było okrągłe okno, do którego można się było dostać z muru. Ale potem zobaczył, że jest okratowane.

Toller tymczasem odkrył małą murowaną przybudówkę.

- Tam, może tamtędy da się wejść.

Podszedł do drzwi i szarpnął je.

- Kurwa - wyrwało mu się - wszystko zaryglowali.

- Jak widać, to konieczne - powiedział Marthaler.

- To co robimy?

- Otwieramy!

- Ale to włamanie.

Głos Tollera zdradzał, że zdumiała go propozycja szefa, a leż, że podoba mu się robienie czegoś, co nie trzymasie przepisów.

- Tak, to bez wątpienia włamanie.

Z drugiej strony niczego nie kradniemy.

Ate drzwi i tak trzeba odnowić.

Żeby nie zrzucić odpowiedzialności na partnera, naparł ramieniem na drzwi, ani drgnęły.

Jęknął.

Znów zapomniał o bolących plecach.

- Tak się nie da - pouczył go Toller.

- Drzwi, które otwierają się na zewnątrz, nie da się wepchnąć do środka.

Marthaler zdziwiło zarówno to, że go poucza, jaki sama informacja.

Jeszcze nigdy nie zastanawiał się, w którą stronę da się wyłamać jakie drzwi.

- Zaraz wracam - Toller ruszył tam, skąd przyszli, i zniknął.

Pojawił się po niespełna dwóch minutach.

Niósł coś w ręce.

Metalową szynę.

Przykucnął, wsunął szynę pod drzwi i pociągnął obiema rękami w górę, aż drzwi pod naporem dźwigni tak się odgięły, że powstała szpara.

Potem sięgnął pod nie i podniósł z taką siłą, że Marthaler usłyszał, jak drewno łupie się nazawiasach w drzazgi.

190

- Gotowe.

Marthaler wszedł pierwszy.

Przybudówka prowadziła wprost do hali fabrycznej.

Toller trzymał się tuż za nim.

Pachniało olejem i frezowanym metalem.

Gdy ich oczy przyzwyczyły się do ciemności, na podłodze zobaczyli białe pasy bezpieczeństwa oddzielające przejście od stanowisk maszynowych.

Choć stąpali ostrożnie, każdy krok rozbrzmiewał tak głośno, że Marthalerowi wydało się, iż słyszą ich na ulicy.

Wreszcie doszli do końca hali.

Po dwóch schodkach dostali się do tej części budynku, gdzie po prawej i lewej stronie ciemnego korytarza znajdowały się biura.

- To musi być tam, z tyłu - powiedział Marthaler.

- Tam, gdzie kończy się korytarz, musi zaczynać się tendomek.

Jeśli mamy szczęście, to nie będzie między nimi drzwi.

Przesunął dłonią wzdłuż ściany, aż wreszcie wymacał kontakt.
Właśnie chciał go nacisnąć, gdy Toller położył mu rękę na ramieniu.

- Nie - szepnął ledwie słyszalnie.

- Tam ktoś jest.

Marthaler przełknął ślinę.

Zobaczył, co Toller ma namyśli.

Tam, gdzie kończył się korytarz, tuż nad ziemią, widać było cienką smugę światła.

Prawdopodobnie kiedyś były tam drzwi.

Ale je zamknięto, odkręcono klamkę i zaklejono tą samą tapetą co resztę ścian.

Cokolwiek się za nimi znajdowało, paliło się tam światło.

Toller chciał coś powiedzieć, ale Marthaler dał mudo zrozumienia, że ma zachowywać się cicho.

Potem wpełchnął go do jednego z biur.

- Nic nie wiemy.

Nie wiemy, co Drewitz tam robi.

Niemamy pojęcia, czy nie będzie próbował uciec albo czy nie jest uzbrojony.

Musimy się rozdzielić.

Może jest więcej drzwi.

Może jest tu piwnica, może spróbuje uciec przez

191.

okno.

Ja nie mam pistoletu, ty masz.

Chcę, żebyś miało w ręce, ale nie wolno ci strzelać.

Tylko jeśli nie będziesz wyjszcia.

Zrozumiałeś?

- Tak - odpowiedział Toller.

- Właśnie powiedział pando mnie "ty".

- Okej.

Ja zostaję.

Ty wrócisz drogą, którą tu przyszliśmy.

Spróbuj zorientować się, w którą stronę mógłby uciec.

Potem zastukasz w drzwi i każesz mu wyjść podniesionymi rękami.

Dalej nie możemy planować.

Marthaler zbliżył się do ślepych drzwi najciszej jak się dało.

Korytarz rozgałęział się.

Mógł pójść w prawo albo w lewo.

By nie podjąć niewłaściwej decyzji, postanowił poczekać.

Nasłuchiwał.

Wydało mu się, że słyszy ciche klikanie klawiatury komputera.

Potem Toller zastukał.

Klikanie ucichło.

Odsunęło się krzesło, ktoś wstał i przeszedł przez pomieszczenie.

- Kto tam?

- Marthaler usłyszał głęboki męski głos.

Ale Toller nie odpowiedział.

Przez kilka sekund panowała cisza, potem znów stukanie.

- Do cholery, kto tam?

- spytał mężczyzna, tym razem głośniejszym głosem.

Toller dobrze to robił.

Nie odzywał się, próbował zdezorientować Drewitza.

Zamiast go gonić, postanowił zmusić go do wyjścia na zewnątrz i sprawdzenia, kto i czego od niego chce.

Ten plan mógł się powieść.

Mniej więcej półminuty później Marthaler usłyszał odgłos klucza przekręcanego zamku.

I w tej samej chwili głośniejszy głos partnera.

- Policja!

Proszę opuścić budynek z rękami w górze.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Marthaler słyszał odgłosy walki, stłumione okrzyki, głucho dudnienie.

Najwyraźniej Tollerowi udało się wdrzeć do środka.

Zdecydował, że wróci przez halę, żeby pomóc koledze.

Właśnie ruszył, gdy usłyszał z tyłu krzyk Tollera.

192

- Marthaler!

Uwaga!

Odkoczył w bok.

Padając, poczuł, jak coś przelatuje obok jego głowy.

Potem usłyszał głośniejszy stukot.

Jakiś ciężki przedmiot uderzył w podłogę.

Serce mu waliło.
Leżałna boku i ciężko dyszał.
Rana naplecachpulsowała,ale nic mu się niestało.
Ktośprzebiegł obok niego.
A więcbyły jakieś otwarte drzwi, pomyślał.
- Nic mi nie jest - powiedział, gdy Toller pochylił sięnad nim.
- Nic mi nie jest.
Gdy zobaczył ciężki klucz monterskileżący obok niego na podłodze, poczuł mdłości.
I pojął, żeToller prawdopodobnie uratował mu życie.
- Pospiesz się!
Nie zajmuj się mną.
Musisz go dopaść,ja wezmę samochód.
Wstał, wyszedł z budynku przez halę.
Stanął na ulicy.
Zimne, nocne powietrze otrzeźwiło go.
Drzwido małego domku były ledwie przymknięte.
Z wnętrza padało najeźdźnię światło.
Korciło go, żebywejść do środka, zobaczyć,co Drewitz robił.
Ale na to przyjdzie czas.
Teraz muszapodjąć pościg.
Wsiadł do daimlera, wezwał posiłki i kazałotoczyć cały port.
Wydawszy polecenia,ruszył.
Wtedy usłyszał eksplozję.
We wstecznym lusterku zobaczył, jak dach domu rozpada się na dwie części.
Jasne płomienie strzeliły w powietrze.
Chwilę późniejpłonęła cała fabryka.
Pędził Schmickstrasse.
Zobaczył biegnącego mężczyznę, był o kilkaset metrów od niego.
Gdy się zbliżył, rozpoznał Tollera.
Skręciłszybę.
- Jedź dalej - krzyknął Toller.
- Jedź w stronę mostuHonsell.
Nie możebyć daleko.
Spróbuj odciąć mu drogę.
Dojechałna mostw trzy minuty.
Stanął, wyłączyłświatła.
Wysiadłi czekał.
Usłyszałzbliżającą się syrenę.
Chwilę później minęły go dwa radiowozy.
193.

Potem zobaczył Drewitza.
Biegł w poprzek mostu pięćdziesiąt metrów od niego.
Przeskoczył przez barierkę i zniknął.
Marthaler krzyknął i rzucił się biegiem.
Przesadził barierkę, potknął się.
Przetoczył się zarośniętym zboczem, wstał.
Stracił orientację, nie wiedział, w którą stronę ruszyć, przedzierał się przez zarośla.
Biegł pagórkowatym terenem w stronę Grossmarkthalle.
Ale zorientował się, że nie ma szans.
Było za ciemno, za duża możliwość, żeby się ukryć.
Te kilka sekund wyprzedzenia wystarczyło.
Drewitz mógł schować się bardzo blisko, z jakimś przesłem.
Albo dawno już zniknął.
Nagle zobaczył mężczyznę biegnącego mostem kolejowym.
Nie miał pojęcia, jak się tam dostał.
Musiał dać zawygraną.
Znam to miasto, pomyślał, ale wciąż jeszcze niewystarczająco.
Wrócił do samochodu.
Gdy dotarł do niego zdyszany Toller, nadawał właśnie meldunek, żeby przenieść poszukiwania do Sachsenhausen.
- Straciłem go na Schwedlersee - wysapał Toller.
- Przebiegł tuż obok posterunku policji wodnej, musiał się przedostać po torach.
Potem zniknął.
Zawaliłem.
- Nie - odparł Marthaler - zrobiliśmy, co w naszej mocy.
Podwiozę cię do auta.
Resztą zajmą się koledzy.
My już dziś nic nie zdziałamy.

Dziewiętnaście

Pytanie numer jeden: Czy to prawda, że policja tylko przypadkiem dowiedziała się, że Helmut Drewitz wynajął dom w porcie wschodnim?
Pytanie numer dwa: Co tam robił?
Z jakiego powodu wysadził go w powietrze?
Pytanie numer trzy: Jakiego błęd popełniono, że udało mu się zbiec?
Pytanie numer cztery: Czy zakładacie, że Helmut Drewitz jest mordercą Gabriele Hasler?
Tak czy nie?
Pytanie numer pięć: Jak związek ma ta sprawa z morderstwem w Darmstadt?
- Pięć pytań, pięć trafień.
Tymi słowy młoda dziennikarka siedząca na końcu sali w pobliżu Marthalera wyraziła podziw dla reportera, starego wyjadacza.
Pytający stał jeszcze przez chwilę, by dać wybrzmieć pytaniom.
Wszyscy go znali.
Miał krótko ostrzyżone, siwe włosy, które farbował na czarno.
Nosił czarne dżinsy, czarną koszulę i czarną kamizelkę.
Nigdy nie zakładał nic innego.
Na żadnym innym tle łupież nie prezentował się tak okazale.
Nazywał się Arne Gruter i był szefem reporterów w "City-Express".
Mały, przysadzisty, ale w żadnym razie gruby.

Jeszcze raz wskazał ołówkiem w stronę stołu, przy którym siedział Hans-Jurgen Herrmann prowadzący konferencję prasową w nowym budynku komendy.
Potem z udawaną

195.

rezygnacją opuścił ramię, jakby swoimi pytaniami pozbył się jedynie przykrego obowiązku, jakby nie spodziewał się, że dostanie choćby jedną i chociaż w połowie przydatną odpowiedź. Popatrzył nad głowami zgromadzonych licznie dziennikarzy, potem opadł na miejsce. Było to jak zwykle krzesło w piątym rzędzie, na samym skraju, dokładnie przy środkowym przejściu.

Żaden inny dziennikarz nie odważył się tam usiąść.

Jeśli Gruter uznawał, że usłyszał wystarczająco dużo, wstawał w środku konferencji wychodząc, na nikogo nie patrząc.

Nikt go nie lubił, ale wszyscy się go bali.

Koledzy pofachu ze względu na jego bezkompromisowość, dzięki której często wyprzedzał ich o głowę.

Policjanci z powodu pytań, które wystarczająco często przekraczały granice bezczelności, równie jednak często trafiały w czułe punkty ich pracy.

Sala dawno już nie była tak nabita.

Jeszcze w noc agencje podały, że za Helmutem Drewitzem wysłano list gończy.

A rano lokalne rozgłośnie wyemitowały pierwsze audycje specjalne, w których ponownie przedstawiano zmienne koleje losów byłej gwiazdy fotografii.

Ponieważ chodziło o kolegę po fachu, zainteresowanie dziennikarzy było szczególnie duże.

Hans-Jurgen Herrmann jak zwykle z upodobaniem wszedł w rolę rzecznika prasowego.

Poprawił okulary i uśmiechnął się elegancko.

- To wiele pytań naraz, ale spróbuję odpowiedzieć na nie po kolei.

Po pierwsze: w pracy policjantów bardzo rzadko mamy do czynienia z przypadkiem.

To, co wygląda jak przypadek, jest wynikiem skrupulatnej pracy dochodzeniowej.

Zadanie przeprowadzenia wywiadu na miejscu zlecieliśmy koledze, który zna tę dzielnicę jak własną kieszeń.

Jak państwo widzą: nasza strategia przyniosła oczekiwane rezultaty.

196

- Nazwisko - zawołał ktoś.

- Proszę podać nazwisko.

Szef wydziału zabójstw podniósł rękę uspokajającym gestem.

Potem wbrew wszelkim regułom wskazał na Tollera siedzącego w pierwszym rzędzie i poprosił, by wstał.

Toller skłonił się.

Natychmiast rozbłysły flesze.

- To kolega Raimund Toller.

Dopiero co dołączył do MK I w ramach policyjnej akcji dokształcania, a już może odnotować na swoim koncie pierwszą sukcesy.

To on dowiedział się o domowej porcie.

Drewitz wynajął go za niewielkie pieniądze od właściciela fabryki maszyn.

Toller wciąż jeszcze stał.

Kazano mu wstać, ale nie kazano usiąść.

- Może pan usiąść, kolego Toller - powiedział Herrmann.

Z sali doleciały stłumione śmiechy.

- Po drugie: Drewitz dysponował materiałem wybuchowym z zapalnikiem czasowym.

Wygląda na to, że wysadził dom, żeby zatrzeć ślady.

To, że nikomu nic się nie stało, zawdzięczamy tylko ostrożności naszych policjantów.

Po ugaszeniu pożaru do pracy przystąpili technicy.

Zabezpieczyliśmy trzy twarde dyski.

Dwa były tak zniszczone, że nie udało się odzyskać danych.

Trzeci jest aktualnie badany przez naszych specjalistów.

- Czy to prawda, że przechowywał na nich materiały pornograficzne?

- To pytanie zadała młoda dziennikarka.

Herrmann mrugnął nerwowo w jej kierunku.

Potań

skronie.

- Proszę o wyrozumiałość, ale chwilowo nie mogę wypowiedzieć się na ten temat.

Reporterkana dąsała się.

- Oooch, proszę, proszę.

Znow śmiechy.

197.

Szef wydziału zabójstw próbował ukryć poirytowanie.

A akurat teraz powinien zareagować nanajtrudniejszej pytań Grutera.

-Po trzecie: na pytanie, czy podczas pościgu zostały popełnione błędy, odpowie nadkomisarz Robert Marthaler.

Marthaler poczuł się, jakby ktoś uderzył go w brzuch.

Absolutnie nie był przygotowany na to, że ma zabrać głos.

Po sali rozszedł się szept.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

Krew uderzyła mu do głowy.

Z wściekłości zmieszania.

Patrzył w ziemię, szukając odpowiednich słów.

Imdłużej milczał, tym bardziej rósł niepokój dziennikarzy.

- Nie - wypalił w końcu.

- Do cholery: nie.

Nie mam nic do powiedzenia.

Zamachał rękami.

Fotografowie stojący z przodu sal przebiegli do tyłu.

Dziennikarze wyjęli notesy, zapisywali pośpiesznie.

Byli żądni cytatów, nie chcieli uронić żadnego słowa.

- Ani myśle się usprawiedliwiać.

Dziś w nocy dwa razy ledwie uszedłem z życiem.

A pan ma odwagę mówić o błędach.

Pozwólcie nam w spokoju wykonywać naszą źleopłacaną pracę!

Zostawcie nas w spokoju!

I jeszcze coś:

Nie umówiliśmy się, że coś tutaj powiem.

Wręcz przeciwnie, Hans-Jurgen Herrmann obstawał przy tym, że wszystkie pytania odpowie sam.

Zakazał nam mówić.

Miałem być obecny, ale trzymać język za zębami.

Dlatego też to, że mój przełożony próbuje publicznie zepchnąć na mnie odpowiedzialność, uważam za niewyobraźalne świństwo.

Wszystko zrobiłem, ale poczuł się lepiej.

Choć znów dał temu motłochowi dokładnie taką pożywkę, jakiej oczekiwali.

Rozejrzał się po sali.

Jego ostatnie zdania były jak bomba.

Nie dało się nie zauważyć satysfakcji na

198

twarzach dziennikarzy.

Arne Griiter patrzył mu prosto w oczy.

Uśmiechał się szyderczo.

Marthaler przeczuwał, że w następnym wydaniu "City-Express" zostanie ukrzyżowany.

Kamery wciąż jeszcze były na niego skierowane.

Wszyscy czekali, że powie coś więcej, że podkreśli śrubę skandalu.

Ale powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

Niedoczekawszy się dalszego ciągu, dziennikarze zaczęli mówić jeden przez drugiego.

Herrmann słuchał słów komisarza w osłupieniu.

Teraz próbował zaprowadzić porządek.

Podniósł szklanek z wodą na wysokość mikrofonu i postukał w nią ołówkiem.

Wreszcie wrócili na niego uwagę.
Mieli nadzieję, że pociągnie wymianę ciosów.
Ale był wystarczająco mądry, żeby tego nie zrobić.
- Proszę państwa o spokój.

I o wyrozumiałość dla nadkomisarza Marthalera.
Wszystkich można obciążyć tylko do pewnych granic.
Sami państwo słyszeli, jakiego niebezpieczeństwa był narażony ubiegłej nocy.
Mogą sobie państwo wyobrazić, że taka akcja wiąże się z ogromnym stresem, co nikogo nie pozostawia obojętnym i w sposób nieunikniony wpływa na kondycję psychiczną.
Dlatego czasem sięga się po nazbyt ostre, może nawet niesprawiedliwe słowa.
- Czy pan słyszy - szepnęła do Marthalera młoda dziennikarka - że właśnie próbuje nam wmówić, że sobie pannieradzi?

Tak, pomyślał, słyszę.

- I jeszcze coś - ciągnął Herrmann - macie państwo wszelkie prawo stawiać pytania.

Ogromnie szanuję waszą pracę.

I umiem docenić pomoc, jakiej media udzielały nam podczas wielu poszukiwań.

Dlatego proponuję, żebyśmy kontynuowali.

Czwarte pytanie pana Grutera brzmiało, czy zakładamy, że Helmut Drewitz jest zabójcą Gabriele

199.

Hasler.

Sądzę, że mogę odpowiedzieć na nie ostrożnym, ale zdecydowanym "tak".

Tak, wiele wskazuje na to, że od wczoraj wiemy, kto zabił dentystkę.

Poszukiwany nie tylko mieszkał w pobliżu jej domu, także restauracja, w której pracował jako pomocnik kucharza, oddalona jest od niego o kilka minut piechotą.

Co oznacza, że możemy skoncentrować nasze wysiłki na poszukiwaniach Helmuta Drewitza.

Nie, pomyślał Marthaler, mów, co chcesz, ale akurat tego nie zrobimy.

Będziemy dalej prowadzić dochodzenie w wielu kierunkach.

Przepchał się przez grupę dziennikarzy.

Miał wrażenie, że każdy, obok którego przechodzi, gapi się na niego.

Gdy wreszcie dotarł do wyjścia, odetchnął.

Szedł samotnie pustym korytarzem, wtem usłyszał za sobą pospieszne kroki.

Potem ktoś zawołał.

- Marthaler, niech pan zaczeka.

Chwileczkę, panie nadkomisarzu!

Odwrócił się.

To był Arne Gruter.

Z niedowierzaniem pokręcił głową i poszedł dalej.

Ale dziennikarz był już o pół metra za nim.

Zaczął mówić.

- Niech pan da nam wywiad.

Chętnie usłyszałbym jeszcze kilka słów pańskiego konfliktu z Herrmannem.

Jesteśmy gotowi dobrze zapłacić.

Zdumiała go bezczelność tej propozycji.

Wiedział, że prasa wciąż próbowała przekupywać pojedynczych policjantów, by dotrzeć do informacji.

Ale nigdy nie pomyślałby, że ktoś zaproponuje mu pieniądze tutaj, na korytarzu komendy.

Z trudem opanował złość i zignorował dziennikarza.

Nie zamierzał się wdawać w kolejną wymianę zdań, chciał, żeby zostawiono go w spokoju.

Ale Arne Gruter położył mu rękę na ramieniu.

Odruchowo odwrócił się i uniósł się, by się od niego uwolnić.

200

W tej samej chwili został sfotografowany.

Dopiero teraz dostrzegł mężczyznę z aparatem stojącego nieco z boku drzwiach.

Dał sięabrać na stary trick, sprowokował do gwałtownego ruchu.

Tego właśnie chciał Gruter.

Nie chciał wywiadu, chodziło mu tylko o to zdjęcie.

- Co z pana za świnia, Gruter!

Jak pan chce, może panto zacytować.

A jeśli nie przyjdzie panu do głowy dobry pomysł na podpis pod zdjęciem, zaraz go panu dostarczę.

Może: Agresywny glina atakuje bezbronnego dziennikarza.

Gruter wyszczerzył zęby.

- Tak.

Nieźle.

Może być.

Najlepiej przeciągniemy tekst na dwie linie.

Może tym razem dostanie się pan na pierwszą stronę.

Pod jego domem trwało prawdziwe oblężenie.

Naulicy stały dwie ekipy telewizyjne i kilku fotografów.
Minęła ledwie godzina od jego wyjścia z konferencji prasowej.
W tajskiej restauracji zjadł warzywa w curry i wypił dzbanuszek herbaty.
Potem poszedł po prostu do domu.
Choć była niedziela, ten czas wystarczył redakcjom na wysłanie reporterów.
Dopiero teraz pojął, jakiego znaczenia sprawa nabrała tymczasem dla mediów.
Mieli wszystko, czego potrzeba do dużej relacji: spektakularne morderstwo młodej dentystki,
podejrzanego, który kiedyś należał do środowiska prominentów, a teraz rozesłano z nim listy
gończe.
I komisarza, który publicznie postawił się przełożonemu.
Zrozumiał, że nie masz szans dostać się do domu niezauważony.
Postanowił przejść do ofensywy.
Wyjął swój adresownik i wstukał do komórki Terezy numer komendanta policji.
Gabriel Eissler odebrał po niecałych piętnastu sekundach.
Jadł.
Prawdopodobnie Marthaler zastał go przy obiedzie.
Przeprosił i zaproponował, że zadzwoni za pół godziny.
201.

- Nie ma mowy - powiedział Eissler.
- Musimy porozmawiać.
Herrmann już mnie poinformował.
Co pan sobiemyślał?
Robi się z tego skandal.
W radiu lecą już pierwszedeniesienia.
Właśnie zadzwonili z ministerstwa spraw wewnętrznych.
Musimy coś wymyślić.
Trzebajak najszybciej wyczyścić tę sprawę.
- Tak - odpowiedział Marthaler.
- Jeśli panu pasuje, możemy się spotkać w Białym Domu.
- Ależ pan naiwny.
Dziennikarze stoją tam prawdopodobnie w kolejce.
Poza tym nie mam ochoty przez pańską głupotę zrezygnować z niedzielnych planów.
Chciałem pojechać na pływalnię w Kónigsteini dokładnie zrobię.
Czekam tam na pana za pół godziny.
- Ale ja nie mam nawet kąpielówek.
Nie mogę wejść do domu.
Eissler zastanowił się.
Gdy wreszcie odpowiedział, Marthalerowi zdało się, że słyszy w jego głosie rozbawienie.
- Towłóży pan moje.
Bez względu na to, czy będą pasować czy nie.
Zresztą bywało, że ja także byłem niecokorpulentny.
Ręcznik też pan przywiozę.
Bez gadania!
Za pół godziny spotykamy się przy wejściu!
Marthaler nie mógł zaoponować.
Eissler odłożył słuchawkę.
W drodze do Kónigstein, zastanawiał się, jak uzasadnić swoje zachowanie na konferencji.
Ale jak zawsze, gdy czuł się zapędzony w kozi róg, reagował uporem.
Każe sprawiedliwe wydawało mu się śmieszne.
Zrobił, co zrobił.
Może to był błąd, może tak było lepiej.
Herrmann chciał go publicznie skompromitować, a on publicznie powiedział, co o tym myśli.
Czasem było lepiej od razu ostrzyć konflikt, niż dać mu nabrzmiewać, mając nadzieję, że z czasem rozwiąże się sam.

202

Wjeżdżając do Kónigstein, po prawej stronie na bocznej ulicy okazały budynek kuracyjny.
Podjechał, opuścił szybę, wziął bilet parkingowy.
Odstawił samochód.
Komendant już czekał.
Był w brązowych sztruksach i wełnianej marynarce.
Zdjął płaszcz, sportowa torbastała u jego stóp.
Gabriel Eissler był wysokim, szczupłym mężczyzną.
Marthaler nie mógł sobie wyobrazić, że kiedykolwiek mógł mieć nadwagę.
Podali sobie ręce, uśmiechnęli się.
Nie rozmawiali, idąc schodami na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się kasy.

Milczenie przełożonego sprawiało, że Marthaler czuł się nieswojo, ale powstrzymał się, nie zaczął mówić.

Nie chciał ani powtarzać zarzutów wobec Herrmanna, ani też przedwcześnie przeproszać, a nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Wspaniale- odezwał się końcu Eissler.

- To prawdziwa pływalnia dla emerytów.

Żadnych wrzeszczących dzieci, żadnych nastolatków.

Sami inwalidzi, jak pan i ja, którzy chcą popluskać się w spokoju.

Podał Marthalerowi kąpielówki.

- Nie są może najmodniejsze, ale nie powinno nam to przeszkadzać w rozmowie.

A poza tym to nie jest okazja, żeby się lansować.

Marthaler znów poczuł ukłucie zazdrości.

Eissler miał dar nawiązywania rozmowy niewinną uwagą, która rozładowywała atmosferę.

Jego autorytet był niepodważalny, równocześnie jednak dawał swoim ludziom odczuć, że szanuje ich pracę.

W kręgach wysokiej rangą polityków i dziennikarzy poruszała się równie swobodnie jak na zebraniach w komendzie.

Cokolwiek robił, sprawiał wrażenie opanowanego i nieprzekupnego.

Marthaler sądził, że komendant odwzajemnia jego sympatię.

Tym bardziej przykro mu było, że swoim zachowaniem ściągnął na siebie kłopoty.

203.

- Co pan taki markotny?

- Eissler uśmiechem dodawał mu otuchy.

-Przebierzmy się, apotem spotkamy się w basenie.

Marthaler wszedł do wąskiej kabiny, zdjął ubranie, włożył stare kąpielówki komendanta, a potem przedłuższą chwilę przeglądał się w lustrze.

Mój Boże, pomyślał, starzeję się, to prawda: coś musi się wydarzyć.

Przypomniał sobie słowa Terezy.

Nie wolno nam skończyć jak inni ludzie, powiedziała, jak ci, którzy przestają dbać o siebie.

Eissler czekał, zanurzony po pas w wodzie.

Zdjął okulary, spojrzał na niego, mrużąc oczy.

- Proponuję, żebyśmy przepłynęli kilka długości, a potem się zobaczy.

Marthaler z trudem utrzymywał tempo komendanta.

Mimo to ruch sprawiał mu przyjemność.

Po przepłynięciu czwartej długości poddał się.

Cieężko dyszał.

Unosił się na wodzie, leżąc na plecach.

Eissler miał rację.

Nieliczni kąpiący się byli głównie starszymi ludźmi, pływali powoli albo na skraju basenu na leżakach przeglądali gazety.

Niektórzy stali po prostu w wodzie rozmawiali.

Rozejrzał się za komendantem.

Nigdzie go nie widział.

Nagle jego głowa wynurzyła się tuż obok.

Eissler parsknął i złapał oddech.

- Cudownie, prawda?

Gdyby każda rozmowa służbowo mogła odbywać się w wodzie!

Wszystko jest wtedy lepsze.

A dystans między ludźmi mniejszy, gdy mają na sobie tylko kąpielówki.

Wie pan co?

Teraz przemieścimy się na zewnątrz.

Marthaler popłynął za nim.

By wydostać się z wody, musieli pokonać przewężenie i basen zimną wodą.

Odsunęli plastikową zasłonkę i znaleźli się na wolnym powietrzu.

Nad basenem z ciepłą wodą unosiła się gęsta para.

204

Marthaler zdumiał się, widąc stąd było osłoneżone drzewo w górach Taunus.

Nad ruinami na jednym ze wzgórz nad szarego nieba krążyły dwa wielkie ptaki.

Pogoda była zdecydowanie zimowa, ale na zewnątrz pływano, jakby to było lato.

Jeszcze nigdy tego nie robił.

Podobało mu się, poczuł, jak powoli się odpręża.

- Chodźmy do jacuzzi, to zdrowe dla pleców - zaproponował Eissler.

- Dobrze - odpowiedział.

- I zacznijmy rozmawiać.

Kilka minut leżeli obok siebie w milczeniu, czując, jak bulgocząca woda masuje skórę.

Potem Eissler powiedział:

- Nie oczekuję, że będzie się pan usprawiedliwiał.

Bowiem, że wprawdzie by pan to zrobił, ale nie na serio.

Zgadza się?

- Tak.

-Ale popełnił pan błąd.

Wewnętrznegokonfliktu niewolnowywlekaćna światło dzienne.

Pierwszy błąd popełnił Herrmann, drugi, niestety poważniejszy, pan.

Zanim porozmawiamy o skutkach, chciałbym dowiedzieć się od pana kilkurzeczy.

Najpierw: Czy sądzi pan, że HelmutDrewitz jest mordercą Gabriele Hasler?

To pytanieMarthaler zadawał sobie wielokrotnie w ciąguubiegłej nocy i dzisiejszego ranka.

Iza każdym razem dochodziłdo tego samego wniosku.

- Nie.

Nie sądzę.

Poza niewielką odległością jego domui miejsca pracy od miejsca zdarzenia niewieleza tym przemawia.

Nigdy nie stosował przemocy fizycznej.

Ma niejedno na sumieniu, ale moim zdaniem to nie on.

Eissler skinął głową.

- Wie pan, że Herrmann myśli co innego.

-Nie,tego nie wiem.

Założyłem, że jego wypowiedźbyła wybiegiem taktycznym.

205.

- Nie, naprawdę wierzy, że Drewitz to nasz sprawca.

I chce, żeby cała energia została nakierowana na jego znalezienie.

- Moim zdaniem to wielki błąd.

- Moim też.

- Marthaler odwrócił się na bok i zdumiony spojrzał na komendanta.

- To znaczy?

- To znaczy, że mamy problem.

Potym, co zaszło dziś rano, powinienem właściwie wyłączyć pana z prowadzenia śledztwa.

To znaczy, że Herrmann musi przejąć tę sprawę.

- Nie mówi pan poważnie.

Wie pan, co to znaczy?

- To znaczy, że na tym froncie nie damy się dalej atakować.

- Chce pan zakończyć dochodzenie, które sam uważa pan za właściwe?

Tylko dlatego, żeby uspokoić opinię publiczną?

I mnie rzuci pan mediom na pożarcie.

- Do cholery, Marthaler, niech pan najpierw posłucha, zanim zacznie wygadywać głupoty.

Właśnie tego nie chcę.

Muszę zrobić szpagat.

Chcę, żebyśmy znaleźli prawdziwego sprawcę.

I nie dopuszczę, żeby nasza praca była torpedowana z zewnątrz.

Ale zanim złożę panu propozycję, mam kolejne pytanie.

- Proszę, niech pan pyta - zgodził się Marthaler, ale poczuł, że słowa komendanta wzbudziły w nim niepokój, stał się piłeczką pingpongową polityki, której nie rozumiał.

- Jak ocenia pan w chwili obecnej szansę na rozwiązanie tej sprawy?

Marthaler znów zastanawiał się dłuższą chwilę.

Omalnie powiedział, że potrzebują jeszcze tylko trochę czasu, że ich praca wkrótce zaowocuje.

Ale wiedział, że to byłoby kłamstwo.

206

- Źle.

Nie mamy prawie nic.

Mimo to istnieje tylko jedna możliwość: musimy pracować dalej.

Niech pan pomyśli, co stałoby się w przeciwnym razie.

Co, jeśli za tydzień albo za miesiąc schwytamy Drewitza, a on dostarczy nam alibi na noc morderstwa?

Co wtedy?

Wtedy okażesz się, że złapaliśmy wprawdzie łajdaka, ale

zaniedbaliśmy poszukiwania męczyzny, którego pan i ja uważamy za mordercę Gabriele Hasler.

I że wciąż jeszcze nie wiemy, kim i gdzie jest.

Eissler odwrócił się do Marthalerai pochylił głowę jego stronę, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

- Właśnie tego się obawiam.

Dlatego niech pan tuż nowu na mnie nie wrzeszczy, gdy złożę panu propozycję, by wziął pan urlop.

Najlepiej do końca roku.

Chciałbym, żeby zszedł pan z linii strzału.

Zostawimy Herrmannowi jego poszukiwania, a pan będzie równocześnie dalej prowadził dochodzenie tak, by nie dowiedziało się o tym opinia publiczna.

Zostanie pan libero.

Oficjalnie ma pan urlop, w istocie pracuje pan dalej.

Nie zrozumiał, co Eissler ma na myśli.

- A jak pan to sobie wyobraża?

Że pójdę jutro do moich ludzi powiem: Cześć, już nie jestem waszym nadkomisarzem, mam urlopi jestem waszym libero.

Nic sobie tego nie róbcie, wszystko zostaje po staremu.

Tak?

A co na tym zyskamy?

- Nie - zaśmiał się Eissler - tak jak do tej pory nie może pan oczywiście pracować.

Ma pan załatwiać wszystko, co jest do załatwienia, z domu.

Jeśli to konieczne, odczasu do czasu wspomóż pan jeden albo dwóch ludzi.

Będziemy o tym decydować na bieżąco.

W zależności od tego, jak rozwinie się sytuacja.

- Nieważne, jak pan to nazwie.

Chce mnie pan unieszkodliwić.

207.

- Nie, użył pan niewłaściwego słowa.

Chcę dać panu wolną rękę.

Marthaler instynktownie pokręcił głową.

Czuł się nieswojo na myśl, że miałby pracować całkiem poza regulaminem.

I nie mógł oszacować skutków tego, co zaproponował mu Eissler.

- No nie wiem - odparł.

- Tomi się nie podoba.

To jakiś pokrętny sposób.

- Nie, to jedyny sposób, jaki widzę.

Chyba że woli pan, żeby nasza praca nadal cierpiała z tego powodu, że pańskie mieszkanie i Biały Dom oblegane są przez ekipy telewizyjne, które z rozkoszą wykorzystują konflikt między panem a Herrmannem.

- A co, jeśli odmówię?

Jeśli nie przystanę na pańską propozycję, nie wezmę urlopu?

- Wtedy będę musiał wysłać pana na urlop przymusowy.

Co będzie równoznaczne z zawieszeniem.

Marthaler skinął głową.

Podpłynął do służki i wyszedł z basenu.

Nie obejrzał się.

Dwadzieścia Marthaler wyszedł z pływalni, wszedł do auta, rzucił na tylne siedzenie kąpielówki Eisslera i mokry ręcznik i pojechał do Kerstin Henschel, żeby się z nią poradzić.

Miała trzypokojowe mieszkanie w pobliżu rynku, na Berger Strasse.

Odkąd M K I przeniósł się do Białego Domu, mogła dotrzeć do pracy na piechotę.

Przez jakiś czas mieszkał z nią Manfred Petersen, teraz się wyprowadził.

Marthaler kolejny raz zaoferował, że może z ním tym porozmawiać, ale odmówiła.

- Skończyło się i chciałabym zapomnieć.

Zapytał, czy Kai Döring dowiedział się w Darmstadt czegoś o miejscu pobytu Stefanie Wolfram.

- Nikt nic nie wie.

Nawet rodzicomnie powiedziała.

Dotej pory ani nie zadzwoniła, ani nie napisała.

Wciąż jeszcze podróżuje po Australii albo po Nowej Zelandii.

Chyba jest tak, jak powiedział ten sąsiad: wzięła kilka miesięcy urlopu od życia.

Może chce po prostu wypróbować, jak to jest, gdy człowiek ucieknie od tej naszej ohydnej pogody i od naprzykrzających się, wciąż niezadowolonych Niemców.

Marthaler zdziwił ten wybuch, ale nie zareagował.

- Wiadomo tylko tyle, że poleciała do Sydney.

- Dobrze - powiedział.

- W takim razie można też dowiedzieć się, jakimi liniami i którym samolotem.

209.

Poprośmy o pomoc australijską policję.

Muszą pójść jej śladem.

Jeśli dowiemy się, kiedy jej samolot wylądował w Sydney, będzie można wypytać ludzi.

Jak będziemy mieć szczęście, ktoś sobie ją przypomni.

Może stewardesa, może któryś pasażer.

Albo taksówkarz.

Musi gdzieś nocować.

Robić zakupy i jeść.

Może wynająć samochód.

Są różne warianty.

Powinniśmy od razu wysłać im jezdnię.

- Już wysłaliśmy.

Wczoraj wszystko załatwiłam.

- I musimy być pewni, że oprócz nas nikt nie dowie się, gdzie jest.

Ani kiedy wraca.

Musimy założyć, że dalej jest w niebezpieczeństwie.

Ktokolwiek próbował ją zabić, nie przestanie na tym.

- To samo powiedziałam policji w Sydney.

Marthaler skinał głową.

No świetnie, bez mnie też wszystko idzie jak należy.

Ale bynajmniej nie był pewien, czy mu się to podoba.

Potem wpadł na pomysł.

Poprosił Kerstin, żeby pojechała do jego mieszkania i poinformowała dziennikarzy, że wziął urlop.

Niech impowie, że wyjechał w nieznanym kierunku.

- Powiedz: nadkomisarz Marthaler wziął kilka tygodni urlopu od życia.

Kerstin zrobiła wielkie oczy.

- Co to znaczy?

Jesteśmy w środku dochodzenia.

Nie możesz tak po prostu zniknąć.

Dopiero teraz opowiedział, co wydarzyło się po południu na pływalni w Königstein.

- Eissler mnie odsunął.

Albo wezmę urlop, albo mnie zwolnią.

- Odsunął?

- Tak.

Nie wiem, na jak długo.

Niewiem, co to znaczy dla dochodzenia.

Nic nie wiem.

Albo nie chcę, żeby dziennikarze

210

się o tym dowiedzieli.

W każdym razie nie od razu.

Więc powiedz im, że mam urlop.

Wyszli razem.

Kerstin, żeby okłamać dziennikarzy przed domem Marthalera; Marthaler, żeby jakoś zabić czas, dopóki nie będzie mógł tam wrócić.

Siedząc w samochodzie, poczuł, jak jest zmęczony.

Pływanie i ciepła woda go wykończyły.

Ale chociaż popołudnie przebiegło tak niepomyślnie, czuł się oklapnięty w przyjemny sposób. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Terezy, ale przypomniał sobie, że wciąż ma jej komórkę i nie wie, gdzie ją zastać.

Wczoraj wieczorem chciał jeszcze zapisać nazwę i adres pensjonatu, ale gdy Toller zadzwonił do Gattopardo, zapomniał.

Teraz nie pozostało mu nic innego, jak czekać, aż sama się odezwie.

Pojechał do centrum.

Niedziela była bura, na ulicach nieliczni przechodnie.

Zostawił samochód w śródmieściu i poszedł pieszo.

Czasem mijali go mężczyźni walęsając się samotnie albo dwójkami.

Za każdym razem, gdy słyszał ich głosy, orientował się, że to Polacy albo Rosjanie.

Samotne, szare postacie w samotną, szarą niedzielę.

Zastanawiał się, co turobią.

Prawdopodobnie nic.

Nie było z nim ani kobiet, ani dzieci.

Przyjechali do tego kraju z nadzieją, że będzie im tu lepiej niż w domu.

Czekali, aż zacznie się poniedziałek, a oni znów wyruszą na poszukiwanie dorywczej pracy w porcie wschodnim.

Wieczorem wrócą do swoich męskich mieszkań, będą grać w karty, oglądać telewizję, padną na materace, wypiją kilka butelek piwa, żeby szybciej zasnąć, a o świcie następnego dnia znów stawiają się w porcie.

Na Allerheiligenstrasse rzucił muszę w oczyszczyć jakieś knajpy.

Postanowił usiąść przy barze, wypić jedno piwo, a potem pojechać do domu.

Gdy wszedł, zobaczył

211.

Tollera siedzącego przy stoliku z jakimś innym mężczyzną.

Chciał się wycofać, ale było za późno.

Toller zauważył go, machnął ręką.

- Nie chcę przeszkadzać - powiedział Marthaler.

-Przysiądź się do nas.

- Toller pokazał głowę swojego sąsiada.

-Znacie się, prawda?

Ten drugi podał mu rękę.

Teraz Marthaler go poznał.

To był Raimund Steinwachs.

Kolega Tollera z ósmego komisariatu.

Wyglądali podobnie i nosili takie same imiona.

Choć bardzo różnili się charakterem, byli zaprzyjaźnieni od dawna i prawie wszędzie pojawiali się razem.

Spokojniejszy, rozważniejszy Steinwachs wciąż krył Tollera, gdy ten wpadał w kłopoty przez swoje bezzmysłne zachowanie.

- Tak - odparł Marthaler - znamy się.

Potem zamilkł.

Już żałował, że ubiegłej nocy zaczął zwracać się do Tollera po imieniu i że nie będzie mógł zaoponować, gdyby ten drugi odezwał się do niego w równie poufale sposób.

- Co tu robisz?

W niedzielę?

-zapytał Toller.

- Niemasz domu?

- Mam, ale jest obleżony.

Przyjaciele wymienili spojrzenia.

- Rozumiem.

- Toller nie mógł ukryć uśmiechu.

-Dziś rano nie poszło najlepiej.

- Dla ciebie tak.

-Słuchaj, nie moja wina, że Herrmann zrobił ze mnie bohatera.

Mam to wdupie.

- Ach tak?

- Marthaler uniósł brwi.

W Tollerze zagotowało się.

Potem wybuchnął.

- Co to znaczy?

Gdybym cię nie ostrzegł, ten typ tym swoim żelaznym drągiem.

- Raimund, daj spokój.

- Steinwachs położył mu rękę na ramieniu.

212

Potem zwrócił się do Marthalera.

- Napije się pan piwa?

- zanim komisarzy zdążył odpowiedzieć, skinął na kelnera.

-Utknęliście, co?

Żadnych śladów na miejscu zbrodni, nic.

- Są ślady - sprzeciwił się Marthaler.

- Dużo śladów.

I być może znaleźlibyśmy trochę takich, które do czegoś by się nadały, gdybyście tak dokładnie nie szukali sprawcy!

Steinwachs skinął głową.

- Tak, to było wyjątkowo głupie z naszej strony.

Ale byliśmy dość skołowani, jak tam przyjechaliśmy i znaleźliśmy ją napodwórzu.

A co z tą koleżanką?

Stefanie Wolfram?

Wciąż jeszcze nie wiecie, gdzie jest?

Marthaler popatrzył najpierw na Steinwacha, potem na Tollera.

- Co to znaczy?

Skąd on o tym wie?

- zapytał o trymtonem.

- To dochodzenie dotyczy wyłącznie naszej grupy.

Właściciel knajpy podszedł do stolika i postawił przed Marthalerem piwo.

Spojrzał na niego surowo, jakby chciał go upomnieć.

Steinwachs podniósł uspokajająco rękę.

- Dobrze, dobrze.

Nic mi nie obchodzi.

Tylko że chcę, żeby ten typ został jak najszybciej złapany.

- Przepraszam - zorientowałem się, że zareagowałem za ostro.

- Wszyscy jesteśmy dość przeczuleni.

Nie, wciąż jeszcze nie wiemy, gdzie jest.

Kamień w wodę.

Poprosiliśmy o pomoc australijską policję.

- Sądzi pan, że coś się jeszcze wydarzy?

Że sprawca atakuje ponownie?

Marthaler wzruszył ramionami.

Potem zmęczonym ruchem przeciągnął ręką po twarzy.

- Nie wiem.

Wszystko jest możliwe.

Nie wiadomo, z jakim potworem mamy do czynienia.

Może wyglądać jak ty

albo ja.

Może pewnego dnia usiądziemy naprzeciw niego i go nie rozpoznamy.

I może zrobi coś podobnego jeszcze raz.

- W każdym razie wziął się na zdziwy.

Marthaler nadstawił ucha.

- To znaczy?

Steinwachs popatrzył na niego wzrokiem, którego Marthaler nie zrozumiał.

Jakby czekał, aż komisarz sam sobie odpowie na swoje pytanie.

- No cóż.

Powtarzam tylko, co gadają.

Mówią, że jej rodzice odwrócili się od niej, bo nie pasował im tryb życiówki.

Toller natychmiast pokazał gestem, że jest niewinny, że to nie on jest źródłem tej informacji.

- Słyszałem w mieście - powiedział Steinwachs.

- Ale może to nie znaczy.

Ludzie się martwią.

I dużo mówią, jak zdarza się coś takiego.

- Tak - zgodził się Marthaler.

- Ale ja bym nie chciał, żebyś mi się przywiązywali do takiego gadania.

Podobnie jak nie chcę, by określano ten sposób ofiarę morderstwa.

Steinwachs umoczył usta w piwie.

Powoli odstawił szklankę i przejechał ręką po blacie.

Zamyślony kiwał głową.

- Jednak nie każda ofiara zbrodni jest porządnym człowiekiem.

Marthaler uśmiechnął się.

- Ma pan rację.

Wydaje mi się, że chciałby pan pójść w ślady kolegi.

Na koniec wykształcił się pan jeszcze na policjanta kryminalnego.

- Kto wie.

Nigdy nie mów nigdy.

W każdym razie będziemy uszytowane.

Jeśli pan chce.

- Tak.

Niech pan ma.

214

Było już ciemno, gdy Marthaler skręcił w pnącą się pod górę GROSSER Hasenpfad.

Zbliżył się do swojego domu, minął go powoli, objechał i w końcu zaparkował kilkaset metrów dalej.

Nikogo nie było widać.

Dziennikarze zniknęli.

Najwyraźniej zmyłka Kerstin przyniosła oczekiwany skutek.

Wszedł do mieszkania i zauważył, że lampka automatycznej sekretarki mruga.

Zdjął płaszcz, podkręcił ogrzewanie w dużym pokoju, poszedł do kuchni wyjął z szafki butelkę Barolo.

Włączył Koncert Bożonarodzeniowy Francesca Manfrediniego, powąchał wino i upił pierwszy łyk.

Potem odsłuchał wiadomość.

To była Tereza.

- To ja.

Możesz zachować moją komórkę.

Kupię sobie jutro nową.

- Krótka przerwa.

- Wciąż jeszcze cię kocham.

Jak chcesz, możesz zadzwonić do pensjonatu.

Podala numer, ale Marthaler nie chciał dzwonić.

W ogóle nie chciał rozmawiać.

Tylko słuchać jej głosu, cieszyć się tym, co powiedziała.

Wciąż od słuchiwał wiadomość.

I im częściej ją słyszał, tym mniej rozumiał.

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek był w takiej sytuacji.

Każda godzina przypominała prysznic, raz gorący, raz zimny.

Zawodowo znalazł się w najniższym punkcie.

Eissler zwolnił go z obowiązku służby.

Wyraził to uprzejmie i być może stało się tak tylko na jakiś czas, ale jedno było pewne: w najbliższym czasie nie będzie mógł pracować tak, jak był przyzwyczajony i jak najbardziej lubił.

Bez wsparcia kolegów, ich uwag i sprzeczek z nimi.

Choć w ostatnich miesiącach bardzo potrzebował przerwy, to jednak ten moment wydał mu się najmniej odpowiedni.

Nawet jeśli dochodzenie utknęło w martwym punkcie, nawet jeśli nie wiedzieli, co dalej, to morderciana wolność oznaczała niebezpieczeństwo, które odbierało mu spokój.

Równocześnie była Tereza, tu, we Frankfurcie.
Wraz z nią życie Marthaler wkradło się, za czym od dawna tęsknił, ale przestał wierzyć,
że jeszcze raz mu się przydarzy.
To wszystko było równocześnie straszne i piękne.
Dziwne, a jednak takie, jak musiało być: w chwili, gdy stracił wiarę, pojawiło się coś, co
podtrzymywało gonaduchui dawało nadzieję.
Przypomniał sobie, że jest takie zdanie, które opisuje wszystko, co się w nim dzieje,
owiele lepiej, niż sam kiedykolwiek umiałby opisać.
Nie wiedział, gdzie je przeczytał, ale postanowił je znaleźć.
To było podczas studiów w Marburgu.
Katharina zwróciła mu uwagę.
Pamiętał nawet kiedy.
Wiosną.
Siedziała z podkurczonymi nogami na kamiennej balustradzie mostu nad Lahną, trzymała w
ręce książkę, nad nią szumiała wierzba płacząca.
Wydawało mu się, że widzi jej sandały i kolorowe karpety.
Świeciło słońce, czasem, gdy nadlatywał wiatr, dostawała gęśniej skórki.
On miał zamknięte oczy.
- Posłuchaj - powiedziała.
- Posłuchaj, co znalazłam.
A potem je przeczytała.
To wszystko sobie teraz przypominał.
Tylko to zdanie chciało przyjść mudo głowy, ani jego autor.
Wstał z fotela, podszedł do regału, przekrzywił głowę, chcąc przyjrzeć się grzbietom książek.
Zaczęły wyjmować nachylił trafił.
Czasem przeczytał kilka linijek, które podkreślił przed laty, bo wydawały mu się znaczące.
Teraz niepojmował, co w nich wtedy widział.
Czasem znajdował krótkie notatki nagryzione ołówkiem na marginesie, ale one były mu
obce.
Z kolejną książką podszedł do okna.
Zanim zaciągnął zasłony, rzucił okiem na mieszkanie sąsiadki w kamienicy naprzeciwko.
Ale było ciemne.
Niema jej w domu albo już śpi, pomyślał.
Nie mógł się skoncentrować.
On też
216
był zmęczony.
Już chciał dać za wygraną, gdy natknął się na podkreślenie.
Znalazł to zdanie.
Pochodziło z wiersza Patmos Friedricha Hölderlina, z adedykowanego landgrafowi
Homburga.
"Lecz gdzie niebezpieczeństwo, tam i wybawienie".
Ucieszył się.
To był otok, jakby znalazł skarb.
Zostawił otwartą książkę na stole w dużym pokoju.
Wypił dokońca wino i zgasił światło.
Tłum.
Antoni Libera.

W następnych dniach niewiele się działo.

Marthaler czuł się, jakby wysłanego przedwcześnie na emeryturę.

Jak człowiek, który oddawał się hobby, będącemu kiedyś jego zawodem, tylko po to, żeby codzienność była mniej beznadziejna.

Miał związane ręce.

Od czasu do czasu pytał Kerstin o postępy w dochodzeniu.

Tobyłowszystko, co mógł zrobić.

Dzień po konferencji prasowej w gazetach ukazały się obszerniejsze artykuły o konflikcie między szefem wydziału zabójstw a komisarzem.

Ku zaskoczeniu Marthalera, wieloletni karzy miało dla niego zrozumienie albo nawet otwarcie wzięło jego stronę.

Hans-Jurgen Herrmann został zarzuty za nieoględny sposób kierowania ludźmi.

Tylko "City-Express", czego można się było spodziewać, zaatakował Marthalera frontalnie.

Faktycznie opublikowano zdjęcie, na którym rzekomo rzuca się na szefa reporterów Arne Griitera.

Określenie "agresywny glina", którego Marthaler użył w swojej wściekłości, zmieniono na nieco łagodniejsze "agresywny policjant".

Niektóre gazety jeszcze raz spróbowały opisać sprawę zabójstwa, później zrobiło się wokół niej ciszej.

Raz zadzwonił do niego Manfred Petersen, który poinformował, że dalsze przesłuchania przestępców seksualnych nie przyniosły żadnych rezultatów.

Większość

218

miała na tę noc alibi.

W przypadku innych okazało się, że kartoteki policyjne są nieaktualne: niektórzy już nie żyli albo od dawna mieszkali za granicą.

Luigi Pavese, Piękny Lutz, kupił małą winnicę gdzieś w głuszy Piemontu.

Według włoskiej policji nie miał konfliktów z prawem.

Marko Anschutz wciąż jeszcze uchodził za jednego z bossów frankfurckiej dzielnicy dworcowej, ale tak skutecznie maskował swoje interesy, że nigdy nie doszło do kolejnego oskarżenia.

Heinz Magenau, były kierownik ośrodka dla dzieci sprawiających kłopoty wychowawcze, seksualny potwór, jak nazwał go Manfred Petersen, faktycznie prowadził kiosk w pobliżu szkoły.

Gdy zamordowano Gabriele Hasler, spędzał podobno spokojny wieczór w kręgu rodzinnym.

Hans-Jurgen Herrmann skupił wszystkie siły na poszukiwaniach Helmuta Drewitza.

Ale po fotografii nadal nie było śladu.

Przesłuchano bliższych i dalszych krewnych, lecz nikt nie wiedział, gdzie przebywa.

Raz zgłosiła się niemiecka turystka, twierdząc, że widziała go w hotelu na Lanzarote.

Ale i ta wskazówka okazała się błędna.

Specjaliści od komputerów rzeczywiście znaleźli na twardym dysku nieuszkodzonym w wybuchu w porcie dużą liczbę zdjęć pornograficznych.

Okazało się, że Drewitz prowadził zakrojony na światową skalę handel hasłami, które umożliwiały dostęp do tych materiałów.

Jeśli kiedykolwiek zostałby schwytany, można by go oskarżyć przynajmniej o to.

W trzeci weekend listopada odbyło się otwarcie restauracji La Passionaria.

Marthaler zapytał Carla Sabata, czym mimo początkowej odmowy może jednak przyjść i na dodatek kogoś z sobą przyprowadzić.

Sabato położył muna ramieniu ciężką rękę i uśmiechnął się.

- O, więc naprawiłeś tę sprawę z Terezą.

Stary, nawetnie wiesz, jak się cieszę.

W przeciwnym razie wyzwałbym cię na pojedynek.

No i jedno jest jasne: na ten wieczór dieta zostaje zawieszona.

Padło, gdy stanął przed wejściem do małego pensjonatu na Leipziger Strasse, w

którym Tereza wynajęła pokój.

Dotychczas zawsze spotykali się u niego, teraz umówili się tu, bo restauracja swą Sabatą znajdowała się w pobliżu.

Po raz pierwszy Marthaler zobaczył, gdzie mieszka.

Właścicielka zaprosiła go do środka.

- Nie musi pan stać nadeszczu.

Może pan wejść na górę.

Ostatecznie są państwo dorośli, a to nie jest pensjonat dla pańienek.

- Nie - odparł.

- Tereza zaraz zejdzie.

Nie lubi, jak się jej przeszkadza, gdy się maluje.

Usiadł na wystrzępionej kanapie w ciasnym holu.

Z małych głośników ukrytych za kwietnikami sączyła się piosenka Edith Piaf.

Na stoliku przed nim leżała rozłożona gazeta, w niej zdjęcie Gabriele Hasler i reportaż o morderstwie w Oberrad.

Marthaler zapytał, czy może zapalić.

Kobieta skinęła głową i uśmiechnęła się.

- To nie jest też szpital.

Popielniczką stołową przed pa-

nem.

Wsunąwszy do ust mentolowego papierosa, zorientował się, że zapomniał zapalniczki.

Zanim zdążył poprosić, usłyszał głos właścicielki.

- Niech pan łapie.

Lewą ręką schwycił zapałki.

Zdumiał się, gdy przeczytał napis: Hotel i pensjonat Uhland.

Gdzieś już go widział.

Potem sobie przypomniał.

Podobne pudełko znalazł w nocnym stoliku w domu Gabriele Hasler.

Wziął gazetę i podszedł do recepcji.

220

- Zna pani tę kobietę?

- zapytał.

- Mieszkała tu?

- Ta zamordowana dentystka?

Nie, nie przypominam sobie.

Czemu pan pyta?

- Tak tylko.

Mogła mieszkać.

Zeszła Tereza.

Kiwnęła ręką do właścicielki.

- Nie patrz, szefowo - zawołała.

Kobieta zaśmiała się zasłoniła oczy.

Tereza pocałowała Marthalera w usta.

- Wiesz, że to nie całkiem przyzwoite, jeśli ktoś nazywawłaścicielkę pensjonatu szefową?

- zapytał, gdy stanęła na ulicy, a ona wzięła go pod ramię.

- Och, nie wiedziałam.

Ale to też nie za bardzo przyzwoity pensjonat.

Tam są czasem takie odgłosy w pokojach, że szkoda mówić.

- W takim razie niemożesz tam dłużej mieszkać - powiedział półzartem.

- Przyjedzie twój rycerz, żeby uwolnić cię z tej nędznej dziury.

- Rycerz?

- uszczypliła go w bok.

- Chyba nie masz na myśli tego tłściocha?

Dwie minuty później byli w restauracji.

W wejściu panował ścisk.

Z wnętrza dolatywały głośne rozmowy i muzyka.

Marthaler odniósł wrażenie, że mówiono więcej pohiszpańsku niż po niemiecku.

Przywitalich Sabato.

Objął Terezę i szepnął jej coś do ucha.

Skinęła głową i popatrzyła na niego z wdzięcznością.

Potem przedstawił ich swojemu szwagrowi.

Miguel wyglądał tak, jak Marthaler zawsze wyobrażał sobie Don Kichota.

Był wyższy o głowę od Carlosa i w dodatku pewnością pięćdziesiąt kilo lżejszy.

Tereza nie mogła ukryć zdumienia.

Stała przed nimi patrząc na niego wielkimi oczami.

- Largo comoun dia sin pan - powiedziała.

221.

Wszyscy wokół roześmiali się.

Tylko Marthaler nie wiedział, co to znaczy.

- Tak się mówi w Hiszpanii o wysokich mężczyznach:

jest takidługijak dzień bezchleba.

Marthalerowi podobało się, z jaką swobodą porusza się wśród obcych sobie ludzi.

Już po pięciu minutachoderwała się od jego boku, paplała z dwomamłodymikobietami, które właśnie poznała.

Komisarz dawno jużnie był pośród tak hałaśliwychi rozbawionych ludzi.

Sajacyś inni, pomyślał.

Może nam, Niemcom, czegośbrakuje?

Możeto geny, może tylko słońce.

Rozejrzał się, alez wyjątkiem Carlosa i Eleny nieznał nikogo.

- Poza mnąnie zaprosiłeś nikogo z firmy?

- zapytałSabata, ale ten spojrział na niego, jakby mówił po chińsku.

- Nie, nie sądzę,żebyto był dobry pomysł.

Marthaler rzucił mu pytające spojrzenie.

- Nie wiesz, że zebrali się tu sami lewacy?

Komuniści,socjaliści, nawet dwóch anarchistów.

Cała sala jest pełnawrogów państwa.

Wyobraź sobie tu naszego szefa.

Odrazu wezwałby kontrwywiad.

Gdy zobaczył niedowierzający wyraz twarzy Marthalera, wybuchnął dudniącym śmiechem.

- Bez obaw.

Jedzenie nie jest zatrute.

Usiąźmy.

Jestem głodny jak wilk.

Sabato nie przesadzał.

Rybnapaella Miguela to byłapoezja, a Tereza, która zjadła połowę królikaw migdałach i sherry, wyglądała, jakby już dawno nie przeżyłatak szczęśliwego wieczoru.

Nagle zerwała się ipobiegłado garderoby.

Wróciła i podała Marthalerowimałą paczuszkę zawiniętą w ozdobny papier.

- Ciąglezapominamci dać.

Gdy rozpakował prezent, zobaczył, że to muzyka doPorozmawiaj z nią Almodóvara.

Widzieli ten film razem

222

w Madrycie i choć prawie w ogóle nierozumiał dialogów,był głęboko wzruszony historiąmłodego pielęgniarza,który zakochuje się w pacjentce pogrążonej w śpiączce.

Imuzyką, która długo niechciała mu wyjść z głowy.

Naraz Tereza wyjęła mu z ręki CD, podeszłado barui pertraktowała z kelnerem.

Chwilę później rozległysiępierwsze takty owego nieskończenie smutnego i pięknegowalca, który wtedy grano w wielu barachw Madrycie.

Terezastanęła za komisarzem i stuknęła go w ramię.

I chociaż trochę się wstydził, wiedział,że nie może jej odmówić.

Natychmiast dołączyły donich inne pary, w ciągu pół minuty przestrzeń między barem a stolikami zappełniła się.

Marthaler widział, jak muzyka w osobliwy sposóbodbija się wtwarzach tańczących.

Wszystkich na kilka chwilogarnęła ta sama melancholia iwszyscy równocześnie mieli potrzebę sięśmiać.

Długo jeszcze tańczono i pito tego wieczoru.
Miguel wciąż serwował nowe przekąski.
Krażył z wózkiem z serami, potem przyniósł kataloński krem, ciasto, placuszkę i kawę.
Jego krewni i znajomi opowiadali historie ze swoich wsi i dzielnic.
A Marthaler dziwił się, z jaką oczywistością i żarliwością dyskutowali o polityce.
Podczas spotkania w jego własnej rodzinie coś podobnego było niedopuszczalne.
Unikano najmniejszej nawet różnicy zdań.
A Marthaler nigdy do końca nie pozbył się podejrzania, że ta tchórzliwa dbałość o zewnętrzną harmonię bierze się z konieczności ukrycia, że właściwie mają ze sobą coś wspólnego.
Gdy pod koniec wieczoru nachwilę zostali przy barze sami, Marthaler zapytał Sabata, jak miewa się Manon.
Znał dorosłą przybraną córkę Eleny i Carlosa równie długo jak oni sami, ale od jej pobytu w klinice rzadko ją widywał.
Lecz natychmiast pożałował swojej ciekawości.

Zobaczył, że twarz Sabato się chmurzy.

Odpowiedział dopiero po chwili.

- Nie pytaj.

Nie dziś wieczorem, proszę!

Wypijmy jeszcze ostatniego veterano.

Po wieczorze w La Passionarii poszli do pensjonatu Terezy.

Noc spędzili w owiele za wąskim łóżku.

Następnego dnia właścicielka podała na śniadanie kawę, jajecznicy sok pomarańczowy.

Z głośników znów dolatywały stare piosenki Piaf.

Marthaler, który nie znosił muzyki w tle, ucieszył się, że przynajmniej nie są bombardowani typową pop-sieczką, nieustannie nadawaną w radio.

Do wtóru

nieskończenie głupiej paplaniny prowadzących.

Pani Uhland machnęła ręką, gdy chciał zapłacić.

- Jak raz mam gości, którzy najwyraźniej się kochają, a nie tylko przychodzą co dwa tygodnie o ustalonej porze, żeby na godzinę pójść z sobą po kryjomu do łóżka.

- niedokończyła.

Powiedziała tylko, że pokój już zapłacony.

Marthaler podziękował.

I z wdzięczności za to, że przyjęła go tak uprzejmie, postanowił podarować jej arie Marii Callas.

Kto lubi Piaf, pomyślał, być może posłucha i Callas.

A potem przypomniał sobie, jak przed laty pojechali z Kathariną na groby obydwu.

Były pochowane na tym samym wielkim cmentarzu na wschodzie Paryża - Piaf w grobie ziemnym, urna z prochami Callas w kolumbarium.

Tereza siedziała naprzeciw niego.

Nie była jeszcze uczesana, sprawiała wrażenie zmęczonej, ale zadowolonej.

Pomyślał, że to byłby dobry moment, żeby zapytać, czy niezechciałaby przyjechać na Boże Narodzenie do Baunatal,

chciał ją przedstawić rodzicom.

Roześmiała się, a on popatrzył na nią z urazą.

Nie mógł

zrozumieć, co w jego pytaniu tak ją rozśmieszyło.

- Są mili.

Polubią cię i ty ich też.

224

- Myślę, że od razu.

Chciałam ci zadać takie samo pytanie, czy pojechałbyś ze mną do Pragi.

Mógłbyś jeść grubeudka indyka roboty mojej mamy.

- Proszę, nie- przerwał jej.

- Nie mów o jedzeniu.

- ...

i mogłabym pokazać ojcu, że nie jesteś żadnym niemieckim nazistą.

Znowu, pomyślał, znów ktoś o tym wspomina.

To niema końca, i chyba dobrze, że nie ma.

Nie dalej jak wczoraj wieczorem młoda Hiszpanka zapytała, co jego rodzice robili między 1933 a 1945.

Odpowiedział wymijająco.

Rodzice bylijszcze dziećmi, a o dziadkach za mało wie.

Wtedy okazało się, że ojciec tej młodej kobiety byli jestdo dziś fanatycznym zwolennikiem Franco.

I żeona gokocha, alesię go wstydzi.

- No więc?

- zapytała Tereza.

- Nie.

Nie mogę im tego zrobić.

Muszę pojechać do Baunatal.

Za długo ich nie widziałem.

A całkiem niedawnowystawiłem ich do wiatru, gdy chcieli mnie odwiedzić.

- Do wiatru?

-Taksię mówi.

Nie pytaj dlaczego.

- A więc musimy się rozejść?

-Nie, nie rozejść, rozstaniemy się na chwilę.

Ale będę

całyczas o tobie myślał.

- A spróbuj nie.

Odrazu zauważę.

Dwadzieścia dwa

Łańcuch Kasseler,

Marthaler poczuł, że coś mu nie daje spokoju.

Było późne przedpołudnie, słońce stało wysoko nad pofałdowanymi polami, gałęzie choinek ugięły się pod ciężarem śniegu, który spadł ubiegłej nocy.

Świat był jasny, wilgotny i błyszczący.

Sznur samochodów toczył się leniwie autostradą A5.

Marthalerowi tonie przeszkadzało.

Im wolniej, tym lepiej.

Tegodnia przed Wigilią chciał sobie dać czas na niespieszny powrót w rodzinne strony.

W radiu orkiestra symfoniczna Hessischer Rundfunk grała Finlandię Sibeliusa, ale nie słuchał.

Myślało tamtych czasach.

O latach spędzonych w Baunatal, gdzie dorastał i chodził do szkoły i gdzie tyle rzeczy w jego życiu wydarzyło się po raz pierwszy.

To tu pod wierzbami nad brzegiem Bauny palił pierwsze papierosy i pierwszy raz całował się w krzakach za ogrodem.

Tuna parkingu kołodomu uczył się jeździć na rowerzei zaraz na początku

tak nieszczęśliwie upadł na żwir, że matka musiała mu pęsetką wyjmować małe kamyki z dłoni.

A w lasku nad sadzawką widział pierwszego trupa.

To Negrita znalazła zwłoki i rozpoznała w nich Klause, najmłodszego z czwórki dzieci

Zanderów, którzy dopiero przed rokiem przyjechali na Zachódz Karl-Marx-Stadt.

Chłopca szukano od rana, nigdy się nie wyjaśniło, co się

226

właściwie stało.

Długo nie cichły przebiegania, że sam wszedł do wody.

Bo koledzy naśmiewali się z jego znamienia, bo nie mógł przeboleć utraty starych przyjaciół na Wschodzie, a może dlatego, że był, jak wielu wówczas, nieszczęśliwie zakochany w grubej Uschi z osiedla baraków, która nosiła kocie okulary i najkrótsze spódnice w okolicy.

To wszystko przypomina sobie teraz, gdy zostawiwszy za sobą ostatnie pagórki, w obniżeniu terenu zobaczył miejscowość, a nad nią wysokie kominy fabryki.

Ale przede wszystkim myślało Kingu, niegdyś najlepszym przyjacielem, z którym pewnego dnia pokłócił się tak bardzo, że przestali rozmawiać.

Właściwie King nazywał się Axel Sonnenschein, i także wyglądał, przynajmniej na pierwszy rzut oka: miał okrągłą twarz, piegi i rudoblonde włosy na głowie.

Nie pochodził stąd, ale kto wtedy był tu miejscowy?

Wtedy, w początkach miasta, gdy fabryka rozrastała się, pochłaniając coraz więcej ludzi niczym głodny kanibal.

Matka Kinga, podkuchenna w fabrycznej stołówce, rozwiedziona, mieszkała z Kingiem i jego siostrą Lilie w Gewobag, najobszerniejszym z osiedli, które postawiono na przódce powojnie, żeby dać schronienie niezliczonym rodzinom szukającym tu pracy.

Gdy Marthaler przychodził po niego rano, przyjaciel stał przy starym radiu lampowym i szydełkiem dyrygował poranny koncert.

W pokoju znajdowało się jeszcze składane łóżko, a obok fotel.

Piętrzyły się na nim książki, które King raz w tygodniu znosił z biblioteki w Murhard.

Zdawało się, że interesuje go wszystko - filozofia, historia, chemia - i wszystko to czytał chyba tylko po to, żeby

Sonnenschein - dostał.

światło słoneczne.

227.

jak najszybciej wyrwać się z tej dziury, jak mówił.

I prawie zawszew te dni przychodziła Lilie, jeszcze w piżamie, ziewała i przeciągała się, tak że widać było jej pępek, o którym Marthaler myślał potem przez cały dzień.

Czasem King siedział poturecku na polanie pod szczytem Baun, miał zamknięte oczy, dłonie obrócone wnętrzami do góry i medytował.

To znów kucał na murze podwiśnią, a zebrani u jego u stóp koledzy z zapartym tchem słuchali historii rzekomo przez niego przeżytych.

O podróży rybackim kutrem po Morzu Śródziemnym i stopem przez Prowansję, gdzie mieszkał w żeńskim klasztorze pracował jako ogrodnik, i olecie uhipisów w kopenhaskiej Christianii.

Musiałby być trzy razy starszy, żeby mogły być prawdziwe.

Wszyscy wiedzieli, że kłamie, alenikomu to nie przeszkadzało.

Raz do Kinga przyjechał ojciec, wzięli Marthalera dowielkiego bmw i wyprawili się w Langeberge.

Ojciec kupił im torebkę cukierków Campino, nie trzeba było ichssać, żeby zrobiły się okrągłe, bo już były krągłe i gładkie.

Taka właśnie, wyobrażał sobie Marthaler, musi być Lilie.

Dopiero później zwrócił uwagę, że tego popołudnia Kingsię skurczył, że w obecności "starego" był jakoś dziwnie zahukany.

King pojawiał się i znikał, czasem na całe tygodnie, wracał potem nagle, wyrastał jak spod ziemi i śmiał się.

Nie opowiadał, gdzie był ani co robił.

I swoim milczeniem wciąż nowopodsyczał fantazje.

Milcząco akceptowali, że w jakiś sposób ich reprezentuje, chociaż właściwie nigdy do nich nie należał.

A gdy raz powiedział, że trzeba przekraczać granice, wszelkie granice, jeśli wiecie, comamna myśli, popatrzeli po sobie trochę speszeni.

Później naprawdę zniknął, ale to było długo po ich kłótni.

Raz ludzie mówili, że żyje w komunie w Wetterau,

228

słucha tylko reggae i odmóżdżasie, paląc trawę, to znów, że zszedł do podziemia i pracuje jako ekspert od logistyki dla małej grupy zbrojnej.

Ktoś twierdził, że zamknęli go w czubków w Merxhausen, bo bez przerwy grał na flecie tę samą melodię: Księżyc wszedł.

Wiele lat później Marthaler dostał zdjęcie z Gomery:

roześmiany King w kąpielówkach, z wieńcem kwiatów na głowie obejmuje nieznaną piękną.

Na odwrocie był napis: "Molekuły spuść ze smyczy, niech aż furczy, niech aż ryczy!"

".

Parę miesięcy temu rozmawiał przez telefon z jednym z ówczesnych przyjaciół, który teraz mieszkał w Berlinie.

Holger spotkał Kinga, gdy pojechał odwiedzić do Baunatal, przypadkowo wpadli na siebiana rynku.

King, już przedpołudniem na rauszu, opowiadał, że Lilie kupił starą szkołę w jednej z okolicznych wsi, tam się zaszył, mieszka z nią i jej dziećmi - w każdym razie chwilowo, dopóki znów nie stanie na nogi.

Zjechał z autostrady, przedostał się na drugą stronę rzeki Eder.

Zobaczył znak z nazwą miejscowości.

Po kilkukilometrach wjechał do małej wsi.

Zapytał o starą szkołę.

Dwie minuty później zatrzymał się przy zdziczałym kawałku ziemi, który kiedyś musiałbyć szkolnym podwórkiem, a teraz był nieskosiłą, przykrytą śniegiem łąką.

Za kilkoma nagimi drzewami owocowymi stał stary dom z muru pruskiego.

Po prawej i po lewej stronie miał małe przybudówki: budę z klatkami dla królików i kojec dla psa.

Wszedł po wydeptanych, kamiennych schodkach, zastukał do drzwi, a gdy nikt nie odpowiedział, nacisnął nakładkę.

Znalazł się w ciemnym korytarzu.

Przy stole w kuchni siedziała rudobłonda kobieta o pulchnych, czerwonych policzkach i obierała ziemniaki.

Miała na sobie fartuch, włosy związała na karku.

Zauważywszy

Marthalera, podniosła głowę i odgarnęła ręką pasemkoz czoła.

- Lilie?

- zapytał.

Dłuższą chwilę przypatrywała mu się badawczo.

Wreszcie na jej twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

- Nie wierzę, nie, nie wierzę.

Wytarła ręce w fartuchi podeszła do niego z wahaniem.

- O cholera, teraz to się wstydzę.

Jak ja wyglądam.

jak tu wygląda.

Robby, to naprawdę ty?

Marthaler zajął jej w oczy i spuścił wzrok.

Naprawdę była zmieszana.

Podszedł i objął ją.

- Niece, nieprzytulaj mnie.

Czuć mnie stajnią - chciała się odsunąć, ale nie pozwolił.

- Ładnie pachniesz - powiedział.

- Wsią, mlekiem świeżym powietrzem.

- I kozim łajnem - powiedziała do jego pachy.

Odsunął się trochę, ale dalej ją trzymał, patrzył jej w oczy.

- Tak.

Kozim łajnem.

I dobrze wyglądasz.

- Świetnie - zaśmiała się.

- Jak tłusty indyk.

Wysunęła się z jego objęć.

Przybrała na wadzei nadal była niższa o głowę.

Ale podobałam się tak jak wtedy, jej krepą figurą, szeroką twarzą, taką samą jak twarz matki i brata, i nakrapiany piegami nos.

Gdy rano włożyła do łóżka Kinga albo zamyślona przeciągała się latem nałęcz, przypominała mu senne zwierzątko.

Zdarzało się, że leżała bez ruchu w słońcu, a chwilę później zrywała się narównie nogi, gnała do basenu, wskakiwała, przepływała drugą stroną pod wodą jak wydra, wynurzała się, wychodziła i na kolejne pół godziny nieruchomiała na ciepłych kamiennych płytach z podkurczonymi nogami i głową na kolanach.

230

- I co teraz?

- zapytała.

- Pewnie chcesz się widzieć Kingiem?

- Tak, wpadłem zobaczyć, jak się macie.

- Siedzi na górze w swojej norze.

Ale uważaj, żebyś się nie wystraszył.

Lepiej go uprzedzę.

Daj nam pięć minut, dobrze?

Wspięła się po stromych drewnianych schodach, z ociąganiem zastukała do drzwi.

- King, obudź się - zawołała cicho.

- Jak się czujesz?

Masz gościa.

Słyszałeś?

King, pobudka.

Marthaler rozejrzał się.

W korytarzu wisiały dziecięce ubrania w różnych rozmiarach.

Pod nimi cała kolekcja butów.

Podłustrem leżała zniszczona deskorolka, obok niej stał koci koszyk.

Ściany były wyłożone starą, odłóżającą w niektórych miejscach tapetą w wielkie kwiaty.

W powietrzu wisiał zapach zwierząt, wilgoci i niezliczonych posiłków gotowanych przez lata w wielkiej otwartej kuchni, która kiedyś była pewnie klasą.

Gospodarstwo sprawiało wrażenie utrzymywanego ogromnym trudem.

Domyślał się, kto się nim wyłącznie zajmuje.

Lilie pojawiła się u szczytu schodów.

- Możesz wejść - zawołała.

Ostrzegła go, lecz i tak się przeraził, stanąwszy w drzwiach małego pokoju, nazwanego przez nią norą.

Panował tu kompletny chaos.

Wszędzie leżały brudne ubrania, na podłodze piętrzyły się gazety, drzwi doszafy stały otworem, a jedyne krzesło służyło za nocny stolik.

King siedział w łóżku.

Próbował się śmiechać.

Schudli postarzał się.

Lilie pocałowała go w czoło, nim wyszła.

- To ja już pójdę - powiedziała z uśmiechem do Marthalera.

- Muszę się zająć obiadem.

Dzieci zaraz wrócą zeszkoły.

- I do brata: - A ty się zachowuj, dobrze?

King miał zaczerwienione oczy, spękane usta.

231.

- Przepraszam - odezwał się Marthaler, stał nieco bezradny w niskim pomieszczeniu, mimowolnie wciągnął głowę w ramiona.

- Nie chciałem cię budzić.

Nie powinienem był przychodzić tak zniechęcony.

- Tralalala - odpowiedział King.

- Cieszę się.

Nikt już nie przychodzi.

Boję się mnie.

No powiedz, czy ja wyglądam, jakbym mógł jeszcze komuś coś zrobić?

- Kto się boi?

- Wszyscy.

Wszyscy poza dziećmi.

I Lilie.

Starzy przyjaciele.

wszyscy spokornieli.

Popatrz na nich.

Pobudowali domy i siedzą w nich jak zombie.

Cały wieczór przed telewizorem, a rano do roboty.

I tak od trzydziestu lat.

Fabryka ich przeżyła.

Ale wciąż udają, że wszystko w porządku, utyli, nie ruszają się, jeżdżą wielkimi furami nakredyt, kiszą się w tym swoim mizernym dobrobycie.

I nikogo, kto miałby jeszcze odrobinę oleju w głowie, nikogo, kto chciałby czegoś innego.

- A ty?

- zapytał Marthaler.

- Co robisz?

Słuchając Kinga, odnosiło się wrażenie, że przez ostatnie lata był otoczony samymi wrogami.

Albo idiotami.

Wyłącznie.

Wszystkie przedsięwzięcia spaliły na panewce, ale żadne z jego winy.

Zawalił zawsze inni.

Raz urząd, który nie chciał wystawić koniecznego pozwolenia.

Raz konkurent, który udaremnił uczciwe starania, i wciąż nieudolni współpracownicy.

Gdziekolwiek spojrzeć zazdrość, zawiść, głupota, sabotaż.

Chciał hodować krowy rasy Galloway, ale wszystkie padły, bo dostarczono mu złą paszę.

Próbował się jako sprzedawca samochodów, zwolnił go, jak za drugim razem Polak albo Rusek, albo niewiadomo kto doprowadził mu nowy samochód.

Pisał teksty reklamowe dla biur podróży, ale odmawiał podawania nieprawdy.

A przy tym nadal kłamał ile wlezie.

Choć ze słabnącą siłą może nie tak przekonywająco jak kiedyś.

Wykorzystał

232

obecność starego przyjaciela, żeby jeszcze raz roztoczyć swoje wizje, skoro nikt nie chciał go już słuchać.

Marthaler kiwał głową, przyznawał rację i śmiał się z anegdot, wiedząc, że sprzeciw nie ma sensu, wywołałby tylko nowe tyrady.

Wreszcie King przerwał, poprosił Marthalera, żeby otworzył drzwi.

Nasłuchiwał.

Z dołu słychać było Lilie krzątającą się po kuchni.

- Okej.
Chciałem się tylko upewnić, że nie ma jej w pobliżu.
Teraz zamkniesz drzwi i podejdziesz do szafy.
W najniższej szufladzieza bielizną leży butelka.
Wyjmiesz ją.
A potem się napijemy - żeby uczcić spotkanie.
Marthaler wyjął opróżnioną do połowy butelkę taniejwhiskey.
- Nie chcesz chyba pić już tej porze?
-Co to było,King?
- zapytał.
-Co nas wtedy poróżniło?
Dlaczego najpierw schodziłeś mi z drogi, a potemnie odpowiedziałeś na żaden list?
- Co to było?
Nieudawaj niewiniątka.
No co to było?
- No co?
Powiedz.
- Lilie.
Leciałeś na nią.
A może nie?
- No i co?
Co w tym złego?
Cozłego zrobiłem?
- Nic.
- King podniósł butelkę do ust.
-Albo wszystko.
Byłeś jak inni, którzy chcieli ją mieć.
I mieli.
Tyle że z nimisię nieprzyjaźniłem.
Ma troje dzieci ztrzema różnymifacetami,z żadnym nie zaznała szczęścia.
- I? Co złego jest w tym, że byłaby ze mną, z twoimprzyjacielem?
-Zabrałbyś mi ją.
- Co bym zrobił?
-Zabrał.
Była wszystkim, co miałem.
Zabraliście mi ją.
Jak myślisz,dlaczego stałem się tym, co widzisz?
Dlaczegootaki ze mnie wrak?
233.

Miał w oczach łzy.

Marthaler chyba powoli zaczynał rozumieć.

- To znaczy, że ją kochałeś?

Kochałeś ją?

Nie odpowiedział.

Gapił się na kołdrę.

Potem wyjął pod poduszkę chusteczkę i wysmarkał nos.

- I wciąż jeszcze ją kochasz, prawda?

- Idź już.

Idź.

Jestem zmęczony i chory, muszę się przespać.

Marthaler skinął głową.

- Przepraszam.

Nie miałem pojęcia.

Niemiałem zielonego pojęcia.

Odwrócił się i wyszedł.

Najciszej, jak umiał, zszedł po schodach.

Otwierając samochód, jeszcze raz spojrzął kierunku domu.

Lilie stała przy kuchennym oknie.

Uśmiechała się.

Marthalerowi wydało się, że podniosła rękę, żeby mu pomachać.

Ale zawahała się, jakby nie była pewna, czy on sobie tego życzy.

Dwadzieścia trzy

Pojechał prosto na Baunatal, tylko pagórkowatą drogą między zaśnieżonymi polami w stronę Habichtswald.

Po raz pierwszy, odkąd opuścił Frankfurt, pomyślał o dochodzeniu.

Właściwie chciała czas święt zapomnieć o morderstwie Gabriele Hasleri o swojej pracy.

Ale teraz, po tym, co właśnie usłyszał, wszystko wróciło: historie o ukrytych namiętnościach, wybrykach seksualnych i wiążącej się z tym przemocy.

W trakcie dochodzenia prawie co godzinę dowiadywał się o sprawach, o których nawet mu się nie śniło.

King kochał swoją siostrę.

Wiadomo, że takie rzeczy się zdarzają, ale gdy zdarzają się w najbliższym otoczeniu, człowiek jest zaskoczony.

Marthaler zastanawiał się, jak oni sobie radzą, czy kiedykolwiek o tym rozmawiali, może nawet próbowali żyć jak para?

Potrafił wyobrazić sobie, ile skrywanych pragnień, ile niespełnionych życzeń, ile niemych wyrzutów i ilegoryczny wiążę się z takim uczuciem.

Nie wiedział, czy Lilie odwzajemnia miłość brata.

Może tak, może wiązała się z innym mężczyzną, żeby od niej uciec.

A King był na najlepszej drodze, żeby z tej miłości umrzeć.

Niektórzy na jego miejscu wzięliby siłą to, czego nie dostali po dobroci.

Z takimi później spotykał się on.

Inni karali siebie, odbierali sobie życie albo wpadali w alkoholizm.

Do tych należał King, na dodatek pociągał za sobą jednego człowieka, którego naprawdę kochał.

Marthaler zatrzymał się na skraju drogi.

Wyjął komórkę, wybrał numer Kerstin Henschel.

Zorientował się, że dzwoni nie w porę.

- Co jest?

-Chciałem tylko zapytać, jak idzie.

Jakieś postępy?

- Nie idzie.

Jesteśmy zablokowani.

Herrmannkażenam skupiać się wyłącznie na szukaniu Drewitza.

Pytamyza granicą, kontrolujemy listypasażerów, sprawdzamyfałszywe doniesienia.

Nastrój jest stosowny.

- Coś miprzyszło do głowy: czy Moreli się odezwał?

Wynikbadań balistycznych powinien jużdawno być.

- Tak, tylko że raport gdzieś utknął.

Ale powiedzieli, że pociski rzeczywiście zostały wystrzelone z pistoletupolicyjnego.

Analiza łusek wskazuje na to jednoznacznie.

Broń skradziono jakiemuś funkcjonariuszowi podczasdemonstracjiprzed ratuszem.

A więc żaden postęp.

- Dobrze, w takim razie odezwę się, jak wrócę do Frankfurtu.

Zapadał zmrok.

Zaparkował pod latarnią w pobliżu budkitelefonicznej.

Za każdym razem, gdy odwiedzał rodziców, nie mógł odnaleźć się w osiedlu szeregowców powstałymw ostatnich latach na polach za starym centrum miasta.

Gdykończyłgimnazjum, ojciec musiał zamknąć małyzakład stolarski, który prowadził przez wiele lat.

Poszedłdo pracy w wielkiejfabrycemebli.

Przeprowadzili się wtedyz Baunatal do Kassel.

Dopiero na emeryturze rodzice wrócili, kupili mały szeregowiec niedaleko od osiedla, gdzie Robert spędziłcałe dzieciństwo.

On sam od wielu lat mieszkałjuż wtedy we Frankfurcie.

Nieczuśiętu całkiem swojsko, alewidział rodzicielską dumę z tego, że jednak mogli sobie pozwolić na dom, o którym długo marzyli.

Zarzucił naramię małą torbę

236

podróżną i ruszyłw stronę wejścia.

Wtem zobaczył rodziców.

Stali w oświetlonej kuchni, rozmawiali.

Matkapokręciła głową, odwróciła się.

Ojciec zdawał się przez momentwahać, potem podszedłdo niejod tyłu, pogłaskał po włosach i położył rękę na ramieniu.

Marthaler zobaczył coś, czego ojciec jeszcze nie mógł widzieć.

Matka rozchmurzyła się.

Uśmiechnęła.

Odwróciła się i wtuliła w ramiona męża.

Spuścił wzrok, gdy się całowali.

Choć zawsze odnosili się do siebiez miłością, nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek w jego obecności okazywali sobieczułość.

Unikali tego ze wstydu.

Musiał przeżyć ponad czterdzieścilać, musiałpatrzeć na nich z ciemnej ulicy przed domem,by zobaczyć, jak się całują.

Odczekał chwilę zadzwonił.

Otworzył ojciec.

W jegotwarzy wciąż jeszcze odbijała się tkliwość.

- Robert!

Spodziewaliśmy sięciebie dopiero jutro.

- Tak, po prostu wyjechałem.

Chciałemstamtąducieć.

Zobaczyć was.

- Znakomicie.

Matka się ucieszy.

Wejdz.

Objęli się, wstydliwie jak zwykle.

- A ja?

- dopominała się matka, która właśnie pojawiłasię za plecami ojca.

-A co ze mną?

Miał na końcu języka odpowiedź, że właśnie dostałaswoją porcję pieszczot, ale tylko przytulił ją i pocałowałwpoliczek.

- Musisz być głodny - powiedziała.

- Schudłeś.

Zarazzrobię kolację.

- Dobrze, ale najpierw zrobię sobie przebieżkę.

-Przebiegniesz się?

- zapytał ojciec.

- Tak, staram się trochę ruszać.

Przebrał się i wybiegł.

Trzy razy okrążył w ciemnościachwielkie jezioro, zmęczył się,zawrócił.

Podczas kolacji rodzice zasypali go pytaniami, ale szybko zorientowali się,

237.

że nie jest w nastroju do pogaduszek.

Usiedli w dużym pokoju przed telewizorem.

Było dopiero parę minut podziesiątej, gdy ojciec zasnął w fotelu.

- Skoro tak - powiedziała matka - to i się położmy.

Jutro też jest długi dzień.

To były te same słowa, które wypowiadała cowieczór, także przed trzydziestu laty.

Więc to też się nie zmieniło, pomyślał Marthaler, i dobrze.

Położył się do świeżo pościelonego łóżka w gościnnym pokoju.

Wziął ze sobą kieszonkowe wydanie Człowieka bez właściwości, chciał jeszcze poczytać, ale był zbyt zmęczony; już po kilku stronach zasnął.

Gdy następnego ranka wyszedł ze swojego pokoju, rodzice byli już na nogach.

Ojciec przystrajał choinkę, matka przygotowywała kolację wigilijną.

Jak zawsze sałatkę śledziową i czerwoną kapustę.

Usiadł przy niej.

Zjadł śniadanie, a potem pojechał tramwajem do Kassel, żeby jeszcze szybko kupić kilka drobnych prezentów.

Wysiadł przy ratuszu i poszedł Königsstrasse w stronę Starego Rynku.

Ten spacer obudził w nim wspomnienia z lat szkolnych, włóczył się po tych ulicach kilka razy w tygodniu.

Przypomniał sobie księgarnię, gdzie kupił Buszującego w zbożu; od razu usiadł w słońcu na pobliskiej ławce zaczął czytać.

Starego mężczyznę, który zaprosił go na kawę i opowiedział, jak uciekł z miasta podczas bombardowania, a gdy po trzech dniach wrócił, znalazł zwęglone ciała rodziców i rodzeństwa. I tamten ciepły, jesienny dzień, kiedy urwał się ze szkoły, żeby w kinie na Königsplatz poraz trzeci obejrzeć kranizację Zwierzeń kłowna Bólla.

Teraz, słysząc wokół płaski północnoheski dialekt, zorientował się, jak dobrze zapamiętał swoje dzieciństwo, wiele drobnych wydarzeń i nastrojów, które dawno już

238

uznał za zapomniane.

Mimoto przyjeżdżał tu jako obcy.

To już nie było jego miejsce.

Przyglądał się twarzom idących z naprzeciwka ludzi, ale nikogo nie rozpoznał, nikt nie rozpoznał także jego.

To było tak dawno temu.

Znikło niegdysiejsze zadomowienie.

Wszedł do jednego z wielkich domów towarowych.

Dla matki wybrał perfumy i krem dotwarzy.

Ojciec dostanie wodę po goleniu i mydło korzenne.

Przechodząc koło delikatesów, postanowił kupić kosz przysmaków.

Kazał zapakować pasztet, dwie butelki wina, kawałek włoskiej szynki, pół funta pecorino i dużą puszkę winniczków - miał nadzieję, że będą rodzicom smakować, a wiedział, że sami nigdy sobie na coś takiego nie pozwolą.

Wrócił późnym popołudniem.

- Bądźcie tak dobrzy - powiedziała matka - i przestańcie mi się plątać pod nogami.

Zróbcie coś, wyjdźcie, zajmijcie się czymś, ale nie przeszkadzajcie mi.

Jak chcecie, możecie pójść na pieczoną kiełbasę.

Ja w każdym razie wieczora nie dam wam jeść.

- Dobrze, skoro ci przeszkadzamy - mrugnął ojciec - to idziemy zaczerpnąć trochę powietrza.

Powietrze- tak nazywali Alte Krone, knajpę w sąsiedniej wsi, gdzie ojciec raz, dwa razy w miesiącu mawiał sięna karty z przyjaciółmi i dawnymi kolegami z pracy.

Ruszyli przez osiedle, ojciec co trochę zatrzymywał się, żeby z kimś się przywitać i pokazać syna, który przyjechał z Frankfurtu.

Nie można było nie słyszeć dumy w jego głosie.

Marthalerki wał przejmie głową, ścisnął ręce, uśmiechał się, ale za każdym razem musiał przyznać, że nazwiska dawnych sąsiadów nic mu nie mówią, no, w najlepszym razie będą mgliste wspomnienia.

Poszli ścieżką wzdłuż wąskiego dopływu Bauny, minęli jezioro i wszystkie te nowe domy wybudowane na polach

i łąkach, gdzie spędzał z kolegami niemal każde popołudnie swojego dzieciństwa.

Wprogu Alte Krone uderżyły im w nozdrza opary piwa i dym papierosowy. Wszystkie stoły były zajęte, więc przyłączyli się do trzech mężczyzn przy barze, których ojciec przywitał uściskiem dłoni, zwracając się do każdego po imieniu. Byli nieco młodsi od niego, pracowali w tym samym dziale fabryki, dopóki nie wysłano ich na wcześniejszą emeryturę.

Mówili o domach, które trzeba jeszcze nadbudować, i o samochodach, które wkrótce trzeba będzie wymienić na większe modele.

Wszyscy mieli dzieci, jeśli wierzyć ich słowom, każdy lepsze niż pozostali.

Sprawiali wrażenie zużytych, zmęczonych stanowczą ciężką pracą przy taśmie produkcyjnej. Twarze napuchnięte od alkoholu zdradzały, że większość opowieści była kłamstwem, albo przynajmniej przechwałką.

Marthaler ograniczył się do zrobienia zainteresowanej miny, chciał dać im do zrozumienia, że nie muszą się nim, obcym, przejmować, nie muszą zmieniać z jego powodu tematu rozmowy.

Myślał o tym, co wczoraj powiedział mu King, że wielu kisi się tu w swoim mizernym dobrobycie i żaden nie jest w stanie wyobrazić sobie innego życia.

- Co z tobą?

Nie pasowali ci, co?

- zapytał ojciec w drodze powrotnej.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo cię znam.

Bo jesteś moim synem.

Bo widziałem twoją niechęć, nawet jeśli się uśmiechałeś.

- Dlaczego sami siebie okłamują?

Dlaczego udają, że świetnie im się powodzi?

Przecież widać, jacy są nieszczęśliwi.

Wykorzystano ich, kazano im wykonywać pracę, którą równie dobrze można by powierzyć maszynie albo małpie.

Tyle że małpa by uciekła.

A oni harowali grzecznie przez całe życie, nie zastanawiając się, nie odzywając

240

ani słowem.

Dali się zbyć jakąś marną odprawą.

A teraz przychodzi im do głowy tylko tyle, że trzeba znaleźć najtańszy market budowlany i umyć auto.

Ichlać, czekając na koniec.

To żałosne.

Takie życie jest po prostu żałosne.

Ojciec przeszedł jeszcze kilka metrów w milczeniu.

A potem ten spokojny, zawsze godny mężczyzna zrobił coś, czego być może nie uczynił oddziesięcioleci: wkurzył się.

Zatrzymał się i popatrzył synowi w oczy.

Twarz poczerwieniała mu z gniewu, przez moment jakby się zawahał, lecz jednak wybuchnął.

- Tym mężczyznom przez czterdzieści pięć lat dzień w dzień fabryka przeżerała kości.

Czasem harowali w nocy, czasem na różne zmiany, a zawsze potrzeba wielu dni, żeby wpaść w nowy rytm.

Gdy zaczynali, byli odważni, zabawni i silni.

Aleod początkuwiedzieli, że będą tampracować przez całe życie, do emerytury, albo dopóki niepadną trupem.

Nie mieli wyjścia.

Wszystkieinne pociągiodjechały.

Nic nie było.

I daliby się pokroić, żeby ich dziecinie musiały robić tego samego.

Czasem się udawało, czasemnie.

Ale todzięki ich harówce mogły studiować, staćsię kimślepszym.

A teraz akurat ty przychodzisz opowiadasz, że się okłamują.

Wierz mi, samiaż za dobrze wiedzą,jacy z nich nieszczęśnicy.

Ale się zahartowali.

Możesz tonazywać kłamstwem, samooszukiwaniem się, nieważne.

Zrobilito dla takich jak ty.

Zawsze wiedzieli, że muszą wytrzymać.

Nic więcej nie mogli zrobić; po prostu musieliwytrzymać.

Więc nie każ im jeszcze na koniec przyglądaćsię temu gównu, w którym tkwili przezcałe życie.

Marthalerbył zbyt zbaraniały, by jakoś zareagować.

Niemógł sobie przypomnieć, żebyw ostatnich latach ojciec naserio mu się sprzeciwił.

Zawsze traktował syna z przyjazną wyrozumiałością.

Ale teraz trafił go szlag.

I to po takdługim niewidzeniu.

Akurat w święta.

Domyśliłsię, jak

241.

głęboko musiał go dotknąć tym, co powiedział.
Mówił o trzech mężczyznach z knajpy, ale ojciec wziął to do siebie;
uznał, że jego syn stawia pod znakiem zapytania jego życie.
Zawstydzził się.
Przeprosił, ale nie mógł spojrzeć ojcuw oczy.
Ten pokręcił głową.
- Nie musisz przeproszać.
Przemyśl poprostu, co ci powiedziałem.
Więcej nie wymagam.
Ja wystarczająco często byłem gotów zastanawiać się nad tym, co ty mówisz.
Już dobrze.
Niechciałbym, żeby matka zauważyła, że się pokłóciliśmy.
- Podał mu gumę do żucia.
- Weź.

Nie musisz zwywachać, że piliśmy piwo.
Gdy późnym popołudniem w pierwszy dzień świąt wrócił do Frankfurtu, poczuł, że ma gorączkę.

W domu zjedli jeszcze razem gęś, którą matka upiekła, a ojciec podzielił.
Potem spakował torbę, oni zaś odprowadzili go do samochodu.

- Zadzwoń, jak będziesz w domu- usłyszał napożegnanie.

Dojechał prawie do zakrętu na końcu głównej ulicy, a oni wciąż jeszcze stali na chodniku i machali.

Położył się do łóżka i spał do następnego południa.

Chciał zwalczyć chorobę.

Wziął kąpiel z solami na przeziębienie, ubrał się, zaparzył herbatę.

Próbował zadzwonić się do Terezy, ale nie było połączenia.

Zadzwonił do Kerstin, życzył jej wesołych świąt zapytał, czy w ostatnich dniach wydarzyło się coś nowego.

- Nie - odparła.

- Nic a nic.

Pracowaliśmy, przesłuchiwałośmy, wertowałośmy stare akta.

Ale nie ma nic, czegobyś już niewiedział.

- W takim razie włożę dres i pobiegam w lesie.

- Brzmisz tak, że nie powinienes tego robić.

- To znaczy?

242

- Twój głos.

Nie mówisz, tylko skrzeczysz.

Jakkogutz mutacją.

Więc się lepiej połóż.

Nie posłuchał.

Dotarł do granicy Lasu Miejskiego, gdy poczuł, że dalej nie da rady.

Był osłabiony.

Mocno się pocił, drżały mu nogi.

Zawrócił.

W domu znów się położył.

Miał ponad trzydzieści dziewięć stopni gorączki.

Poddał się.

Przyznał, że jest chory.

Nie mógł robić nic więcej poza leżeniem w łóżku i odpoczywaniem.

I zaczęłomu się to podobać.

Poczuł, jak schodził z niego napięcie ostatnich tygodni.

Jego ciało zrobiło sobie przerwę.

- Jestem chory, a leniczego mi nie brakuje - uspokoił następnego dnia Terezę, która zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że zostanie w Pradze na sylwestra i Nowy Rok, bo spotkała dawną koleżankę ze szkoły.

- Jasne, zrób tak - zgodził się.

- Ja itak jestem chwilowo do niczego.

Rozkoszuję się samotnością, słucham muzyki, czytam i nie myślę o niczym.

Poza tobą.

Noce i dni spędzał w półśnie.

Wstawał tylko po to, żeby zaparzyć dzbanek herbaty, i do toalety.

Nie miał apetytu.

Prawie nie myślał o sobie jak o policjancie.

A więc i tak się da.

Sprawa zamordowanej dentystki coraz rzadziej go zajmowała.

Może Hans-Jürgen Herrmann miał rację.

Może ten fotograf był mordercą.

Może uciekł za granicę i tym samym sprawa jest zakończona.

Gdy takie myśli przemykały mu w gorączce przez głowę, nie mógł wiedzieć, co wydarzy się kilka tygodni później.

Część druga.

Było tuż po dziewiątej rano, gdy szesnastego lutego Andrea Lorenz wyszła z domu w nowo wybudowanym osiedlu w Bergen.

Dłużej niż zwykle zamarudził w łazience i teraz musiała się spieszyć.

Termometr na zewnątrz pokazywał 9,6 stopni Celsjusza; był przejrzysty, słoneczny dzień.

Na błękitnym niebie jeszcze wisiał księżyc, połyskiwał jakiś samolot lecący na północ.

Umieściła dwie skórzane torby w bagażniku czerwonego passata, położyła na nich kurtkę.

Już miała odjechać, gdy zauważyła, że zapomniała notatnika.

Wróciła do domu.

Mąż właśnie sprzątał ze stołu po śniadaniu.

Spojrzał na nią pytająco.

Wyszła z gabinetu, ucałowała go jeszcze raz na pożegnanie.

W drzwiach zawahała się na moment, odwróciła się.

-Kocham cię.

Bardzo.

Te słowa i jej uśmiech będzie pamiętał przez całe życie.

Odkąd przed półtora rokiem stracił pracę, przejął większość obowiązków domowych.

Zawoził dziesięcioletniego Johanna na zajęcia sportowe, robił zakupy, sprzątał i gotował.

Tego wieczoru chciał podać coq au vin z makaronem i sałata.

Postawił na stole bukiet kwiatów i podarował łańcuszek z bursztynowym wisiorkiem ukryty od tygodni w szufladzie nocnego stolika.

Był ciekaw, czy pamiętała, że dziś rocznica ich ślubu.

Przyniósł ze skrzynki pocztowej gazetę, chciał później przejrzeć oferty pracy,

może też napisze kolejne podania.

Gdyż firma, w której pracował ponad dwadzieścia lat jako inżynier, zbankrutowała, był za tym, żeby natychmiast sprzedać dom, do którego właśnie się wtedy wprowadzili.

Andrea go od tego odwiodła.

Choć wiele razy spóźniali się ze spłatą kredytu, zawsze go uspokajała.

"Daj spokój, poradźmy sobie".

Jej wykształcenie rehabilitantki i miła prezencja pomogły w zdobyciu samodzielnego przedstawicielstwa Wellness-Medico w okręgu frankfurckim.

Firma wykupiła licznoreklamy w radiu i telewizji, więc trzydziestopięcioletniej kobiecie niebawem udało się stworzyć krąg stałych klientów.

Oprócz kremów, drażetek i toników do twarzy Andrea Lorenz oferowała usługi jako masażystka i kosmetyczka.

Zarabiała dobrze, ale niewystarczająco dobrze.

By uniknąć tłoku w Seckbach, pojechała na Heilsberg, tam skręciła w lewo w Friedberger Landstrasse.

Pierwsza tego dnia klientką była się Gertrud Mahrenholz mieszkała w Dichterviertel, dobrej, mieszczańskiej dzielnicy Frankfurtu, na północ od Alleenring.

Znalazła miejsce doparkowania i zadzwoniła do drzwi.

Natychmiast się otworzyły.

W wielkim, starym mieszkaniu jak zwykle grało radio.

Gertrud Mahrenholz przekroczyła czterdziestkę bardzo bała się starości.

Już choćby dla tego była znakomitą klientką.

Jej mąż, dobrze zarabiający doradca do spraw zarządzania, większość czasu spędzał w podróży.

Samotność wyraźnie jej doskwierała.

Mówiła nieustannie, podczas gdy Andrea malowała jej paznokcie.

Raz w tygodniu poddawała się licznym zabiegom pielęgnacyjnym.

Dzisiaj także oprócz pedicure Andrea wymasowała jej ramiona, nałożyła maseczkę na twarz, wyregulowała brwi i usunęła włoski z górnej wargi.

Na ulicy odetchnęła.

Spojrzała na zegarek.

Było prawie pół do dwunastej.

Wizyta u Gertrud Mahrenholz znowu

248

trwała dłużej.

Chciała jeszcze kupić dwie butelki wina na wieczór, ale będzie musiała to przesunąć na popołudnie.

W żadnym wypadku nie mogła dopuścić, by nowy klient czekał.

Zadzwonił do niej, ale przez telefon nie chciał powiedzieć, z jakich usług zamierza skorzystać.

Wykręcił się, gdy wspomniała o pieniądzu.

To nie ma znaczenia, w każdym razie nie jest najważniejsze, najpierw powinni się poznać, potem na coś się umówią.

Jego głos brzmiał ciepło i uprzejmie.

Z czasem rozwinęła w sobie umiejętność wyczuwania tego, jaki głos zapowiada jakich charakter.

Bywało, że się myliła, ale coraz częściej miała swoje wskazówki.

To, że skóra jest lustrem duszy, wiedziała z praktyki zawodowej.

Ale takim samym lustrem był głos.

Umówili się o dwunastą w jego mieszkaniu, przy Darmstadter Landstrasse.

Będzie musiała pośpieszyć.

Mimoto zrobiła mały objazd, przejechała obok gimnazjum im.
Lessinga w nadziei, że zobaczy syna.
Kończyłdziś wcześniej może uda jej sięgo spotkać.
I rzeczywiście, biegłzdwomakolegamina przystanek autobusowy.
Zatrzymała się i opuściła szybę.

- Johannes!

- zawołała.

Obejrzał się zdziwiony, najego twarz wypłynął uśmiech.
Przeszedł nadrugą stronę ulicy, podbiegł do niej.

- Mama!

Co tu robisz?

- Nic.

Akurat tędy przejeżdżałam i pomyślałam,żemoże cię zobaczę.
Muszę zarazjechać.

- To super.

Schylił się, dał jej szybkiego całusa i pędem wrócił do kolegów.
To, pomyślała, też się niebawem skończy.

Wkrótcezaczniesię wstydzić całować matkę na ulicy.

Komórka zadzwoniła, gdy właśnie ruszała.

Odebrała, nie podając nazwiska.

249.

- To ja - powiedział mężczyzna.
- Co pani sądzi o tym, żebyśmy zamiast u mnie, spotkali się na wydmy Schwanheimer?
- Na wolnym powietrzu?
Rozmawiając, obserwowała, jak Johannes wsiada do autobusu i zajmuje miejsce przy oknie, żeby jeszcze raz do niej pomachać.
- Tak, pogoda jest cudowna.
Dlaczego nie?
Co pani maprzeciwno?
Przeciwno przemawiało to, że nie lubiła niespodzianek, że wolała wiedzieć, czego się spodziewać.
I że jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiła.
Spotykała się w mieszkaniu klienta albow hotelu.
Na życzenie wynajmowała pokój, za który klient później płacił.
- Nie - odparła.
- Zostanie tak, jak się umówiliśmy.
Była zła.
Umówili się.
Umówili miejsce.
A teraz zaistniało niebezpieczeństwo, że nicz tego.
- Niech pani nie będzie taka.
Dołożę.
Zastanowiła się.
Jak jeszcze raz odmówi, może go zniechęcić i całkiem odwoła spotkanie.
Wtedy straci nie tylko pieniądze, ale i czas.
- Ile?
- Powiedzmy: pięćdziesiąt?
W głosie mężczyzny dało się wyczuć ślad niepewności, postanowiła to wykorzystać.
- Sto - odparła zdecydowanie.
- Ponad to, co ustaliliśmy.
- No dobrze - roześmiał się.
- Sto jak od płata za spotkanie na wolnym powietrzu.
Oto nie powinno się rozbić.
- Ale nadwunastaraczej nie zdążę.
- Ja też nie.
Powiedzmy w pół do pierwszej.
Potem opisał, jak ma dojechać.
250
Wydmy Schwanheimer były rezerwatem na południowo-zachodnim skraj miasta.
Spacerując tu, można było myśleć, że jest się nad morzem.
Jeszcze dwieście lat temu teren był zalesiony.
Ale wielkie wichury późną jesienią 1800 roku powaliły większość drzew.
Wykarczowano las i zaczęto sadzić wiśnie, które jednak zniszczyła długa susza.
Piaszczysta ziemia coraz większym stopniu była wystawiona na działanie wiatru i wkrótce silne zawieje sprawiły, że krajobraz zmienił się w wydmy.
Okoliczne owce polubiły mizerne trawy i doprowadziły do tego, że powstał ekosystem jedyny w swoim rodzaju.
Występowały turzadki porosty i srebrne trawy, a w licznych wapiennych wyrobiskach pojawiły się ramienice.

W wydmach zagnieździły się dziecięcy zielonosiwe i dzierzby, na łowy przylatywały nietoperze.

Andrea wyjechała z miasta drogą Schwanheimer Ufer.

Kiedy minęła ostatnie domy, po prawej stronie zobaczyła cementarz.

Zwolniła.

Droga skończyła się za przejazdem pod wiaduktem.

Stała na pustym parkingu ograniczonym z jednej strony krzakami, z drugiej kilkoma ogródkami działkowymi.

Nikogo nie było.

Okolica sprawiała wrażenie dzikiej i opuszczonej.

Asfalt kruszał, poprzerastany chwastami.

Ktoś rzucił w krzaki stare opony i zardzewiały kanister.

Zaparkowała passata tak, by widzieć, czy ktoś się zbliża.

Wyłączyła silnik, czekała.

Przyjechała za wcześnie.

Dużo wcześniej został jeszcze prawie kwadrans.

Jednak gdy po pięciu minutach nadal nikogo nie pojawił, pożałowała, że zgodziła się na propozycję mężczyzny.

Zrobiła jej się gorąco.

Słońce stało wysoko, zatapiając plac oślepiającym światłem.

Otworzyła szyberdach, włączyła radio.

Paplanina spikera i muzyka uspokajały ją.

Wtem usłyszała odgłos silnika.

Powoli zbliżył się biały kamper.

Miał przyciemnione szyby, więc nie można było

251.

rozpoznać, kto siedzi w środku. Zaparkował około dwudziestu metrów od niej. Przez pół minuty nie działo się nic, potem prawie równocześnie otwarło się oboje drzwi. Wysiedli mężczyzna i młoda kobieta. Podbiegli do siebie, objęli się i zaczęli całować. W końcu kobieta zdjęła sweter i rzuciła na siedzenie pasażera. Trzymając się za ręce, ruszyli wprost na passata. Andrea Lorenz odwróciła głowę, udała, że szuka czegoś w schowku. Gdy spojrzała w lusterko, zobaczyła, jak para, oglądając się w jej stronę, ze śmiechem oddala się w kierunku Menu.

Prawie co minutę zerkła na zegarek. Gdy mężczyzna nie pojawił się pięć minut po czasie, doszła do przekonania, że już nie przyjdzie. Zastanawiała się, co robić. Nie opłacało się wpadać do domu. Ledwie by przyjechała, musiałyby wyjść. Następną wizytę miała o czternastej trzydzieści. To jeszcze prawie dwie godziny. Klientka mieszkała na Lerchensberg. Mogłaby zadzwonić i zapytać, czy może przyjechać wcześniej. Przypomniała sobie jednak, że kobieta wyraźnie prosiła o termin popołudniowy.

Dla zabicia czasu postanowiła obejrzeć wydmy. Wiele razy czytała o nich w gazetach, ale choć mieszkali we Frankfurcie już prawie dwadzieścia lat, nigdy nie wpadli na pomysł, żeby tu przyjechać. Wyjęła plan, żeby się zorientować, gdzie jest. Zanim wysiadła z samochodu, jeszcze raz spojrzała na zegarek. Była dwunasta czterdzieści jeden.

Przeszła przez plac w stronę wąskiego parowu między ogródkami a krzakami jeżyn, ciągnącego się aż na wydmy. Oddaliła się od samochodu za ledwie o kilka metrów, gdy wydało jej się, że słyszy za plecami jakiś odgłos. Zatrzymała się, nasłuchując. Potem szybko się odwróciła, ale nic nie było widać.

Pomaszerowała dalej. Poczwała, że się poci. Zatrzymała się, znowu coś usłyszała. I znów z tyłu, tym razem znacznie

wyraźniej. Brzmiało jak szelest i sapanie. Teraz była pewna. Coś tu było. Ktoś. Najchętniej uciekłaby do auta. Ale gdyby się odwróciła, wpadłaby wprost na to coś. Więc nie miała wyboru. Musiała iść dalej w stronę wydm i żwirowni zaznaczonych na mapie jako małe niebieskie plamy W kierunku Menu, gdzie z pewnością byli spacerowicze, niezliczone rzesze spacerowiczów korzystających z pierwszego pogodnego dnia w tym roku.

Jej strach rósł, ale próbowała się uspokoić. Może to tylko zwierzę, myślała. Oczywiście, że to zwierzę, buszuje w gęstych zaroślach. Może kot szuka myszy albo ptasich gniazd. Może to wałęsający się pies któregoś z właścicieli ogródków. Albo szczur. Tych się bała, odkąd jeden przebiegł jej w dzieciństwie przez stopę. Ale teraz miała ogromną nadzieję, że to szczur. Dotarła prawie do końca parowu, gwałtownie się zatrzymała. Znowu. Tym razem z innego kierunku. To coś ją wyprzedziło. Nadchodziło od przodu. I to nie był szczur. Szczury nie sapią. Odwróciła się. Chciała puścić się biegiem. Ale zanim zdążyła zrobić pierwszy krok, usłyszała za sobą głos.

- Nie. - I równocześnie jakieś ramię objęło ją od tyłu za szyję. - Nie.

Kopała. Próbowała się uwolnić. Krzyczała. Ale ramię nacisnęło po prostu mocniej. Nie tak mocno, by od razu umarła. Ale wystarczająco, by na chwilę straciła przytomność.

252

253

Naraz ludzie znów zaczęli przystawać, żeby pogawędzić z sąsiadami.

Miastozmieniło się przez noc, okna się otworzyły, na ulicewyszły pierwsze dziewczyny w ubraniach z krótkim rękawem.

W parkach wylegli emeryci, siedzieli na ławkach, odchylali głowy, grzejąc w słońcuzaretwarze.

Znów pojawili się gracze w bule, a coodważniejsi właścicielekawiarni wystawili na zewnątrz stoliki.

Ziemię pod drzewami nakrapiały promienie słońca wpadające przez wciąż jeszcze nagie gałęzie.

Miało się wrażenie, że życie przez noc zrobiło się trochę lżejsze, że wiosna niemożesz już doczekać swojej pory.

Tobi otworzył cicho drzwi dopokojudziadka.

Leżał nałóżku z zamkniętymi oczami.

- Wejdz.

Tylko trochę odpoczywałem.

- Jak się czujesz?

- zapytał chłopak.

- Lepiej -odpowiedział zmęczonym głosem.

-Zawsze tak mówisz.

- Bo jak zemną jesteś, czuję się dobrze.

Chłopak uśmiechnął się.

Był szczupły i miał długierzęsy.

Nosił swoje ulubione czarne dżinsy, czerwony podkoszuleki czerwone adidasy.

- Słońce świeci.

Rozsunąć zasłony?

Dziadek skinął głową.

- Jedziesz do niej, prawda?

Wystroiłeś się.

254

- Tak, chcemy sobie zrobić wycieczkę rowerową.

-A jejrodzice?

- Co jej rodzice?
- Co mówią na to, że córka spotyka się z chłopakiem z Gallus?
- Dziadku, proszę!
- Nie wiedzą, zgadzają się?
Tobi patrzył na niego w milczeniu.
- Tak myślałem.
Wręcz nie mogą wiedzieć.
- Ogolić cię?
Znow kłujesz.
Starzec potrząsnął głową.
- Nie.
Jedź już.
I uważaj na siebie.
- Zawsze to mówisz.
- Tak.
Starzy ludzie zawsze mówią to samo.
Tobi podszedł do głowóżka, pochylił się i pocałował dziadka w czoło.
- Potrzebujesz jeszcze czegoś?
- Nie.
No idź już.
Jadłeś?
- Wziąłem jedzenie.
Zrobimy piknik.
Tobi zarzucił na ramię plecak, który spakowany stał obok wejścia.
Cicho zamknął drzwi, zbiegł po schodach.
Zszedł po rower do piwnicy.
Cały ubiegły rok kroził ulotki do supermarketów, na Boże Narodzenie zażyczył
sobie pieniędzy zamiast prezentów, żeby wreszcie kupić wymarzoną kolarzówkę.
Wciąż śledził ogłoszenia, aż wreszcie natrafił na odpowiednią ofertę.
W zimny styczniowy dzień pojechał kolejką do Darmstadt.
Długo oglądał rower.
Usiadł na siodełku, sprawdził szerokość kierownicy.
To był czerwony Stevens-bike, miał lekką, pięknie zeszlifowaną, aluminiową ramę
Gallus - dzielnica ta (w pobliżu dworca kolejowego) uchodzi za jeden z gorszych
rejonów Frankfurtu.

i drogi karbonowy widelec.

Wyglądał, jakby jeszcze nikt nim nie jeździł.

Czy chce zrobić próbną jazdę, zapytał sprzedający.

Tobi pokręcił głową.

Nie targował się, zapłacił wymaganą cenę, zarzucił rower na ramię i w deszczu pomaszerował na dworzec.

Od tamtej pory czekał, aż pogoda się poprawi, a on będzie mógł wyjechać pierwszą dłuższą trasę.

Prawie codziennie schodził po szkole do piwnicy, przeciągał ręką po chłodnym metalu, polerował miękką szmatką już i tak błyszczące felgi.

Teraz stał na podwórzu z jedną ręką nakierownicy mrużył oczy, patrząc w słońce.

Trochę się dziwił, że dzielnica z sąsiedztwa nie zbiegła się, żeby podziwiać jego cud.

Gwizdnął krótko, ale żaden z kolegów też się nie pojawił.

Do okna w bloku naprzeciwko podeszła gruba, młoda kobieta, uśmiechnęła się.

Odjechał.

Gdy dotarł do Niederrad, ostrożnie oparł rower o mur, na którym często siadywał, czekając popołudniami na Marę.

Poznali się pod koniec ubiegłego lata na basenie.

Marę zaczęła kilkutypków, a Tobi zaoferował, że ją odprowadzi.

Od tamtej pory nie było prawie dnia, żeby się nie spotkali.

Ale jeszcze nigdy nie był u niej w domu.

Zawsze siadał w odległości pięćdziesięciu metrów na murze, patrzył w okno jej pokoju na pierwszym piętrze i czekał, aż wyjdzie.

Mieszkała z rodzicami i młodszym bratem w wielkiej willi w pobliżu Lasu Miejskiego.

Mieli ogromny, wypielęgnowany ogród z starymi drzewami i, co robiło na Tobim największe wrażenie, garaż, w którym można było zaparkować BMW matki i Mercedesa ojca obok siebie.

Mara często prosiła go, żeby wszedł do środka, przywitał się z rodzicami, ale zawsze odmawiał.

Równie dobrze mogłaby go prosić, żeby poleciał na księżyc.

Był ciekawy, ale za bardzo się bał, że się niestosownie zachowa albo odezwie.

Niemiał

256

pojęcia, jak poruszać się w takim otoczeniu.

Zdejmuje się buty czy nie?

Jak jest się głodnym, to idzie się po prostudę lodówki, czy czeka, aż nakryją dla wszystkich do stołu?

Ręcemy/je się przed, czy po jedzeniu?

Myśl, że musiałby podać rękę rodzicom Mary, wprawiała go w dygot.

Ale może i tu się mylił, może w takich domach wcale nie podaje się ręki, wystarczy skinąć głową?

Niewiedział.

Nie wiedział nawet, jakto jest żyć w prawdziwej rodzinie.

Ojc-a nie znał, matka zmarła, zanim skończył trzy lata.

Jego rodzina składała się wyłącznie z dziadka.

Kochał tego starego człowieka, który za wszelką cenę próbował zastąpić mu rodziców, ale wiedział, że jego życie różni się od życia kolegów.

I niczego nie bał się bardziej niż tego, że dziadek umrze.

Wtedy zostanie całkiem sam.

Tym ważniejszą była przyjaźń z Marą.

Nawet jeśli inni chłopcy żartowali, że jest zakochany.

Na początku zaprzeczał, teraz nie był już taki pewny.
Czasem, gdy leżał w swoim pokoju, uśmiechał się, myśląc o niej.
Łapał się na tym:, że podczas lekcji skrobie jej imię na kartce.
Zobaczył, że okno w jej pokoju uchyliło się.
Niecałą minutę później otworzyła się brama garażowa iMara wyszła na rower-em.
- Cześć- przywitał się.
- Jak nastrój?
- Zły.
Mama nie chciała mnie puścić, dostałam dwójęz klasówki z łaciny.
- To się trochę rozruszasz.
Uśmiechnęła się, błyskając nowym aparatem na zębach.
Tobi przyjrzał jej się uważnie.
Wszystko w niej było długie i chude.
Ręce, palce, nogi, nawet szyja.
O rok młodsza, była prawie jego wzrostu.
Gdyby stanęli wystarczająco blisko, dotknęliby się czubkami nosów.
Zeskoczył z muru.
Zanim wsiadł na rower, pogładził ją w włosach.
Ona musnęła opuszkami palców jego wargi.
257.

Zawsze tak robili.

Za każdym razem wymieniali na powitanie te drobne gesty, jakby chcąc umocnić swoją tajemną przyjaźń.

- W drogę!

- Tak, ale żebyś mi nie uciekł na tej twojej nowej strzale.

- To jedź przodem.

- Jesteś bardzo dumny, co?

Z roweru.

- Jeszcze jak!

Ruszyli przez las.

Na końcu duktu zwanego Diezelschneise przejechali przez małą kładkę dla pieszych nad autostradą i wreszcie dotarli do sadów na skraju wsi Schwanheimer.

Rozglądali się za miejscem, gdzie mogliby się rozłożyć.

- Słońce czy cień?

- zapytał.

- Woda czy drzewa?

Łąkaczy piasek?

- Hm, najlepiej wszystko naraz.

- Okej.

Znam odpowiednie miejsce dla rozpieszczonej siewniczki.

Udała, że się boczy.

- Nie nazywaj mnie tak.

Nie jestem rozpieszczona.

- Popatrz, tam będzie dobrze.

Zsiedli z rowerów, przepchali je kilka metrów nad mały wyrobisko.

Tam, między zaroślami a początkiem sosnowego zagajnika, znaleźli połać piasku, gdzie był cień słońca, ukrytą przed wzrokiem ciekawskich.

Rozwiązał trochę plecaka, wyjął wełniany pled i rozłożył go na ziemi.

Wypakował naczynia, napełnił dwa kubki sokiem jabłkowym.

Mara w tym czasie zdjęła buty i skarpetki i wyciągnęła się obok niego.

Leżała na plecach, mrużąc oczy.

- Co mamy?

- Sałatkę makaronową według przepisu dziadka.

- Aha, to pewnie tłusta.

258

- No.

- Cudownie.

Dawaj.

Zalegli na kocu.

Poza ćwierkaniem pierwszych ptaków i dalekim pomrukiem samochodów nic nie było słychać.

- O czym myślisz?

- zapytała po kilku minutach drzemki.

- Właśnie przypomniało mi się coś, co robiłem, jakbyłem mały.

Miałem może sześć, siedem lat.

Znalazłem takie miejsce nadachu starej transformatorowni, siedziałem tam godzinami i przyglądałem się przechodzącym ludziom.

Ale tylko kobietom.

Na mężczyzn nie zwracałem uwagi.

W pobliżu był blok, w którym mieszkały same kobiety.

To chyba byłypielęgniarki.

Przyglądałem się im.

A jak któraś byłaszczególnie ładna i patrzyła na mnieprzyjaźnie, to wyobrażałem sobie, że to moja mama.

-Szukałeś mamy?

- Tak.

I nie chodziło tylko o twarze.

Ale owszystko.

Jak się ruszają.

Jakie noszą ubrania.

Jakiebuty.

Czy podobają mi się ich włosy.

Albo pupy.

Albopiersi.

Ale najważniejsze było,żeby patrzyły przyjaźnie.

- Nie mówisz serio.

Sześciolatek nie gapi się na piersiczy pupy.

- Ja się nie gapiłem.

Ja je oglądałem.

Tomnie interesowało.

- No wiesz.

- powiedziała z udawanym oburzeniem.

Obróciła się na bok i przyjrzała mu się.

- Zwłaszcza jedna mi się podobała -ciągnął po chwili -nie była pielęgniarką.

Nie wchodziła dotego bloku.

Alecodziennieprzechodziła koło transformatorowni.

Miałaakucyk i ładne nogi.

I zawsze siędo mnie uśmiechała.

Raz zanią poszedłem.

Zobaczyłem, że pracuje w supermarkecie w kasie.

Od tej porystale tam chodziłem kupować jakieśdrobiazgi.

Musiałem zaszlachtować moją świnkę, żeby sobie na to pozwolić.

Kiedyś powiedziała: "Miły z ciebie

259.

chłopiec, ale ja jestem o wiele za stara".

Uciekłem niepokazywałem się dwa tygodnie.

Ale nie mogłem o niej zapomnieć.

W końcu pewnego wieczoru wyczekałem, aż skończy pracę.

Powiedziałem, że dam jej jedną markę, jak powie do mnie określone zdanie.

- Co zrobiłeś?

Zaproponowałeś jej pieniądze?

- Tak.

Miała dostać jedną markę, jeśli powie do mnie:

Tobi, synku, dobrze zrobiłeś.

-I?

- Niechciała pieniędzy.

Ale wypowiedziała to zdanie dokładnie tak, jak chciałem: "Tobi, synku, dobrze zrobiłeś".

I pocałowała mnie w policzek.

- No, no.

Niezły był z ciebie gagatek.

Zaczął ziewać.

Leżał obok zatopiony w myślach, a jej oddech stawał się coraz płytszy i regularniejszy.

Odezwał się półgłosem, ale go nie usłyszała.

Zasnęła.

Zdjął kurtkę i przykrył ją.

Naraz doleciał go odgłos silnika.

Ktoś próbował odpalić samochód.

Zastanawiał się, gdzie, najbliższa szosabyła za daleko.

Musiał zaparkować na jednej z polnych dróg zawydmami, a teraz silnik niechciał zaskoczyć.

Tobi wstał.

Schylił się po sweter.

W parku wolno było chodzić tylko po drewnianych ścieżkach, żeby nie płoszyć ptaków i nie deptać rzadkich traw, ale nie przejmował się tym.

Szedł powoli przez sosnowy zagajnik, prosto zadzwieniem powtarzającym się w regularnych odstępach.

Zobaczył dzięcioła na pobliskim drzewie.

Kiedy je mijał, ptak odfrunął.

Dotarł do końca lasu.

Samochód stał mniej więcej trzydzieści, czterdzieści metrów od niego, na brzegu dużego wyrobiska.

Wysiadł z niego mężczyzna, podniósł maskę.

Tobi nie znał się na samochodach, ale pomyślał, że podejdzie i zaoferuje pomoc.

Naraz tamten spojrzał w jego

260

stronę coś powstrzymało chłopca.

Zamiast pomachać albo dać jakiś inny znak, mężczyzna po prostu się gapił.

Potem zrobił gwałtowny ruch i coś nagle znalazło się w jego ręku.

Tobi zobaczył, że to pistolet.

Mężczyzna zbliżył się powoli.

Na moment zmarł, potem pojął, że musi uciekać.

Musi bieć.

Uciec, odciągnąć tego człowieka od Mary, która spała niczego nieświadoma.

Rzucił się biegiem, tamten przyspieszył.

Pędziłeś sił w nogach.
Ale nie był dobrym sprinterem.
Nie był też dobrym pływakiem ani gimnastykiem.
Zawsze był tylko dobrym rowerzystą.
Biegł w stronę szosy, licząc, że nadjedzie jakiś samochód.
Za sobą słyszał kroki.
Zatoczył szeroki łuk na łące, ale nie znalazł żadnego schronienia; nie zasłoniągo mizerne pnie
jabłonek, gdyby mężczyzna naprawdę strzelił.
Musiał zmienić kierunek.
A kroki się zbliżały.
Oddychał coraz ciężiej, zaczęło go tknąć boku.
Okrażył duże jezioro, którego brzeg otaczała siatka.
Wrócił domiejsca, gdzie stał samochód.
Brzeg tu zakręcałi Tobinachwilę zniknął z pola widzenia mężczyzny.
Pojął, że jego jedyną szansą jest ukryć się.
Z rozbiegu wskoczył na siatkę, wczepił się w nią obydwoma rękami.
Podciągnął się, przerzucił ciało przez ogrodzenie, nie zważając na poranione dłonie.
Zeskoczył, zsunął się po stromym, zarośniętym zboczu.
Próbował chwycić się krzaków, ale suwał się coraz dalej, aż do wody.
Kucnął między łysymi krzakami i wyschniętymi trawami, skulił się i wstrzymał oddech.
Czekał.
Słyszał, jak mężczyzna biega wzdłuż brzegu.
Słyszał, jak dyszy.
Szukał go.
Potem kroki się oddaliły.
Ale co będzie, jeśli zacznie przeczesywać wydmy?
Jeśli znajdzie Marę?
261.

Wytrzymał jeszcze pół minuty.
Potem wspiał się powrotem.
Ślizgał się.
Znów przelazł przez siatkę.
Zeskoczył, przebiegł schylony przez drogę, ukrył się w rowiemiedzy jeżynami.
Ostrożnie wystawił głowę.
Rozejrzał się.
Mężczyznastał na piaskowym pagórku na skraju sosnowegozagajnika.
Plecami do niego.
Wciąż jeszcze z pistoletemw ręce.
Odwrócił się ipowoli ruszył w jego stronę.
Tobi uświadomił sobie, że jużnie ucieknie.
Niemiał siły.
Leżał w rowie idrżał na całym ciełe.
Jeśli tamtego zobaczył, zaraz tu będzie.
Nie ucieknie.
Po prostu zaczeka.
Alenic sięnie wydarzyło.
Gdy w następnjej chwili unióśłgłowę, mężczyznasiedział w samochodzie.
Dwarazy bezskuteczniepróbował odpalić, za trzecim musię udało.
Usłyszał, że odjeżdża.
Wyczołgał się z kryjówki, próbował odczytać numerrejestracyjny.
Ale auto byłodaleko, oponywnziecałykurz na suchej polnej drodze.
Powłókł się do Mary.
Miał mokrebuty i skarpetki.
Bołały go wnętrza dłoni.
I dopiero teraz zauważył, że spodnie sąnietylko mokre, ale i potargane.
Krwawił.
Kolcekrzewów pocięły mu nogi.
Miał nadzieję, że Mara wciążjeszcześpi.
Że nic nie słyszała.
Alegdy dotarł na miejsce, koc był pusty.
Mara zniknęła.
Potemusłyszał jej krzyk.
Szła do niego między drzewami.
Krzyczała.
Nigdy jeszcze nie słyszał takiego krzyku.
Chwiała się.
Była blada.
Pokazywała coś zasobą, w gąszczu lasku.
Gdy się doniegozbliżyła, wyciągnęła ręce.
Potem nogi się pod nią ugięły.
- Mara, proszę, musisz wstać.
Musimy uciekać.
Słyszysz?
On może wrócić.
Musimy uciekać.
Nie może nas
znaleźć.

Mara leżała na kocu i kwiliła.
Była blada.
Mrużyłaoczy.
Pamiętała jeszcze historię, którą opowiadał Tobi - jaksiedział na transformatorowni i patrzył na kobiety.
Potem ogarnęło ją zmęczenie i zasnęła.
Gdy się obudziła, nie było go.
Chciała sprawdzić, co się z nim dzieje.
Poszła do sosnowego zagajnika.
Dotarła na małą łąkę.
Zobaczyła kobietę leżącą na ziemi i od razu wiedziała, że jest martwa.
Nigdy wcześniej nie widziała niczego tak strasznego jak jej twarz.
Tobi przytknął jej do ust karton z reszką soku jabłkowego.
Bała się, ręce mu drżały.
Najchętniej opadłby kołonieć na koca i przytulił ją.
Ale wiedział, że musi wytrzymać.
I zmusić Marę do wstania.
Wlewał jej sok po trochu.
Powoli się uspokajała.
- Chodź.
Pomogę ci.
Podniosła się z trudem.
Chwiała się, ale mogła stać.
- Muszę wyjść z psem.
- Tak, ale najpierw stąd odjedziemy.
Spojrzała na niego pustymi oczami.
- Jestem zmęczona, muszę jeszcze trochę pospać.
263.

Znów opadła na kolana, chciała się położyć.

Więc zrobił coś, czego nigdy wcześniej nawet nie mógł sobie wyobrazić.

Wziął zamach i uderzył ją w policzek.

Zdało mu się, że Mara wreszcie dochodzi do siebie.

Popatrzyła na niego oniemiała.

- Uderzyłeś mnie.

- Tak, ale to nie jest teraz ważne.

Musimy uciekać!

Chodź, Mara, proszę.

Zebrał koc i wepchnął go do plecaka.

Wziął Marę z ręką i pociągnął w stronę rowerów opartych kilka metrów dalej o drzewo.

Zobaczył, że ma w oczach łzy.

- Uderzyłeś mnie.

Wsiadli na rowery.

Wracali tą samą drogą, którą przyjechali.

Tobi pierwszy, wciąż oglądał się za siebie, sprawdzał, czy jedzie za nim.

Próbował utrzymywać możliwie szybkie tempo.

Gdy zobaczył, że odstęp między nimi się zwiększa, zwolnił, poczekał.

Nie chciał jej zniechęcić.

Zachowywał się jak kolarze, których często oglądał w telewizji.

Ciągnął ją za sobą.

Dyktował tempo.

Musiał sprawić, by dojechali do celu.

- Nie ma ich - powiedziała Mara, gdy dotarli do Niederrad.

- Możesz wejść.

Grają w tenisa, a potem idą na przyjęcie.

A brat jest u kolegi.

Tobi skinął głową.

Wstawili rowery do podwójnego garażu.

Gdy Mara otworzyła wewnętrzne drzwi do domu, nadbiegł Focky, machając ogonem.

Skoczył na nią, domagał się głaskania.

Zbliżył się do Tobiego, obwąchał go.

Ten mały, biało-brązowy kundel przybłąkał się do Maryna wakacjach we Włoszech.

Rodzice nie chcieli się zgodzić wziąć go do domu, więc Mara zaczęła bezterminowy strajk głodowy.

W każdym razie tak udawała.

Naprawdę wieczór wymykała się do hotelowej kuchni, gdzie kucharz dawał jej po kryjomu ekstraduzą porcję spaghetti bolognese, a dla Flocky'ego resztki mięsa.

264

- Było cudownie - opowiadała później Tobiemu, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

- Mogłabym tak kolejne dwa tygodnie.

I gdy rodzice wreszcie się poddali, ważyłam kilo więcej.

Rozejrzył się.

Wewnątrz dom wyglądał na jeszcze większy, niż sobie wyobrażał.

Sam salon, do którego wprowadziła go Mara, był tak duży, że bez trudu zmieściliby się w nim ich mieszkanie w Gallus.

Czuł się niepewnie i obco.

Gdy poprosiła, żeby usiadł, przycupnął na skraju fotela.

- Musimy iść na policję.

Skinął głową, jakby się tego spodziewał.

Skinął, ale był innego zdania.

- Nie, nie musimy.

- Zwariowałaś?

Chcesz, żeby ta kobieta tam została i żeby zeżarły ją jakieś zwierzęta?

- Na wydmach niema lwów ani hien.

Ktoś ją znajdzie, to zgłosi.

Ktoś, kto nie spotkał faceta z pistoletem.

- Jak ty nie chcesz, to ja pójdę.

- Nie pójdziesz.

On jest niebezpieczny.

Widziałem go, a on nie będzie chciał, żebym go rozpoznał.

Mara pomyślała chwilę.

- To zadzwonimy, bez podawania nazwisk, fowiemy tylko, że znaleźliśmy martwą kobietę.

- Sprawdź, skąd dzwonimy.

A wtedy już po nas.

- Zadzwonimy z budki.

Jak tam dojadą, dawno już nas nie będzie.

Milczał.

Widział, że niema argumentów.

- Chodź.

Będziemy to mieć za sobą.

I tak muszę wyjść

z Flockym.

Poszli do małego kiosku, w którym Mara, idąc do szkoły kupowała słodycze albo lemoniadę w woreczku.

Właścicielem był młody Tamil, od czasu do czasu dokładał jej

265.

do torby coś ekstra.

Akurat wyładowywał napoje z samochodu dostawczego.

Na widok Mary i Tobiego rozpromienił się.

- Co podać?

Pięć butelek coca-coli i pięć pałeczek musujących, a dla Flocky'ego maleńki kotlecik?

- Nie- odparła Mara.

- Potrzebujemy kartę dotelefonu.

Najtańszą.

- A co?

Wasz nie działa?

Mara nienawidziła kłamać.

Alenie mogła powiedzieć prawdy.

I nie przysła jej do głowy żadna wymówka.

- Tak.

Coś się stało z linią.

- Macie szczęście.

To dziadostwo - wskazał na budkę oddaloną od kiosku o pięć metrów - było popsute kilkadziesiąt dni.

Właśnie dziś rano naprawili.

Mara wzięła kartę, położyła pieniądze na plastikowej tacce.

Podniosła słuchawkę.

Dopiero teraz zorientowała się, że jak dzwoni się pod telefon alarmowy, to nie potrzeba karty.

Zanim wybrała numer, jeszcze raz spojrzała na Tobiego.

- A może ty chcesz?

Tobi pokręcił głową.

- Nie.

Lepiej ty.

I pamiętaj, żeby zmienić głos.

Wystukała numer.

Prawie natychmiast zgłosił się mężczyzna i poprosił ją o nazwisko.

- Musicie przyjechać.

Tam leży kobieta na piasku.

Nie żyje - powiedziała Mara.

Uznała, że jej głos brzmi jak głos mamy misiowej z kreskówki, którą czasem oglądała z małą kuzynką.

Tobi wyszczerzył zęby.

- Najpierw musisz powiedzieć, jak się nazywasz - powtórzył mężczyzna.

Ale dlaczego zwracał się do niej per ty?

Zorientowała się, że mówi z dziewczynką, a nie z kobietą?

Nie odpowiedziała.

266

- Jesteś tam jeszcze?

- Tak.

- Powiedz prosto, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz.

- Nie powiem.

Chciałam tylko zgłosić, że znaleźliśmy trupa.

- Co to znaczy "my"?

Był ktoś z tobą?

Mara popatrzyła bezradnie na Tobiego.

Postanowiła nie odpowiadać.

- Nie chce pan wiedzieć gdzie?

- Dobrze: Gdzie ją znaleźliście?

- Leży na piasku.

W lesie, na wydymach Schwanheimer.

Blisko Menu, jak się idzie do starej fabryki farb.

Wtedy usłyszała szczekanie Flockyego.

Spojrzała w stronę kiosku, sprzedawca kusił go kotлетem.

Za każdym razem, gdy pies starał się go schwycić, podnosił rękę.

Szczekanie stawało się coraz wścieklejsze.

Mara położyła rękę na słuchawce.

- Flocky, spokój!

- zawołała.

Tamil zaśmiał się, też go upomniał, ale nie przestawał wabić.

- Wiem, gdzie są wydmy Schwanheimer - powiedziała mężczyzna w telefonie.

- Jesteś pewna, że ta kobieta nie żyje?

- Tak, oczywiście.

Została zabita.

Ale ten facet już uciekł.

- Jaki facet?

O kimmówisz?

Skąd wiesz, kto ją zabił?

Posłuchaj, musisz powiedzieć, jak się nazywasz.

Mara zorientowała się, że znów popełniła błąd.

- Powiedziałam wszystko, co wiem.

Koniec kropka.

Na wydymach Schwanheimer leży trup.

Nic więcej.

Odwiesiła słuchawkę.

Spojrzała na Tobiego.

- Jak mi poszło?

267.

- Nie wiem - wzruszył ramionami.
- Mam nadzieję, że nas nie dopadną.

W połowie stycznia Gabriel Eissler poinformował Marthaler, że może wrócić do pracy.

Ale nie do dochodzenia w sprawie zabójstwa Gabriele Hasler.

Poszukiwania Helmuta Drewitza trwały nadal, a on zajął się emerytem z Ostend, który zginął we własnym mieszkaniu od licznych ran kłutych.

Zbrodnię, jak się okazało, popełnił dwudziestosiemioletni wnuk, który okradł dziadka.

Potem była strzelanina na ulicy w dzielnicy Gutleut, życie straciło dwóch młodych Turków.

Na początku śledczy przypuszczali, że chodziło o interesy narkotykowe, lecz Marthaler wy badał, że ofiary należały do dwóch skłóconych rodzin - ich członkowie do tej pory odmawiali zeznań.

Przed tygodniem zaś zadzwonił ojciec Stefanie Wolfram.

Więc teraz siedział naprzeciwko dwojga zatroskanych, trzymających się za ręce starych ludzi. Od razu musieli im się spodobać.

Siedem dni temu dostali kartkę z Nowej Zelandii, w której Stefanie zapowiadała swój powrót na dziś.

Na obrazku był zielony, pagórkowaty krajobraz wybrzeża, w oddali stado owiec, kilka drzew, a w górze bezchmurne niebo.

"Wracam szesnastego lutego.

Cieszę się na spotkanie z Wami.

Pozdrowienia, Steffi".

Tylko tyle.

Stefanie była późnym, niespodziewanym szczęściem swoich rodziców.

Przez wiele lat marzyli o dziecku, ale Anneliese Wolfram zaszła w ciążę dopiero po czterdziestce.

Rozpieszczali córkę, spełniali każde jej życzenie.

Ojciec, właściciel firmy budowlanej, okresowo bardzo dobrze zarabiał, mogli więc kupić jej konia, sfinansować najlepszą szkołę i roczny wyjazd na studia do USA.

Stefanie odwzajemniała ich miłość, ale nigdy nie zrozumiała, na jakie męki ich naraża, gdy od czasu do czasu do czasu znikali na całe tygodnie.

268

i nie odzywa się, a potem tak po prostu jawi się.

W doskonałym humorze, z prezentami.

Przysięga, że następnym razem powie, gdzie jest i kiedy wróci.

Gdy skończyła studia, zostawiła im dom w Darmstadt, który dla nich stał się za duży, a sami kupili mniejszy w Spremlingen, gdzie od tamtej pory mieszkali.

Mieli nadzieję, że córka wyjdzie za mąż, urodzi dzieci i wreszcie się usatkuje.

Teraz leżała przed nimi na stole wymięta pocztówka, którą w ostatnich dniach wciąż brali do ręki.

A obok siedział komisarz policji i kolejny raz mówił to, co wiedział od dawna, ale czego wciąż jeszcze nie rozumieli: że ich córka jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Radość jej powrotu mieszała się więc ze strachem, że ktoś mógłby ją skrzywdzić.

Ktoś, kto z niewiadomych powodów usiłował ją zabić i znów spróbuje.

W ciągu ostatniego pół roku codziennie czekali na jakąś wiadomość.

Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, podrywali się, bo to mogłaby być ona, powie, kiedy wróci, albo przynajmniej, że ma się dobrze.

Gdy dzień temu listonosz przekazał im z uśmiechem pocztówkę, natychmiast powiadomili policję.

Jeszcze raz uczulono ich, choć wiedzieli to od dawna, że nie wolno im nikomu opowiadać o powrocie córki.

Że nikt poza nimi i policją nie może się dowiedzieć, kiedy przyjeżdżają gdzieś zatrzymać się.

Chcieli wydać jej duże przyjęcie, zaprosić wszystkich jej przyjaciół i znajomych.

A musieli się zgodzić na napis w korytarzu: "Witaj w domu!"

" - napisem, którego nikt nie mógł zobaczyć z ulicy, nawet wówczas, gdy drzwi były otwarte.

Zamówili tylko tort takim samym napisem, a na wieczór uroczystą kolację dla

trzech osób, miała być dostarczona z delikatesów o umówionej godzinie.

Kiedy o świcie Heinrich Wolfram pierwszy raz wyjrzał przez okno, na ulicy stał radiowóz.

Nie wychodzili.

Kręcili

269.

się niespokojnie po domu, nie wiedząc, co mówić.
Potem przyjechał ten komisarz, który też nie przywiózł żadnej nowości.
Choć próbował ich uspokoić.
Ale był z wydziału zabójstw i już to określenie budziło strach.
Marthaler chciał powiedzieć prawdę na siedemdziesięcioletnim rodzicom Stefanie.
Oznajmił, że zrobią wszystko, by ją chronić.
Ale też, że to będzie trudne.
Policjanci byli na lotnisku Ren-Meni przed domem.
Lecz policja wiedziała za mało.
Nie mieli pojęcia, czy przyleci do Europy z Australii czy z Nowej Zelandii i którym samolotem.
Niewiedzieli, na którym lotnisku wylądaje.
Stefanie nie podała ani godziny, ani miejsca przylotu.
Od tygodnia, odkąd dowiedzieli się o pocztówce, regularnie obdzwaniali wszystkie linie lotnicze, sprawdzając listy pasażerów.
Ale nie miał biletu na żaden samolot lądujący we Frankfurcie.
Wysłuki australijskiej policji także były bezowocne.
Kilka razy byli bardzo blisko.
Raz odnaleźli hotel, gdzie niemiecka turystka nocowała dołą wcześniej, potem kierowcę tira, który podwiózł ją kilkaset kilometrów, ale wciąż tracili ślad.
Nawet komunikat wyemitowany w australijskiej telewizji nie przyniósł efektów.
Otrzymali wprawdzie liczne zgłoszenia, ale wszystkie albo za późno, albo nieprawdziwe.
- Wiem - odezwał się Marthaler, pijąc trzecią już kawę - wiem, że moi koledzy już o to wszystko pytali.
Mimo to chciałbym jeszcze raz porozmawiać z państwem o Gabriele Hasler.
Córka była z nią przyjaźniona.
Razem mieszkały.
Razem studiowały.
Przecież opowiada się rodzicom o takiej przyjaciółce.
Spojrzelina siebie, potem prawie równocześnie wbili wzrok w stół.
Milczeli.
Dotknął czułego punktu.
Istniała jakaś tajemnica, którą będzie musiał wyjaśnić.
270
- Proszę.
Nie chodzi tylko o Gabriele Hasler.
Chodziło o bezpieczeństwo państwa córki.
Wreszcie Heinrich Wolfram przełamał się, zaczął mówić.
- Mieszkały razem.
To mieszkanie należało do mnie.
Oddałem je do dyspozycji Stefanie, gdy zaczęła studia, potem je na nią przepisałem.
W którymś momencie wprowadziła się tam Gabi.
Gabriele Hasler.
Wiedzieliśmy o tym, choć tego nie pochwalaliśmy.
Stefanie nie miała mieszkać w komunie.
Miała mieć miejsce dla siebie, taki był sens tego prezentu.
Raz byliśmy z żoną na zakupach we Frankfurcie.
Chcieliśmy jej tylko powiedzieć dzień dobry, więc przyjechaliśmy niezapowiedziani.
Wcale się nie ucieszyła na nasz widok.

Obydwoje odnieśliśmy wrażenie, że chce się nas szybko pozbyć.
Dowiedzieliśmy się, dlaczego.

Przerwał, podniósł do ust pustą filiżankę.

- Niech pan opowiada dalej - poprosił Marthaler.

- Dlaczego?

- Usłyszeliśmy głosy z sąsiedniego pokoju.

Mężczyznę kobietę.

Kłócili się.

Coś się przewróciło, a kobieta, Gabriele, krzyknęła.

Przeklinała w ordynarny sposób.

Chodziło o pieniądze, o odpowiednią zapłatę.

Mężczyzna wyszedł, trzaskając drzwiami.

Gabi pojawiła się w drzwiach pokoju prawie naga.

Wystraszyła się, kiedy nas zobaczyła.

Najwyraźniej niezorientowała się, że przyszliśmy.

Przywitała się grzecznie, ale jej także nasza wizyta była nie w smak.

- I? Co dalej?

- Nic.

To był pierwszy i jedyny raz, kiedy widzieliśmy Gabriele Hasler.

Przeprowadziliśmy ze Stefanie rozmowę.

Chcieliśmy wiedzieć, co się dzieje u niej w domu.

I poprosiliśmy, żeby lokatorka się wyprowadziła.

- Ale córka nie chciała?

- Nie.

Nie chciała nawet opowiedzieć, co zaszło.

Proszę zrozumieć, to był nasz pierwszy poważniejszy spór.

271

Przez kilka tygodni się nie odzywała.

W końcu się poddaliśmy.

Od tamtej pory nie rozmawialiśmy o Gabriele.

Stefanie nie opowiadała, my nie pytaliśmy.

To byłotabu.

I tak jest do dziś.

Marthaler chciał zapytać, co wówczas myśleli o tymzajściu.

Ale nie zdążył,bo w tej chwili zadzwoniła jegokomórka.

- Coznowu?

Jestem w trakcie przesłuchaniaświadców.

To byłaKerstin Henschel.

Zdenerwowana.

- Robert, musisz przyjechać.

Coś się stało.

Było zgłoszeniena telefon alarmowy.

-I co?

- Anonimowy rozmówca zadzwonił na no.

Powiedział,że odkrył zwłoki kobiety na wydmach Schwanheimer.

- Co to znaczy: anonimowy rozmówca?

Jakie zwłokikobiety?

W tym samym momencie zorientował się, że popełniłbłąd.

Nie powinien był powtarzać jej słów w obecności rodziców Stefanie.

Patrzyli na niego z przerażeniem.

Podniósłrękę uspokajająco, ale wiedział, że to bez sensu.

- Jeszcze nicnie wiemy.

Tylko to, co cipowiedziałam.

Zgłoszenieodebrali przed trzemaminutami.

- Kto zadzwonił?

-Jakaś dziewczynka.

Starła się zmienić głos.

Jeszczenie odsłuchałam nagrania.

Dyżurny jest przekonany, że to poważne, bardzo poważne.

- Dobrze,zaraz jadę.

Schował telefon, chciał wyjaśnić Wolframom, dlaczego musi wyjść.

- Nie -zaprotestował ojciec mocnym głosem ischwycił go za rękaw.

- Nigdzie pan nie pójdzie.

Chcę wiedzieć,co się stało.

272

- Nic.

Nie wiem.

- Marthaler pokręciłgłową.

-Zgłoszeniena telefon alarmowy.

- Jaki telefonalarmowy?

Mówiłpan o zwłokach kobiety.

- Niech panposłucha.

Nic nie wiem.

Moikoledzy teżnie.

Zadzwonił anonimowy rozmówca, to wszystko.

- Ale znaleziono martwą kobietę.

Marthaler przytaknął.

- Proszę mi powiedzieć, czy to moja córka, słyszy pan?

Chcę znać prawdę.

Marthaleru wolnił się z uścisku.

- Nie wiem.

Ale obiecuję, że ktoś się o państwa zatroszczy.

Zlecę to.

I odezwę się tak szybko, jak to możliwe.

Z twarzy starych ludzi zniknęła wszelka nadzieja.

Niewierzyli mu.

Przypuszczali, że chce ich uspokoić, żeby jak najprędzej od nich uciec.

Zanim włączył silnik, wybrał numer centrali.

Podał adres rodziców Stefanie Wolfram.

Przez pół roku daremnie czekali na wiadomość od córki.

Byli u kresu wytrzymałości.

A dziś, w dniu, w którym wreszcie miała przyjechać, usłyszeli, że znaleziono zwłoki nieznanej kobiety.

Polecił natychmiast wysłać do nich psychologa.

Postawiono w stan gotowości wszystkie siły.
Otoczono cały teren wokół wydm.
Ale za blokadą już zebrali się gapie.
Na cmentarzu, pod wiaduktem i na małym placu obok stały radiowozy.
Słychać było szczekanie.
Właśnie przyjechał policyjny dziesięć przyczepą, w której znajdowały się psy tropiące.
Zaraz wyruszą przewodnicy, przeczeszą okoliczne pastwiska i sady.
Gdy Marthaler zobaczył całe zamieszanie, zrozumiał, że dziewczynkom wiła prawdę.
Wysiadł z samochodu.
Zobaczył Svena Liebmanną.
- Robert, dobrze, że jesteś.
Herrmann jest nieuchwytny, przejąłem dowodzenie.
- Herrmann pojechał wczoraj do sanatorium.
- Cudownie.
Myślę, że powinien być.
- Wiadomo, kto to?
- przerwał mu Marthaler.
- Nie jesteśmy pewni.
Tam stoi passat na frankfurckich numerach.
Dowiedzieliśmy się, na kogo jest zarejestrowany i.
- Pytałem, czy wiecie, kto to jest.
Muszę wiedzieć, czy to Stefanie Wolfram.
Tak czy nie?
- Robert, proszę.
Daj mi skończyć.
Mamy passata należącego do kobiety o nazwisku Lorenz.
Andrea Lorenz.
Może to ona.
Zadzwoń do niej do domu, ale mąż.
274
- Przepraszam, że znów ci przerywam, ale i ja muszę natychmiast zadzwonić.
Odszedł kilka metrów, by móc rozmawiać w miarę spokojnie.
Wybrał numer rodziców Stefanie Wolfram.
Ojciec odebrał natychmiast.
- Czy córka przyjechała?
- zapytał Marthaler.
- Nie.
Czy to znaczy, że ta kobieta, którą znaleźliście.
to nie.
- To znaczy tylko tyle, że to raczej mało prawdopodobne.
Jeszcze nie zidentyfikowaliśmy ofiary.
Ale mamy przypuszczenia.
I te przypuszczenia prowadzą w innym kierunku.
Wydało mu się, że wręcz czuje ulgę mężczyzny.
- Dziękuję, komisarzu.
Bardzo panu dziękuję.
- No dobrze - powiedział Marthaler, tym razem do Liebmanną.

- Teraz ty.

Co mamy?

Jakieś podobieństwo do sprawy Gabriele Hasler?

Odpowiedź miał wypisaną na twarzy.

- Ten sam wzór.

Zaraz zobaczysz.

Ale, co chciałem powiedzieć: zadzwoniłem do domu właścicielki czerwonego passata.

Najpierw rozmawiałem z synem.

Powiedział, że widział mamę w południe w pobliżu swojej szkoły.

Potem z mężem.

- Nie powiedziałeś mu chyba.

- Robert, nie jestem idiotą.

Powiedziałem, że muszę porozmawiać z żoną w związku z pewnym dochodzeniem.

- I?

- Odpowiedział, że jeszcze pracuje.

- To co robi tu jejsamochód?

Jaką pracę można tu wykonywać?

- No właśnie.

Andrea Lorenz jest sprzedawczynią kosmetyków firmy Wellness-Medico i kimś w rodzaju

275.

masażystki.

Nie ma żadnego sensownego powodu, dlaktórego miałaby tu być w godzinach pracy.

Zapisałem numer jej komórki.

Wprawdzie jest włączona, ale niktnie odbiera.

- Przeszukaliście już samochód?

-Nie, czekałem naciebie.

Ostatecznie możliwe, że gdzieś tu spaceruje.

- Ryzujemy.

Nie możemy tracić czasu.

Musimy powiedzieć Schillingowi.

Ale zanim jego ludzie wybebeszą auto, sam je obejrzę.

- Okej.

Ale może najpierw zobacz tę kobietę.

Poszedł za Liebmannem wąską ścieżką wyznaczoną przez techników, żeby dochodzeniowcy mogli dotrzeć do miejsca znalezienia zwłok, nie kręcąc się po całym terenie i nie zdeptując śladów.

Szli popiasku porośniętym suchymi trawami.

Gdy dotarli do skraju sosnowego zagajnika, Marthaler przystanął.

Obejrzał się w stronę, z której przyszli.

Miasto i rzeka były blisko.

Ale tu człowiek był w innym świecie.

Odludnym, zapuszczonym, a jednak pięknym.

W innych okolicznościach, pomyślał, mogłoby mi się tu spodobać.

Tyle że teraz to miejsce, jak wiele innych wmieście, zostało naznaczone zbrodnią.

Nieważne, co za chwilę zobaczy, nigdy już nie będzie mógł tu wrócić, nie myśląc o tym.

Poszli dalej między drzewami, które rosły coraz gęściej.

Czasem przesuwając grzbietem dłoni po szorstkiej korze sosen.

Sven stanął.

Odwrócił się do Marthalerai wskazał głową w kierunku małej polanki.

Było to obniżenie terenu otoczone gęstwiną krzewów, splechetek piasku między drzewami.

Taśma blokady urywała się.

Ludzie z dokumentacji właśnie kończyli fotografować i filmować szczególne miejsca zdarzenia.

Zobaczył Theę Hollmann.

Patolożka

276

stała dziesięć metrów od niego.

Cicho mówiła do dyktafonu.

Podniosła głowę, skinęła na powitanie, nie przerywając pracy.

Marthaler liczył się z tym, że ją tu spotka, i na tę myśl robiło mu się trochę nieswojo.

Ale teraz nie czuł ani krzyżakłopotania.

Kobieta klęczała.

Tym razem najpierw zobaczył jej twarz.

Wykrzywioną tak samo jak twarz Gabriele Hasler.

Te same przebarwienia naskórki w oczach.

Głowa leżała na boku, wydawało się, że ofiara przygląda się patrzącemu.

Dolną część ciała znów była obnażona, pośladki wypięte.

- Dajcie mi minutę- powiedział Marthaler.

- Nie potrzebuję więcej.

Znał ten nastrój z wielu innych miejsc zbrodni.

Mieszanina paraliżu i zawodowej krzątaniny.

Ciche rozmowypolicjantów, od czasu do czasu tłumione okrzyki, trzaskiw krótkofalówkach i odgłos generatora prądu.

Mimo że wokół pracowało wiele osób, w tej chwili miał poczucie, że jest zofiara sam na sam.

On stał tu, tam klęczała półnaga kobieta, która jeszcze niedawno żyła.

Ten widok nie wstrząsnął nim jak za pierwszym razem, nietak jak przed trzema miesiącami, kiedy znaleziono Gabriele Hasler.

Tym razem co innego uderzyło go z całą siłą.

Poczuł się winny.

Powinien był zapobiec tej śmierci - być może mógł jej zapobiec.

Nigdy dotychczas nie miał tak dojmującego wrażenia, że zawiodł.

Pozwolił, by odwrócić jego uwagę.

Pozwolił, by przełożeni, Herrmann i Eissler, przeszkadzili mu w wyjaśnieniu śmierci dentystki.

Dał zawygraną.

Gdyby poszedł za tym, czym był przekonany, być może już dawno rozwiązałby zagadkę i nie musiałby oglądać kolejnej ofiary.

Na chwilę zamknął oczy.

Zrobił coś, czego nigdy jeszcze nie robił.

Zaczął w duchu rozmawiać z ofiarą.

Prosił o wybaczenie zaniechania.

Obiecował, że nic, żadne przepisy,

277.

żaden rozkaz, nie odwiodą go od znalezienia mordercy
i udowodnienia mu winy.

Otworzył oczy, miał nadzieję, że nikt niczego nie zauważył.

Lecz gdy zobaczył z troską minę Thei Hollmann, odniósł wrażenie, że ona wie.

Podszedł do niej.

Pokiwała głową.

- Nie musisz się wstydzić - powiedziała.

- Znam to.

- Chyba chciałaś, żebyśmy zwracali się do siebie po nazwisku?

- A tak, masz rację.

Z drugiej strony: właściwie niema powodu, żebyśmy nie zostali przy koleżeńskim
"ty", prawda?

- Spojrzała na niego badawczo.

- Schudłeś, co?

Długo się nie widzieliśmy.

- Tak, uprawiam regularnie sport.

- Dobrze wyglądasz.

- Co możesz powiedzieć?

- Została zakneblowana i związana.

I zdajesię, że co jakiś czas była podduszana.

Broniła się.

Ale w gruncie rzeczy nie miała szans.

- Więc?

- Dokładnie takie samo gówno jak za pierwszym razem.

Jeśli o to pytałeś.

- Jak długo nie żyje?

- Szacunkowo oddobrej godziny.

Raczej niedłużej.

- Więc tym razem jesteśmy bliżej.

- Tak.

I mam nadzieję, że to wykorzystacie.

Że to się wkrótce skończy.

- Coś jeszcze?

Pokręciła głową.

- Reszta później.

Pozostałe badania zrobię, jak będę ją miała na stole.

A więc jeszcze dziś wieczorem.

To pewnie będzie nocna zmiana.

Obiecuję, że natychmiast się do ciebie odezwę.

278

Była już daleko, gdy Marthaler zawołał za nią.

- Pozdrów ode mnie Lisiura.

Odwróciła się z uśmiechem.

- Tak zrobię.

Zaprosił mnie jutro wieczorem na kolację.

Miałeś rację, to całkiem znośny facet.

Wróciła na parking.

Tymczasem pojawiło się więcej radiowozów.

Ruch na autostradzie zamarł.

Gapie stali rzędem przy balustradzie wiaduktu, skąd mieli najlepszy widok.

Za blokadą tłoczyli siódziennikarze.

Gdy go zobaczyli, zaczęli krzyczeć.

Pokręcił tylko głową i machnął ręką.

Walter Schilling stał bok czerwonego passata.

Otworzyli już samochód, ale czekali z przeszukaniem.

Szef techników podał komisarzowi przezroczyste gumowe rękawiczki.

Siedzenie kierowcy okrył cienką folią.

- To nie potrwa długo - powiedział Marthaler.

- Chciałbym tylko mieć jakieś wyobrażenie o tym, jak siedział w aucie.

To chyba ostatnie chwile przed spotkaniem mordercy.

Pospiesz się.

- Proszę oto - odparł Schilling.

Wiedział, że komisarz lubił zapoznawać się z miejscem zdarzenia jako pierwszy inajchętniej sam.

- I wyświadczyć mi przysługę: dotykaj możliwie mało.

- Tak, wiem.

Za każdym razem to mówisz.

Pewnie najbardziej by ci odpowiadało, gdybym przestał oddychać.

- Oddychać możesz - na twarzy Schillinga pojawił się zmęczony uśmiech.

- Ale uspokój nogi.

Szurasz.

- Co robię?

- Szurasz.

Szurasz nogami.

Przy wszystkich twoich biurkach już po kilku tygodniach dywan jest przetarty.

Nie zauważyłeś?

Schilling odczekał, aż Marthaler się usadowi.

Zamknął drzwi.

279.

Komisarz próbował sobie wyobrazić, jak tu wyglądało, zanim zjawiła się policja.
Prawdopodobnie plac był pusty.
Andrea Lorenz przyjechała samochodem, alenie zaparkowała byle gdzie.
Zawróciła i ustawiła auto tak, by widzieć zbliżający się inny pojazd albo człowieka.
Ale co to znaczy?
Że czekała na kogoś, kogo nie znała?
Czego szukała tu w dzień roboczy, w południe?
Z kim miała się spotkać?
A może to był przypadek?
Przypadkowo miała trochę czasu, poszła na spacer i przypadkowo natknęła się na mordercę.
Marthaler szczerze to wątpił.
Taki sprawca nie zdaje się na przypadek.
Nie czeka tak prosto, aż zjawi się jakaś kobieta, żeby na nią napaść.
Postępuję według planu.
Chcę z tego, co robi, maksymalną przyjemność.
Przyjemność, z powodu której ktoś musi umrzeć.
Oparł się.
Opuścił ramiona.
Jego ręce zwisały po obu stronach siedzenia.
Spróbował się skupić.
Nagle palce czegoś dotknęły.
Tam, gdzie zapina się pas bezpieczeństwa, coś było, notatnik, mały kalendarz oprawny w ciemnobrązową skórę.
Otworzył go na dzisiejszej dacie.
Miała zaplanowane trzyspotkania.
Za każdym razem z godziną i nazwiskiem.
Tylko przyśrodkowym spotkaniu zapisała także adres.
O dwunastej przedstawicielka firmy kosmetycznej była umówiona Darmstadter Landstrasse.
Nazwisko brzmiało Gundlach.
Tym razem cię dopadniemy, pomyślał.
Tym razem namsię nie wymkniesz.
- Dokurwy nędzy!
W tym domu jest czterdzieści apartamentów, w żadnym nie mieszkał o nazwisku Gundlach.
Gdy Sven Liebmann wszedł, przeklinając, do sali odpraw w Białym Domu, reszta czekała już wokół stołu.
- Rozmawiałem z dozorcą.
Nie słyszał o nikim takim.
Zadzwoń do administracji; sekretarka sprawdziła w dokumentacji.
Nie ma takiego najemcy ani nigdy nie było.
280
- Przecież należało się tego spodziewać - odezwała się Kerstin Henschel.
Popatrzył na nią zaskoczony.
Mieli nadzieję, że dzięki nazwisku w kalendarzu Andrei Lorenz w końcu posuną się do przodu.
Rozczarowanie było wielkie.
- Jeśli słuszne jest przypuszczenie - ciągnęła Kerstin - że ta notatka ma coś wspólnego z naszą sprawą, że morderca umówił się z ofiarą, to naiwnością byłoby sądzić, że podała jej prawdziwe nazwisko.
- Ale dlaczego w ogóle podała nazwisko i adres?

Skoromy go wtym domu nieznaleźliśmy, to ona też by się z nimnie spotkała.

- Przecież właśnie najwyraźniej do spotkanianie doszło - odezwał się Kai Dóring.

- W każdym razie nic nato nie wskazuje.

Ale może nie mieli się spotkaćw domu, tylko przed - na ulicy.

Może poto potrzebowali adresu.

Może czekał na nią, a potem pojechali na wydmy.

- POCO?

- zapytał Manfred Petersen.

- Uważasz, że zamierzała mu tam malować paznokcie unóg?

To pytanie na moment ich rozbawiło.

Tylko Kai, zwykle pierwszy do żartów, był zirytowany, że nie bierze się jego teorii napoważnie.

- A jeśli nie chodziło o spotkanie zawodowe, tylko prywatne?

- odparł.

- Jeśli miał randkę?

Nic nie wiemy o małżeństwie Andrei Lorenz.

Może była nieszczęśliwa i chciała kogoś poznać.

Przecież mogło być tak, że morderca dał ogłoszenie towarzyskie, a ona odpowiedziała.

Marthaler włączył się dopiero teraz.

Celowo odczekał tak długo.

Nie przerywał spekulacji kolegów, pozwolił im rozważyć różne tropy.

- Wszystko jest możliwe - powiedział.

- Ale teraz chciałbym poprosić Waltera Schillinga, żeby złożył nam pierwszą relację z oględzin.

281.

- Nasi ludzie jeszcze tam są.

Teren jest rozległy, a my nie mamy pojęcia, czego szukać.

Zabezpieczanie śladów potrwa jeszcze kilka godzin.

I jak zawsze, większość tego, co znajdziemy, nie będzie miała nic wspólnego z naszą sprawą.

- Tak - zgodził się Döring - i jak zwykle najpierw pogrzebiemy sobie w waszych śmieciach, żeby wyciągnąć spleśniałe rodziniki.

- Nic nato nie poradzę.

Najważniejsze, co możemy powiedzieć: miejsce znalezienia zwłok jest także miejscem zbrodni.

Andrea Lorenz została zamordowana tam, gdzie leżała.

Na piasku są ślady walki.

Ziemia jest zryta.

Rozmawiałem z patolożką, jest tego samego zdania.

Ciało ofiary wykazuje liczne otarcia i zadrapania, zapewne od krzaków jeżyn.

W ranach znaleziono ten sam piasek, który jest dookoła.

Może być też tak, że przez jakiś czas była przywiązana do pnia sosny.

Na korze jednego z drzew znaleźliśmy skrawki skóry, a obok na ziemi resztki sznura, który został przecięty nożem.

- Możesz wyciągnąć pierwsze wnioski?

- zapytał Marthaler.

Szef techników potrząsnął głową.

- Nie, nie mogę.

Nie mamy punktów zaczepienia.

Nie mamy do tej pory nic, co wskazywałoby na jakiegoś konkretnego sprawcę.

Podobnie jak w pierwszym przypadku.

- Ale?

- Co ale?

- Wydawało mi się, że chciałeś coś dodać.

- No dobrze.

Wiecie, jak nie lubię stwierdzeń, którymi nie mogę poprzeć dowodami z miejsca zbrodni.

Ale jeśli koniecznie chcecie: wszystko, co widziałem, wskazuje nato, że to ten sam sprawca.

Nie, nawet więcej, jestem o tym przekonany.

Dokładnie ten sam wzór.

282

- Też tak uważam - odezwał się Manfred Petersen.

- Też myślę, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą.

Tym razem jednak jest jeszcze coś innego.

Dla mnie wygląda to tak, jakby stał się odważniejszy.

- Co taki czyn ma wspólnego z odwagą?

Możesz to wyjaśnić?

- w głosie Kerstin słychać było zdenerwowanie, ciągle jeszcze nie była w stanie spokojnie z nim rozmawiać.

- Może odwaga to złe słowo.

Ale to teraz zrobił o wiele bardziej.

niewiem, jak to powiedzieć.

o wiele bardziej publicznie.

Torturował i zabił ofiarę w parku narodowym.

Nie jak za pierwszym razem, w domku uboczu, i na dodatek po zmierzchu.

Tym razem zabił w środku dnia.

Niebezpieczeństwo, że ktoś go zaskoczy, było o wiele większe.
To musi coś znaczyć.

- Może znaczy, że chce zostać odkryty - odezwał się Liebmann.

- Tak.

Albo chce mieć większą przyjemność, więcej ryzykując.

- To być może zabrzmiało makabrycznie - włączył się Marthaler - ale przez to, że mamy już drugą ofiarę, posunęliśmy się sporo do przodu.

Sprawca czyni pokazywać wzór.

Wszystko, co robi, zdradza go.

Już fakt, że drugi raz zabił we Frankfurcie, pozwala przypuszczać, że tu mieszka.

Wiemy, że nie chodziło mu o Gabriele Hasler.

Zabija kobiety, a wcześniej je torturuje.

Teraz musimy porównać.

Zrobić to, co zaczął Manfred.

Co oba przypadki mają ze sobą wspólnego?

Co je różni?

I jakie wnioski możemy z tego wyciągnąć.

- Ale czy nie może być tak, że mamy do czynienia z copycatem?

- zapytał Liebmann.

- Z czym?

- Z sprawcą, który naśladuje, któremu spodobało się to, co zrobił zabójca Gabriele Hasler.

Z człowiekiem, który chce ściągnąć na siebie taką samą uwagę.

283.

- To też jest prawdopodobne.

Może będziemy mogli powiedzieć więcej, gdy ocenimy ślady.

W każdym razie jestem zdania, że potrzebujemy pomocy.

Kogoś, kto lepiej niż my znasie na ludziach, którzy robią takie rzeczy.

Są przecież fachowcy od tych spraw.

I ich poprosimy

o współpracę.

-Znaleźliście ślady opon?

- zwrócił się Kai do Schillinga.

-Cały czas zastanawiam się, jak się stamtąd wydostał.

Fakt, że samochód Andrei Lorenz stoi na placu, przemawia w każdym razie za tym, że przyjechali dwoma.

- Zgadzasz się - odparł Schilling.

- Ale nie mogę robić wam wielkich nadziei.

Ziemia jest piaszczysta.

Musieliśmy mieć ogromne szczęście, żeby znaleźć odcisk, który

byłby przydatny.

- Choć z drugiej strony - zastanawiał się głośno Kai - wcale nie musiał przyjechać samochodem.

Równie dobrze mógł to być autobus, motocykl albo cokolwiek innego.

- A jej komórka?

Co z nią?

- zapytał Marthaler.

-Mąż Andrei mówi, że miała ją przy sobie.

Schilling pokręcił głową.

- Nic.

W każdym razie do tej pory.

- A tak właściwie, toczy już go poinformowano?

- zapytała Kerstin.

-Wie, że żona została zamordowana?

- Tak.

Myślę, że tak.

Chciałem, żeby nas ktoś wyręczył, mamy co innego do roboty.

Poprosiłem Eisslera, żeby to zorganizował.

I tak będziemy musieli wkrótce porozmawiać z Lorenzem.

Ale najpierw załatwmy kilka innych ważnych spraw.

Przede wszystkim musimy namierzyć tę dziewczynkę, która znalazła ciało.

Zadzwoń z budki w Niederrad.

Proponuję, żebyśmy wspólnie odsłuchali nagranie.

Elvira sprowadziła już taśmę z centrali.

Marthaler wyszedł.

Wrócił po dwóch minutach z małym magnetofonem kasetowym.

Poprosił Manfreda

284

o podłączenie go do dużego głośnika, który kazali zainstalować w sali odpraw.

Petersen właśnie naciskał klawisz start, gdy otworzyły się drzwi.

Stanął w nich Raimund Toller, wzbudzając pomruk nieznania.

Niósł przed sobą stos kartonów z pizzą, który odstawił na stół.

Za nim weszła Elvira z tacą z talerzami i sztućcami.

Później przyniosła dwie butelki musującego wina i kieliszki.

- Co siedzieje?

- zapytał Marthaler.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli dziś zbyt wiele powodów do świętowania.

- Nie- zgodził się Toller -ale dziś są moje urodziny.

Koledzy zaczęli muskładać życzenia.

Tylko Kerstin niewstała.

Marthaler popatrzył na nią.

Spuściła wzrok.

Zaczęła grzebać w torbie.

Wyjęła plik papierów i udawała, że uważnie przegląda.

- W porządku.

Ale nie możemy sobie teraz pozwolić na dłuższą przerwę.

Odsłuchamy nagranie przy jedzeniu.

Manfred nacisnął start.

Gdy nagranie dobiegło końca, przewinął.

Odsłuchali taśmę drugi raz, potem trzeci.

Petersen wyłączył magnetofon.

- Cholera- odezwał się Kai - zdaje się, że tym razem mamy świadka.

-Albo wielu świadków - poprawił go Petersen.

- Mówiła "my".

To znaczy, że była z nią przynajmniej jeszcze jedna osoba.

- W każdym razie kogoś widzieli.

Mężczyznę, który podobno uciekł.

Ale który nie mógł uciec od razu, bo inaczej w ogóle by go nie widzieli.

- Nowięc?

- zapytał Marthaler.

- Więc to jest wytłumaczenie- powiedział Dóring -dlaczego nie podała nazwiska i dlaczego zmieniła głos.

285.

Boi się.

Nie wiemy, co widziała, ale jedno jest pewne: wiewięcej, niż zdradziła.

Przede wszystkim wie, że powinna się bać tego mężczyzny.

- To znaczy, że musimy ją znaleźć - zdecydował Marthaler.

- Musimy jak najszybciej dowiedzieć się, kim jest.

I skłonić ją do mówienia.

- A jak to sobie wyobrażasz?

- zapytał Toller.

- Dzwoniła z budki.

- Wiem.

Musimy szukać wskazówek gdzie indziej.

Będziemy odsłuchiwać tonagranie tak długo, aż dowiemy się więcej.

Nie zwracajcie uwagi na to, co mówi, tylko na wszystko inne, na jej głos, na odgłosy w tle, na wszystko.

Odsłuchali taśmę kolejne dwa razy.

Na moment zapadł cisza.

Potem zaczęli mówić jedno przez drugie.

O odgłosie silnika przejeżdżającego samochodu, o szczekającym psie, o brzęczeniu butelek.

Marthaler podniósł ręce, poczekał, aż zapanuje spokój.

- Nie wszyscy naraz.

Po kolei.

Czy coś w jej głosie zwraca uwagę?

- Zniżyła głos, jak tylko się dało.

Próbowała mówić tak, żeby to brzmiało jak głos kobiety.

- Tak, ale jest coś jeszcze.

To słycać już w pierwszym zdaniu.

Manfred, puść odpoczątku.

Wysłuchali się uważnie w pierwsze słowa dziewczynki:

"Musicie przyjechać.

Tam leży kobieta na piasku.

Nie żyje".

- Ma małą wadę wymowy.

Sepleni - zauważyła Kerstin.

- Zgadzasie - potwierdził Sven.

- I moim zdaniem brzmi totalnie, jakby nosiła aparat na zębach.

- Właśnie tym pomyślałem.

Aparat.

Dalej.

Co jeszcze?

Ktoś coś jeszcze usłyszał?

- Przejechał samochód.

Przez chwilę słycać było odgłos silnika.

286

- Okej, ale to nam niewiele pomoże.

Więc dalej.

Zauważyliście: kiedy nasz człowiek zapytał ją pierwszy raz o nazwisko, zamilkła.

Powstała krótka pauza.

Ale słycać coś w tle.

Brzęk butelek.

Przesuwanie skrzynek z napojami.

Może ta osoba widział dziewczynkę z aparatem na zębach.

- I jeszcze pies - dodał Kai.

- Cały czas słycać, jakszczeka.

IGłos mężczyzny, który mówi do niego Flocky.

- Nie tylko mężczyzna - wtrącił Marthaler.

- Dziewczynka też gotak nazywa.

Jest takie miejsce w nagraniu, gdzie najwyraźniej zasłania słuchawkę.

I coś mówi.

Słycać to niewyraźnie.

Mówi: "Flocky, spokój!

". Jakby pies należał do niej.

Jakby poprosiła, by mężczyzna zajął się nią na czas jej rozmowy.

- Więc - podsumował Sven Liebmann - szukamy kogoś, kto rozwozi skrzynki z napojami.

I mężczyzny, który zajmował się psem.

Ale przede wszystkim dziewczynki z aparatem na zębach i psem o imieniu Flocky.

- Właśnie tak - zgodził się Marthaler.

- I tę dziewczynkę znajdziemy.

Obudził go dzwonek komórki.
Marthaler nie wiedział, co się dzieje.
Było jeszcze ciemno.
Z trudem spróbował wydobyć się ze snu i przypomnieć sobie, gdzie jest.
Wyciągnął rękę, żeby zapalić lampkę na nocnym stoliku.
Ale zamiast niej wymacał czyjeś ciało.
To była Tereza, leżała koło niego i spała.
Teraz sobie przypomniał.
Wczorajszego wieczoru siedział długo w biurze.
Zadzwoiła Tereza z pytaniem, czy czasem nie kończy i czy nie chciałby się z nią spotkać.
Był zmęczony, ale się zgodził.
Pojechał rowerem do Bockenheim i odebrał ją z pensjonatu Uhland.
Poszli do małej restauracji w piwnicy przy Schlossstrasse, wypili po dwa kieliszki wina i zjedli po grubej kromce wiejskiego chleba z szynką i serem.
Zasypiał przy stole.
Tereza przekonała go, żeby przenoćował u niej.
W ostatnich tygodniach spotykali się tak często, jak się tylko dało.
Marthaler miał wrażenie, że dopiero teraz zaczęli się poznawać.
Dużo rozmawiali.
Zdarzało się, że przez pół nocy leżeli obok siebie, opowiadając sobie historie z dzieciństwa.
Czasem Tereza budziła go, bo przyszło jej jeszcze do głowy coś, co koniecznie musiała mu powiedzieć.
Chodzili do kina i na koncerty, a niekiedy siadywali po prostu na kanapie Marthalera, słuchali muzyki albo czytali na głos fragmenty swoich ulubionych książek.
Raz powiedziała, że ma wrażenie, jakby znała
288
go już od bardzo dawna, a mimo to czasem wydaje jej się całkiem obcy.
On czuł podobnie.
Coraz bardziej pragnął, żeby znów się do niego wprowadziła.
Ale za każdym razem, gdy poruszał ten temat, śmiała się.
Argument, że na dłuższą metę mieszkanie w pensjonacie jest zbyt kosztowne, nie robił na niej wrażenia.
Właścicielka dała jej zniżkę.
Lubi z nim być, ale lubi też być sama, mówiła.
Wstał, wymacał kurtkę.
Gdy znalazł komórkę, akurat przestała dzwonić.
Przeszedł do małej łazienki, włączył światło.
Wziął zegarek leżący na półce nad umywalką i założył na rękę.
Było dopiero po czwartej.
Umył zęby, ubrał się.
Zanim wyszedł z pokoju, pochylił się nad Terezą i pocałował ją w głowę.
Jechał na rowerze przez ciemne, jeszcze niemal bezludne miasto.
Dotarł do Grosser Hasenpfad, poszedł do siebie, włożył dres.
Potem popedałował pod wieżę Goethego.
Od jakiegoś czasu trzy, cztery razy w tygodniu biegał w Lesie Miejskim - czasem po pracy, najchętniej jednak wcześniej rano, gdy powietrze było jeszcze rześkie, a oprócz niego nie było prawie nikogo.
Od końca roku schudł cztery kilo i postanowił, że do swoich urodzin w lipcu zrzuci jeszcze pięć.
Właśnie zapinał rower i chciał pobiec, gdy telefon znów zadzwonił.

- Obawiam się, że pana obudziłem - powiedział mężczyźnos.

-Nie - odparł Marthaler.

- Telefon obudził mnie godzinę temu, ale teraz nie.

Kto mówi?

- Powiedział pan, że mam zadzwonić bez względu na porę.

Zorientował się, że to ojciec Stefanie Wolfram.

Natychmiast sięspiał.

289.

- Jeszcze ciągle nie przyjechała, ale skontaktowała się z nami.
-Gdzie jest?
Mogę z nią rozmawiać?
- Zadzwoń z Paryża, z dworca.
Połączenie było kiepskie.
Nie wszystko zrozumiałem.
Odwiedzała tam jeszcze koleżankę.
Chyba nie ma już pieniędzy.
Chciała wziąć pierwszy pociąg do Frankfurtu.
Ale nie wiem, kiedy przyjedzie.
- Mówiła, z jakiego dworca odjeżdża?
-Tak, ze Wschodniego.
- Powiedział jej pan, co się stało, że zamordowano jej przyjaciółkę?
-Nie, przecież pan.
- Dobrze - przerwał mu Marthaler.
- I nikt nie może się dowiedzieć, że przyjeżdża do Frankfurtu.
Słyszysz pan?
Sprawdzą pociągi z Paryża.
I wyjdę z pańską córką.
- My też tam będziemy.
Chcemy zobaczyć ją jak najszybciej.
- Nie.
Proszę zostać w domu.
Porozmawiam z córką odezwe się.
Niedługo ją państwo zobaczą.
Zorganizuję spotkanie.
Ale proszę o trochę cierpliwości.
Najpierw musimy zadbać o jej bezpieczeństwo.
Heinrich Wolframnie daj się zbyć.
- A jak zamierza ją rozpoznać?
Chce pan ją wezwać przez głośniki?
To chyba jest dobry pomysł.
Zrozumiał, że ten człowiek ma rację.
Prawdopodobnie niebezpiecznie będzie, gdy rodzice przywitają Stefanie na dworcu.
- Dobrze więc.
Niech będzie tak, jak pan proponuje.
Zadzwoń, gdy tylko dojadę do biura.
Policzył.
Nawet gdyby Stefanie Wolfram wybrała najszybsze i najdroższe połączenie z Paryża do Frankfurtu,
290
przyjedzie najwcześniej późnym przedpołudniem.
Miał więc wystarczająco dużo czasu na przebieżkę po lesie wszystkie przygotowania.
Ruszył powoli.
Chciał się najpierw rozgrzać, zanim zwiększy tempo.
Nauczył się już rozkładać siły.
Był jeszcze ciemno, więc wybrał drogę, którą znał.
Obok wiatdo grillowania przy Scheerwald, okręzną drogą w prawo, potem w lewo, wzdłuż płotu cmentarza.

PrzyosiedluTeller wybiegł z lasu, w który skręcił z powrotem tuż przed wiaduktem nad autostradą.

Minał staw Maunzen i niecałdzieść minut później miejsce, gdzie kilka lat temu znaleźli zwłoki bestialsko zadźganego młodego mężczyzny.

Pod wieżą Goethego był po niespełna godzinie.

Tuteż dopadły go wspomnienia tej dawnej sprawy.

Przyjaciela morderowanego skoczył wówczas przed kamerami z platformy widokowej wieży obleganej przez policję.

Marthaler długo unikał Lasu Miejskiego.

W końcu się zmusił.

Nie chciał, żeby praca obrzydzała mu jedno frankfurckie miejsce po drugim.

Wprawdzie wrzadko którymmieście dochodził do tyłu aktów przemocy, ale to byłoH jego miasto i nie da go sobie odebrać.

Po biegu czuł się dobrze.

Trochę zmęczony, ale dobrze.

Był spocony, więc szybko pojechał do domu.

Musiał jeszcze wziąć prysznic i zjeść śniadanie.

Ale i tak zacznie dzień wystarczająco wcześnie.

Gdy usiadł przy swoim biurku, znalazł wiadomość, że poprzedniego dnia w Namibii aresztowano fotografa Helmuta Drewitza.

Trzy miesiące, które upłynęły od jego ucieczki, spędził pod fałszywym nazwiskiem w hotelu w Windhuk.

Rozpoznał go niemiecki urlopowicz.

Podczas pierwszego przesłuchania przez namibijską policję Drewitz zapewniał, że nie ma nic wspólnego z morderstwem

291.

Gabriele Hasler.

Tak, pomyślał Marthaler, teraz też to wiemy, niestety za późno.

Włączył komputer i otworzył stronę z rozkładem jazdy kolei niemieckich.

Pierwszy pociąg Dworca Wschodniego Paryżu przyjedzie do Frankfurtu o 13.

08. Zadzwoił dokomendy i zamówił na południe dwa radiowozy.

Najpóźniej tuż po wpółdopierwszej odpowiednio duża grupapolicjantów będzie czekała na peronie na Stefanie Wolfram.

Potem zatelefonował do Heinricha Wolframa i poprosił, żeby razem z żoną przyjechała na dworzec o tej samej porze.

Zszedł do piwnicy Białego Domu, do Sabata i jego dwóch współpracowników.

Wyszedłmu naprzeciw Anton Pawłowicz, z uniesionym ogonem otarł się jego nogę.

Marthaler pociągnął nosem.

Zwykle czuć tu było chemikaliami, tym razem w nozdrza uderzył go zapach kawy i świeżego pieczywa.

Zastukał do drzwi laboratorium, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Gdy także za drugim razem niksię nie odezwał, nacisnął klamkę i wszedł.

W tej samej chwili Sabato poderwał się jak oparzony z obrotowego fotela i huknął na niego.

- Zwariowałeś?

Chcesz mnie wykończyć?

Jak możesz mnie tak straszyć?

Dopiero teraz zauważył słuchawki na jego uszach.

W prawej ręce Sabato trzymał kubek zgorącą kawą, której połowę niestety rozlał.

- A czego tam słuchasz, jeśli wolno spytać?

Najwyraźniej doszedł już do siebie, bo uśmiechnął się.

- Tego, co zawsze.

Pieśni bojowych hiszpańskiego ruchu robotniczego, czegoż by innego?

Marthaler spojrział na niego skonsternowany.

- Nie mówisz serio, nie słuchasz muzyki propagandowej już do śniadania?

292

- Doskonałe.

- Sabato wybuchnął gromkim śmiechem.

- Prawdopodobnie przyjaźnię się z tobą również dlatego, że zawsze dajesz się nabrać.

Nie ma tak głupiego powiedzenia, którego nie wzięłbyś na poważnie.

Myślę, że jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam, który jeszcze nigdy nie zorientował się, że żartuję.

Marthaler skinął głową.

Ale pomyślał, że to, co Sabato właśnie powiedział, w żadnym razie nie było komplementem.

- Nie, nie słucham hiszpańskich pieśni bojowych, tylko niemieckich wierszy o przyrodzie.

Zbiór do baroku dodziś.

Marthaler, który nie chciał znów wyjść na głupka, postanowił nie wierzyć.

- Słuchaj sobie do śniadania, czego chcesz, ale ja muszę z tobą pomówić o śledztwie.

Sabato włożył do ust ostatni kęs maślanego rogalika, dopił mleczną kawę i gestem poprosił Marthalera, by usiadł.

- Jeśli chcesz mnie zapytać o analizę śladów - powiedział, zanim skończył przeżuwać - to muszę cię rozczarować.

- Nie, nie o to chodzi.

Szczerze mówiąc, myślę, że sprawca także i tym razem był wystarczająco przebiegły i nie zostawił niczego, co moglibyśmy wykorzystać.

Potrzebujemy pomocy psychologa.

I nie chcę żadnego z naszych ludzi, żadnego, który od razu podejrze dotęj sprawy od strony kryminalistycznej.

Chcę fachowca, którym powie, co dzieje się w głowie takiego człowieka.

Ciarki mnie przechodzą na myśl o tym, czego się dowiem, ale uważam, że to konieczne.

- A jak ja mogę ci pomóc?

- Sabato spojrzę na niego zdziwiony.

- Jestem chemikiem i biologiem, na zakamarkach ludzkiej duszy rozumiem się równie dobrze jak ty.

Nie, stop, może trochę lepiej.

293.

Marthaler zignorował ostatnią uwagę.

- Wiem, że wtedy, jak przyszła do was Manon, miała kontakt z kilkoma terapeutami.

Może jeden z nich kogoś proponuje.

Chcę najlepszego!

- Rozumiem.

Daj mi pół godziny.

Porozmawiam z Eleną.

Znajdziemy dla ciebie odpowiedniego człowieka.

Gdy Marthaler wszedł do sekretariatu, Elvira podniosła głowę.

- Nie zdziw się - powiedziała.

- Masz gościa.

Otworzył drzwi i rozejrzył się.

Na krzesłach przy biurku siedzieli Petersen i Toller.

Potem zauważył dziewczynkę, stała przy oknie z tornistrem u stóp i w skupieniu wyglądała na zewnątrz.

Cała trójka milczała.

- Co jest?

- zapytał Marthaler.

- To ona - powiedział Petersen.

- Do niej należy pieso imienia Flocky.

To ona donas dzwoniła.

Pojechaliśmy do tej budki w Niederrad.

Tak, jak przypuszczaliśmy.

Tuż obok jest kiosk.

Zapytaliśmy właściciela.

Od razu wiedział, o kogo chodzi.

Ma na imię Mara.

Gdy telefonowała, była z kolegą.

Właśnie wychodziła doszkoły.

Nie chcemy mówić.

Marthaler pokręcił głową, potem poprosił kolegów, by wyszli z sekretariatu.

- Oszaleliście?

- odezwał się stłumionym głosem.

- Nie wolno tak po prostu zgarniać z ulicy nieletnich i ich przesłuchiwać.

Jak dowiedzą się o tym jej rodzice, to jesteśmy w dupie.

Macie tego świadomość?

- Tak - skinął głową Petersen.

- Mamy.

Ale nie chcieliśmy ryzykować.

Nie możemy czekać na jej zeznania, aż uporamy się ze wszystkimi obwarowaniami prawnymi.

I musimy też odnaleźć tego Tobiego, chłopaka, o którym wspomniał właściciel kiosku.

Tylko ona może nam powiedzieć, gdzie jest.

294

- Dobrze.

Mleko się rozlało.

Spróbuję z nią pomówić.

Sam!

Wrócił do biurka i zamknął drzwi.

- Cześć, Mara.

Jestem Robert Marthaler.

Musimy koniecznie porozmawiać.

Wydawało się, że dziewczynka w ogóle go nie zauważa.

- Wiemy, że przeżyłaś coś strasznego.

O tym musimy porozmawiać.

Nie chcemy, żeby wydarzyło się jeszcze więcej strasznych rzeczy, słyszysz?

Dlatego musisz nam powiedzieć, co wiesz.

Mara nadal wyglądała przez okno, nie reagowała.

- Mara, jesteśmy sami.

Nie mogę obiecać, że wszystko, co powiesz, zostanie między nami.

Ale mogę cię zapewnić, że nic ci się nie stanie.

Nie musisz się bać niczego ani nikogo.

Zadzwoń na donas i dobrze zrobiłaś.

Mara odwróciła się powoli.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie.

To był błąd.

- Dlaczego tak sądzisz?

Dlaczego myślisz, że to był błąd?

- Bo nikt, kto widział przestępcę, nie jest bezpieczny.

Każdy to wie.

- Tak.

Ale jest się dużo bardziej bezpiecznym, gdy nie jest się jedynym, który coś wie.

Jeśli mi opowiesz, to będziesz już dwoje.

Mara skinęła głową, ale milczała.

- Mówiłaś o mężczyźnie.

Powiedziałaś, że uciekł.

Kogomiałaś namyśli?

Sądźmy, że to on zabił kobietę, którą znalazłaś.

- Nie widziałam żadnego mężczyzny.

- Mara, proszę, nie możesz mnie okłamywać.

- Nie widziałam żadnego mężczyzny.

- To kto go widział?

Nie byłaś sama, prawda?

Byłaś nawiądmach z tym chłopakiem?

Z tym, który był z tobą, jak

295.

do nas dzwoniłaś?

Ma naimię Tobi, zgadza się?

Kioskarz nam powiedział.

Mara długo się wahała.

Marthaler widział, że się ze sobą mociuje, że jego pytania postawiły ją w trudnej sytuacji.

- Nie mogę nic powiedzieć.

On nawet nie chciał, żebyśmy zadzwoniła.

Obiecałam, że nic nikomu nie powiem.

- Jeśli go lubisz, jeśli Tobi jest twoim przyjacielem, to będzie lepiej, jak złamiesz obietnicę.

Lepiej dla niego.

Jeśli jest tak, jak przypuszczam, jeśli to on widział tego mężczyznę, to jest w wielkim niebezpieczeństwie.

- Nie jest.

Bo nikt o nim nie wie.

- Ale zrozum: niksię nie dowie.

Muszę pomóc znaleźć mordercę.

Być może Tobi jest jedyną osobą, którą widział.

I jeśli on nam pomoże, my pomożemy jemu.

Wyczuł, że jej opór słabnie.

Nie była w stanie sprostać sytuacji ani odeprzeć jego argumentów.

Zobaczył, że ma w oczach łzy.

Była półżywą ze strachu.

Zastanawiał się, jak długo wolno mu ją jeszcze dręczyć.

- Porozmawiam z nim - powiedziała.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, że my też musimy nim porozmawiać.

I że go znajdziemy.

Byłoby więc lepiej, gdybyś powiedziała mi, jak się nazywa i gdzie mieszka.

- Nie!

Nie mógł teraz popełnić błędu.

Jeśli będzie za bardzo naciskał, być może znów się zamknie.

Postanowił przyjąć jej ofertę.

- Dobrze.

Porozmawiaj z nim.

Tak szybko jak się da.

Uświadom mu, jakim ważnym jest dla nas świadkiem.

Być może najważniejszym.

Jesteśmy zdani na jego pomoc.

I powiedz mu, że on też jest zdany na nas.

Jeśli ktoś może go ochronić, to tylko my.

Skinęła głową.

Potem odwróciła się.

Nie chciała, by Marthaler widział, że płacze.

296

- Powiedz mu, że może zapobiec dalszym zabójstwom.

Nie możemy dopuścić, by zginęła kolejna kobieta.

To zależy także od niego.

Mara łkała.

Ale skinęła ponownie głową.

- Niech nikt mnie nie śledzi - powiedziała.
- Żadnemu policjantowi nie wolno za mną jechać.
- Proszę.
- Marthaler podał jej swoją wizytówkę.
- Masz moje słowo.
Nikt nie będzie cię śledził.
Poczekam, aż twój przyjaciel sam się zgłosi.
Ale niech niezwleka.

Pociąg wjechał na dworzec główny z kilkuminutowym opóźnieniem.
Marthaler i jegoludzie trzymali się cieniu.
Było mało prawdopodobne, że ktoś dowiedział się o przyjeździe Stefanie Wolfram, mimo to musieli być czujni.
Teraz musimy ochraniać dwoje świadków, pomyślał.
Tę kobietę ichłopca, którego nazwiska wciąż jeszcze nie znamy.
Dwoje świadków, którzy nawet niezłożyli zeznań.
Stefanie Wolfram była opalona.
Miała długie, ciemnoblonde włosy.
Marthaler spodziewał się, że jest niższa, uznał, że wygląda młodziej niż na zdjęciach, które pokazali mu jej rodzice.
Urlop od życia chyba dobrze jej zrobił.
Nie miała żadnego bagażu, poza dużym plecakiem.
Sprawiała wrażenie trochę zakłopotanej, gdy pokolei obejmowała ojca i matkę.
Śmiała się, ale w wyrazie jej twarzy była jakaś niepewność, jakby zauważyła, że rodzice niesą tak beztroscy, jak powinni być, witając córkę po długiej nieobecności.
Rozmawiali przez chwilę, potem Heinrich Wolfram odwrócił się do Marthalera i skinął głową.
Stefanie podążyła za jego wzrokiem, spojrzała nieufnie na komisarza.
Z wahaniem ujęła wyciągniętą dłoń, gdy się przywitani przedstawili.
- Nie musi się pani niczego obawiać - powiedział.
298
W tej samej chwili zorientował się, jakie głupie jest to zdanie, jakie nieprawdziwe i jak mało wiarygodne.
Miała się czego obawiać.
Z jakiego innego powodu by się tuzjawił?
- Muszę prosić, by pani ze mną poszła.
Nie może pani wrócić do domu w Darmstadt.
W każdym razie chwilowo.
Coś się tam wydarzyło.
Zawieziemy panią w bezpieczne miejsce.
Patrzyła bezradnie to na rodziców, to na niego.
A on czuł się jak idiota.
Zdania, które właśnie wypowiedział, były wyrazem jego bezsilności.
Nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć kobiecie, która wraca do domu z długiej podróży, że jej przyjaciółka została zamordowana i że - z dużym prawdopodobieństwem podczas próby zabicia jej samej - zastrzelono jej lokatorkę.
Jego słowa musiały się jej wydać niedorzeczne, więc niezdziwił się, gdy wybuchła śmiechem.
- Przepraszam - wykrztusiła w końcu.
- Przepraszam, ale chyba zadługo mnie nie było.
Kompletnie nie rozumiem, co się tu dzieje.
Żartujecie sobie ze mnie?
Możesz koniecznie mi wyjaśnić prostymi słowami, co się stało?
Nie miał wyboru.
- Gabriele Haslerner żyje.
Została uduszona, a przedtem ją torturowano.
Lokatorka pani domu także padła ofiarą zabójstwa.
Wszystko inne opowiem pani w hotelu, gdzie zarezerwowaliśmy dla pani pokój.

Przepchali się przez tłum podróżnych, opuścili budynek dworca południowym wyjściem.
Nikt, poza Marthalerem, nie zauważył dyskretnie osłaniających ich policjantów w cywilu.
Wolframowie zostawili samochód na dużym parkingu przy Mannheimer Strasse.
W bagażniku znajdowała się torba podróżna z czystą bielizną.
Zamienili torbę na plecak.
Obydwoje płakali, żegnając się.
299.

Marthaler zajął miejsce obok młodej kobiety.

Za kierownicą siedział Kai Dóring, obok niego Kerstin Henschel.

Właściwie miał prowadzić Toller, ale poszedł do lekarza.

Ubiegłej nocy bolał go brzuch.

Marthaler sądził, że to wymówka.

Znow odniósł wrażenie, że między Kerstiną Tollerem doszło do jakiegoś nieporozumienia, postanowił zapytać ją o to w dogodnym momencie.

Jechali aleją Kennedyego w stronę Neu-Isenburg.

W hotelu Hermes zarezerwowali pokój na fikcyjne nazwisko.

Kobieta milczała całą drogę.

Odkąd powiedział jej, co się stało, gapiła się przed siebie z kamienną twarzą.

Nie uroniła łzy, nie zadała żadnego pytania.

Pół godziny później, gdy wzięła prysznic i przebrała się w swoim pokoju, usiedli we czwórkę w małej sali konferencyjnej obok bocznego wejścia na parterze.

Poprosili o kawę i kanapki, i żeby nikt imnie przeszkadzał.

Zaczęła Kerstin.

Streściła przebieg wydarzeń zakończyła, że do dziś nic nie wiedzą o Gabriele Hasler.

Nic, co posunęło by dochodzenie naprzód.

- Była pani naszą jedyną nadzieją.

Ale nie można było do pani dotrzeć.

A fakt, że ktoś próbował panią zabić, wzmocnił nasze przypuszczenia, że coś pani wie.

Coś, czego nie powinniśmy się dowiedzieć, a koniecznie musimy.

Zastanawiam się, czy moje wrażenie, że nie jest pani zdziwiona tym, co właśnie opowiedziałam, jest słuszne.

Ani raz nie wydała się pani zaskoczona.

Stefanie Wolfram skinęła głową.

Miała na nosie ciemne okulary, nie było widać jej oczu.

- Ma pan irrację.

Nie jestem zdziwiona.

To się musiało tak skończyć.

Odkąd poznałam Gabi, obawiałam się, że któregoś dnia coś jej się stanie.

Jeśli coś mnie dziwi, to fakt, że tak długo szło dobrze.

Policjanci popatrzyli po sobie.

300

- Co to znaczy?

- zapytał Marthaler.

- Czego się pani obawiała?

Co miało jej się stać?

- Coś strasznego.

Coś w rodzaju tego, co stało się teraz.

Zbyt niebezpiecznie żyła.

- Co?

- zdziwił się Kai Dóring.

- Dentystka, która mieszka samotnie w domu na skraju miasta, prawie z nikim się nie spotyka, jest zaręczona z poczciwym technikiem sanitarnym, którego widuje co kilka tygodni?

Cow takim życiu niebezpiecznego?

Proszę nam to wytłumaczyć.

- Chyba rzeczywiście niewiele o niej wiecie.

Miała znajomości.

Nawet bardzo dużo.

O wiele więcej, niż powinna.

Mimo to była bardzo samotna.

Dawno już odsunęła się od wszystkich starych koleżanek.

Poza mną, o ile wiem, nie kontaktowała się z nikim.

My zresztą też rzadko się widywałyśmy.

Właściwie przychodziła tylko co kilka miesięcy, żeby przynieść czynsz.

Spędzałyśmy kilka kłopotliwych chwil, potem szła.

- Czynsz?

- zapytał Marthaler.

- A za co płaciła paniczynsz?

- Wciąż jeszcze korzystała z tego mojego studenckiego mieszkania.

Upierałam się, żeby przynosiła mi pieniądze osobiście, żebyśmy się w ogóle od czasu do czasu widywały.

- Ale co robiła z tym mieszkaniem, do cholery?

Odziedziczyła po rodzicach duży dom, który ledwie była w stanie utrzymać.

Stefanie Wolfram potrząsnęła głową.

- Naprawdę nie wiecie?

Gabriele Hasler przyjmowała tam mężczyzn.

Tak jak robiła to już podczas studiów.

Sprzedawała się.

Odkąd ją znałam, byłam tarapatą finansowych.

Nigdy nie dowiedziałam się, co robiła z pieniędzmi.

Przypuszczam, że grała, ale nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością.

Dawała ogłoszenia i chodziła z mężczyznami

301.

do łóżka za pieniądze.

Długo próbowała to przede mną ukrywać.

Jakiś czas zaprzeczała.

Ale tak było.

Marthaler z trudem otrząsnął się ze zdumienia.

Alegdybysię zastanović, wiele wskazywało na to, że tak właśnie było.

Bielizna, którą znalazł w szafie.

Kondomyw nocnym stoliku.

Zeznaniem narzeczonego, że jej rodzice zerwali z nią kontakt z powodu trybu życia.

Gadanie sąsiadów.

Ale to zignorował, bo nie pasowało mu do obrazu, jaki sobie stworzył.

Myśli kłębiły mu się pod czaszką.

Przez wiele miesięcy prowadzili to dochodzenie po omacku, kręcili się w kółko i nagle w ciągu dwudziestu czterech godzin wszystko ruszyło.

Poprosił Stefanie o adres mieszkania, w którym Hasler świadczyła swoje usługi.

Znajdowało się w apartamentowcu w Bockenheim.

Wyszedł z sali, w ciemnym korytarzu wystukał numer Waltera Schillinga.

Poprosił, żeby jak najszybciej załatwił nakaz rewizji i od razu wysłał tam swoich ludzi.

- Pamięta pani mężczyzn, których przyjmowała?

Chociaż niektórych?

Był ktoś, kogo można by posądzić o coś takiego?

Opowiadała o jakimś brutalnym kliencie?

O jakimś, z którym się kłóciła?

Wymieniała jakieś nazwiska?

Stefanie Wolfram wreszcie zdjęła okulary.

Miała zmęczone oczy, a jej opalenizna jakby przybladła.

Zastanawiała się długo, potem odgarnęła pasemko włosów i pokręciła głową.

- Od czasu do czasu widywałam różnych facetów wychodzących z jej pokoju.

Alenajczęściej próbowała tak układać wizyty, żeby nie było mnie w domu.

Przemawiałam do jej sumienia.

Próbowałam uświadomić, jak niebezpieczne jest to, co robi.

Ciągle się kłóciłyśmy.

W końcu zagroziłam, że ją wyrzucę, jak będzie dalej sprowadzała klientów.

302

- I? - zapytała Kerstin Henschel.

- Coś to pomogło?

- Nie.

Nie wiem, czy potraktowała to serio.

Czasami dzwoniли do niej.

Wtedy wychodziła.

Nie mam pojęcia dokąd.

Może dotych facetów do domu, może do hoteli.

Alenie, nikogo sobie nie przypominam.

- Niech pani spróbuje - poprosił Marthaler.

- Musi pani.

Ktoś włamał się do pani domu, żeby panią zabić.

Ktoś, kto nie chciał, żeby pani z nami porozmawiała.

Musiał mieć powód.

Jedynym niusem, jaki się nasuwa, jest taki, że zna pani mordercę.

Albo on się tego boi.

Na krótką chwilę Stefanie zmarszczyła czoło, jakby przebiegła jej przez głowę myśl, którą od razu porzuciła.

Marthalerowi to nie umknęło.

Patrzył na nią badawczo i czekał.

Ale ona potrząsnęła głową.

- Nie, przykro mi.

Nie przychodzi mi do głowy żadne nazwisko ani twarz.

To było dość dawno temu.

Wciąż się kłóciłyśmy.

W pewnym momencie przestałam w ogóle poruszać ten temat.

- Ale pani rodzice powiedzieli nam o kłótni, której byli mimowolnymi świadkami.

Kłótni Gabi z jakimś mężczyzną.

- Tak, moi rodzice natychmiast nabrali właściwych podejrzeń - zaśmiała się.

- I byli zaszokowani.

Najchętniej zabroniliby mi się z nią zadawać.

Takie sytuacje na początku były częste.

Kłóciła się z klientami o pieniądze albo o zakres usług.

Kiedy później pytałam ją, o co chodzi, uspokajałam mnie.

"Nic".

"Nie przejmuj się prosto".

Nie chciała o tym mówić.

W ogóle mało mówiła.

Była tylko coraz bardziej samotna i nieszczęśliwa.

I coraz bardziej milcząca.

- Może nam pani powiedzieć, jak często przyjmowała klientów?

- Włączył się Kai.

- Raz dziennie?

Rzadziej,

303.

częściej?

Chciałbym sobie wyobrazić, jak bardzo absorbowano ją to zajęcie.

- To zależy.

O ile sobie przypominam, umawiała się, kiedy potrzebowała pieniędzy.

Czasem załatwiała trzechklientów dziennie, czasem robiła tygodniowe przerwy.

Najczęściej pracowała chyba w czasie przerwy semestralnej.

Naprawdę tak to nazywała: moja praca.

- A co z studentami?

- zapytał Marthaler.

- Miała jakiegoś adoratora, którego chciała się pozbyć, a który okazał się szczególnie uparty?

Miała chłopaka?

Znow zauważył, że jej twarz się zmieniła, i znow wydało mu się, że nie chce mówić o tym, co właśnie przyszło jej do głowy.

- Zaraz na początku studiów był taki jeden, zadurzył się.

Michael, miły, nieszkodliwy chłopiec.

Dała się kilkakrotnie zaprosić na kolację, więcej chyba nie chciała.

Nie sądzię, by kiedykolwiek była na serio zakochana.

W każdym razie w czasie naszej znajomości.

Michael jakiś czas za nią łąził, potem dał za wygraną.

Kontaktował się ze mną.

Ożenił się z małą, sympatyczną Amerykanką, wyjechał do Stanów, ma czworo dzieci.

Co roku przysyła mi święta list z najnowszym zdjęciem rodziny.

- Jest coś jeszcze - powiedział Marthaler.

- To znaczy?

- Coś, co już dwa razy przemknęło pani przez myśl, ale nie chce pani o tym mówić.

Powoli pokiwała głową.

- Tak.

Ma pan rację.

Pomyślałam o czymś, ale to raczej nonsens.

- Muszę prosić, by jednak to pani powiedziała.

Dopóki jesteście myskazani na spekulacje, każda informacja może być ważna.

Nawet jeśli później okaże się nonsens

sowna.

304

- Był ktoś, kogo spotkałam w naszym mieszkaniu dwa razy.

Ktoś, kogo znałam i kto najwyraźniej czuł się tym spotkaniem zażenowany.

Nie tylko on zresztą, Gabi też.

- O kogo chodzi?

- To był jeden z naszych profesorów.

Za każdym razem udawałyśmy nawzajem przedsobą, że chodzi o wizytę związaną ze studiami.

Taka była oficjalna wymówka.

- Ten profesor to Wagenknecht, prawda?

- zapytał Marthaler.

- Tak.

Ale skąd pan to wie?

- spojrzęła na niego zdumiona.

Najchętniej z satysfakcją uderzyłby dłonią w stół.

Ale zatrzymał się w pół ruchu.

Więc Wagenknecht faktycznie go okłamał.

Dobrze pamiętał słowa profesora, gdy zapytał o jego stosunek do Gabriele Hasler.
Znałem ją, jak profesor zna studentkę, powiedział.

- Byłem w Carolinum.

Chciałem się czegoś dowiedzieć o Gabriele Hasler.

Podano mi jego nazwisko.

Rozmawiałem z nim.

To on powiedział, że mieszka pani w Darmstadt.

Wychwalał panią pod niebiosa.

Chciałby mieć panią za współpracowniczkę.

- Wiem.

Ale go nie lubię.

- Rozumiem.

Niech pani opowie o jego stosunku do Gabriele Hasler.

- Nie ma nic do opowiadania.

Jestem pewna, że z sobą sypiali.

Nie wiem, czy je płacił, ale zakładam, że tak.

W przeciwnym razie Gabi pewnie by się z nim niezwiązała.

- Jak długo to trwało?

- Nie mam pojęcia.

Spotkałam go u nas w domu dwa razy w odstępie mniej więcej pół roku.

Później profesor próbował uwieść mnie.

- I?

305.

- Nie ma i.

Nie jest w moim typie.

Sprawia wrażenie przenikniętego.

W każdym razie uwielbia roztaczać wokół siebie taką aurę.

Jest typem cynicznego przyrodnika.

To zresztą dość rozpowszechniony typ, ale wciąż jeszcze go nie lubię.

- Może pani powiedzieć o nim coś więcej?

- Żonaty od trzydziestu lat.

Dwoje dorosłych dzieci.

Mieszka w dzielnicy Holzhausen w przepięknej willi, kilkakrotnie byliśmy tam z Gabi na jakichś przyjęciach w ogrodzie.

Marthaler uświadomił sobie, że popełnił błąd.

Wprawdzie zadzwonił do sekretariatu Wagenknechta i dowiedział się, że gdy popełniono morderstwo w Darmstadt profesor nauczał, ale nie zapytał o alibi na noc zabójstwa Gabriele Hasler.

Marthaler przystanął na chodniku i zamknął oczy.

Ta dzielnica była o wiele spokojniejsza.

Może szczęście tutaj mieszka, pomyślał, ale nieszczęście też chyba za domowiło się gdzie indziej.

Nie było tabliczki z nazwiskiem.

Tylko dwa proste inicjały z brązu, zamocowane na murowanym słupku ogrodzenia.

Skalny ogródek, wąska wybrukowana dróżka do domu, otynkowane na biało wykusze, nawet drzwi z ciemnego, prawie czarnego drewna - wszystko było proste i piękne.

Mieszkańcy tego domu mieli wystarczająco dużo czasu, by wyrobić sobie dobry gust.

I wystarczająco dużo pieniędzy, by urządzić dom zgodnie z tym gustem.

Kujego zdziwieniu bramka była otwarta.

Przeszedł wijącą się dróżką, wspiął się po kilku stopniach i nacisnął dzwonek.

Odczekał i zadzwonił ponownie.

- Tak, słucham?

Głos rozległ się za jego plecami.

Odwrócił się.

Zza rogudomu wyszła wysoka kobieta, ocenił ją na pięćdziesiątkę.

Miała na sobie moherowy sweter i dżinsy.

Podszedł do niej.

Natychmiast poczuł się nieswojo.

Zauważył, jak mierzy go wzrokiem, a początkowa uprzejmość jej twarzy zmienia się w brak zainteresowania.

- Pani Wagenknecht, zakładam?

Chciałbym porozmawiać z pani mężem.

307.

Uniosła brwi.

Czekała, aż się przedstawi.

- Przepraszam.

Nazywam się Robert Marthaler.

Jestem z policji.

Uśmiechnęła się, ale dalej milczała.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa.

Musiała pani o tym słyszeć.

Chodzi o dentystkę Gabriele Hasler.

Była studentką pani męża.

Chciałbym z nim porozmawiać.

Uśmiech się utrzymał, ale był jakiś pusty.

- Och, muszę pana rozczarować.

Mąż wyjechał.

Czytomożliwe, że mi o panu opowiadał?

- Kiedy wyjechał?

- Wczoraj wieczorem.

Ma cykl wykładów w Stanach.

- W takim razie muszę porozmawiać z panią.

Nagle zaczęła chichotać.

- Co w tym takiego śmiesznego?

Wyraz jej twarzy znów się zmienił.

Teraz rozlało się na niej zdenerwowanie.

Coś z tą kobietą nie jest w porządku, pomyślał, albo ze mną.

Nierozumiem, o co chodzi.

Jest niespokojna, ale nie z mojego powodu.

Jest znerwicowana, ale nie chce tego pokazać.

Chciałaby sprawiać wrażenie wyniosłej, ale wszystko w niej pokazuje, że jest niezadowolona i rozdrażniona.

- Proszę - ruchem ręki pokazała, by za nią poszedł.

Za domem rozciągał się ogród z dużym trawnikiem ograniczonym po prawej i lewej stronie starymi drzewami liściastymi.

Wprowadziła Marthalera przez otwarte drzwi do salonu.

- Właśnie nalałam sobie odrobinę prosecco - powiedziała i znów zachichotała.

- Ma pan ochotę?

Odmówił.

Kobieta opadła na skórzany fotel i natychmiast sięgnęła po kieliszek.

Nieproszony zajął miejsce w drugim.

308

- Chciałbym wiedzieć, gdzie pani mąż był wczoraj popołudniu.

Nie odpowiedziała.

Czekał, ale jego cierpliwość była niewyczerpana.

- Nie wiem, co się z panią dzieje - powiedział najspokojniej jak umiał.

- Może jest pani pijana.

Może jest niezdolna.

Nie obchodzi mnie to.

Ale muszę prosić, by odpowiadała pani na moje pytania.

- Szkoda, że go nie ma.

Podobałoby mu się - odparł z męczonym głosem.

- Co by mu się podobało?

- Że go pan podejrzewa.

Że uznaje go pan za zdolnego do popełnienia tych dwu morderstw.

Przecież do tego pan zmierza.

Rozbawiłoby go to, poczułby się mile połączony.

I dopuszczam myśl, że by się przyznał.

- Ale nie dopuszcza pani, że rzeczywiście mógł to zrobić?

Spojrzała na niego z tym swoim martwym uśmiechem.

- Mój mąż to mięczak.

Jest apodyktyczny, podły, dręczy wszystkich, którzy mają z nim do czynienia.

I interesuje się wyłącznie sobą.

Ale to mięczak.

I świetny lekarz, jak mówią.

- Pani mąż mnie okłamał.

Powiedział, że znał Gabriele Hasler tak jak profesor zna studentkę.

To był okłamstwo.

- Nie.

Sypiał z Gabriele Hasler, tak jak z wieloma innymi studentkami.

To jego normalny stosunek do nich.

Dlatego to zdanie było kłamliwe.

Tyle że pan je źle zrozumiał.

Raczy się swoimi studentkami.

A jak ma dość, zapomina o nich, tak po prostu.

Ale ich nie zabija.

- I to paninie przeszkadza?

Wystarczy pani utrzymywanie pozorów, że są państwem małżeństwem, choć to już od dawna nieprawda?

309.

- Ach, mój Boże, tak.

Z takim pytaniem powinnambyła się liczyć.

Ale pansię myli.

Niema żadnych pozorów.

Kiedy przychodzi do domu od jednejze swoich dziewczyn, nie zmienia się wprawdzie w dobrego człowieka, ale jestmniej apodyktyczny, mniej podły.

W każdym razie nakilka godzin.

- Mimo to chciałbym wiedzieć, gdzie był.

Znów długie milczenie.

- Niech panposłucha, panie.

Już zapomniałam, jaksię pannazywa.

Pańskie pytania śmiertelnie mnie nudzą.

To pytania funkcjonariusza o duszy funkcjonariusza.

Nie wiem, gdzie był.

Podobnie jak onnie wie, gdzieja byłam.

Marthalernie wierzył, że ta kobieta mówi to, co myśli.

Te zdania pasowały być może do jejmęża, ale niedo niej.

Jej wyniosłość była wyuczona.

Chciała dać mu do zrozumienia, że jest dla niejnie więcej jak błaznem, po któregoobecności spodziewała się jakiejś odmiany, alektóry jąznudził, więc był uciążliwy.

Ale to nie była prawda.

Była rozpaczona, a jemu zrobiło się jej żal.

Nawet jeśli byłabyoburzona współczuciem.

Mimo to pewnie miała rację.

Profesor Wagenknecht niebył mordercą.

Przez moment myślał, że być może znalazłpodejrzanego.

Będą musielisprawdzić jegoalibi, ale niebyło powodu, by wątpić w słowajego żony.

Wstał.

Pożegnał się, ale onanie zareagowała, miała zamknięte oczy.

Trzymała nóżkękieliszka między kciukiema palcem wskazującym.

Widział, że jej ręka lekko drży.

Wyszedł na ulicę.

Jeszcze raz się odwrócił i popatrzyłna dom.

Pomylił się, w tej dzielnicy mieszka nieszczęście.

310

- Przyjedź tu- powiedział Walter Schilling przeztelefon.

- Jesteśmy w Bockenheim, w mieszkaniu Gabriele Hasler.

Nie byliśmy pierwsi.

Ktoś tu jużbył przednami.

- Co to znaczy?

Ktobył?

Nie mam czasu.

Powiedz poprostu, o co chodzi.

- Nie, Robert, proszę.

Tego się nie da wytłumaczyć.

Musisz toobejrzeć.

Sześciopiętrowy blok znajdował się w starej dzielnicy uniwersyteckiej, przy placu, który całkiem niedawno został nazwany imieniem frankfurckiego filozofa Theodora W.

Adorno.

Miał kłopot ze znalezieniem miejsca do parkowania.
Był zdenerwowany.

Zapowiedź Waltera nie wróżyła nicdobrego.

Kilka razy okrążył osiedle, które na południe od Adalbertstrasse tworzyło trójkąt, szpicem skierowany w stronę haltargowych.

Wreszcie szczęście się doniego uśmiechnęło.

Ktoś przed nim zwolnił miejsce przy chodniku.

Marthaler wrzucił wsteczny i zaczął cofać, wtem zobaczył w lusterku, jak z tyłu nadjeżdża granatowy golf, w ostatniej chwili włączył hamulec i parkuje.

Wysiadł.

Zostawił daimlera z włączonym silnikiem na środku ulicy.

Podszedł do golfa i z rozmachem otworzył drzwi kierowcy.

W nozdrza uderzył go zapach marihuany.

Młody mężczyzna miał na sobie granatowy garnitur i białą koszulę.

Wyglądał jak przebrany.

Był mniej więcej połowę młodszy od niego.

- Zwolnij to miejsce.

Natychmiast!

Chłopak wyszczerzył zęby.

- Hej, co robisz.

Zabieraj łapy z mojego samochodu!

Marthaler spróbował jeszcze raz spokojnie.

- Wyjeżdżaj.

Byłem pierwszy.

311.

- Nie moja wina, że sobie nie radzisz, stary.

Wynajęłoście miejsce czy jak?

Komisarz złapał chłopakaza klapy marynarki i wyciągnął z samochodu.

Jedną ręką go trzymał, drugą wyjął z kieszeni legitymację.

Zaczął krzyczeć.

- Zjeżdżaj!

Natychmiast!

Zrozumiałeś?

Zgłosisz się naposterunek przy Schlossstrassei powiesz tamtejszym policjantom, co zrobiłeś.

I od razu, że palisz.

Jeśli ty tego nie zrobisz, zrobię to ja, mam numery twojego samochodu.

A to się źle dla ciebie skończy, chłopczyku.

Bardzo źle.

Chłopak pobladł.

Atak szału Marthaler'a zaskoczył go do tego stopnia, że w milczeniu skinął głową, wszedł do auta i odjechał.

Na chodniku zebrali się gapie.

Marthaler był tak wściekły, że najchętniej i ich by zwymyślał.

Daimler wciąż jeszcze stał zotwartymi drzwiami i włączonym silnikiem na środku jezdni.

Tymczasem nadjechały trzy kolejne samochody, kierowcy zaczęli trąbić.

Podniósł ręce, wszedł za kierownicę i zaparkował.

Resztę drogi pokonał pieszo.

Przed blokiem stał mały bus techników, ale nikogo w nim nie było.

Daremnie szukał tabliczek z nazwiskiem Hasler.

Wtem drzwi się otworzyły.

Z bloku wyszło dwóch ludzi Schillinga.

- Skończyliście?

Spojrzeli na komisarza i pokręcili głowami.

- Idziemy tylko coś zjeść - powiedział starszy.

- Zaraz wracamy.

Walter chciał, żebyś ty to najpierw obejrzał, zanim wszystko zabezpieczymy.

Pierwsze piętro, naprawo.

Schilling czekał przed drzwiami.

Marthaler zniecierpliwiał się.

- Co jest?

To takie ważne, żeby od razu musiał przyjeżdżać?

312

Chciał precyzyjnie się obok szefa techników i wejść do mieszkania, ale Schilling go powstrzymał.

- Nie, proszę.

Chciałbym, żebyś powiedział to dokładnie tak, jak zobaczyliśmy my.

Drzwi były zamknięte na dwa razy.

Musieliśmy je wyłamać.

Zanim to zrobiliśmy, zamek był nienaruszony.

Ktokolwiek się tu przed nami zjawił, musiał mieć klucz.

I być może wciąż jeszcze ma.

- Dobrze, zrozumiałem.

Mogę już.

- Tak.

Ale myśl o tym, że niczego nie ruszaliśmy.

Oświetlenie jest dokładnie takie samo jak przed godziną.

Marthaler otworzył drzwi i wszedł do ciemnego korytarza.

W tej samej chwili cofnął się ze zgrozą.

Tuż przednim stała kobieta.

Jej twarz, oświetlona słabą smugą padającą punktowo z kinkietu na ścianie, zastygła w dziwnym grymasie, spomiędzy lekko uchylonych ust wystawała koniuszek języka.

- Prawdopodobnie już nie żyła, kiedy je zrobiono - odezwał się Schilling.

Marthaler dopiero teraz rozpoznał, że to zdjęcie.

Ukazujące twarz Gabriele Hasler, to ona się na niego gapiła.

Ktoś przyczepił je do manekina i ustawił go przed pokojem tak, by każdy, kto wejdzie, od razu je zobaczył.

- Kurwa mać!

- zaklął.

- Musiałeś mi to zrobić?

Mojenerwiny są chwilowo w najlepszym stanie.

- Przepraszam.

- Schilling był urażony.

- Ale zwykle przykładasz wielką wagę do tego, żeby jako pierwszy oglądać każde miejsc zdarzenia.

I pomyślałem, że w tym przypadku będzie to dla ciebie szczególnie ważne.

Ktokolwiek to tu zaaranżował, zrobił to by ci mógł pomóc.

Marthaler wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie.

Z trudem koncentrował się na słowach technika.

- Dobrze, chodźmy.

313.

Obszedł manekin, starając się na niego nie patrzeć.
Dwa kroki dalej coś zwróciło jego uwagę.
Wielkie wiszące lustro po prawej stronie.
Ono także było oświetlone małym spotem.
Tam, gdzie powinien był zobaczyć własne odbicie, znów widział twarz Gabriele Hasler.
Na tym zdjęciu jeszcze żyła.
Miała rozszerzone ze strachu oczy, opadnięte kąciki ust.
Jej szyję oplatał sznurek.
Sprawiała wrażenie zaszczutej.
Marthaler odwrócił się, potrząsając głową.
- Uwaga - ostrzegł Schilling.
- Patrz, gdzie stajesz.
Zdjęcia, które sprawca zrobił w domu dentystki, leżały porozrzucane po całej podłodze.
Niektóre ukazywały ją w różnych przebraniach, na innych była naga.
Wyglądała na to, że morderca dokumentował cały przebieg zbrodni i tu, w tym mieszkaniu, zaaranżował makabryczną wystawę.
- Sądziś, że to może sugerować tego fotografa?
Że Helmut Drewitz jest zabójcą?
- Nie - odparł Schilling - wręcz przeciwnie.
Każde z tych zdjęć zostało zrobione przez amatora, tanim aparatem cyfrowym.
Profesjonalista, nawet gdyby chciał, nie mógłby wybrać tak złych ujęć.
To zrobił ktoś, kto nie zna się na fotografii.
Zgrał zdjęcia na komputer i wydrukował na zwykłej kolorowej drukarce.
Marthaler rzucił okiem do pozostałych pomieszczeń.
Wszędzie wyglądało taksamo.
Rolety opuszczone.
Pokoje oświetlone małymi lampami.
- W każdym pomieszczeniu można regulować natężenie światła - powiedział Schilling.
- Kiedy przyjechalismy, było tak ciemno jak teraz.
Zdjęcia twarzy i ciała dentystki leżały nawet w łazience i w niewielkiej wnęce kuchennej.
Niektóre były małe, inne formatu papieru listowego.
314
- Już dość widziałem - uznał komisarz.
- Musimy
się nad tym zastanowić, ale nie tu.
Wyjdźmy, proszę, na
ulicę.
W klatce schodowej czekali już technicy.
Marthaler pospiesznie wyszedł z bloku.
Przeszedł przez
ulicę.
Usiadł na ławce pod drzewem.
- Co powiesz, Walter?
Ja jestem bezradny.
Cosię dzieje w człowieku, który robi takie rzeczy?
- Pytasz niewłaściwą osobę.
Ale mogę ci powiedzieć, że jest staranny.

Wprawdzie nie mieliśmy jeszcze czasu nadokładne oględziny, ale obawiam się, że i tym razem nic nie znajdziemy.

Pracuje w rękawiczkach.

A ponadto najwyraźniej wszystko wymył i odkurzył.

Odkurzaczniknął.

Pewnie go wziął.

- To znaczy, że usunął wszystkie ślady i równocześnie pozostawił nowe.

- Też to tak widzę.

Niby mam się nie dowiedzieć, kim jest, ale zdaje się, że coś nam chce komunikować.

- Wiedział o tym mieszkaniu.

Prawdopodobnie tu bywał.

Prawdopodobnie był jednym z jej klientów.

Kluczewiał tej nocy, kiedy ją udusił.

Ale dlaczego porzekał te zdjęcia?

Musiał liczyć się z tym, że prędzej czy później tu zjawimy.

- Zakładam nawet, że tego chciał.

Inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

Ale nie wiem, co to znaczy.

- Sądzisz, że bywał tu po jej śmierci?

Że stworzył tuczośną kształt muzeum, w którym wciąż napawał się tym, co zrobił?

- Możliwe.

Widziałeś te małe świeczki?

Stoją wszędzie.

Pewnie zapalał je, kiedy był w mieszkaniu.

Lampy zaświeceł tylko dla nas.

- I nie bał się, że ktoś go zobaczy?

Któryś lokatorów?

315.

- No, nie wiem.

Odkąd tu jesteście, klatką schodową przechodziło wielu ludzi i nikt nie zapytał, co robimy. Nawet kiedy wyłamywaliśmy drzwi.

- Może jest tak - zamyślił się Marthaler - jak powiedział jeden sąsiad Helmuta Drewitza w Oberrad.

Pewnie też jest dom, w którym sąsiedzi się nie kochają.

Gdzie się podziewałeś, Tobi?

Byłam u ciebie w szkole.

Potem całe popołudnie usiłowałam się dodzwonić.

Martwiłam się.

Mara siedziała na skraju łóżka z telefonem przyciśniętym do ucha.

Zamknęła drzwi do pokoju, zniżyła głos.

Ostatnio miała wrażenie, że jej młodszy brat podsłuchuje pod drzwiami.

- Jeździłem na rowerze.

Nie wziąłem telefonu.

- Byłam na policji.

Znaleźli mnie.

Jak wyszłam dziś rano z domu, stali pod kioskiem.

Wzięli mnie z sobą.

- Wiem.

- Wiesz?

- Byłem tam.

Siedziałem namurze, gdy przyjechali.

- Tobi, porozmawiaj z nimi.

Muszą znaleźć tego facetę z pistoletem.

Dopaść go, zanim on znajdzie ciebie.

Zanim znów ucoś się stanie.

Porozmawiaj z nimi.

- Nie.

Powiedziałaś coś?

Wiedzą, kim jestem?

- Nic nie powiedziałam.

Ale znali twoje imię.

Obiecałam, że z tobą pomówię.

To wszystko.

Jeden policjant dał mi swoją wizytówkę.

Wrzuciłam ją do waszej skrzynki.

Tobi podszedł do okna.

Odsunął firankę.

Gruba kobieta z bloku naprzeciwko od razu do niego pomachała.

- Tak.

Nadkomisarz Robert Marthaler.

Mam ją w ręce.

317.

- On był miły, Tobi.

Czeka na telefon.

Obiecał, że niktnie będzie mnie śledził.

- Okłamał cię, Mara.

-Co to znaczy, okłamał mnie?

Tobi wyrzwał na ulicę.

Już trzeci raz w ciągu ostatniego kwadransa pod ich domem przejechał radiowóz.

Teraz zatrzymał się po przeciwnej stronie ulicy.

Kierowca nosił mundur i okulary słoneczne.

Opuścił szybę, patrzył w jego stronę.

- Śledzili cię, Mara.

Wiedzą, gdzie mieszkam.

Na ulicy stoi radiowóz.

- To niemożliwe.

-A jednak.

- To zejdź.

Idź tam i po prostu z nimi porozmawiaj.

Tonajlepsze, co możesz zrobić.

- Nie.

Jak oni mnie znaleźli, to facet z pistoletem też mnie znajdzie.

Niewidziałaś w telewizji?

Co wyprawiał tą babką na wydmach?

Jak myślisz, co zrobi ze mną, jak mnie znajdzie?

Tobiczuł, że zaczyna wewnątrz dygotać.

Bał się.

Ale starał się, żeby jego głos brzmiał normalnie.

Nie chciał zrazić Mary swojapaniką.

- Co zrobisz?

- Muszę zwać, Mara.

Muszę zniknąć.

Od razu.

- A co z dziadkiem?

Przecież nie może zostać sam.

- Ty musisz się nim zająć.

Zostawię klucz do mieszkania w bloku naprzeciwko.

Tam mieszka jedna kobieta.

Jest dosyć gruba.

Nazywa się Hofmeister.

Odbierz od niej klucz i zagładaj do dziadka, okej?

Muszę kończyć.

Ten policjant wysiadł.

Idzie do naszego domu.

Odezwę się.

Chwilę potem rozległ się dzwonek do drzwi.

Raz idrugi.

Potem trzeci.

Tobi czekał.

Usłyszał, jak dziadek woła z sąsiedniego pokoju.

- Ktoś dzwonił- powiedział, gdy Tobi stanął przy jego łóżku.

- Tak, dziadku, nie przejmuj się.

Odłączyłem dzwonek.

Śpij dalej.

- Nie jestem zmęczony.

- Wiem, zawsze tak mówisz.

Dziadku, muszę zniknąć.

Może tylko na kilka dni.

Mara będzie się tobą opiekowała.

Słyszałeś?

Dam jej klucz.

Będzie dla ciebie dobra.

Dziadek skinął głową, ale chłopiec nie był pewien, czy go zrozumiał.

Środek przeciwbólowy, który dał mu przed godziną, był silny, dziadek pewnie znów zapadnie w półsen.

Wrócił do swojego pokoju i wyjrzał przez okno.

Radiowózzniknął.

Podszedł do szafy, wysunął dużą szufladę, i wyjął z niej plecak.

Spakował majtki i skarpetki, sweter, dwa podkoszulki, czyste dżinsy.

Dokumenty i banknot pięćdziesiąt euro włożył do skórzanej saszetki, którą powiesił na szyi.

Założył kurtkę przeciwdeszczową i schował komórkę do wewnętrznej kieszeni.

Chciał się pożegnać z dziadkiem, ale ten spał.

Cicho zamknął za sobą drzwi, zszedł do piwnicy po rower.

Wymknął się z bloku tylnym wyjściem, dwa razy go okrążyli zadzwonił do sąsiadki.

Dał jej klucz i powiedział, że przyjdzie po niego kuzynka, on musi wyjechać w pilnej sprawie.

- A co to za pilne sprawy masz, skarbie?

- Gruba kobieta uniosła brwi.

Stropił się.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Sąsiadka pogłaskała go po głowie.

- Już dobrze, jakoś sobie poradzimy.

Wsiadł na rower.

Nie miał pojęcia, dokąd jechać.

Skręcił w Mainzer Landstrasse, potem przez Griesheim do Niedi wciąż dalej na zachód.

Nie oglądał się.

Jechał prosto.

Najszybciej, jak umiał.

319.

Pod wieczór spotkali się w Białym Domu.

Odczoraż, odkąd znaleziono zwłoki Andrei Lorenz, pracowali bezwytchnienia.

Ważna była każda minuta.

Im więcej czasu upłynie, tym trudniejsze będzie dochodzenie.

Tym większa przewaga sprawcy.

Lecieli z nóg, ale nikt nie myślał o tym, żeby przerwać.

Wiedzieli, że czeka ich długie zebranie, muszą skoordynować działania.

Pierwszy odezwał się Carlos Sabato.

Chciał jak najszybciej wrócić do laboratorium.

- Nic wam jeszcze nie mogę powiedzieć.

Schilling i jego ludzie wybierali wszystko, co tam było.

Spędzimy całe dni na przeglądaniu materiału i analizowaniu śladów.

Jeszcze nie wiemy, czy jeden z niezliczonych niedopałków, papierków od gum do żucia czy włosów, które mamy w torebkach, należy do sprawcy.

Wszystko, co wczoraj znaleźliśmy, będziemy musieli porównać ze śladami z pierwszego miejsca zbrodni.

Ale bądź co bądź teraz jest szansa, że znajdziemy coś zgodnego.

Nawet jeśli to namnie powie, kto to, mielibyśmy dowód, że oba morderstwa popełniła ta sama osoba.

A wiadomo, jakie to ważne, jeśli nie będziemy mieli przyznania się do winy.

Więc odbywajcie sobie swoje zebranie, a ja tymczasem pogrzebię śmieciach.

Jak coś będę miał, to się odezwę.

Podszedł do drzwi.

Marthaler zwołał za nim.

- Pamiętasz jeszcze, o co cię prosiłem?

Sabato wywrócił oczami.

- Od kilku godzin na twoim biurku leży kartka z nazwiskiem i numerem telefonu.

Ten facet jest podobno najlepszym specem od sadyzmu.

Marthaler podziękował.

Potem poprosił Kerstin i Kaia, żeby podsumowali przesłuchanie Stefanie Wolfram.

Kerstin położyła na stole plik gęsto zapisanych kartek: protokół

320

z przesłuchania.

Mówiła długo.

Kai przerywał jej od czasu do czasu, żeby coś dodać.

- Rozmawialiśmy z nią wiele godzin - zakończyła Kerstin zrezygnowana.

- W ostatnich latach miały słaby kontakt.

Pewne jest, że Gabriele Hasler popadła w tarapaty finansowe już na początku studiów.

Prawdopodobnie wciąż przegrywała większe sumy w jakiejś gry hazardowej dlatego zaczęła się sprzedawać.

Ale ani o jednym, ani o drugim nie wiemy prawie nic, wiemy tylko, że prowadziła podwójne życie: w jednym była studentką, a później dentystką, w drugim - hazardzistką i prostytutką.

Próbowała oddzielić je od siebie.

Ale najwyraźniej udawała jej się tylko pozornie.

- Co masz na myśli?

- zapytał Sven.

Kerstin popatrzyła na Dóringa.

- Jej drugie życie ztrało to pierwsze - wytłumaczył Kai.

- Tak przynajmniej wyraziła się Stefanie Wolfram.

Gabriele nie była zbyt dobrą studentką.

Z trudem zdawała egzaminy.

Jako dentystka też chyba nie odnosiła szczególnych sukcesów.

Mimoto gdy ją poznała, była radosnym człowiekiem.

Później stała się zgorzkniała, zamknięta w sobie i nerwowa.

- Czy Stefanie wiedziała, że jej przyjaciółka była zaręczona?

- zapytał Marthaler.

- Nie - odpowiedziała Kerstin.

- Mnie też coraz bardziej to dziwi, im więcej się o niej dowiadujemy.

Mam wrażenie, jakby te zaręczyny też były tylko formą prostytucji.

- Noco ty - zaproponował Liebmann.

- Zaręczyny świadczą przecież raczej o czymś wręcz przeciwnym.

Może miała nadzieję, że wreszcie się ustatkuje.

Może chciała skończyć z tym podwójnym życiem.

- Możliwe, że zaczęła to za bardzo doskwierać.

Ale powszystkim, czego dowiedzieliśmy się od jej narzeczonego,

321.

śmiem twierdzić, że go nie kochała.

Myślę, że interesowały ją jego pieniądze.

Że widziała w nim swego rodzaju wygodnego klienta.

Może takiego, dzięki któremu inni nie byliby się kiedyś zbędni.

Marthaler pokiwał głową.

Wszystkie te wrażenia były ważne, mimo to obawiał się, że rozmieniali się na drobne.

- No cóż, musimy wobec tego zająć się jej drugim życiem.

Założyć, że morderstwo jest w jakiś sposób powiązane z tą dodatkową pracą.

Pytanie, jak to się ma do zabójstwa Andrei Lorenz.

Musi istnieć punkt, w którym te dwa przypadki się stykają.

- Robert, powiedz głośno, co myślisz - poprosił Kai Döring.

- To znaczy?

- Zakładasz, że Andrea Lorenz też dorabiała jako prostytutka i że mamy do czynienia ze sprawcą, który uwziął się na takie kobiety.

Marthaler przytaknął z ociąganiem.

- Tak.

Nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć.

Odetchnęła z ulgą.

Od wielu godzin czekali, że ktoś

w końcu powie to, co myśleli wszyscy, odkąd ustyszeli

o podwójnym życiu Gabriele Hasler.

- W każdym razie to tłumaczyłoby owo tajemnicze wczorajsze spotkanie zapisane w kalendarzu Andrei Lorenz.

Tona Darmstadter Landstrasse, którego nie umieliśmy wyjaśnić i które skończyło się dla niej tak tragicznie - dodała Kerstin.

- Ale przecież musiałyby istnieć inne takie zapiski - zaproponował Sven.

- I istnieją.

Niektóre wizyty oznaczone są małym krzyżykiem.

Do tej pory niewiedzieliśmy dlaczego.

I nie mieliśmy jeszcze czasu, żeby to sprawdzić.

Ale myślę, że powinniśmy to jak najszybciej nadrobić.

322

To był przełom.

Teraz musieli szybko ustalić jego konsekwencje dla dalszego śledztwa.

Profil sprawcy się skryształizował.

Mieli środowisko, w którym się poruszał.

I wzór, według którego postępował.

Lada chwila ten wzór przejrzą.

Nagle Marthaler wstał.

- Przepraszam na moment.

Coś mi się przypomniało.

Muszę zadzwonić.

Walter, bądź tak miły i opowiedz, co znaleźliśmy w mieszkaniu w Bockenheim.

Poszedł do biura, wybrał numer zakładu medycyny sądowej, ale nikt nie odbierał.

Już odkładał, gdy Thea Hollmann podniosła słuchawkę.

- Ale masz szczęście.

Właśnie wychodziłam.

Nie mam zamiaru spędzać tu kolejnej nocnej zmiany.

- Dlatego dzwonię.

Chciałem zapytać, kiedy możemy liczyć na raport z sekcji.

- Robert, nie mówisz poważnie.

Już późnym popołudniem wysłałam go do was przez kuriera.

Dawno powinien go mieć.

Marthaler przejrzał stos dokumentów, które w ciągu dnia zgromadziły się na jego biurku.

Kartkę od Sabata odłożył na bok.

Znalazł wąski segregator z zakładu medycyny sądowej.

- Przepraszam, Thea, jest.

Byłem cały dzień poza biurem.

Ale jak już z tobą rozmawiam, możesz mi go streścić.

Jesteśmy w trakcie zebrania i byłoby dobrze, gdybym nie musiał go teraz czytać.

- Dobrze - westchnęła Thea Hollmann.

- Ale naprawdę krótko.

Mówiłam ci.

- Co mi mówiłaś?

- Przypomniał sobie i roześmiał się.

- Zgadza się, jesteś zaproszona na kolację.

Idziesz w odwiedziny do Lisiura, prawda?

- Tak.

I nikt mnie nie zatrzyma.

No więc, jest tak, jak mówiłam.

Andrea Lorenz została zamordowana w ten sam

323.

sposób co Gabriele Hasler.

Na ciele są ślady krępowania i duszenia.

Sprawca ją torturował.

Ale to nie wszystko.

Pamiętasz, co powiedziałam namiejsu?

- Tak, że to dokładnie takie samo gówno, jak za pierwszym razem.

- I to było trochę przedwcześnie z mojej strony.

Rany, jakie zadano tej kobiecie, sprawiają wrażenie bardziej brutalnych.

Jakby ją bił kijem, różgą, może gałęzią.

Jakby chciał ją zakatować.

Jakby chciał kontrolować, dostał szalu.

- Możesz wyciągnąć tego jakieś wnioski?

- To niewiarygodne, ale na mnie robi wrażenie, jakby odczuwał przymus bycia bardziej brutalnym.

- Mówisz, że tracisz kontrolę.

- Tak, coś w tym stylu.

Ale teraz przepraszam, muszę jechać.

Na kolację jest udziec jagnięcy z groszkiem.

Lisiur prosił, żebym była punktualnie.

- Tak.

Mięso nie powinno wyschnąć.

Wrócił do sali odpraw, odczekał, aż Schilling skończy.

- Zaczniemy tam, gdzie wczoraj skończyliśmy.

Zastanówmy się jeszcze raz nad cechami wspólnymi dla obu zabójstw i obu ofiar.

Ale też nad różnicami.

- Jeśli to prawda - powiedział Kai Döring - że obie kobiety się sprzedawały, to musimy się dowiedzieć, jak znajdowały klientów.

Gdzie się reklamowały.

Sprawca musiał mieć możliwość nawiązania z nimi kontaktu.

Dowiedział się o nich pocztą pantoflową albo z ogłoszenia.

Może z internetu.

Proponowałbym, żebyśmy poprosili o pomoc obyczajówkę.

- Tak - zgodził się Marthaler - zrób to, proszę.

Od rana jutro rano.

- Może jeszcze na to za wcześnie.

Może to nic nie znaczy.

Ale jednak zwraca uwagę, że nie zamordował jakichś prostytutek, tylko dwie kobiety, które traktował jako

324

pracę dodatkową.

Andrea Lorenz też wiodła mieszczańskie życie, więc także podwójne.

- Czy ktoś przesłuchał już jej męża?

Sven skinął głową.

Alenicz nie powiedział.

- I? Jakie odniosłeś wrażenie?

- Nie pytaj.

- Liebmann przeciągnął ręką po twarzy.

- To było straszne.

Tenczłowiek jest u kresu wytrzymałości.

Kupka nieszczęścia.

Dom, meble, zdjęcia na regale w dużym pokoju - to wszystko sprawiało wrażenie, jakby byli absolutnie szczęśliwym małżeństwem.

Roland i Andrea Lorenz mieli wieczorem świętować rocznicę ślubu.

- Mielico?

Nie mówisz serio!

- Tak.

Ugotował kolację.

Ale co w tym takiego osobliwego?

Czemu się dziwisz?

- Andrea Lorenz została zamordowana w dzień rocznicy ślubu.

Gabriele Hasler w noc przed swoimi urodzinami.

Naprawdę sądzicie, że to przypadek?

Debatowali nad tym pytaniem dziesięć minut.

Początkowo zdania były podzielone.

Bo skąd sprawca mógłby wiedzieć o obu datach.

Mimo to nie wydawało się prawdopodobne, że to przypadek.

W końcu Kerstin podsumowała dyskusję.

- Morderstwo Gabriele Hasler w jej urodziny mogło być przypadkowe.

Podobnie jak data śmierci Andrei Lorenz.

Ale ponieważ zakładamy, że oba przestępstwa zostały dokonane przez tego samego sprawcę, prawdopodobnie kryje się za tym coś więcej.

Zastanawiał się, co znaczy ta nowa informacja, ale nie doszli do żadnego wniosku ponad to, że sprawca musiał wiedzieć o swoich ofiarach więcej, niż do tej pory przypuszczali.

- To jak puzzle - stwierdził Marthaler.

- Mamy nowy kawałek, ale nie wiemy jeszcze, gdzie jego miejsce.

Zapytałeś

325.

Rolanda Lorenza, czy nie wie, z kim jego żona miała sięspotkać wczoraj w południe?

- Tak.

Ale nie ma pojęcia.

Nicznie rozumie.

Jeśli naszeprzypuszczenia, że jegożona pracowała nie tylko jakokosmetyczka, są słuszne, to on nic o tym nie wiedział.

Robert, przysięgam, to byłokochające się małżeństwo.

Ale sądzę, że jesteśmyna właściwym tropie.

Nie wiedział,a może niechciał wiedzieć.

- Pytałeś go o ich sytuację finansową?

-Był inżynierem w dużej firmie budowlanej.

Trzy latatemu firma splajtowała.

Zwolnili ponad tysiąc osób, w tymjego.

Brak pracy go deprymował, alewydawało się, że sięniemartwi.

Żonadobrzezarabia, powiedział.

- Sądzisz, że mógł coś podejrzewać?

-Nie wiem.

To na pewno będzie todla niego kolejnyszok, jestem pewien.

-Cóż synem?

Jakon ma naimię?

- Johannes.

Zwolnili go ze szkoły.

Jest u dziadkóww Szwajcarii Frankońskiej.

No cóż, możecie sobie wyobrazić.

Nie ma się za dobrze.

- O Boże - powiedział Manfred Petersen, który dotychczas jeszcze się nie odezwał.

- Co zagównno.

Co zamegagównno.

Potrzebuję przerwy.

Muszę się napić.

Byli wypruci.

Postanowili przerwaćzebraniena kwadrans.

Marthaler wyszedł na podwórze,by zaczerpnąćtrochę świeżego powietrza.

Zobaczył Kerstin,która właśnie zapalała papierosa.

- Palisz?

-Tak.

Nie.

Niedługo przestanę.

Chwilowojest tegowszystkiego trochę za dużo.

- Co się właściwie dzieje z Tollerem?

-Wziął zwolnienie.

Ma jakieś problemy żołądkowe.

Twierdzi, że jutro już będzie w pracy.

326

- Nie o tym mówię.

Co zTollerem i tobą?

Mam wrażenie, że się unikacie.

- Zapomnij!

- Kerstin machnęła ręką.

- Co mam zapamiętać?
- Dowiedział się, że między Manfredem a mną wszystko skończone.
Usiłował mnie podrywać.
Trochę za ostro.
Towszystko.
- Mam interweniować?
Pogadać z nim?
- Nie, Robert.
Jestem dużą, dzielną dziewczynką.
Samasobie poradzę.
Zauważył podenerwowanie w jej głosie.
Przeprosił.
Zobaczył, że ma łzy w oczach.
Odwrócił się.
- Pójdę już.
Zaraz kończymy.
Skinęła głową, nie patrząc na niego.
Zebrali się ponownie.
Marthalerzrelacjonował, czego dowiedział się od Thei Hollmann.
Przeszli punkt po punkcie raport z sekcji zwłok.
Dokumentację ze zdjęciami przekartkowali.
Nikt nie chciał oglądać
- Znow nie ma żadnych śladów wskazujących, że ofiara została wykorzystana seksualnie - zwrócił uwagę Manfred.
- Torturuje, zabija.
Znajdujemy je częściowo rozebrane i wystawione na pokaz.
To wszystko jest wysoki stopniu nacechowane seksualnie.
Ale nie ma śladów spermy.
Dlaczego zagadka.
- Jakiego wyciągasz wnioski?
- Żadnych.
A może jest impotentem?
- Tak - zgodził się Marthaler.
- Też już o tym myślałem.
To może być wyjaśnienie.
- Chciałbym, żebyś jeszcze raz powtórzył, co powiedziała Thea Hollmann - poprosił Schilling.
- Nie to, co jest w raporcie, tylko co mówiła o sprawcy przez telefon.

Marthaler spróbował przypomnieć sobie dokładniej słowa.

Czuł, że z minuty na minutę coraz trudniej musię skupić.

- Powiedziała, że morderca tym razem był brutalniejszy, jakby się mniej kontrolował, jakby dostał szału.

-Ja mam takie samo wrażenie.

- Schilling skinął głową.

- Ziemia na miejscach była w wielumiejscach dosłownie zryta.

Z niektórych drzew odłamano gałęzie.

W domu w Oberrad też znaleźliśmy ślady walki.

Ale tamna wydmach to było coś innego.

Tamktoś szalał.

- Czyli w naszym sprawcy zachodzi zmiana - stwierdził Liebmann.

- Ciśnienie rośnie.

To być może naczyteż, że musimy się spieszyć, bo może znów zaatakować.

- Tak - zgodził się Marthaler - czas nas goni.

Ale teraz powinniśmy pójść spać, zebrać się na jutro.

Dziewięć

Marthaler otworzył drzwi do mieszkania.

Z dużego pokoju dołatywała muzyka - Larghetto z V koncertu fortepianowego Prokofiewa.

Tereza spała na kanapie.

Stół był nakryty; przygotowała kolację, czekała na niego i zasnęła.

Obok kanapy stał kieliszek z winem i leżała książka.

Opowiadania Hrabala.

Przyniósł koc i nakrył Terezę.

Potem rozebrał się, poszedł do łazienki, umył zęby i położył się do łóżka.

Gdy obudził się następnego ranka i spojrzął na zegarek, przeraził się.

Było po wpół do dziewiątej.

Zaspał.

Był tak zmęczony, że zapomniał nastawić budzik.

Tereza już wyszła.

Zaparzyła kawę i zostawiła mu obok termosu kartkę:

"Czekałam.

Mimo to Cię kocham.

Całuję.

Tereza".

Na stojąco wypił filiżankę kawy.

Wziął prysznic, ubrał się.

Wprowadził rower z piwnicy i pojechał do Nordend.

Na Rohrbachstrasse zatrzymał się przed małą piekarnią;

jego ludzie i on sam od dawna już byli jej stałymi klientami.

Harry wyrzwał z zaleczonego, żeby się przywitać.

Marthaler kupił dwie bułki kukurydziane i mleczny rogalik, poczym ruszył do Białego Domu.

W klatce schodowej spotkał Sabata, który demonstracyjnie popatrzył na zegarek.

-No w końcu!

Najwyższy czas, żeby pan nadkomisarz zaczął dzień pracy.

Możesz od razu zejść ze mną do

329.

piwnicy.

Musisz coś obejrzeć.

Nawiasem mówiąc, to miło, że przyniosłeś mi śniadanie.

- Carlos, przepraszam, ale jestem głodny jak wilk.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem.

Doszedł już do drzwi laboratorium, gdy Sabato odwrócił się, podniósł palec wskazujący i uśmiechnął się kpiąco.

- Żartowałem, Robert!

Znowu żartowałem!

Już jadłem.

Jestem syty i zadowolony.

Możesz zjeść wszystko.

Ale najpierw obejrzyj sobie, co odkryłem.

Wziął gruby pęk kluczy i otworzył szarą, metalową szafę.

Wyjął plastikowy pojemnik i postawił go na stole laboratoryjnym.

Pojemnik był pełen małych, przezroczystych woreczków, w których technicy przechowywali swoje znaleziska.

Każdy woreczek był opatrzony naklejką z najważniejszymi danymi co do miejsca znalezienia.

Otworzył pęsetą jeden woreczek i coś wyjął.

- Pamiętasz, w Oberrad znaleźliśmy coś, czego nie mogliśmy od razu zidentyfikować?

Gabriele Hasler miał w dłoni kawałek materiału, który uznaliśmy za firankę.

Później okazało się, że to ślubny welon.

Teraz popatrz nato!

I zgadnij, co to jest.

Marthaler gapił się na skrawek brudnego materiału, który Sabato trzymał na wysokości jego oczu.

- Welon.

Znowu znaleźliśmy welon na miejscu zbrodni.

Według danych techników leżał w piasku trzy metry od zwłok.

Częściowo zakopany.

Ktoś prawdopodobnie wdeptał go w ziemię butem.

- Carlos, cokolwiek to oznacza, jest ważne.

Pasuje do wszystkiego, co dotychczas ustaliliśmy.

Zmuszał ofiary do przebierania się za panny młode.

To część ceremoniału.

- Moim zdaniem ten facet ma nierówno pod sufitem.

- Pewnie masz rację.

Tylko chętnie dowiedzielibyśmy się, jak wygląda ten sufit, pod którym ma nierówno.

330

- Rozmawiałeś już z tym psychologiem?

- Nie, nie miałem jeszcze okazji.

Ale to będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię.

- Tadziejczynka właśnie dzwoniła - powiedziała Elvira.

- Zapytałam, czy mam ci coś przekazać, ale zdecydowała, że spróbuje jeszcze raz.

Rozpakował bułki i ugryzł pierwszy kęs, gdy zadzwonił telefon.

W tej samej chwili do jego biura wszedł Raimund Toller.

Marthaler odebrał, a Tollerowi dał znak, żeby usiadł.

- Mara, to ty?

- zapytał.

Nikt nie odpowiedział.
Potem usłyszał, że po drugiej stronie ktoś płacze.
- Mara, co się dzieje?
Rozmawiałaś z twoim przyjacielem?
Dlaczego domnie nie zadzwonił?
Łkała.
Miała ochrypły głos, zacinając się.
- Dlaczego mnie pan okłamał?
Śledziliście mnie.
- Kto cię śledził?
- Wy. Policja.
Byli u Tobiego.
Był u niego jakiś policjant dzwonił do drzwi.
A pan mi obiecał, że nikt nie będzie śledził.
- To nieporozumienie.
Nikt cię nie śledził.
- Ja nie kłamię.
Tobi też nie.
A policja u niego była.
- Ktokolwiek u niego był, nie ma z nami nic wspólnego.
Ważne jest tylko to, żebyśmy mogli z nim porozmawiać.
Powiedz, gdzie go znajdę.
- Nie wiem, co robić.
Tobinie chce do pana dzwonić.
I nie chciał mi powiedzieć, gdzie jedzie.
Możesz do Moguncji.
Nie wiem.
Uciekł.
Jedzie gdzieś na rowerze.
Boi się.
A ja boję się o niego.
- Ale ma ze sobą komórkę, prawda?
- Tak.

- To podaj mi numer.

Samdo niego zadzwonię.

Niemusi siębać.

Obiecuję ci, że będziemy go chronić.

Mara wahała się.

A Marthaler nie chciał naciskać.

Samajeszczeraż do niego zadzwoniła, teraz też powinna samazrobić następny krok.

- Tak - powtórzyła, podyktowała mu numer komórkiTobiego i odłożyła słuchawkę.

Marthaler od razu spróbował zadzwonić dochłopcą.

Bez skutku.

Odwrócił się do Tollera.

- Mamy możliwośćnamierzeniakomórki?

Tollerpopatrzył na niego, jakby przełożony robił z niegołupka.

- To pytanie egzaminacyjne?

Chcesz sprawdzić, czyodrobiłemzadanie domowe?

- Nie.

Pytam serio.

Nigdy nie zajmowałem się tymi rzeczami.

No więc: czy możemy dowiedzieć się, gdzie znajdujesię posiadacz telefonu komórkowego?

- Nie ma problemu -Toller wyszczerzył zęby, najwyraźniej możliwość wygłoszenia wykładu komisarzowisprawiła mu przyjemność.

- Albo zlokalizujemy go przezjego numer, albo możemy zastosować iMSI-Catcher.

To cośmieści się dokażdego samochodu, udaje, że jestnajbliższą stacją bazową.

Komórka zgłasza się automatyczniei jużmamy wszystkie potrzebne dane.

- Mara mówi, że ten chłopak prawdopodobnie pojechał do Moguncji.

Czyli mniej więcej wiemy, gdzie jest.

Czy z tą wiedzą mielibyśmy szansę go odnaleźć?

- Tak.

W mieście, gdzie jest więcej stacjibazowych niżw terenie, to działa bezproblemowo.

- Okej.

Nie chcę na razie, żebyśmy ztego skorzystali, alemusimy być przygotowani.

Chciałbym cię prosić, żebyśto przejął.

Może konieczne będziebłyskawiczne namierzenie chłopca.

Mam złe przeczucia.

Załatw nam sądowe

332

zezwole nie na inwigilację.

I dopilnuj, żeby urzędzenia były gotowe.

Toller wstał i wyciągnął w stronęMarthalera kartkępapieru.

- Co to jest?

-Zaświadczenie, że byłem wczoraj u lekarza.

Tym razem to Marthaler uśmiechnął się z satysfakcją.

- Za to jeszcze nie odpowiadam.

Daj tę kartkę Elvirze.

Ona będzie wiedziała, co z nią zrobić.

Ledwie Toller wyszedł, do jegobiura zapukali kolejnoKerstinHenschel i Sven

Liebmann.

Znów miał coś zdecydować.

Czuł się przeciążony.

- Zróbcie, jak uważacie - powiedział.

-Wszyscy mamy taką samą wiedzę.

Każdy musi wykonywać swoją pracę każdy na swój sposób.

Jak zwykle, gdy wydarzenia wokół niego zmieniały się jak w kalejdoskopie, gdy chodziło o to, by działać szybko, Marthaler bał się, że przeoczy coś decydującego.

Im większe przyspieszenie, tym większe niebezpieczeństwo popełnienia błędu.

Teraz też miał poczucie, że musi odbić w przeciwną stronę.

W takich momentach przychodziłomu do głowy zdanie babki: "Kto nie ma czasu, musi go znaleźć".

Sięgnął po kartkę zostawioną wczoraj przez Sabatę najego biurku.

Mężczyzna, którego miał odwiedzić, nazywał się Rainer Hirschberg.

Przez wiele lat był dyrektorem Instytutu Badań Seksualnych.

Teraz, na emeryturze, mieszkał w małej wsi w górach Taunus.

Elvira zadzwoniła do niego i poprosiła o spotkanie.

- W każdej chwili- odpowiedział.

- Jestem zawsze w domu.

Wszystkie samochody służbowe były zajęte.

Marthaler zastanawiał się, czy nie zwrócić się do komendy o dodatkowe auto, ale zdecydował inaczej.

333.

- Zrobię sobie wycieczkę rowerową - powiedział do Elviry.
- Jak wszystko dobrze pójdzie, wczesnym popołudniem będę z powrotem.

Napełnił oba bidony wodą z kranu, dopompował koła i ruszył.

Gdy zostawił za sobą miasto, odetchnął pełną piersią.

Od Liederbach droga zaczęła pięć się pod górę.

Cieszył się, że jest kilka kilogramów lżejszy niż jesienią.

Jednak gdy dotarł do Ruppertshain, był wypompowany i spocony.

Potrzebował prawie półtorej godziny, dłużej niż przypuszczał.

We wsi zapytał o drogę do starego młyna.

Szybki jazd przez las do leżącej na uboczu doliny sprawił mu przyjemność.

Pierwszy raz od wielu dni miał wrażenie, że może swobodnie myśleć, że jego głowa nie blokuje dochodzenie.

Zatrzymał się w najniższym punkcie niecki.

Około pięćset metrów odszosa zobaczył stary, piękny budynek z muru pruskiego, wznoszący się samotnie pośród łąk u stóp zbocza.

Dom otaczała grupa starych drzew, przez ich nagie gałęzie przeświecało zaskakująco ciepłe, lutowe słońce.

Skręcił w szutrową drogę.

Przeszedł przez podwórze i oparł rower o kamienne schody wiodące z dwóch stron do wejścia do domu.

Na jednym z ostatnich stopni leżał gruby kot, popatrzył na niego, leniwie mrużąc oczy.

Nie był dzwonka, więc zastukał.

Chwilę później wokół niego pojawiła się głowa młodej kobiety, która wycierała włosy ręcznikiem.

- Tak?

- Uśmiechnęła się.

- Ja do pana Hirschberga.

Tylko nie wiem, czy zwracać się do niego doktorze czy profesorze.

- Broń Boże - zaśmiała się.

- Niech pan lepiej nic nie mówi, jeśli nie chce pan go rozsierdzić.

Proszę iść za dom.

Powinien być gdzieś w ogrodzie.

334

To, co nazwała ogrodem, było wielką łąką z nielicznymi drzewami owocowymi.

Rozejrzał się.

Łąka ciągnęła się aż pod las, na jej końcu widać było mały, pomalowany na zielono drewniany domek.

Ale nigdzie ani śladu człowieka.

Zauważył wąską ścieżkę prowadzącą do domku, ruszył nią, mniej więcej w połowie drogi zawołał.

Kilka metrów dalej ponownie.

Wtem zdębiał.

Zadomku wyłoniła się postać, którą w pierwszej chwili wziął za astronautę.

Miała nasobnie biały ochronny skafander, białe rękawiczki i kapelusz siatką, za którą nikła nie tylko twarz, lecz cała głowa.

Dopiero gdy zauważył brzęczące wokół niej pszczoły, pojął, że ma do czynienia z pszczelarzem.

- Niech pan tam zostanie - zawołał mężczyzna.

- Przyjdę do pana.

Niestety nie mam drugiego kapelusza, więc nie może pan zobaczyć moich ludków.
Wykorzystuj piękną pogodę na lot oczyszczający.

Wkrótce zaczniesz się wyrażać.

Mężczyzna zbliżył się.

Zdjął rękawiczki, żeby się przywitać.

- Nadkomisarz Robert Marthaler z Frankfurtu, jak mnie mam?

Marthaler skinął głową.

Rainer Hirschberg zdjął kapelusz i siatkę.

Miał miękką, prawie młodzieńczą twarz przyjaznych, małych oczach.

- Co jest?

Wygląda pan na zdziwionego.

- Jak na emeryta wydaje się pan bardzo młody.

- Dziękuję za komplement.

Nie miałem już ochoty napracę.

I gdy dwa lata temu skończyłem pięćdziesiąt pięć lat odziedziczyłem to wszystko po moim wuju, postanowiłem odejść.

Wszyscy byli zadowoleni.

A najbardziej ja sam.

Poprowadził gościa do zmurszałego drewnianego stołup pod wielką wierzbą.

335.

- Usiądziemy na ławce czy wolałby pan wejść do domu?
Mógłbym zaparzyć kawę.

- Nie.

To, comamy do omówienia, nie będzie wesołe.
Więc zostaliśmy lepiej na świeżym powietrzu.

Zaczął mówić.

Hirschberg nabijał fajkę.

Jadąc tu, Marthaler postanowił, że opowie historię od początku i zeszczegółami.

Ten człowiek powinien znać wszystkie detale, zanim wyda opinię.

Skończył prawie po godzinie.

Cały czas przypatrywał się Hirschbergowi, próbował wyczytać coś z wyrazu jego twarzy.

Nie było w nim ani odrazy, ani zdumienia, tylko skupione zainteresowanie fachowca.

- I? Czego pan ode mnie oczekuje?

- zapytał Hirschberg.

- Jest pan psychologiem.

Uchodzi za specjalistę od sadyzmu.

Więc niech mi pan powie, co to za człowiek?

- Jak pan zareagował na widok pierwszej ofiary?

Nate wypięte, obnażone pośladki?

To pytanie zirytowało Marthalera.

- Oburzeniem.

bezbrzeżnym oburzeniem.

Jak inaczej?

- Właśnie: jak inaczej?

To mnie interesuje.

Czy było coś jeszcze?

Marthaler długo nie odpowiadał.

Nie do końca rozumiał, co psycholog mógłby mieć na myśli.

W końcu zaczął pojmować.

Nie zdzierzył.

- Wie pan co?

Przemoc mnie nie podnieca, jeśli o topanu chodzi.

Przemoc budzi moje obrzydzenie.

I jeśli chcemy pan wmówić, że powinienem okazać wyrozumiałość, to muszę pana rozczarować.

Rainer Hirschberg milczał.

Od czasu do czasu pykał fajkę.

- Ten przypadek mnie interesuje - odezwał się w końcu, nie patrząc na rozmówcę.

- Nawet bardzo.

Ale niewiem, czy jestem właściwą osobą.

Niewiem, czy naprawdę chce pan mnie wysłuchać.

336

Zorientował się, że zareagował zbyt opryskliwie.

Obawiał się, że rozmowa skończy się, nim jeszcze się zaczęła.

- Nie mam powodu, by wątpić, że jest pan właściwą osobą.

Chciałbym tylko, żeby jedno było jasne.

Próbujemy schwycić przestępcę.

Ten mężczyzna popełnił trzy morderstwa, musimy go ująć, zanim znajdzie nową ofiarę.

- Ale jeśli nasza rozmowa ma mieć jakiś sens - odparł Hirschberg - to musi pan pogodzić się z tym, że nie widzę sadyzmu perwersyjnego ani nawet zaburzenia.

To skłonność, wariant.

Jestem naukowcem, a nie lekarzem czy sędzią.

Dla zoologa nie ma robactwa, dla botanika - chwastów.

A dla mnie nie ma ludzi perwersyjnych.

Więc niech panie oczekuje odrazy.

- Dobrze.

Nie wiem, czy pana rozumiem, ale dobrze.

Niech mi pan powie, co panu przychodzi do głowy.

- O sadyzcie mówi się publicznie prawie zawsze w związku z aktami przemocy.

Ale musi pan sobie uświadomić, że większość, zdecydowana większość, realizuje swoje skłonności w doskonale uporządkowanych ramach.

Umawiają się z podobnymi sobie, spotykają się w kręgach prywatnych, w salonach i klubach, czasem znajdują nawet partnerów, z którymi łączą ich satysfakcjonujący seks, bywa, że na całe życie, niekiedy nawet w małżeństwie.

- Ale są też inni.

Których zaspokaja popełnienie morderstwa.

- Nie użyłbym słowa morderstwo, raczej zabicie.

Określenie "morderstwo" jest oceniające.

Słowo "zabicie" opisuje.

Ale żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie: to zdarzają się rzadko, ale się zdarza.

I nie ma naukowca, który nie interesowałby się rzadkimi okazami.

- Jest pan pewien, że mamy tu do czynienia z jednym z takich rzadkich przypadków?

337.

- Tak, całkowicie.

Ten człowiek zabija z pożądania.

To jedyny wniosek, jaki można wyciągnąć z tego, co mi pan powiedział.

I jeśli jeszcze ma pan wątpliwości: na sto procent jest sadystą.

- A co zdecydowało o tej jego skłonności?

Długo nie odpowiadał.

Wystukał fajkę i zaczął ją czyścić.

- Ponieważ go nie znamy, to najtrudniejsze pytanie, jakie mógł mi pan zadać.

Choć chyba nawet nie najważniejsze.

Najpierw powinniśmy spróbować dowiedzieć się, jaki jest, zanim zapytamy, dlaczego taki się stał.

- Dziwiliśmy się, że nie gwałci swoich ofiar.

Czy to nie przeczy założeniu, że zabija z powodów seksualnych?

Hirschberg potrząsnął gwałtownie głową.

- Nie, wcale nie.

Wręcz przeciwnie, to dowód, że tak jest.

Sadyści zwykle nie utrzymują relacji heteroseksualnych.

Budzą w nich strach i reakcje obronne.

Może się nawet zdarzyć, że w obecności kobiet cierpią na impotencję.

Do erekcji dochodzi dopiero później, na przykład gwałtowny powtarzanie zabijania w myślach.

- A więc stąd te zdjęcia.

- Tak, zdjęcia to trofea, które pozwalają przedłużać czyn.

I pomagają sobie przypominać.

- Czy ze sposobu, w jaki torturował i zabił, można coś odczytać?

Czy coś to panu mówi?

- Rozróżniamy trzy typy sadystów.

Pierwszy to ci, którzy chcą bić, mocno ranić i obezwładniać.

Dla nich najważniejsza jest władza.

Dla drugiego typu dużą rolę odgrywa upokorzenie, chcą zbrukać i ukarać.

Ich fantazje skierowane są najczęściej na pośladki.

Trzeci typ jest zafiksowany na wszystko, co oralne.

Chcą połykać, gryźć, rozdrabniać.

Chodzi im o to, by się w drugą osobę wcielić.

- A z którym typem my mamy do czynienia?

338

- Powiedziałbym, że z mieszaniną typu jeden i dwa.

Wygląda na to, że jak większość sadystów, także i ten ma stały rytuał.

Nawiasem mówiąc, do takiego rytuału prawie zawsze należą jakieś rekwizyty.

To mogą być kijeczki, pejcze.

Czasem tę funkcję pełnią określone materiały albo fragmenty ubioru.

Jeden preferuje futra, inny gumowe rękawiczki czy skórzane pasy.

Już sam zapach tych przedmiotów podnieca.

W naszym przypadku są to najwyraźniej welony.

Martha lerowi gotowała się pod czaszką.

Siedzimy tu, w tym zimowym słońcu, pomyślał, w ciszy, na łonie natury i rozmawiamy o ludziach, których podnieca niszczenie innych ludzi.

- Welony - powtórzył.

- Co z nimi?

Co mają oznaczać?

- To właśnie jest pytanie.

Tłumaczymy przestępstwo jak wiersz.

Co sprawcach chciał powiedzieć?

Zaręczyny, ślub, małżeństwo dla wielu sadystów mają podstawowe znaczenie.

Sadyści zwykle mają silne matki, do których są przywiązani, i słabych, nieczułych ojców.

Te matki często próbują powstrzymać ich rozwój seksualny, rozwój ich męskości.

I to doświadczenie staje się decydujące.

Albo są w ogóle niezdolni stworzyć zadowalające partnerstwo, albo żyją w związkach małżeńskich, z których seksualność jest niemal wykluczona.

Pamiętam przypadek mężczyzny, który uważał wszystkie kobiety za nieczyste.

Wszystkie, poza matką.

U swoich koleżanek ze szkoły, a później z pracy wciąż odkrywały tylko "kurewstwo".

Im bardziej zepsutemu się wydawały, tym bardziej "święta" stawała się matka.

- A potem?

- Zadźgał trzy prostytutki jedną po drugiej.

A potem zabił matkę.

- Co zrobił?

Dlaczego?

339.

- Z jednego tylko powodu: była jego matką.
Pewnego dnia zrozumiał, że to ona go poczęła.
I że w tym celu musiała pójść do łóżka z mężczyzną, z jego ojcem.
To znaczy, że ona też była nieczysta inancie innemu sobie nie zasłużyła.
Widzi pan, sadyści mają często silnie rozwinięty swój rodzaj zmysł moralny.
- Nadal jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego z naszymi wronami.
- Dokładnie niewiem, ale jedno wydaje się pewne: dla waszego sprawcy małżeństwo jest sprawą decydującą.
Może się rozczarował.
Małżeństwem rodziców albo własnym.
Może jedno i drugie.
- I dlatego stał się potworem?
Marthaler pożałował swoich słów, ledwie je wypowiedział.
Obawiał się, że ostatecznie zirytuje psychologa.
Ale Rainer Hirschberg się zaśmiał.
- Myli się pan.
Myli się pan zasadniczo.
Wśród przypadków, z którymi miałem do czynienia, nie było ani jednego, gdzie sprawca odpowiadałby powszechnemu obrazowi sadystry: żadnych dręczycieli zwierząt, gwałcicieli, brutalnych macho czy takich, którzy by bili, ani jednego drania.
Wręcz przeciwnie: Zawsze byli to mężczyźni określani przez otoczenie jako miękcy, zgodni, nieskorzy do konfliktów, czasem nawet kobiece.
Mężczyźni, którzy nie zwracali na siebie uwagi, nie mieli intensywnych, pełnych emocji związków.
Więc jeśli chce go pan znaleźć, niech pan nie szuka potwora!
Marthaler poczuł, jak bardzo tarozmowa go męczy.
Ale miał wrażenie, że jeszcze nie doszli do decydującego punktu.
A to, co właśnie usłyszał, bynajmniej nie miało go podbudować.
- Jeśli jest, jak pan mówi, jeśli zupełnie nie rzuca się w oczy, to znaczy, że nie ma szans, żeby go rozpoznać?
- Zgadzasz się.
340
- Ale czy nie musi mieć jakiejś historii?
Czy nie powinniśmy założyć, że już wcześniej w ten lub inny sposób kanalizował tę swoją skłonność?
- Nie - odparł zdecydowanie Hirschberg.
- Toteż powszechny błąd.
Sadyzm nie musi być cechą stałą.
Niektórzy mają taką skłonność przez całe życie.
Ale o wiele częściej bywa tak, że ujawniają się one szczególnie w kryzysowych sytuacjach życiowych, w fazach, gdy tacy ludzie widzą, że ich życie zostaje postawione pod znakiem zapytania.
- Czy to znaczy, że morderstwo Andrei Lorenz może być ostatnim, jakie popełnił?
Nawet jeśli go nieschwytny?
- Stop!
Tego nie powiedziałem.
Uważam to nawet za wysoce nieprawdopodobne.
Istnieje fenomen określany mianem psychicznego przerwania tamy.
Zabicie człowieka jest czymś takim.

Kto to zrobił i znalazł w tym satysfakcję, będzie chciał zrobić jeszcze raz.

Marthaler zauważył, że Hirschberg chciał jeszcze coś powiedzieć, ale urwał.

- Tak?

Niech pan mówi dalej!

- Myślę, że wkrótce znów to zrobi.

I że upłynie jeszcze mniej czasu niż między dwoma pierwszymi zabójstwami.

Wszystko, co opowiedział mi pan o miejscu zbrodni na wydmach, przemawia za tym, że ten mężczyzna jest pod parą, żeby wyrazić to obrazowo: jest rozpedzony.

Chce więcej.

Marthaler zamknął oczy, odchylił głowę.

Czuł, jak rośnie mu ciśnienie.

Jeśli spodziewał się, że ta rozmowa podniesie go naduch, to ostatnie słowa psychologa rozwiały wszelkie nadzieje.

- Tak.

My też tak przypuszczamy i tego się boimy.

Przez chwilę siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu.

Rainer Hirschberg na nowo nabił fajkę, pykał z niewzruszoną miną.

Potem odwrócił głowę stroną domu.

Marthaler podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył na

341.

ścieżce zbliżającą się ku nim młodą kobietę z tacą w dłoniach.
Miała na sobie sweterw kratkę, niebieskie dżinsyibuty do jazdy konnej.
Włosywiązała w kucyk.
Za cholewkę lewego buta zatknęła palcat.
Śmiała się.
Zastanawiał się, kim właściwie jest.
Córka Hirschberga, jegodziewczyną czy żoną?
- Umieracie pewnie z pragnienia - powiedziała.
- Pomyślałam, że dzbanek cydrudobrze wam robi.
Postawiła tacęna stole, musnęła ustami głowę Hirschberga i pożegnała się.
Gospodarznappełnił szklanki.
Marthaler wypił winodwoma szybkimi haustami.
Zaczął się spieszyć, chciałjak najszybciej zakończyć tęrozmowę.
- Sądzipan, że sprawcaznał swojeofiary?
Znów zwlekał z odpowiedzią.
- Topytanie zadałem sobie już kilka razy.
Sądzę, że znałGabriele Hasler, a Andrei Lorenz nie.
Nie umiemuzasadnić tego przekonania.
Alemyślę, że jest słuszne.
Zaczął odczegoś, co znał.
Potem odważył się na kolejny krok.
Chciałzwiększyć ryzyko.
Tak mi się przynajmniej wydaje.
- Mnie też - zgodził sięMarthaler.
- Jestem tego samego zdania i też nie potrafiępowiedzieć dlaczego.
Zastanowił się, o co jeszcze mógłbyzapytać.
Nie chciałprzeoczyćczegoś ważnego.
- Jeden z moich współpracowników wyraził opinię, że sprawca chce zostać złapany.
Myśli pan, że tak jest?
Możetak być?
- Faktycznie istnieje coś takiego jak dążenie doprzyznania się.
Bywali zabójcy, którzy przez wiele dni jeździliz zakrwawionym ubraniem ofiar na przednim siedzeniusamochodu, żeby sprowokować zatrzymanie.
- Więc widzą potwornośćswoichczynów.
Chcą ponieśćkarę.
342
Hirschberg uniósł brwi i wykrzywił usta.
- Muszę pana rozczarować.
W nielicznych zaledwieprzypadkachchodzi o skrucę.
Często sprawca chce, byjego rzekomo wielki czyn wreszcie stałsię publiczny, chcesię nim pochwalić.
I chcesam zdecydowaó chwili zatrzymania.
Chce zostać złapany, żeby pokazać wszystkim, że to on sprawił, iż świat wstrzymał oddech.
On, po którymnajmniej siętego spodziewano.
I jeśli się przyzna, możepowtarzać swój czynw duchu.
To powód, dla którego wielu sprawców niedługo po zatrzymaniu sprzedajeswojehistorie telewizji albo jakiemuś poczytnemu czasopismu.
Udają, że żałują, w rzeczywistości się chełpią.

- Sądzi pan, że ma jakieś znaczenie fakt, iż Gabriele Hasler została zabita w noc poprzedzającą jej urodziny, a Andrea Lorenz w rocznicę swojego ślubu?

-Z całą pewnością.

Sadyści uwielbiają detale.

Takie drobiazgi to dla nich ta wisienka na torcie.

- Ale skoro nie znał Andrei Lorenz?

- Powiedzmy raczej: to ona go nie знаła.

Tacy sprawcy namierzają swoje ofiary.

To także daje im poczucie władzy.

Zdobywają informacje, żeby kiedyś je wykorzystać.

- Czy jest jeszcze coś, co mógłby mi pan powiedzieć?

Coś, co pomógłoby nam szybko go ująć?

Odłożył fajkę i spojrzał Marthalerowi prosto w oczy.

- Przepraszam, ale wciąż pan nie rozumie.

Dla mnie to nieważne, czy go schwytacie.

A jeśli go schwytacie, nieważne, co z nim zrobicie.

Czy wyślecie go na terapię, zamkniecie zakratkami czy też dostanie karę śmierci, to są decyzje poza moim zasięgiem.

Wystarczająco długo ignorowano moje zdanie.

Co nie znaczy, że go nie mam.

Ale już go nie wyrażę.

Marthaler wstał.

Chciał jak najszybciej opuścić to miejsce, wsiąść na rower i ruszyć pod stromą górę Ruppertshainer.

343.

Ale zanim się pożegnał, Rainer Hirschberg jeszcze raz się odezwał.

- Mogę panu zadać jednopytanie?

- Proszę.

- Ma pan zemną kłopot, prawda?

Powie mi pan, dlaczego?

- Nasza rozmowa dużo mnie nauczyła.

Wiele mi pan wyjaśnił.

Ale uważam, że trzeba stawiać granice.

Niepodoba mi się panastanowisko, pańskie rozumienie dla wszystkich, to że przyjmuje pan każde odstępstwo od normy.

Myślę, że skrzywdzono pana tam, gdzie pan pracował.

I że jest pan sfrustrowany.

Ja czasem też jestem zmęczony.

Wtedy kładę się do łóżka i śpię dwanaście godzin.

A następnego ranka wstaję i znów się wtrącam.

W przeciwieństwie do pana, jestem zdania, że trzeba się wtrącać.

Że nie wolno się przyglądać, jak ludzie się zabijają.

Pan natomiast wydaje mi się kimś, kto nie chce interweniować.

Kto siedzi gdzieś w chmurach i patrzy na świat z góry.

I z łagodnym uśmiechem pozwala, by działało się wszystko, co się dzieje.

Mam rację?

- Tak.

Ja bym to wyraził inaczej.

Ale toteż było niezłe.

- Widzi pan, i właśnie to mi się niepodoba.

Mimowszystko dziękuję.

Ale mam jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

Istnieją owady, które mogą zniszczyć cały rój pszczoł.

Zapomniałem, jak się nazywają.

- Mówi pan o varroa.

To roztocza.

Tak, to poważny problem dla wszystkich pszczelarzy.

- Co pan z nimi robi?

- Są środki do ich zwalczania.

Stosuję je.

- No właśnie.

Tak myślałem.

d ziesięć

poprzedniego wieczoru Tobi długo jechał - nawet wtedy, gdy już było ciemno.

Nie zwracał uwagi, dokąd.

Niemiał celu, poza jednym: jak najbardziej oddalić się od Frankfurtu.

Na ostatnich kilometrach drogibyły coraz węższe, a miejscowości coraz mniejsze.

Zatrzymał się, gdy zobaczył oświetlony sztyl jakiegoś zajazdu.

Zarzucił rowernaplecy i wniósł go po schodach.

Otworzył drzwi, postawił rower przy barze.

Nieliczni goście popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

- Czy są wolne pokoje?

- zapytał.

- Oczywiście - odpowiedziała kobieta, odkręcając kurki od pipy, by wypłukać je w zlewie.

- A mogę wziąć rower do pokoju?

- Jak niczego nie pobrudzisz, to tak.

Równie dobrze możesz zostawić go na korytarzu.

Nikt tu nie kradnie.

- Nie, muszę go wziąć ze sobą.

A ile kosztuje pokój?

- Trzydzieści pięć.

Tobi zawahał się.

Choć do tej pory nie wydał jeszcze ani centa, zostanie mu tylko piętnaście euro.

- Niema nic tańszego?

Właścicielka westchnęła.

Uśmiechnęła się.

- Jak nikomu nie powiesz, to wynajmę ci za trzydzieści.

Zgoda?

345.

Mrugnęła do ostatnich dwóch gości, którzy wstali, żeby zapłacić.

Podliczyła, skasowała, potem zamknęła drzwi wejściowe na klucz.

- A co ze śniadaniem?

- Bez obaw, chłopcze.

Niewsiądziesz na rower gładny.

Tobi wyjął spod podkoszulka saszetkę, a z niej banknot pięćdziesiąt euro.

- Zapłacę.

I śniadanie też najchętniej poproszę od razu.

- Nie, chłopcze, nawet gdybym chciała.

Kuchnia już zamknięta.

Śniadanie jest od siódmej do dziesiątej.

Noto decyduj się.

Bo zamykam.

- Niech będzie - zgodził się Tobi.

Wzięła od niego pieniądze i zniknęła w kuchni.

Dwie minuty później wróciła, wydała muresztę i postawiła nabarze talerz z dwiema kromkami chleba i zimnym kotлетem.

Wyjęła z lodówki butelkę wody mineralnej i podała mu szklanekę.

- Na koszt zakładu - powiedziała.

- Inaczej jutro obudzisz się spragniony z głodu.

Tobi zrozumiał, że powinien się roześmiać.

Ale był zbyt wyczerpany.

Podziękował.

- Jak zjesz, zgaś po prostu światło.

Tu masz klucz.

Pierwsze piętro, drugie drzwi po prawej.

Dobrej nocy.

Słońce świeciło już jasno, gdy się obudził.

Spojrzał na zegarek; było prawie południe.

Napuścił wody do wanny, umył zęby, moczył się pół godziny, aż palce całkiem mu zbielały i pomarszczyły się.

Spakował swoje rzeczy, zniósł po schodach czerwoną kolarzówkę.

Gdy wszedł do restauracji, zobaczył właścicielkę krzątającą się po kuchni.

- Dobrze spałeś?

- Na śniadanie już pewnie zapóźno?

- odpowiedział pytaniem.

346

- Zaraz będzie.

Chcesz kawę czy kakao?

- Kawę.

Co to za miejscowość?

- To znaczy?

Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, gdzie jesteś?

Tobi przytaknął.

- Nie wiesz co!

Jesteś w Miehlen.

Stąd pochodził Schinderhannes.

Ale pewnie nie wiesz, kto to był.

Nie oczekiwała odpowiedzi, Tobi się nie odezwał.

Zjadł dwie bułki i duży kawałek ciasta drożdżowego.

- Nie musisz chodzić doszkoły?

Wzruszył ramionami.

- Jak byłam młodą dziewczyną, to wciąż uciekałam, ale za każdym razem wracałam.

- Dlaczego?

- Chciałam do miasta.

Właściwie ciągle jeszcze chcę.

- To dlaczego się pani nie przeprowadzi?

- Już za późno.

Na niektóre rzeczy w pewnej chwili jest za późno.

Obeszła pomieszczenie, poprawiła obrus na stołach.

Ale nie było nic do poprawiania.

Tobi zauważył, że robił to, by być w jego pobliżu.

Stała przy oknie.

- Zawsze chciałam mieć takiego syna jak ty - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Ale nie znalazłam właściwego mężczyzny.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Wyznanie obcej kobiety krępowało go.

Wstał i podziękował.

Schinderhannes - właśc.

Johannes Buckler, ur.

1779 w Miehlen albo Weidenbach w górach Taunus, zm.

21 listopada 1803 w Moguncji.

Rozbójnik, udowodniono mu sto trzydzieści czynów karalnych, głównie kradzieży, wymuszeń i napadów.

Miał w sumie dziewięćdziesięciu trzech współników.

347.

- Do widzenia.

-Nie, już się nie zobaczymy.

Ale życzę ciwyszystkiegodobrego.

Skinął głową.

- I zadzwoń do domu.

Twoja mama pewnie się martwi.

Obiecujesz?

-Tak.

Zniósł rower na ulicę.

Potemwsiadłi ruszył.

Po dwudziestu metrach odwrócił się.

Kobieta wyszła przed dom,patrzyła za nim.

Zanim wziął zakręt, oderwał lewą rękę od kierownicy i uniósł w geście pożegnania.

Nie spieszył się.

Musiał kilka razy pytać o drogę.

I zawsze,gdy kierowano go na główną szosę, skręcał przy najbliższej okazji i szukał mniej uczęszczanego odcinka.

Nie wiedział, dlaczego chcedojechać do Moguncji.

Może dlatego, że dziadek raz opowiadał mu, że gdy sam był przed laty w wielkich tarapatach, to tam pomógł mu obcy mężczyzna, ukrywał go przez kilka dni.

Od tamtej pory dla Tobiego to miasto oznaczało ratunek.

Późnym popołudniem dotarł do mostu na Renie.

Przejechał go i zanurzył się w plataninę wąskich, staromiejskich uliczek.

Poczuł zapach pieczonej pizzy, był bardzo głodny.

Za katedrą znalazł barak budowlany ustawiony na kilku grubych, drewnianych paletach, tak że pod nim powstała wolna przestrzeń.

Odczekał moment i gdy niknie patrzył, wsunął tam rower i plecak.

Włóczył się po mieście.

Kupił ciepłego precla z solą i lemoniadę.

Połąził po domach towarowych.

Przeliczył pieniądze i postanowił zjeść talerz spaghetti przed restauracją na placu katedralnym.

Zamówił i wybrał numer Mary.

- Jak się masz?

- zapytał.

348

Odpowiedziała wymijająco.

Potem zaczęła opowiadać.

Że była już dwa razy u dziadka, który czuje się dobrze, ale wciąż pyta o wnuka.

Że Flocky znowu ma pchły i że koniecznie musi coś z tym zrobić.

Że jej brat grał domów piłkę i stłukł wielki wazon.

Mówiła i mówiła.

- Mara, co się dzieje?

-Czemu pytasz?

co się ma dziać?

- Coś z tobą nie tak.

Dlaczego mi towszystko opowiadasz?

Milczała.

Tobi czekała odpowiedź.

Coś było nie w porządku, a on chciał wiedzieć, o co chodzi.

- Dzwonił już do ciebie?
- Kto?
- Ten komisarz, którego wizytówkę wrzuciłam ci do skrzynki.
Wzięłam głęboki oddech.
- Czy to znaczy, że dałaś mu mój numer?
- On chce ci pomóc, Tobi.
Nie wiedziałam, co robić.
Bałam się o ciebie.
Ja..
Jesteś na mnie zły?
Zastanowiłam się.
Nie był zły.
- Nie.
Nieważne.
Może sam do niego zadzwonię.
- Co chcesz zrobić?
Kiedy wracasz?
- Nie wiem.
Może jutro - rozłączył się.
Potem zobaczył mężczyznę.
Stał jakieś pięćdziesiąt metrów od niego, przed wejściem do sklepu z butami.
Tobi dostrzegł w witrynie duże tablice reklamowe firmy Mephisto.
Nieopodal kilku turystów fotografowało się nawzajem przed pomnikiem św.
Bonifacego.
Mężczyzna miał na nosie okulary słoneczne.
Odwrócił się, udawał, że ogląda wystawę.
Nie, pomyślał Tobi, toniemoże być prawda.
To nie ten sam facet.
Niemożliwe.
Nie mógł wiedzieć, że tu jestem.
Musiałem się pomylić.

Nie odrywał wzroku od sklepu z butami mieszczącego się w jednej z kamienic otaczających katedrę.

Budynki wyglądały jak stado kurcząt wokół kwoki.

Przywołał kelnerkę.

Zapytał, czy może wycofać zamówienie.

- Za późno.

Kucharz już przygotował.

- mówiła ze słowiańskim akcentem.

- Chciałbym zapłacić.

- Chwileczkę.

Weszła do restauracji, wróciła i postawiła przed nim spaghetti.

Wyciągając pieniądze, na krótką chwilę oderwał wzrok od mężczyzny.

Gdy znów podniósł głowę, już go nie było.

A więc jednak, pomyślał, pomyliłem się.

To był facet, który potrzebuje nowych butów, przypadkowo miał nanoszące okulary słoneczne, to wszystko.

Mimo to przeszedłmu apetyt.

Zmusił się do zjedzenia kilku kęsów, potem odsunął talerz.

Wstał.

Będziemusiał znaleźć miejsce na nocleg.

Gdy mijał teatr, usłyszał za sobą kroki.

Tamten wrócił.

Serce zaczęło mu bić jak oszalałe.

Przyspieszył kroku, zaczął biec.

Mężczyzna za nim.

Dotarł do Rheinstrasse, światła dla pieszych zmieniły się na czerwone.

Auta ruszyły z obu stron.

Ale Tobie wbiegła jezdnię.

Kierowcy zaczęli trąbić jak opętani.

Tuż przednim zahamował jakiś kabriolet.

Kierowca wrzeszczał.

Jednym dużym skokiem Tobie znalazł się po drugiej stronie ulicy.

Usłyszał huk.

Inny samochód wjechał w tył kabrioletu.

Biegł, nie oglądając się za siebie.

Uliczką w stronę rzeki, między halą Rheingold a ratuszem.

Pędził wzdłuż brzegu Renu, okrążając stare miasto wielkim łukiem.

350

Na Augustinusstrasse pierwszy raz się zatrzymał.

Skrył się w bramie, żeby złapać oddech.

Znów zobaczył mężczyznę w okularach.

Był w prawdzie daleko, ale wciąż był.

Wystartował raz jeszcze.

Ale czuł, że siły go opuszczają.

Musiał się gdzieś schować.

Musiał znaleźć bezpieczniejsze miejsce.

Znalazł się na tyłach katedry.

Zobaczył, że z jednej z przybudówek wychodzi robotnik i chowa narzędzi do małego transportera.

Tobi wśliznął się do budynku, pobiegł do drzwi, które widać było na końcu korytarza.

Otworzył je i nagle znalazł się na krużgankach.

Nikogo nie było.

Pochylił się, przemknął wzdłuż muru, otworzył kolejne drzwi i wszedł do katedry.

Odetchnął.

Wewnątrz było już tylko kilku zwiedzających.

Ruszył niespiesznym krokiem.

Miał nadzieję, że wygląda na turystę.

Chodził między wysokimi filarami w tę i z powrotem, jakby oglądał postaci biskupów.

Wydawał się sobie mały pod ogromną kopułą kościelnego dachu.

Tak mały jak jeszcze nigdy dotąd.

Podszedł do niego gruby mężczyzna w czarnym garniturze.

- Zamykamy - powiedział.

- Proszę opuścić katedrę.

Tobi skinął głową, mężczyzna oddalił się w stronę grupy innych turystów.

Chłopiec ukrył się za jednym z filarów, potem zsunął się na podłogę, pod ławkę.

Kilka minut później usłyszał kroki kościelnego przebrzmiewające w oddali wielkiej budowli.

Potem zamknęły się drzwi.

Został sam.

Gdy obudził się następnego ranka, słońce przeświecało przez małe gromadki wysokich okien.

Przez noc zrobiło się

351.

chłodno.

Zima znów wróciła, dwa dni wcześniej, niż zapowiadali w prognozie pogody.

Spał niespokojnie.

Zmarzli bolały go plecy.

Wyszedł z katedry, mijając ludzi spieszących na poranną mszę.

Przed wejściem leżało kilku bezdomnych w śpiworach.

Na targu handlarze rozkładali stoiska.

Wrócił do baraku, pod którym schował rower i plecak.

Nic nie zginęło.

Rozejrzał się za piekarnią, za ostatnie pieniądze kupił kawę i kawałek ciasta z kruszonką.

Mężczyźni w okularach nie było.

Ale jak znów się jawi, to on, Tobi, znajdzie się w opałach.

Potrzebował pomocy.

Wsiadł na czerwony rower i ruszył.

Jedenaście

Wczorajszy wieczór też skończył się późno.

Po powrocie Marthalera od Rainera Hirschberga długo jeszcze siedzieli przy zabójczym stole w Białym Domu.

Wszyscy, z wyjątkiem Tollera, który znów wymówił się bólem brzucha.

Komisarz zrelacjonował to, czego się dowiedział od psychologa.

Starał się nie okazywać swoich wątpliwości co do jego osoby.

Skończyli grubo po północy.

Umówili się na dziesiątą następnego dnia, mieli rozdzielić zadania.

Właśnie skończył drugą filiżankę podwójnego espresso, gdy z korytarza dobiegły go jakieś odgłosy.

Była dziesiąta dwadzieścia.

Podszedł do drzwi wejściowych i przyłożył do nich ucho, nasłuchiwał.

Gdy je otworzył, zobaczył obcego chłopca i rower oparty o ścianę.

Chłopiec siedział na schodach.

- Co tu robisz?

- Chciał pan do mnie zadzwonić.

Teraz zorientował się, kogo ma przed sobą.

- Jesteś Tobi, prawda?

Wejdz.

Albo poczekaj, zniemiemy rower do piwnicy.

- Nie, muszę go wziąć do mieszkania.

Poszedł pierwszy i zaprowadził chłopca do dużego pokoju.

Poprosił go, by usiadł.

- Co się z tobą dzieje?

Cały drżysz.

353.

Chłopak skinął głową.

Marthaler położył mu rękę naczole.

- Masz gorączkę, jesteś przeziębiony.

-Co tam.

- Tobi odsunął się.

Marthaler poszedł do kuchni.

Nastawiając wodę na herbatę, próbował nawiązać rozmowę.

- Dzwoniłem do ciebie późnym popołudniem.

Ale miałeś wyłączoną komórkę.

- Znalazł mnie.

Byłem w Moguncji, a on mnie znalazł.

Komisarz dopiero pochwili pojął, o kim mowa.

- Muszę zadzwonić.

Potem porozmawiamy.

Wszystko zrobię jak trzeba.

Teraz jesteś bezpieczny.

Możesz tu zostać, jak długo chcesz.

Możesz tu mieszkać, aż go złapiemy.

Nikt ci nic nie zrobi.

Maramówiła, że twój dziadek jest chory.

Zatroszczymy się oniego.

- Nikt nie może się dowiedzieć, gdzie jestem.

Nikt!

-wykrzyknął Tobi.

- Okej.

Obiecuję.

- Nawet inni policjanci.

-Jak chcesz, to nic nie powiem kolegom.

Ale jest jeden człowiek, którego muszę powiedzieć.

To moja dziewczyna, moja przyjaciółka.

Ma na imię Tereza.

Ona musi wiedzieć.

Chłopak przyjrzał mu się badawczo.

Skinął głową.

Marthaler poszedł do sypialni i wybrał numer Kerstin Henschel.

- Zaczynajcie bez mnie - powiedział.

- Trochę się spóźnię.

Ale nie powiem dlaczego.

- W porządku.

Tylko nie każ na siebie za długo czekać.

Na coś spadłam.

W nocy jeszcze trochę surfowałam po internecie.

Znalazłam coś, co powinienś obejrzeć.

Wrócił do chłopca, który obiema rękami trzymał duży kubek z gorącą herbatą.

Był blady, oczy błyszczały mu jak od gorączki.

354

- Myślę, że będziesz chory.

Wpakujemy cię teraz pod koc i porozmawiamy.

Musisz opowiedzieć mi wszystko, co widziałeś.

Tobi skinął głową.
Marthaler przyniósł pościel i starą piżamę.
Gdy uznał, że chłopak ma już wszystko, zaczął rozmawiać.
Początkowo Tobi zaciął się, ociągał.
Ale w końcu chyba zrozumiał, że możliwość zwierzenia się komuś dobrze mu robi.
Opowiedział o popołudniu spędzonym z Marą na wydmach.
O samochodzie, którego silnik nie chciał zaskoczyć, i o mężczyźnie z pistoletem.
Marthaler pozwolił mu mówić, pierwsze pytanie postawił dopiero, gdy skończył.
Czy byłby w stanie rozpoznać znajomego, czy udałoby się go opisać?
- Wiesz, co to jest portret pamięciowy?
Tobi przytaknął.
- Mógłbyś nam pomóc stworzyć taki portret?
Mamy w komendzie program komputerowy i ludzi, którzy to potrafią.
- Nie.
Nie ruszę się stąd.
I nikt nie może się dowiedzieć, że tu jestem.
Obiecał pan.
Nikt.
- Okej.
- Poza tym nie widziałem go z bliska.
I z każdym razem nosił okulary słoneczne.
- Wiesz, jaki miał samochód?
- Duży, ciemny.
Nie znam się na samochodach.
- No ale co to było?
Mercedes, bmw, audi, opel?
Był stary czy nowy?
- Był duży i ciemny - Tobi wzruszył ramionami.
- Może granatowy.
Więcej nie wiem.
Marthaler zmienił temat.
Jeszcze raz przeszedł wydarzenia wczorajszego dnia.
Zapytało rzekomy radiowóz stojący pod domem Tobiego.
I o mężczyznę, którego uciekł w Moguncji.
Nie był pewien, co chłopak faktycznie

widział.

Często świadkowie morderstwa byli tak przerażeni, że ich zeznania stawały się niewiarygodne.

Czuli się ścigani, choć nie było rzeczywistego zagrożenia.

- Z tyłu na samochodzie była gwiazda.

- Gwiazda?

A więc jednak mercedes?

- Nie, inna gwiazda, nie wiem.

Po godzinie Marthaler zrozumiał, że na razie niczego więcej się nie dowie.

Chłopak leciał z nóg.

- Spróbuj teraz zasnąć.

Jak się obudzisz, możesz pooglądać telewizję albo posłuchać muzyki.

A jak zgłodniejesz, weź sobie coś z lodówki.

Najważniejsze, żebyś znowu nie uciekł.

Tobi skinał głową.

Opadały mu powieki.

Marthaler poszedł do kuchni po szklankę wody.

Gdy wrócił, chłopiec już spał.

Na jego czole perlily się grube krople potu.

- Robert, wreszcie!

- zawołała Kerstin, gdy koło południa wszedł dosali odpraw.

- Musisz zdecydować.

Mamy propozycję, ale wszystko zależy od ciebie.

- Powoli, nic nie rozumiem - rozejrzył się bezradnie wokoło.

- Co siedzieje?

Co zamierzacie?

Co zależy ode mnie?

Zorientował się, że od północy, odkąd się rozstali, coś drgnęło.

Jakby jego współpracownicy ustawili się w blokach startowych, żeby ruszyć do decydującego biegu.

Nawet Toller, który wciąż jeszcze wyglądał, jakby bolał go brzuch, wiercił się niecierpliwie na krześle.

Kerstin sprawiała wrażenie wyczerpanej, ale jednocześnie nakręconej.

- Poczekaj, najpierw chciałabym ci coś pokazać.

Otworzyła laptop leżący na stole i poprosiła, żeby usiadł obok niej.

- Opowiem ci wszystko pokolei.

Zastanawiałam się, jak morderca nawiązał kontakt z Andrea Lorenz.

Jeśli

356

prawdą jest, że jej nie znał, musiał w jakiś sposób dowiedzieć się, że ta kobieta oprócz usług kosmetycznych i masażu oferuje coś jeszcze.

Wczoraj po południu trzy godziny siedziałam z ludźmi z obyczajówki.

Przeszukaliśmy wszystkie stosowne pisma z anonsami i strony internetowe bez efektów.

- Kerstin - napomniał ją Kai - nie opowiadaj nam tu nieudanych prób.

Powiedz, co odkryłaś.

- No więc tak: w nocy wróciłam do domu i jeszcze raz usiadłam do komputera.

Pomyślałam, że dwa tak spektakularne morderstwa nie mogły przejść niezauważone w czatach.

Wpisałam nazwiska ofiar do wyszukiwarki, wypłuła ponad tysiąc dwieście trafień.

W większości archiwalnymateriały telewizyjne i prasowe.

Mówiąc, włączyła komputer i weszła do sieci.

Po chwilina ekranie pojawiło się okno wyszukiwarki.

Wpisała nazwisko Andrei Lorenz, obok niego słowa "zabójstwo"i "Frankfurt".

Potem nacisnęła ikonkę "Szukaj", przesunęła kursorna jedną z ostatnich stron listy wyników.

- A teraz uważaj!

Na momentna ekranie pojawiła się strona z tekstem, alezanimMarthaler zdołał przeczytać choćby linijkę, kliknęłaikonkę "Home".

Ekran zrobił się czarny, pochwili ukazałsię czerwone kobiece usta,najpierw ułożone wdzióbekjakdo pocałunku, potem otwarły się w uśmiechu.

Z wnętrzaustwysunął się napis "The Casanova Project".

- O Boże - westchnąłMarthaler - ależ to tanie.

-Tak - zgodziła się Kerstin -tastrona istnieje od niedawna, a już odniosła ogromny sukces.

"Casanova Project"to strona anglojęzyczna, administrowana z Manili.

Ale można z niej wejść na podstrony we wszystkich największych językach świata.

Użytkownicy z Niemiec, Austriiii Szwajcarii spotykają się na forum "Casanova".

357.

- Ale o co chodzi?

Co to wszystko znaczy?

- Można powiedzieć, że to taki pokój plotek międzynarodowej turystyki seksualnej.

Jeśli masz ochotę odwiedzić burdel w Bangkoku, Barcelonie czy Nairobi, możesz zapytać tu o doświadczenia innych klientów.

W ciągu kilku godzin powiedzą ci, jaką dziewczynę, za jaką cenę i pod jakim adresem możesz znaleźć.

Dostajesz informacje na temat jej wzrostu, obwodów biust i giętkości.

- A co to ma wspólnego z Andrea Lorenz?

- Poczekaj.

Na forum są różne tematy, tak zwane wątki, które użytkownicy mogą zakładać samodzielnie. Dyskutuje się tam o wszystkim, co interesuje dobrze zarabiającego światowca.

Na przykład: Gdzie tanio kupić części doporsche?

Gdzie w północnym Frankfurcie znaleźć po dwudziestej czwartej indyjską masażystkę, która na dodatek jest blondynką?

Albo: Corobi gorąca Lenka z Eschborn, której tak dawno było już w swingers clubie?

- I o tym wszystkim tam się.

Plotkuje, jak to określiłaś?

- Tak, całkiem legalnie i na poważnie.

Użytkownicy najwyraźniej nie mają cienia skrupułów, gdy o dziewczynach z całego świata rozmawiają jak o bydło.

Płacą, więc wymagają.

Prostytutki są testowane jak każdy inny produkt, a wyniki testów publikowane na forum.

Oczywiście nikt nie pisze pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

Pełna dyskrecja.

Więc wybiera się nick.

Są tam takie piękne pseudonimy, jak Trąba, Sugarboy czy Przytulny Misiaczek.

- Kerstin, do rzeczy!

- tym razem Sven Liebmann się niecierpliwił.

- Nie - zaoponował natychmiast Marthaler.

- Jestem was najstarszy.

Nie można zakładać, że człowiek po czterdziestce codziennie surfuje po internecie.

Więc proszę

358

dalej dokładnie tak samo.

Jeśli to, co macie mi do powiedzenia, jest ważne, to chcę zrozumieć, o co idzie.

- No więc na takich forach pojawiają się nie tylko mężczyźni - ciągnęła Kerstin.

- Jak wszyscy wiemy, konkurencja na rynku usług seksualnych gwałtownie wzrosła, odkąd otworzyły się granice.

Prostytutki wykorzystują szansę, aby wrócić do swojej grupy docelowej.

Włączają się w dyskusje panów, paplają odważnie o tym i owym.

Panom się topodoba i odczasu do czasu nawiązują się osobiste kontakty.

- I sądzisz, że Andrea Lorenz była na takim forum?

Pisała posty i zdobywała klientów?

- Nie sądzę, wiem.

Wróćmy na tę stronę z tekstem.

którą otworzyłam jako pierwszą.

Przeczytaj, proszę, co tam jest napisane.

Strona na ekranie była podzielona na różne akapity.

Każdy tekst był opatrzony nickiem autora, zdjęciem i godziną utworzenia postu.
Marthaler przysunął się do monitora.

Zaczął czytać:

KOCUR 6:28 witaj kingkong -widziałeś już dziś gazety?
straszne co tam się stało na wydmach, szkoda tej dziewczyny, ładna była.
w każdym razie zdjęciu, andrea lorenz -nie wydaje ci się znajoma?
miłego ranka.

KINGKONG 6:39 nie, czemu?
a powinna?
aw ogóle co tu robisz tak wcześnie?

KOCUR 6:42 jadę dziś do monachium, to pomyślałem, że zajrzę na chwilę, jakieś
wskazówki?
masaż na cztery ręce dobrze by mi wieczorem zrobił, ale nie za drogi, jak nie masz to zajrzę do
wątku monachium.

KINGKONG 6:45 tak zrób.
i miłego jodłowania

KOCUR 20:01 spotkanie w monachium odwołane, cały dzień kiblowania w
biurze, wracając do tego zabójstwa we frankfurcie: obejrzałem jeszcze raz zdjęcie tej damy w
hessenschau sobie przypomniałem, raz miałem z nią randkę, zgadnij kto to?

359.

KJNGKONG 20:34 dawaj!

KOCUR 20:41 znasz ją.

w każdym razie zforum, to naszaslowhand.

dłuższy czas grasował w wątku deprawatorów.

tam mi się rzuciła w oczy.

a tu chyba miała całkiem sporoklientów.

KINGKONG 20:44 i co?

miałeś ją?

KOCUR 20:46 tak, u mnie w domu.

osiem, dziewięć tygodniemu.

nie mój rozmiar, poza tym za droga, ale kilku innych casanovów było zdaje się zadowolonych.

RUDILALALA 21:14 jak najbardziej!

mój rozmiar

2YOUNG 21:21 mój też!

co zagówno, mam nadzieję, że złapią tego drania.

Marthaler westchnął.

Odchylił się w krzesło, założył ręce za głowę i zamknął oczy.

- Teraz chyba rozumiem.

Andrea Lorenz bywała na tym forum.

Jako Slowhand.

Wymieniała wiadomości z mężczyznami.

Z przynajmniej trzema z nich się spotkała.

Tak?

- Zgadza się - potwierdziła Kerstin.

- A wiadomości, które właśnie przeczytałem, zostały napisane dzień po jej zamordowaniu.

Tak?

- Znow się zgadza.

- Co to znaczy, że grasowała w wątku deprawatorów?

- To wątek dla mężczyzn, którzy mają skłonność do kobiet zaręczonych bądź mężatek.

Najwyraźniej zdobyć kobiety, którą jest związana z innym mężczyzną, dobrze im robi na poczucie wyższości.

Niektórzy są gotowi za to poczucie zapłacić.

I są prostytutki, które specjalizują się w takich mężczyznach.

Udają niezadowolone żony, które koniecznie potrzebują kochanka.

- I robiła Andrea Lorenz pod pseudonimem Slowhand?

- Tak, ale najlepiej sam sobie obejrzyj, co robiła.

Zobacz wątek "deprawatorzy".

Tam była najaktywniejsza.

360

- nie, - Marthaler potrząsnął głową.

- Nie chcę tego czytać.

Równie dobrze możesz mi opowiedzieć, co tam piszą.

- Dobrze - uśmiechnęła się Kerstin Henschel.

- Najistotniejsze już mówiliśmy.

Mężczyźni opowiadają kobietom o swoich podbojach.

Chełpią się szczegółami.

I wyrażają życzenia.

Andrea Lorenz alias Slowhand ciągle się włączała.

Wydawała się idealna dla takich, coskaczą w bok.
Jak chciała któregoś poznać bliżej, umawiali się na priva.

- Na co?

- Na priva.

Naprywatną wiadomość, której inni użytkownicy forum nie mogą odczytać.
To działa jak skrzynka mailowa, ale nie znasz adresu nadawcy, nie musisz go znać.

- Izakładacie, że morderca też jest użytkownikiem tego forum.

I że umówił się z Andrea Lorenz przez taką prywatną wiadomość.

- Tak jest.

- To znaczy, że musimy poprostu wywiedzieć się prawdziwe nazwisko
tego użytkownika i sprawdzić wszystkich mężczyzn wchodzących w grę.

Jeden z nich to nasz sprawca.

Współpracownicy komisarza popatrzyli po sobie.

Chyba liczyli się z taką konkluzją Marthalera.

- Akurat tak się nie da - powiedziała Kerstin.

- Manfred, ty mu wytłumacz.

Petersen wstał, chodził wzdłuż przeciwległego końca stołutami i z powrotem.

Nie dało się nie zauważyć jego zdenerwowania.

- Nie dowiemy się jego nazwiska.

W każdym razie nie tak prędko.

Jak mówiliśmy: administrator tej strony jest w Manili.

Rozmawiałem dziś rano z prokuraturą.

Według nich uzyskanie podstaw prawnych do wspólnej interwencji z filipińską policją potrwa
co najmniej tydzień, jeśli nie miesiąc.

O ile w ogóle będą skłonni do współpracy.

361.

- Mimo to musimy spróbować - odparł Marthaler.

-Tak, jasne.

Ale nawet gdyby nam się udało, to na niemieckiej stronie "Casanova Project" jest ponad trzydzieśc tysięcy zarejestrowanych użytkowników.

Sprawdzenie ich wszystkich potrwałoby miesiące.

I nie jest powiedziane, że sprawca rozmawiał z Andreą Lorenz na forum.

Może być tak, że wprawdzie jest zarejestrowany, ale nigdy nie napisał żadnego postu.

Może ograniczał się do wiadomości prywatnych.

A te są usuwane z serwera, ledwie odbiorca je odczyta.

- Alena pewno pomoże nam komputer Andrei Lorenz.

Listy, które dostawała, muszą być gdzieś zapisane.

Teraz włączył się Sven Liebmann.

- I to jest dziwne.

Gdy jeszcze raz rozmawialiśmy z Rolandem Lorenzem, jeden z naszych ekspertów sprawdził komputer jego żony.

Nie znalazł nic podejrzanego.

Żadnego śladu.

Dziwne, ale tak jest.

- Może miała drugi komputer, taki, o którym mąż nie wiedział.

- To mało prawdopodobne, ale możliwe.

-Więc musimy to natychmiast zbadać.

Czy Lorenz wie już o

ubocznej działalności swojej żony?

- Tak - odparł Liebmann.

- Niestety, musiałem mu powiedzieć.

- I jak zareagował?

-Jak to powiedzieć.

Biernie.

Właściwie w ogóle nie zareagował.

Patrzył na mnie i kiwał głową.

Nic więcej.

Jakby wciąż jeszcze tego wszystkiego nie pojmował.

- Co jest całkiem zrozumiałe.

Ale mówiliście o jakiejś propozycji.

o decyzji, którą musimy podjąć.

Namoment zaległa cisza.

Znów wymielili spojrzenia.

Zniecierpliwienie Marthalera rosło.

- No co?

- wybuchnął.

-Czy ktoś mi wytłumaczy, co zamierzacie?

362

Oczy wszystkich zwróciły się na Kerstin.

- Robert, postanowiliśmy zalogować się na forum Casanova.

Chcemy go zwabić.

Chcemy, żeby sam się odezwał.

- I jak to ma działać?

-Obejrzałam sobie wpisy Andrei Lorenz.

Jeśli nasz sprawca miał wrażenie, że pisze do niego, to moglibyśmy spróbować pisać podobnie. Wzbudzić jego zainteresowanie.

- To znaczy, że powinniśmy wybrać sobie nicki spróbować się tam zalogować.

Kerstin skinęła głową.

- A potem?

- Trzeba by spróbować się z nim spotkać.

Marthalerowi odebrało mowę.

Popatrzył wokoło.

Potem gwałtownie potrząsnął głową.

- Oszaleliście!

Nie mówicie chyba o tajnym dochodzeniu.

Przepraszam, ale to w ogóle wchodzi w grę.

- Ale to nasza jedyna szansa!

- Kto wam powiedział, że się uda?

A nawet gdyby się miało udać, to jest zbyt niebezpieczne.

Kto miałby się podjąć tego szaleńczego zadania?

- Jak się zrobisz gorąco - Kerstin spojrzała mu prosto w oczy - to w każdej chwili możemy przerwać.

- Kto?

Zadałem pytanie!

- Wreszcie pojął.

- Nie, Kerstin, nie zrobisz tego.

Nie wejdiesz do jaskini lwa.

- Już to zrobiłam.

- Słucham?

- Zalogowałam się na forum Casanova.

Jeszcze nic nienapisałam, ale jestem zarejestrowaną użytkowniczką.

- Do kurwy nędzy!

- Marthaler uderzył dłonią w stół.

- Co ci przyszło do głowy?

Co to za samowola?

Zaczęli mówić wszyscy naraz.

Przez pół godziny próbował się opierać, ale w końcu się poddał.

Musiał przyjąć wiadomości, że tylko ta akcja daje możliwość schwytania

363.

zabójcy.

Ale nie czuł się z tym dobrze.

To jest niebezpieczne, nawet jeśli będą bardzo ostrożni.

- Wiecie, że potrzebujemy pozwolenia góry?

- zapytał

zrezygnowany.

Skinęli głowami.

- I wiecie, że moje stosunki z Eisslerem nie są najlepsze od listopada?

Odtamtęj pory rozmawiałem z nim tylko raz, krótko.

To było w styczniu, gdy zadzwonił, żeby mnie poinformować, że mogę wrócić do pracy.

Będzie z nim musiał porozmawiać ktoś inny.

- Już zrobione - odpowiedział Sven Liebmann.

Marthaler zatkąło.

- Stosujecie metodę faktów dokonanych?

Za moimi

plecami?

- Robert, daj spokój.

Co to znaczy za twoimi plecami?

Czekaliśmy na ciebie całe przedpołudnie.

Praca niemoże

leżeć.

Pojął, że nie ma żadnych argumentów.

Nie mógł powiedzieć, że spędził to przedpołudnie z Tobim.

To on pracował za ich plecami.

- Apod jakim nickiem jesteś zarejestrowana?

- zapytał.

- Desposada.

- Desposada?

- To po hiszpańsku.

Tak określa się kobietę, która właśnie wyszła za mąż: świeżo poślubiona.

Dwanaście

Popołudnie spędził na planowaniu tajnego dochodzenia.

Tylko Sven Liebmann się odmeldował.

Jeszcze raz omówił się z specjalistą od komputerów, miał złożyć Rolandowi Lorenzowi kolejną wizytę.

Reszta układała plan.

Wykorzystując informacje od Rainera Hirschberga, usiłowali wyobrazić sobie, jak sprawca myśli, najakie słowa zareaguje.

Umówili się, że będą obserwować forum na zmianę.

Tylko Marthaler kategorycznie odmówił.

- Niemożecie tego ode mnie wymagać.

Już z realnym światem mam problemy.

Więc proszę: oszczędźcie mi tego!

Tuż przed siedemnastą skończyli.

Sformułowali pierwszy post i właśnie zamierzali go wpisać, gdy Sven otworzył drzwi.

- Nie uwierzycie, co się stało.

To niepojęte.

Natymś wiecie wszystko jest możliwe.

Nie mógł się opanować.
Znalazł wolne krzesło, usiadłi natychmiast wstał.
- Dzwoniliśmy do drzwi.
Długo trwało, zanim otworzył.
Był zdziwiony, że nas widzi.
Zapłakany, u kresu wytrzymałości.
Zapytałem, czy mamy przyjść później, ale zaprzeczył.
- Zapytałeś, czy może istnieć drugi komputer?
365.

- Tak.

I nawet nie był zaskoczony.

Natychmiast potwierdził.

- To znaczy, że jak tam coś znajdziemy, będziemy mogli zrezygnować z tajnego dochodzenia - odetchnął Marthaler.

- Nie, Robert, zapomnij.

Nie ciesz się za wcześnie.

Lorenz wiedział o tym komputerze.

W pewnym sensie się przyznał.

- Przyznał się?

- Przepraszam, to nie to, co myślicie.

Ale miał świadomość tego, co robi jego żona.

Od samego początku.

Tobył ich wspólny plan napodreperowanie domowego budżetu.

- Nie mówisz serio.

- Nie wiedział, kiedy umawia się z innymi mężczyznami; nie chciał wiedzieć.

Ale uzmysławiał sobie, że większość pieniędzy, których potrzebował na spłatę kredytu, nie pochodzi z firmy Wellness-Medico, tylko od mężczyzn, z którymi jego żona uprawia seks.

- I to mu nie przeszkadzało?

- Dręczyło go.

Strasznie go dręczyło.

- No a co z tym komputerem?

- Mam go ze sobą.

jest w samochodzie.

Ale doniczego się nie przyda.

Nie ma, absolutnie nie.

- Ale to z niego jego żona logowała się na forum Casanova?

- Tak.

I na nim zapisywała prywatne wiadomości.

Sformatował twardy dysk.

Jeszcze tego samego dnia, kiedy dowiedział się o zabójstwie, wszystko wykasował.

- Kurwa - zaklął.

Kai Döring.

- Co za głupek.

- Aledlaczego?

- zapytał Marthaler.

- Po co?

Nie może przecież być zainteresowany utrudnianiem śledztwa.

- Nie, to nie.

Ale miał nadzieję, że ta działalność jego żony nie wyjdzie na światło dzienne.

Nie chciał, by

366

wiązano go z tym środowiskiem.

Wymazał twardy dysk, by wymazać plamę na swoim małżeństwie.

- A co to znaczy dla nas?

Dla naszego planu użycia Kerstin jako przynęty?

- Raimund Toller po raz pierwszy włączył się do rozmowy.

- Raimund - skrzywił się Marthaler - zrób to dla mnie, nie nazywaj jej przynętą.

Wariuję namysł, że Kerstinma sięspotkać z tym.
typem.

Tak daleko jeszcze nie zaszedliśmy.

I mam wielką nadzieję, że nie zajdziemy.

- Ale mimo wszystko - nie odpuszczaj Toller - co to znaczy dla naszej akcji?

- Nic - odpowiedział Sven.

- Pracujemy dalej według planu.

Tak jakbyśmy nigdy nie znaleźli tego drugiego komputera.

- Nowięc - odezwała się Kerstin - zaczynajmy.

Zalogowała się pod swoim nickiem.

Wybrała wątek "deprawatorzy".

Kliknęła na hasło "rozpocznij nowy wątek" i zaczęła wpisywać przygotowany tekst.

Gdy skończyła nacisnęła ikonkę wyslij.

Trzy sekundy później na ekranie ukazał się wpis.

- Co to jest?

Skąd to się wzięło?

Obok nicka Desposada pojawiło się małe zdjęcie.

Śmiejąca się panna młodej o twarzy w połowie zasłoniętej welonem.

Miała lekko odchylną do tyłu głowę i szczupłą szyję.

Sprawiła tajemnicze wrażenie.

Marthaler nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy, równocześnie przyjaznej wyniosłej.

- Znalazłam to w sieci.

Wszyscy tak robią.

Szuka się jakiegoś zdjęcia albo grafiki używa się jako awatara.

Wszystko, co piszę, będzie od tej chwili łączone przez innych użytkowników forum z tym zdjęciem.

- Perfekcyjne - powiedział Marthaler.

367.

- To znaczy, że nasza akcja jednak ci się podoba?

-Kerstin spojrzała na niego zdziwiona.

- Mniejsza o to.

Popatrzmy, co się stanie.

DESPOSADA 17:03 Witajcie Deprawatorzy, jestem nowa.

Chciałabym się krótko przedstawić.

Mam trzydzieści jedenlat i jestem (znowu) świeżo upieczoną mężatką.

Alemojaciekawość jest niezaspokojona.

Już od wielu tygodni czytamniektóre waszewpisy.

Zwariowane ipasjonujące.

Jestem, nawiasem mówiąc, z regionu Ren-Men.

Pierwszaodpowieźprzyszłaporaptem dwóch minutach.

Stłoczyli się za plecami Kerstin, żebyśledzić rozwójwydarzeń na ekranie laptopa.

PRANZ-KTÓRY-MOŻE 17:05 Region Ren-Men.

Uważajna siebiedziwczyno!

To aktualnie chyba nie za bezpiecznaokolica.

Tak czy owak: Witaj naforum.

Kobiecynarybek zawsze cieszy.

Franz z Eifel.

YOGAMONSTER 17:06 Witaj Desposada.

Piękne imię,piękne zdjęcie.

Mieszkam w pobliżuInnsbrucka.

Szkoda, trochę za daleko.

Ale: zawsze gotowy.

FRANKIE-OFF 17:09 To i ode mnie dzień dobry.

Mam nadzieję, że czujesz się u nas dobrze.

Jestem z Mannheim (wcalenietak daleko!

)

xxx-CL o UD 17:10 Cześć Desposada.

Mam nadzieję, że zgodnie zastąpisz naszą Slowhand.

Znałaś ją?

- Co myślicie, mamy od razu odpowiedzieć?

- Kerstinrozejrzała się pytająco.

- Jasne - odpowiedział Kai.

- Powinniśmy to terazpociągnąć.

Nie mamy czasu do stracenia.

Kerstin zaczęła pisać.

DESPOSADA 17:14 Dziękuję za miłe przywitanie.

Tak, znałam Slowhand.

Nie osobiście, ale z forum.

Lubiłam czytać jej posty.

Miałam wrażenie, że jesteśmy duchowymi siostrami.

Naprawdę smutne.

368

- Ja mamdość - stwierdził Marthaler.

- Dłużej tegonie wytrzymam.

Ciarki mnie przechodzą, kiedy na waspatrzę.

Mam wrażenie, że jesteśmy na wybiegu dla wilków.

Podzielcie się na zmiany i w razie czego natychmiastmeldujcie.

Czy ktoś wyglądał przez okno w ciągu ostatniej półgodziny?

Pada śnieg.

Zimawróciła.

Marthaler otrzepał śnieg z butów.

Wyjął pocztę ze skrzynki i właśnie wkładał klucz do zamka, gdy ktoś otworzył drzwi od środka.

- Tereza?

- Tak, to ja.

We własnej osobie - roześmiała się i pocałowała go w policzek.

- Nie chciałam cię przestraszyć.

- Co ci się nieudało.

Widziałaś.

Mam gościa.

- Tak.

Wiem.

Tobi.

Ale masz więcej gości.

Dom jest pełny.

Z dużego pokoju dolatywały głosy i muzyka.

Pachniało jedzeniem.

- Możesz mi to.

wytłumaczyć?

- Nie, sam masz oczy.

Najpierw zobaczył małego starego mężczyznę, który siedział przy stole i uśmiechał się.

- To mój dziadek - przedstawił go Tobi.

Leżał na kanapie owinięty kocem.

Oczywiście mu błyszczały gorączką, ale ogólnie sprawiał wrażenie mniej wystraszonego niż przed południem.

Mara siedziała na podłodze, ona też patrzyła na Marthalera takim wzrokiem, jakby się spodziewała wybuchu radości, że jego dom tak nieoczekiwanie wypełnił się życiem.

Przywitał się ze wszystkimi.

Potem poszedł za Terezą do kuchni.

Opowiedziała, że przyjechała po południu pokilka książek.

I Tobi, i ona najpierw się siebie przestraszyli.

W końcu chłopiec wszystko jej opowiedział.

Więc

niewiele myśląc, wsiadła w taksówkę i pojechała do mieszkania w Gallus.

-A potem?

- Mara właśnie była u dziadka.

Więc zaprosiłam wszystkich na kolację.

Ugotuję ogromnygar spaghetti z sosempomidorowym.

Zachowywała się tak, jakby tobyła dla niej najbardziejjoczywistarzecz pod słońcem.

I najwyraźniejdobrze sięczuła w roligospodyni.

- Co z nim?

-Ma wielki katar, to wszystko.

- Aty masz wielkie serce - chciał, żeby to zdanie zabrzmiało nieco ironicznie.

-Nie, mam wielki głód.

- I co?

- zapytał Tobi, gdy usiedli do stołu, a Tereza zaczęła nakładać na talerze wielkie porcje makaronu.

-Znajdziecie tego faceta?

- Tak.

I to bardzo szybko.

Ale dopóki tak się nie stanie, będziecie mieszkać u nas.

Możesz spać nakanapie, dziadka ulokujemy w sąsiednim pokoju.

Ale teraz pomówmy o czymś innym, okej?

To Tereza nadawała tego wieczoru ton rozmowie, opowiadając historie ze szkolnych czasów.

Było widać, że dzieciakom bardzo się spodobała.

Słuchały z otwartymi ustami, śmiały się, gdy używała niewłaściwych słów, formułując komiczne zdania.

Choć Marthaler podejrzewał, że niektóre błędy popełnia celowo, żeby je rozbawić.

Ale mimo iż taki nastrój dobrze mu robił, z trudem koncentrował się na rozmowie.

Wciąż wracał myślami do Białego Domu i do dochodzenia.

Co będzie, gdy morderca rzeczywiście zabierze głos na forum i naprawdę umówi się z Kerstin?

370

Tuż przed dziesiątą dziadek Tobiego zapytał, czy możesz położyć.

Mówienie przychodziło mu z trudem.

Przez cały wieczór odezwał się za ledwie kilkadziesiąt razy.

Wciąż jednak patrzył na Terezę z uśmiechem.

Mara zaprowadziła go do sąsiedniego pokoju i pomogła przebrać się w piżamę.

Potem ona się pożegnała.

- Dostaniesz burę, że tak późno wracasz?

- zapytał Tobi.

- Może.

A może rodziców nie będzie jeszcze w domu.

Marthaler odprowadził ją do drzwi.

Chciał zamówić taksówkę, ale Mara postanowiła pojechać tramwajem.

- To niedaleko.

Za dwadzieścia minut będę w domu.

Mogę przyjść jutro?

- Oczywiście.

Kiedy tylko chcesz.

- To był ładny wieczór - powiedziała Tereza, leżąc obok Marthalera w łóżku.

- Trochę jak kiedyś umnie w domu, w Pradze.

- Tak - odpowiedział.
- Można by pomyśleć, że jesteśmy rodziną.
Milczeli.
Marthalerowi zamykały się oczy.
Wino wypite do kolacji sprawiło, że poczuł się senny.
- Naprawdę powiedziałeś temu chłopcu, że jestem twoją dziewczyną?
- zapytała, gdy już prawie zasypiał.
- Mhmm, no przecież jesteś, czyż nie?
- mruknął.
- Tak - powiedziała jakby do siebie.
- Czasem też mi się tak prawie wydaje.
Gdy zadzwonił telefon, od razu się poderwał.
Odebrał szybko, żeby nie obudzić reszty.
Poszedł do łazienki, zamknął drzwi.
- Robert, powinieneś przyjechać - to był Kai Dóring.
- Zamówiłem radiowóz, zaraz pojedzie.
Zdaje się, że drgnęło.
371.

- To znaczy, że się odezwał?

-Chyba tak.

Przedpółnocą odebraliśmy aż trzy privydo Desposady, wszystkie niewinne.

Przed dziesięciomaminutami znów coś przyszło.

Jesteśmy pewni, że to on.

- Dzwon do Kerstin.

Musi przytym być.

Musią zgodzić się na każdą decyzję, jaką teraz podejmiemy.

Umył zęby, kilkarazynabrał w dłonie zimnej wody ochlapał twarz.

Spojrzał na zegar w kuchni.

Było tuż po wpółdopiętej.

Wyjrzał na ciemną ulicę.

Wciąż sypał śnieg.

Włączyłkspres, szybko się ubrał, wypił filiżankę kawy.

Podjechał radiowóz.

Posuwali się wolno świeżo zasypnymi ulicami.

Kierowca w dobrejwierze próbował nawiązać rozmowę, aleMarthaler prawie nie reagował na jego słowa.

Nerwy miałnapięte.

Chciał skoncentrować się wyłącznie na tym, coich czeka.

Gdy wysiadał pod Białym Domem, nadeszła Kerstin.

Sprawiała wrażenie zmęczonej izasapaniej.

- Jak to się skończy, wezmę kilka dni wolnego - powiedziała.

- Którechciałabym spędzić gdzieś, gdzie jestciepło.

I gdzie nie ma mężczyzn.

A przynajmniej Niemców.

- Dostaniesz urlop.

Miejmy nadzieję, że bardzo szybko.

Drzwi otworzył Manfred Petersen.

Popatrzył na nichzaczzerwienionymi oczami.

- Chodźcie, musicie to zobaczyć.

Wiadomość nadeszłajakieś trzy kwadranse temu.

Ma nicka Armadillo.

Wrzuciłem go do wyszukiwarki,ale jest tak, jak przypuszczaliśmy: jeszcze nigdy nie wypowiadał się na forum.

Petersen poszedłprzodem do sali odpraw.

W pokojubyło ciemno, jeśli nieliczyć światła małej lampki na biurku i blasku ekranu, w który wpatrywał się siedzący przystole Kai.

372

te-1?

- zapytał Manfred.

,?N Nic więcej - Kai wstał,żeby zrobić miejsce kolegom.

-Na forum prawie nic się nie dzieje.

Casanovy też musząkiedyśpać.

A nasz facetprawdopodobnie czeka.

- Ty pierwsza czytaj - powiedział Marthaler.

- Chceszobaczyć, jakzareagujesz.

Potem ja ocenię.

Źrenice Kerstin zwiężyły się w białym świetle ekranu.

Była blada.

Ze skupienia zacisnęła usta.

Marthaler widział, jak jej oczy wciąż przebiegają linijkilistu.

W końcu wstała.

Skinęła głowę.

- Nie ma wątpliwości.

Tegoniemógł napisać nikt inny.

Marthaler usiadł.

Zaczął czytać.

Priv od ARMADILLO 4:18 Witaj Desposada!

Duchowe siostry, to mnie zainteresowało.

Ja też zawarłem znajomość ze Slowhand: krótką ale gwałtowną.

I bardzo podniecającą.

Twoja ciekawość nieznanego zostanie zaspokojona.

Spotkam się na skałach Eschbacher.

Dziś po południu o 15.

Jak chcemy wyświadczyć uprzejmość, to przynieś welon.

Bywają oferty, które dostaje się tylko raz.

Armadillo.

Czytał tekst kilka razy.

Po piątym on też skinął głowę.

- O Boże!

Cholera jasna, macie rację.

To brzmi jednoznacznie, jak napisane przez naszego sprawcę.

Mimo to chciałbym wiedzieć, dlaczego jesteśmy tacy pewni?

Co takiego jest w tym liście, że żadne z nas nie ma wątpliwości?

Kaizapalił górne światło.

Odwrócił się podekscytowany.

- To po prostu musi być on.

Po pierwsze: od razu zareagował na nasze sformułowanie "duchowe siostry".

Po drugie: mówi, że zawarł znajomość z Andrea Lorenz, alias Slowhand.

Po trzecie: ta znajomość była krótką i gwałtowną.

Poczwarte: chce, żeby Desposada przyniosła welon.

Ten ostatni punkt wydaje mi się najważniejszy.

373.

Wprawdzie prasa wiedziała, że Gabriele Hasler była zaręczona, ale nie było mowy o welonie ani w jej przypadku, ani w przypadku zabójstwa Andrei Lorenz.

O tym pozanaminikt nie wiedział.

- Jest jeszcze piątą punkt, którego Kai nie wymienił - odezwał się Petersen.

- Miejsce, które ten Armadillo wybrał na spotkanie.

Skały Eschbacher.

Znow mamy dwa w jednym: miejsce publiczne i na uboczu.

Znow publiczne kryjówka.

- Może mi je ktoś opisać?

- zapytał Marthaler.

- Nigdy tamnie byłem.

- Są w Wysokim Taunusie, kilka kilometrów na północ od Usingen.

Pięknie tam.

Skały mają do dwunastu metrów wysokości.

Przy dobrej pogodzie można spotkać wspinaczy.

Nasz sprawca ma najwyraźniej upodobanie do niezwykłych okolic.

- I co teraz?

Corobimy?

Kai i Manfred milczeli.

- Przepraszam, panowie - odezwała się Kerstin.

- Ale co znaczy to pytanie?

To chyba jasne.

Odpowiemy mu.

Zgodzimy się.

A potem wszystko przygotujemy i złapiemy go dziś po południu na skałach.

Nie rozumiem, nad czym się tu zastanawiać.

- Powoli, Kerstin - powiedział Marthaler.

- Musimy przemyśleć całą masę rzeczy.

Niepokoi mnie ton tego listu.

Armadillo nie pyta, czy Desposada jest zainteresowana spotkaniem.

Decyduje.

Ustala miejsce i czas.

Nie możemy na to pójść.

To my musimy pociągać za sznurki.

Chcemy odpowiedzieć, ale on nawet nie prosi o odpowiedź.

Wydał rozkaz i nie dopuszcza sprzeciwu.

To mi się wcale nie podoba.

- Czy ci się podoba czy nie, nie mamy wyboru.

Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko.

I jeśli stracimy tę szansę, to

374

może nas przejrzeć.

A jego następna wiadomość będzie nam się podobała jeszcze mniej.

- A co, jeśli wszyscy się mylimy?

- zapytał Petersen.

- Jeśli tonie on?

Tylko jakiś nieszkodliwy wariat?

- Zauważymy to - odparła Kerstin.

- Aresztujemy go na miejscu.

Apotem zobaczymy.

Nieuzasadnione aresztowanie to naprawdę najniższe zło.

Marthaler wiedział, że Kerstin ma rację.

Jeśli nie wykorzystają tej szansy, szkody mogą być nie do naprawienia.

- Mam nadzieję, że rozumiecie, co oznacza to, że wyślemy Kerstin na spotkanie?

Będziemy musieli stawić się tam w dużej obsadzie.

Za każdym drzewem, za każdym krzakiem musi stać nasz człowiek.

I wszyscy niewidoczni.

A jednak tak blisko, by wykluczyć wszelkie ryzyko.

Mamymaloczasu na przygotowanie akcji.

Ale jestem z tym, żebyśmy poczekali na Svena i Tollera.

Chciałbym, żeby byli obecni, żeby każdy dokładnie wiedział, co marobić.

- A co z odpowiedzią?

- zapytała Kerstin.

- Mam mu posłać wiadomość, że przyjdę?

- Tak.

Napisz do niego.

Bardziej niebezpiecznie już nie będzie.

Trzynaście

Marthaler poszedł do swojego biura.

Zamknął drzwi.

Chciał w spokoju przemyśleć wydarzenia minionych dwudziestu czterech godzin.

Przedostatniej nocy Kerstin Henschel dokonała decydującego odkrycia: że Andrea Lorenz wysyłała wiadomości na forum internetowe, nawiązując w ten sposób kontakty z mężczyznami.

Kerstin przypuszczała, że morderca także wchodzi na to forum i tu poznał swoją ofiarę.

Ich pierwsze spotkanie skończyło się śmiercią Andrei Lorenz.

Postanowili przeprowadzić tajne dochodzenie.

Wszyscy oprócz niego byli za.

Bronił się, ale rozumiał, że nie ma lepszej propozycji.

Rezygnacja z próby zwabienia sprawcy mogłaby mieć gorsze skutki niż podjęcie tej próby.

Wczoraj, późnym popołudniem, ukrywając się pod nickiem Desposada, napisał pierwszy post, który zainteresował mężczyzn z forum.

Niecaładwa godzinę później z Desposada nawiązał kontakt mężczyzna nazywający siebie Armadillo.

Jednocześnie uznali, że taki list mógł napisać tylko morderca.

To znaczy, że wystarczył niespełna dwa dni, żeby posunąć się dalej niż przez trzymiesięczne śledztwo.

Wydawało się, że wszystko idzie jak z płatka.

Mimoto czuł się nieswojo.

Świat internetu wciąż był dla niego niezrozumiały.

Nie dało się go chwycić.

To był świat

376

słów, pozorów, fałszywych imion.

Wierzyli, że są bardzo blisko mordercy, ale ta bliskość jak do tej pory istniała tylko wirtualnie.

Jakiś mężczyzna, którego nieznali, napisał kilka linijek na swoim komputerze.

I to wystarczyło.

Już wkrótce użyją całego aparatu policyjnego, jakim dysponują.

Aleniek pokoiła go nie tylko ta naskórkowość.

Było coś jeszcze.

Długo się zastanawiał, aż wreszcie pojął - to tempo.

Trudno mu było zaakceptować to, że nie potrzebowali nawet dwunastu godzin, by zwabić w pułapkę mężczyznę, którego uważali za mordercę.

To się działo za szybko.

I to właśnie w całej tej sprawie mu się nie podobało.

Gdy otworzył drzwi, Elvira siedziała już na swoim miejscu.

Nie usłyszał, kiedy przysłała.

Było po wpół do dziewiątej.

Poszedł do sali odpraw i zobaczył, że zebrali się wszyscy.

- Co się dzieje?

Dlaczego mnie nie zawołaliście?

Nie patrzyłem na zegarek.

- Drzwi były zamknięte - odpowiedział Sven Liebmann.

- Myśleliśmy, że chcesz być sam.

- A tak, zgadza się.

Pójdę do Harry'ego po bułki.

Nastawcie kawę.

Jak wrócę, musimy pogadać.

- Coś tu śmierdzi - powiedział Marthaler podczas śniadania.

- Coś przeoczyliśmy.

Szybki sukces nam się spodobał i dlatego nie uważaliśmy.

Popatrzyli na niego, nie rozumiejąc.

- Robert - odezwała się Kerstin - nie mów zagadkami.

Wystarczająco długo naciebie czekaliśmy.

Więc przejdźdo rzeczy.

- To wszystko dzieje się za prędko.

I jest niewiarygodne.

Zagładko nam idzie.

377.

- A co niby nie gra?

- zapytał Kai.

- Nie wiem.

Ale wiem, że tak jest.

- Robert, wyrażaj się jaśniej - zaproponował Sven.

- Twojeżle przeczucia nie wystarczą.

- To niewiarygodne, zemorderca w ciągu dwunastugodzin tak bezwolnie daje się wciągnąć w zasadzkę.

-Aledlaczego?

Ostatecznie nie wie, że to zasadzka.

- Rachunek prawdopodobieństwa temu przeczy, Sven.

Prawdopodobieństwo i moje doświadczenie.

Jestem zdania, że powinniśmy to jeszcze raz przemyśleć.

Może lepiej odstąpić od akcji.

Boję się, że jest na odwrót.

Że tomy ładujemy się w zasadzkę.

Aleznów miał przeciw sobie zgodny frontmłodszychkolegów.

Zaczęli mówić równocześnie, próbując go przekonać.

- W internecie wszystko dzieje się szybciej - powiedział Raimund Toller.

- Tam nie ma listonosza ze skórzaną torbą.

- Dziękuję.

Dziękuję, żetym razem bierzesz udziałw rozmowie.

I że próbujesz nauczyć mnie tabliczki mnożenia.

Manfred wstał.

Z filiżanką kawy w ręce wyglądał przezokno.

Za szybą widać było pojedyncze, grube płatki śniegu.

- Ja też na początkusie zdziwiłem - odezwał się spokojnym głosem.

- Mnie też się wydawało, że naraz wszystko toczy się za szybko.

Ale potem przyszło mi do głowy to, co sobie powiedzieliśmy, że sprawca jest pod presją.

Musimy sobie uświadomić jedno, Robert: ludzie na takich forach to maniacy, coś ich gna.

Siadają do komputerów tak często, jak tylko mogą.

To tam jest życie.

Gdy spojrzeć na to z tej strony, to raczej dziwi, że nie odezwał się wcześniej.

378

- No więc?

-No więc nie uważam za konieczne odwołania akcji.

Powinniśmy pracować z podwójnymi zabezpieczeniami, z największą ostrożnością.

A jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego, zawsze możemy wszystko przerwać.

Przystali na to.

Kolejne godziny upłynęły na przygotowaniach.

Kai przyczepił do ściany mapę Usingen i okolic.

Szybko jednak zorientowali się, że tonie wystarczy.

Musieli rozejrzeć się na miejscu.

Sven został wyznaczony do zebrania w komendzie policji rozszerzonej grupy zadaniowej; miał się udać z ludźmi w skały Eschbacher.

- Niewiemy, co ten człowiek zamierza zrobić z Kerstin - zastanawiał się Dóring.

- Prawdopodobnie chce zaatakować tam, na miejscu.

Pytanie zatem: kiedy będzie właściwym momentem, kiedy powinniśmy interweniować.

- Tak szybko, jak to możliwe - zdecydował Marthaler.

-Możemy założyć, że przy tej pogodzie nie będzie zbyt wielu ludzi.
Kerstin w każdym razie powinna pojawić się dopiero kilka minut po piętnastej.
On poczeka.

Niedopuszczalnym jest, żeby umknęła mu taka okazja.

Będziemy mieli małe wyprzedzenie.

Musimy założyć, że spróbuje zaatakować od razu.

Ledwiego niej zagada, aresztujemy go.

- Może byłoby lepiej - odezwał się Manfred - gdyby ktoś z nas jechał za Kerstin dodatkowym samochodem.

Mógłbym to zrobić.

- W żadnym razie - odpowiedź Kerstin zabrzmiała zdecydowanie.

- Ryzyko, że coś zauważy, jest za duże.

Pozatym nie ma przecież pojęcia, skąd wyjadę.

Po drodze namiejsce nicmi się nie stanie.

Zapomnij.

Przecież nawetnie wie, jak wyglądam.

Wyjadę tuż przed drugą.

Sama!

Nawet przy złych warunkach zdążę na czas.

Jak zjawię się za wcześnie, zaczekam.

379.

- Dobrze - zgodził się Marthaler.
- W takim razie zadzwonisz do mnie, wyjeżdżając z Frankfurtu.
Od tego momentu będziemy w gotowości.
- A teraz pójdę do domu i spróbuję się zdrzemnąć.
Desposada jest bardzo zmęczona.
- Wszyscy powinniśmy tak zrobić - powiedział Marthaler.
- Nie mamy za wiele czasu.
Ale byłoby dobrze, gdybyśmy wszyscy na chwilę się położyli.
Proponuję, żebyśmy spotkali się na posterunku w Usingen.
Ktoś wie, jak tam dojechać?
- Tak - odpowiedział Petersen - pracowałem tam dość długo.
Jest na końcu Weilburger Strasse, dokładnie naprzeciwko straży pożarnej.
Stamtąd do Eschbach jest może pięć minut.
- Dobrze, poinformuję ludzi w Usingen.
Spotkam się tam o czternastej i wyruszymy, każdy z osobna, samochodami cywilnymi.
Właśnie wyjeżdżali z Bad Homburg drogą numer 456, gdy zadzwoniła komórka Marthalera.
To była Kerstin.
- Ruszam - powiedziała.
- W porządku.
Jak się czujesz?
Przespałaś się trochę?
- Tak.
Bez budzika pewnie bym nie wstała.
Jestem spokojna.
Wiem, że mogę na was liczyć.
- Możesz, ale mimo wszystko bądź ostrożna.
Tuż po czternastej na podwórzuza białym budynkiem posterunku zjawił się czternastu policjantów w cywilu.
Prawie się nie odzywali.
Sven Liebmann, który rozeznał się w terenie, dawał ostatnie wskazówki.
- Gdzie Toller?
- zapytał.
- Rozpisałem go.
Nikt nie wiedział.
Była przedpołudniowym zebraniu, później już nikt go nie widział.
380
- Może nowu boli go brzuch - odezwał się Manfred Petersen.
- W takim razie musimy sobie poradzić bez niego.
Jak na komendę siedlido samochodów.
Wyjeżdżali w odstępach jednej, dwóch minut.
Za Eschbach szosa wspinająca się kawałek pod górę.
Po lewej stronie ciągnęły się zaśnieżone pola.
Na skraju drogi rosły brzozy.
Przez ułamek sekundy Marthaler pomyślał, że wkrótce na gałęziach pojawi się pierwsza młoda zieleń nowych liści.
Jak miło byłoby spędzić tu kilka spokojnych dni, może w jednym z tych drewnianych domków letniskowych na zboczach po prawej.

Na skrajulusu, po lewej stronie, widać było parking.
Wysiedli z samochodów, nie rozmawiali.
Byli turystami albo spacerowiczami, którzy wzajemnie się nie znali.
Przy przystanku autobusowym droga się rozwidła.
Marthaler wybrał górną ścieżkę między drzewami.
Zobaczył skały.
Pionowa ściana wyrastała z ziemi na długości około sześćdziesięciu metrów.
Tu także wszystko było zaśnieżone.
- Nie zbliżajcie się do skał - ostrzegł Liebmann.
- Leżyśnig, ślady od razunas zdradzą.
Marthaler schował się w lesie.
Wybrał miejsce, z którego miał dobry widok, sam nie będąc widzianym.
Zobaczył Liebmann.
Robił ostatni obchód, sprawdzał, czy policjanci są do brzo rozlokowani.
Byli gotowi.
Możliwość, że sprawca im się wymknie, była równa zero.
Prawie zero.
Mimo to w okolicznych miejscowościach stały radiowozy, gotowe odciąć mu drogę, gdyby próbował uciekać.
Spojrzała na zegarek.
Było tuż przed trzecią.
Nikogo w zasięgu wzroku.
Za kilka minut przyjedzie Kerstin.
Ale przed nią powinien zjawić się morderca, mężczyzna, który nazywał siebie Armadillo.
Usłyszał w oddali odgłos silnika, ale samochód przejechał dalej.
Zaległa cisza.
381.

Nagle z lasu doleciały głosy dzieci śpiewających piosenkę.
Zaklął pod nosem.
Coraz lepiej je słyszał.
Możeto jakaś klasa albo przedszkolena wycieczka.
Już ruszałw tamtą stronę, gdy piosenka zaczęła cichnąć.
Dzieci się oddalały.
Była piętnasta czternaście.
Do skał nie zbliżył się nikt.
Ani Kerstin, ani żaden mężczyzna.
Niepokój Marthalerarósł z minuty na minutę.
Nawet gdyby sprawca zdecydował się nie przyjeżdżać, Kerstin dawno już powinna tubyć.
Zastanawiała się, co robić.
Najchętniej przerwałaby natychmiast całą akcję, ale zmusił się do cierpliwości.
Czekali.
Prawie pół godziny.
Nic się nie działo.
Usunął się kawałek w głąb lasu i wybrał numer Kerstin.
Miała włączoną komórkę, ale nie odbierała.
Po dwóch minutach spróbował ponownie, znowu nic.
Gdyo piętnastej trzydzieści pięć nadal nikt się nie pojawił, Marthaler opuścił kryjówkę
i stanął na wolnej przestrzeni.
Było mu obojętne, czy zostawia ślady.
Uniół ręce.
- Akcja zakończona - zawołał głośno.
- Coś poszło nietak.
Niech wszyscy przyjdą!
Musimy się naradzić.
Jeden po drugim policjanci zaczęli wychodzić spomiędzy drzewi krzaków.
Po wszystkich znać było napięcie, wyglądali, jakby dopiero teraz odważyli się
odetchnąć.
Irównocześnie byli przybici, że się nie udało.
Trzynastu funkcjonariuszy skupiło się wokół komisarza, czekając, że coś powie, wydarzą kazy.
- Najważniejsze: musimy się dowiedzieć, gdzie jest Kerstin.
Odezwała się domnie prawiedwie godziny temu z Frankfurtu i powiedziała, że wyjeżdża.
Od tamtej pory nie dała znaku życia.
Przed dziesięcioma minutami pierwszy raz doniej zadzwoniłem.
Ma włączoną komórkę, ale nie odbiera.
A więc jeszcze i to.
Chcę, żeby wszystkie
382
dostępne samochody przeszukały okolicę.
Potrzebujemy każdego człowieka.
Może zepsuł jej się samochód albo miała wypadek.
Nie wiem, co się stało, ale musimy ją znaleźć.
Podzielcie się i sprawdźcie wszystkie trasy, które mimogła jechać.
Przywołał do siebie Dóringa, Liebmana i Petersena.
- Nic tu po nas.
Jedziemy do Frankfurtu najkrótszą drogą.
Jestem przekonany, że nie opuściła miasta.

Podróż powrotna upłynęła im na rozważaniach, gdzie popełnili błąd.
Próbowali zachować spokój, alez minutyna minutę coraz gorzej im się toudawało.

Niecałą godzinę później zajechali pod Biały Dom.

Natychmiast rozpętało się piekło.

Dziennikarze już zwietrzyli aferę.

Na ulicy i na podwórzu stali reporterzy i ekipy telewizyjne.

Wszyscy chcieli filmować.

Wszyscy chcieli wyjaśnić.

Nie wdając się w komentarze, policjanci utorowali sobie drogę do wejścia.

W budynku czekała na nich komendant, jego zastępca i rzecznik prasowy.

W pokoju Elviry wszystkie telefony dzwoniły równocześnie.

I wciążani śladu Kerstin.

Poszukiwania szły pełną parą.

W akcji uczestniczyło już ponad stu policjantów z prewencji.

Przed kamienicą, w której mieszkała, stał radiowóz, ale się tam nie pojawiła.

Zebrali się w sali odpraw.

- Jak to możliwe?

- wrzeszczał z furją Marthaler.

- Jak to się dzieje, że ta przeklęta sfera znów wie?

Mamy przeciek.

Chcę, do cholery, wiedzieć, kto powiadomił media!

Nasza koleżanka zniknęła, a nas już oblegają dziennikarze!

Gabriel Eissler stał przy oknie.

Odczekał, aż komisarz się uspokoi, i zaczął mówić półgłosem.

- Niech się pan opanuje, Marthaler.

I nie zgrywa znowu dzikusa.

Nie możemy wysłać na akcję całej armii

383.

policjantów w taki sposób, żeby ukryć to przed opinią publiczną.

I jedno jest pewne.

Tym razem ich potrzebujemy.

I to o wiele wcześniej, niż byśmy tego chcieli.

Słowa Eisslera zabrzmiały tym ostrzej, że wypowiedział je bardzo spokojnym tonem.

Ale to nie podziałała Marthaler.

W tej chwili nic nie mogło go mniej interesować niż to, co sądził albo mówił jakiś zwierzchnik.

Był zajęty własnymi myślami.

- Ma ją.

Kerstin została wprowadzona.

Nie da się tego inaczej wytłumaczyć.

Niewiem, jak to się mogło stać, ale się stało - mruknął bardziej do siebie niż do reszty, alei tak wszyscy myśleli tak samo.

Eissler skinął głową.

- Musimy założyć, że tak jest.

I to najczarniejszy scenariusz z możliwych.

Nikt się nie odezwał.

- Nawet jeśli dałem Svenowi Liebmannowi zgodę na akcję - ciągnął - odpowiedzialność za nią ponosi nadkomisarz Marthaler.

To chyba jasne, że muszę przejąć dalsze dochodzenie.

Choćby po to, żeby znów nie dawać mediom do ręki niepotrzebnej broni.

Współpracownicy popatrzyli na Marthalera, ale ten nie zareagował.

Siedział z opuszczoną głową i gapił się w stół.

- Słyszał pan, co powiedziałem, panie komisarzu?

Podniósł wzrok.

- Nie, przepraszam.

Myślałem nad czymś.

- Powiedziałem, że od tej pory przejmuję dochodzenie.

Popatrzył na komendanta.

- Nie, nie przejmuję pan.

- Tak zrobię, i to moje ostatnie słowo.

Marthaler skinął.

Potem wstał i powoli opuścił salę.

Cicho zamknął za sobą drzwi.

384

Poszedł do biur po torbę.

- Jak coś będzie - powiedział do sekretarki - to zadzwoń do domu.

- Idziesz teraz do domu?

Robert, co siedzieje?

Znów sięgnij ścieś?

- Tak.

Ale to nie problem.

Niech robi, co chce.

Nawet tak wolę.

Chcę to wszystko w spokoju przemyśleć.

Tobi i dziadek siedzieli nakanapie i oglądali telewizję.

Gdy Marthaler wszedł do pokoju, chłopiec podniósł wzroki położył palec na ustach.

Komisarz odłożył przyniesioną pocztę na stos listów reklam piętrzący się na stole w kuchni.

Wciąż nie miał czasu się tym zająć.

Zdjął płaszcz.

Wrócił do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

Otworzył butelkę czerwonego wina i nalał; nietknięszy kieliszka, siedział przy stole i myślał.

Miał rację.

Jego nieufność była uzasadniona.

Mimo to dał się przekonać do przeprowadzenia niebezpiecznej akcji.

Nikomu nie mógł robić wyrzutów.

Ocena Eisslera była prawidłowa: on, Marthaler, ponosił odpowiedzialność za to, co się stało.

Za to, że jego współpracowniczka Kerstin Henschel znalazła się w rękach trzykrotnego zabójcy.

Coś się nie zgadzało.

Nie tylko krótki czas, w którym zgłosił się ten Armadillo.

Jeszcze coś: Jak mu się udało uprowadzić Kerstin jeszcze przed umówionym spotkaniem?

Skąd wiedział, gdzie była?

Zastanawiał się, czy ich przypuszczenia, że mają do czynienia z sadystą specjalizującym się w niewiernych żonach, nie były z gruntu fałszywe.

Może był to ktoś, kogo Kerstin знаła, ktoś, dla kogo poprzednie zabójstwa były tylko przygrywką, może celem miały być właśnie one.

Ktoś, komu ze wszystkiego się zwierzała, kto wiedział, co

385.

i kiedy robi.

Ale kogoś takiego nie było.

W każdym razie Marthaler o nim nie wiedział.

W każdym razie o nim spoza kręgu współpracowników.

Zastygł.

Unosił właśnie kieliszek i zatrzymał się w połowie ruchu.

Miał wrażenie, jakby serce stanęło mu na kilka sekund.

Powoli odstawił kieliszek.

- Kurwa mać.

Jaki ze mnie idiota.

Jaki piramidalny, zakuty idiota!

To, co sobie uświadomił, trafiło go jak obuchem.

Ale nie było innej możliwości.

Był pewien.

Zabójca to ktoś, kto miał wszystkie informacje, jakimi dysponowali oni.

Wiedząc o każdym kroku policji, bo sam jest policjantem.

Przypomniał sobie, że ta myśl pojawiła się w jego głowie nie po raz pierwszy.

Coś takiego przemknęło mu już wtedy, gdy zamordowano kobietę mieszkającą w domu Stefanie Wolfram.

Wówczas było to mgliste przecucie, które natychmiast odepchnął.

Myśl zbyt straszna, żeby domyśleć ją do końca.

Sercemu waliło.

Ale równocześnie był jak sparaliżowany.

Gdy Tobi otworzył drzwi do kuchni, wzdrygnął się.

- Chciałem tylko zapytać, czy mogę sobie zrobić coś do jedzenia.

- Co?.

A, tak.

zrób sobie.

Ale bądź cicho.

Muszę pomyśleć.

Oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach.

Próbował pojąć, jakie są dalsze konsekwencje tego, co właśnie odkrył.

Tobi wyjął z szafki talerze, otworzył lodówkę.

Potem usiadł przy stole.

- O! - wskazał na dużą kopertę leżącą nawierzchnią do przodu - to była taka gwiazda.

- Przepraszam, Tobi, byłem myślami gdzie indziej.

Copowiedziałeś?

386

Tobi wziął kopertę.

Zaproszenie od policyjnych związków zawodowych.

Obok nadawcy na kopercie nadrukowany był duży emblemat.

Wieloramienna gwiazda z literami ZZP w środku: Związek Zawodowy Policjantów.

- Właśnie taka gwiazda była z tyłu naszego samochodu.

Marthaler chwycił chłopca za rękę.

- Powiedz to jeszcze raz!

Jesteś pewien?

Widziałeś duży granatowy samochód z taką gwiazdą?

- Tak - odparł Tobi z przekonaniem.

- Ale może mnie pan puścić?

To boli.

Czternaście To Toller!

- krzyczał Marthaler do telefonu.

- Musimy aresztować Raimunda Tollera.

To on jeździ granatowym volkswagenem sharanem.

A na klapie bagażnika ma naklejkę z gwiazdą policyjnych związków zawodowych.

Niech pan natychmiast wyda nakaz aresztowania.

- Powoli, Marthaler!

Co się z panem dzieje?

Cochcemi pan opowiedzieć?

- uspokajał Eissler.

Marthaler usiłował uporządkować myśli.

Potem opowiedziało swojej teorii.

Komendant długo milczał.

- Tak, też się obawiałem, że to mógłby być ktoś z nas.

Ale szczerze mówiąc, nie chciałem dopuścić do siebie takiej myśli.

- Niech pan posłucha- naciskał Marthaler.

- To nie jest ktoś z nas.

To Toller.

Musimy go natychmiast aresztować.

- Mam propozycję.

Jestem strasznie głodny.

Koleżance Henschel niewiele pomoże, jeśli będziemy kontynuować poszukiwania z pustym żołądkiem.

Zorganizuje pan coś do jedzenia, a ja wezwę Raimunda Tollera do komendy.

Ale zanim oficjalnie go zatrzymamy, chciałbym z panem porozmawiać.

Opowie mi pan szczegółowo o toku swojego rozumowania.

Nie możemy ryzykować jeszcze jednego błędu.

- Zgoda.

Zamówię taksówkę.

388

- Cokolwiek, obojętne!

- powiedział, gdy zapytali w pizzerii, czego sobie życzy.

Nie był głodny, chciał tylko jednego: pomóc Kerstin.

Z dwoma kartonami pizzy i dużą butelką wody pod pachą wskoczył ponownie do taksówki i pojechał do komendy.

- Wszystko się zgadza - powiedział, siadając naprzeciwko komendanta.

- Zacznijmy od zabójstwa Gabriele Hasler.

Na miejscu zdarzenia jako pierwszy pojawili się Toller i jego partner Steinwachs.

Ich ślady były w całym domu.

Eissler chciał coś wtrącić, ale Marthaler nie dał mu dojść do głosu.

- Wiem, że to jeszcze nic nie znaczy, mimowszystko byłam jako pierwszy.

Krótko potem Herrmann oświadczył mi, że Toller od zaraz dołączy do grupy dochodzeniowej.

Zdziwiłem się bronielem, ale nie miałem szansy mu zapobiec.

Od tego momentu miał dostęp do wszystkich informacji dotyczących sprawy.

Wiedział o każdym naszym kroku.

I wykorzystywał to od pierwszej minuty.

- Co pan ma na myśli?

- Był przytym, jak powiedziałem Herrmannowi, że jadę na wydział stomatologii, żeby odnaleźć koleżankę Gabriele Hasler.

Gdy tego samego popołudnia dzwoniłem do domu Stefanie Wolfram, doszło tam do zabójstwa.

- Ale o ile dobrze pana zrozumiałem, rozmawiając z Herrmannem i Tollerem, jeszcze nie znał pan jej nazwiska.

Skąd Toller miałby wiedzieć, kim jest ta koleżanka i gdzie ją znajdzie?

Marthaler wściekle dłużył plastikowym widelcem w pizzę.

- Musiał ją znać.

Musiał spotkać ją już wcześniej.

- Załóżmy, że ją znał.

- Eissler pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Dlaczego miałby ją zabijać?

I dlaczego, jeśli ją znał, zabił niewłaściwą osobę?

389.

- Może upłynęło dużo czasu, odkąd widzieli się ostatni raz?

Wyważył drzwi, zobaczył kobietę i od razu strzelił.

Nie zastanawiał się.

Był święcie przekonany, że kobieta, którą ma przed sobą, to Stefanie Wolfram.

- Ale to jeszcze wciąż nie jest motyw.

- Stefanie Wolfram musicoś wiedzieć.

Musi posiadać jakieś informacje, ale nie może ich skojarzyć.

Albo niewie o ich znaczeniu.

Prawdopodobnie widziała Tollera, jak odwiedzał Gabriele.

- No dobrze, to się da łatwo sprawdzić, pokazując świadkowi jego zdjęcie.

- Tak, z całą pewnością tak zrobimy.

Wszystko, co mówię, będzie trzeba sprawdzić.

Ale to może zająć wieledni.

A tyle czasu nie mamy.

Tyle czasu niema Kerstin Henschel.

- Więc niech pan opowiada!

- Eissler też coraz bardziej się niepokoił.

- Tobi, chłopiec, który widział domniemanego sprawcę na wydmach, ciągle mówił o mężczyźnie w okularach słonecznych.

Podobno przed jego domem pojawił się policjant, dzwonił do drzwi.

Ten policjant też miał nanosie okulary, tak samo jak mężczyzna, który ścigał go w Moguncji.

- Przepraszam - przerwał mu Eissler, zanim wziął do ust kolejny kawałek capricciosy.

- Teraz nic nie rozumiem.

Jaka Moguncja?

Jaki Tobi?

Myślałem, że ten chłopak uciekł?

Marthaler, grzebiąc wciąż w papierowym talerzu, spróbował wytłumaczyć, jak zdobył zeznania chłopca.

Zrozumiał, że nie może dotrzymać danego Tobiemu słowa.

- Ten chłopak się bał.

Siedział pod moimi drzwiami.

Teraz u mnie mieszka.

Obiecałem mu, że nikomu o tym nie powiem.

390

Eissler opuścił widelec i popatrzył na Marthalera, jakby nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

Ale zamiast wybuchnąć, pokręcił głową.

- Tego nie słyszałem, nic nie wiem.

Rozumie pan?

- Tak, ale mimo wszystko potrzebuje pan informacji, które się z tym wiążą.

Więc niech mi pan pozwoli powiedzieć dokońca.

Poprosiłem Tollera, żeby zamówił namierzenie komórki Tobiego, ale wstrzymał się z akcją.

Najwyraźniej jednak tego nie zrobił.

Odnalazł chłopca w Moguncji.

Nikomemu innemu by się to nie udało.

- Pozostaje pytanie o jego alibi.

Co z czasem popełnienia przestępstw?

- Zgadza się, to pytanie pozostaje i musimy je wyjaśnić.

Ale wszystko przemyślałem.

Jest, jak mówię.

Pasuje.

Tollera nie było w Białym Domu, gdy zamordowano Andreę Lorenz.

Nie było go, gdy policjant pojawił się w Gallus.

Mógł być tym mężczyzną z Moguncji.

I to on mógł także wysłać wiadomość na forum Casanova.

Eisslerotał usta, odłożył papierową serwetkę do kartonu po pizzy.

- Niech mi pan przypomni, jak się nazywał ten typ na forum?

- Armadillo.

- Armadillo - zamyślił się Eissler.

- Czy to nieznaczy "pancernik"?

Co zaimię dla sprawcy, który dusi swoje ofiary.

- Wiedział, gdzie mieszka Kerstin, wiedział, kiedy wyjedzie.

I ostatni rzecz, której sam dowiedziałem się przed godziną: chłopak widział na wydmach duży, granatowy samochód z naklejką ZZP na kłapie bagażnika.

Toller mataki samochód.

To on.

Bez wątpienia.

- Tak - skinał głową Eissler.

- Natowyląda.

Proponowałbym, żebyśmy go przesłuchali razem.

Zanim tu

391.

przyjechałem, wysłałem po niego dwóch funkcjonariuszy.

Mam tylko nadzieję.

Nie skończył, w drzwiach pojawił się policjant w mundurze i poprosił o rozmowę w cztery oczy.

Eissler wrócił podenerwowany.

- Toller zniknął.

Nigdziego nie ma.

Musimy coś przedsięwziąć.

- W takim razie - Marthaler poderwał się z miejsca - musimy rozpocząć poszukiwania na wielką skalę.

Musimy przeszukać jego mieszkanie, piwnicę strych.

Sprawdzić, czy ma jakichś krewnych albo znajomych, u których mógłby się ukryć.

Gdzieś musi być.

I gdzieś musi być Kerstin.

- To nie wszystko - powiedział Eissler.

- Ktoś włamał się do pokoju hotelowego Stefanie Wolfram.

Marthaler poczuł, jakby ktoś uderzył go obuchem w głowę.

- A.

czy ona.

- Nie.

Nic jej się nie stało.

Była nabasenie.

Odkrył włamanie po powrocie do pokoju.

To się wydarzyło dziś rano.

- Adlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz?

Eissler wzruszył ramionami.

- O ile dobrze zrozumiałem, Stefanie Wolfram wymeldowała się z hotelu, nie mówiąc, gdzie się udaje.

Recepcjonistka zadzwoniła po południu do komendy, żeby zapytać, kto zapłaci rachunek.

- W takim razie trzeba się zatroszczyć także o nią - stwierdził Marthaler.

- Ale tym musi się zająć Konrad Moreli z Darmstadt.

Gdy bagaże zostały zapakowane i wszyscy wreszcie usadowili się w pociągu, Sabine Steinwachs poczuła jeszcze większy niepokój.

Już drugi raz wstawała, szła do przedziału dla palących, zapalała papierosa i za chwilę go

392

gasila, wracała na swoje miejsce przy oknie, opierała czoło o zimną szybę i w milczeniu wyglądała na zewnątrz.

Tydzień był właściwie udany.

Jeździli na nartach, robili długie piesze wycieczki, narzekali na kiepskie jedzenie, wieczorami siadywali w pokoju kominkowym, grali dwie godziny w karty albo po prostu rozmawiali.

Do konfliktów między uczniami, których się obawiali, nie dochodziło.

Wszyscy brali udział w zajęciach.

I nawet dwoje klasowych dłuźków już drugiego dnia sprawiało wrażenie, jakby czepali radość z tego, że się na chwilę wpasowali w grupę.

Przez kilka dni znowu wiedziała, dlaczego kiedyś uważała zawodną nauczycielkę za najpiękniejszą na świecie.

Właściwie chcieli zostać w schronisku pod Wasserkuppe dwa dni dłużej.

Ale ponieważ w czwartek wysiadło ogrzewanie, wspólnie z uczniami zdecydowali, że wyjadą już dziś.

Po południu pojechali autobusem na dworzec kolejowy w Fuldzie.
Musieli przepuścić dwaprzepelnione pociągi, dopiero w trzecim znaleźli miejsca.
Teraz w ciemności jechali na południe przez zaśnieżone okolice Rhón.

- Co z tobą?

- zapytał Jilrgen Manholt, jeden z dwóch młodych kolegów, z którymi prowadziła zajęcia pozalekcyjne.

Siedzieli w wagonie restauracyjnym przy małym stoliku.

- A co mabyć?

- Wyglądasz na zdenerwowaną.

Wciąż jeszcze nie dodzwoniłaś się do męża?

Przez chwilę kusiło ją, by zignorować pytanie, ale zdecydowała inaczej.

- Nie.

Próbuję od kilku dni.

Nie odzywasię.

-I?

- Martwię się.

393.

- Daj spokój - zaśmiał się.
- Może po prostu rozkoszujesz się statusem słomianego wdowca i spędza czas z kolegami.
- Tak, może masz rację.
Ale wbiegła niedzielę pokłóciliśmy się od tamtej pory nie rozmawialiśmy.
Mam niedobre przeczucia.
Nie włączyła nawet sekretarki.
- A o co poszło?
Masz powody do zazdrości?
- Zazdrość - zaśmiała się.
- To brzmi tak.
normalnie, tak jakby można było o tym mówić.
- A wy nie możecie?
- Problem w tym, że nie ma oczym.
On jest miły, taktowny, przyjacielski.
Nie mam powodów do narzekań.
I wszyscy, przyjaciółki, ojciec, matka, gratulują mi takiego wspaniałego męża.
- Ale?
Zastanawiała się przez chwilę, jak daleko może się posunąć, ile zdradzić.
- Nasze małżeństwo jest martwe.
Nie śpimy ze sobą od półtora roku.
- Myślisz, że ma inną?
- Nie wiem, co ma - potrząsnęła głową.
- Czasem jest niespokojny, czasem znika na dwa dni, jeździ na motorze po okolicy.
Potem wraca i nie mówi, gdzie był.
- A ty nie pytasz?
- Oczywiście, że pytam.
"Jeździłem", mówi.
To wszystko.
A jak jesteśmy razem w domu, to idzie do piwnicy i tam się zamyka.
Mówię do ściany.
Mówię mówię, a on jest przyjacielski i milczy.
Aż w końcu wpadam w histerię i krzyczę.
- Ale kiedyś.
kochaliście się?
- Już sama nie wiem.
- Sabinę zapatrzyła się w ciemne okno.
- Byłam taka niedoświadczona, kiedy się poznaliśmy.
Cieszyłam się, że mam spokój.
Studiowałam, on pracował już w policji, zarabiał.
Jestem mu wdzięczna.
Ale dłużej nie mogę.
Sama się czuję jak martwa.
394
- Masz kogoś?
Nie odpowiedziała.
Opuściła głowę i wpatrywała się w stół.
W końcu skinęła głową.
Gdy zapowiedziano wjazd na dworzec we Frankfurcie, włożyła płaszcz.
- No idź już!

- ponaglił ją Manholt.

Wzięła bagaż, pożegnała się z kolegami i uczniami i stanęła na korytarzu, żeby jak najszybciej wysiąść.

Pospieszyła wdół peronu, ominęła grupę ludzi nawet tak późnej porze wpatrzonych w wielki ekran pobiegnęła na postój taksówek.

- Do Nieder-Eschbach.

A5 za skrzyżowaniem zachodnim była zamknięta z powodu wypadku, musieli więc przeciąć miasto.

Jechali Alleenring, minęli nową komendę policji, główny cmentarz, za którym skręcili w lewo. Przy Eckheim jechali na A66i.

Kilkakrotnie prosiła kierowcę, by jechał szybciej.

Widziała jego wzrok w lusterku.

- Nie da się - powiedział w końcu i nieokreślonym ruchem pokazał za okno.

Znów padał gęsty śnieg.

Spojrzała na zegarek.

Gdy minęli znak Nieder-Eschbachi chwilę później skręcili w lewo na nowe osiedle, była prawie północ.

W ciemnym oknie sąsiadów odsunęła się firanka.

Taksówkarz zaczekał, aż Sabinę otworzy drzwi wejściowe.

Odjechał.

Dom był ciemny.

Zostawiła torbę w korytarzu, powiesiła płaszcz w garderobie.

W żadnym pokoju nie paliło się światło.

Zawołała jego imię, ale nie spodziewała się odpowiedzi.

Z kuchni doleciało ją skrzeczenie kanarka.

Włączyła górne światło i podeszła do klatki.

Kolba zatknięta za

395.

pręty była doszczętnie obdziobana, w karmidle leżały puste łupinki.

Piasek napodłodze był zabrudzony.

Widać było, że nikt nie zajmował sięptakiem od kilku dni.

Podeszła do szafki, nasypała nowych ziarenek do karmidła.

Kanarek natychmiast się uspokoił.

Rozejrzała się.

Na stole stał garnek do połowy wypełniony zupą, butelka po piwie i brudny talerz.

W zlewie piętrzył się stos naczyń.

Przez chwilę bez ruchu nasłuchiwała.

Miała wrażenie, że z piwnicy doleciał jakiś odgłos.

Ale pewnie jej się zdawało, bo nic nie było słychać.

Włączyła radio.

Przeszła przez wszystkie pokoje i pozapalała lampy.

W umywalce w łazience leżały dwa używane ręczniki.

Odkręconapasta do zębów na półce.

Na podłodze między łazienką a sypialnią leżało brudne ubranie.

Wyglądało, jakby każdą część garderoby zostawiał tam, gdzie ją zdjął.

Jego połowa małżeńskiego łóżka była rozkopana, jej nietknięta.

Drzwi do szafy stały otworem.

Jakby mieszkał tu człowiek w wiecznym biegu.

Jakby ktoś zdziczał w ciągu kilku dni.

Postanowiła, że nie spędzi nocy w tym domu, tylko pójdzie do starej wsi, gdzie mieszkali jej rodzice.

Wyłączyła radio i lampy.

Włożyła płaszcz.

Zanim zamknęła zasobę drzwi, jeszcze raz wsłuchała się we wnętrzu domu.

Było spokojnie.

Piętnaście

Marthaler spał zaledwie kilka .

godzin.

Wciąż budziły go koszmary, wiercił się niespokojnie, zmuszał, by poleżeć jeszcze chwilę, by zasnąć choćby na pół godziny.

Jeszcze poprzedniej nocy rozmawiali przez telefon z rzecznikiem prasowym policji, poprosili, żeby zwołał konferencję prasową i zaprosił najważniejsze agencje i stacje telewizyjne.

Powielili zdjęcie Tollera i przekazali wszystkim redakcjom.

Późnym popołudniem list gończy został wyemitowany we wszystkich dużych programach informacyjnych.

Przeszukano mieszkanie Tollera w Oberrad, strych i piwnicę, przetransportowano do Białego Domu wszystkie prywatne dokumenty, zapiski, albumy ze zdjęciami segregatory, kamerę wideo i obydwa komputery.

Nawiązano kontakt, na ile było to możliwe w tak krótkim czasie z znajomymi, krewnymi, dawnymi kolegami i przełożonymi z ósmego komisariatu.

Nikt nie widział go od wczorajszego ranka.

Z dokumentów wynikało, że gdy zamordowano Gabriele Hasler, miał wolne.

Chcieli porozmawiać z Raimundem Steinwachsem, ale najlepszy przyjaciel Tollera przed kilkoma dniami wziął nagłe urlop.

Około dwudziestej drugiej wysłano do niego radiowóz, ale dom w Nieder-Eschbach był zamknięty i ciemny.

Wstał.

Chwiał się ze zmęczenia.

Poszedł do kuchni i włączył radio.

Zrobił sobie espresso.

Czekał na wiadomości

397.

o siódmej.

Znów nadali informację o poszukiwaniach Kerstin Henschel i Raimunda Tollera - jej porywacza, jak domniemywano.

Od wczoraj policja otrzymała niezliczone doniesienia, powiedział spiker, ale wciąż jeszcze brak pewnego śladu.

W audycji tuż po wiadomościach wyemitowano wypowiedź komendanta; Gabriel Eissler podkreślił, że prowadzone poszukiwania to jedna z największych akcji historii frankfurckiej policji.

Mówiąc o trudnościach z powodzeniem blokady ulic, kontroli na dworcach i w środkach komunikacji publicznej, apelował o zrozumienie.

Gdy wypił drugą filiżankę espresso, drzwi do kuchni otworzyły się.

Tobi patrzył na niego zaszpany.

- Znaleźliście go?

Komisarz zaprzeczył.

- 'Ale to już niedługo.

Miałeś rację, to policjant mordował kobiety i śledził ciebie.

Ale nie wie, że tu jesteś.

- Cały wieczór oglądaliśmy z dziadkiem telewizję.

Martwimy się.

- Wiem.

Rozpoznałeś go na zdjęciu, które pokazywali?

- Wciąż jeszcze nie jestem pewien.

Czy będę musiał go

zidentyfikować?

- Tak, może się zdarzyć, że będziesz musiał go obejrzeć, jak już go aresztujemy.

Ale teraz się połóż.

Pośpij jeszcze.

Upiekę wam kilka bułek na później.

Tobi ziewnął i wrócił do dużego pokoju, znów skulił się na kanapie.

Marthaler poszedł do łazienki i wziął możliwie gorący prysznic.

Ubrał się.

Gdy wychodził z domu, sypało.

Dachy były białe, ale

na ulicach śnieg topniał.

398

Właśnie zamierzał przejrzeć leżące na biurku meldunki, gdy wpadł Walter Schilling.

- Już słyszałeś?

- O czym?

Nie zdejmuj płaszcza!

Jedźmy od razu.

'Walter, co jest?

Możesz mi wyjaśnić.

- Właśnie nadali przez radio.

Na skałach Eschbacher znaleziono zwłoki.

Wstrzymał oddech.

- Zwłoki.

Czy to.

- Nie mam pojęcia, nawet nie wiadomo, czy to kobieta.
Zadzwońm od razu do Usingen.
Dopiero dostali zgłoszenie.
Dzwonił jakiś spacerowicz z psem.
Oni też więcej nie wiedzą.
Pojechali tam, ale poprosiłem, żeby nic nie ruszali, dopóki się nie zjawimy.
Nie odzywali się podrodze.
Nie mieli nic do powiedzenia.
Każde zdanie byłoby wyrazem ich bezsilności.
Marthaler wciąż łapał się na tym, że modli się w duchu, niechto nie będzie Kerstin.
Ale wiedział też, że nadzieja jest niewielka.
Wszystko przemawiało za tym, że morderca zmienił wprawdzie harmonogram, ale nie plan.
Gdy zbliżyli się do skraju lasu, zobaczyli radiowozy.
Jak poprzedniego dnia zostawili samochód na parkingu między drzewami.
Mundurowi zabezpieczający teren kiwnęli w milczeniu głowami.
Przywitał się z nimi szef komisariatu w Usingen.
- Otoczyliśmy teren.
Ale czekaliśmy na was, tak jak prosiliście.
- Dobrze - powiedział Schilling.
- Gdzieś wiadek?
Tenczłowiek z psem, który znalazł ciało?
- U nas w komisariacie.
Nie chciał tu wracać.
Dokładnie opisał miejsce zbrodni.
Powiedział, że zwłoki znajdują się na środku ściany południowej.
Trup siedzi oparty o skałę.
399.

We trzech ruszyli zaśnieżoną drogą w kierunku skał.

Gdy zbliżyli się do nich na dwadzieścia metrów, Schilling podniósł rękę.

- Poczekajcie, aż was zawołam.

Wyciągnął mały aparat cyfrowy i zrobił pierwsze zdjęcia.

Potem zniknął za ciemną ścianą wynurzającą się ze śniegu.

Marthaler ciężko oddychał.

Stał ze skrzyżowanymi napiersirkami i kołysał się w przód i w tył.

Czekał.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło, gdy zobaczył wracającego szefa techników.

Nie zdążył nic wyczytać z twarzy Schillinga.

Żołądek wywracał mu się nadrugą stronę.

Pobiegł między drzewa.

Zwymiotował.

Schilling podszedł do niego.

Był poważny, potrząsnął głową.

- Tonie Kerstin, chodź.

Marthaler wypuścił powietrze.

Przez moment bał się, że zemdleje z ulgi.

Potem zobaczył skostniałą, sztywną postać przy skałach.

Była pokryta śniegiem, przypominała zdjęcia zamrożonych, które widział w albumie o bitwie pod Stalingradem.

Nawet twarzi włosy były ukryte za białą skorupą.

Schilling miał rękawiczki.

Schylił się i zaczął odgarniać śnieg.

Zaczął od bosych stóp: To były stopy mężczyzny.

Spodnie podwinięte, lewareka na kolanach, prawa wykręcona na plecy.

Niedaleko stała para wysokich zimowych butów.

Schilling doszedł do głowy.

Zdjął rękawiczkę i przetarł twarz ciepłymi dłońmi.

Odsunął się o krok.

- O Boże!

- zawołał Marthaler.

- Tak.

To Toller.

Przez pół minuty wpatrywał się w zastygłą twarz.

Toller miał zamknięte oczy.

Na brwiach i rzęsach osiadł śnieg.

400

Komisarz opuścił wzrok i zobaczył na ziemi pustą butelkę.

Z etykiety wynikało, że był to wysokoprocentowy rum.

- Sądziś, że popełnił.

- Na początku też tak pomyślałem, ale nie.

Pomyślałem, że posłużył się starą metodą.

Trzeba zdjąć buty i skarpetki.

Potem bierze się tabletki nasenne i upija się na mrozie.

Zasypia się zamarza.

Podobno jedna z najprzyjemniejszych metod odebrania sobie życia - jeśli w ogóle można tak powiedzieć.

- Co to znaczy: ale nie?

Co chciałeś powiedzieć?

- Popatrz!

Tu są ślady trzech różnych osób.

I psa.

Widzisz ślady psa?

A tu jego pana.

Są dość świeże.

Kończą się wyraźnie kawałek przed zwłokami.

Potem mamy ślady Tollera.

Prawie całkowicie zawiane, ale można je jeszcze rozpoznać.

Prowadzą tylko w kierunku skał, w oczywisty sposób tam się kończą.

Są też odciski jeszcze jednej pary butów.

Kogoś, kto przyszedł z Tollerem, ale odszedł sam.

Widzisz, czasem nie trzeba skomplikowanej techniki.

Wystarczy bystre oko i indiańska umiejętność czytania śladów.

- Ale to nie ma sensu.

Toller przychodzi z kimś.

z mężczyzną czy kobietą?

- To są męskie buty.

- A więc mężczyzną.

- No cóż, musimy się koncentrować na tym, co widzimy.

Możesz zaprowadzić nas dalej.

- Więcej jeszcze raz: Toller przychodzi pod skały z innym mężczyzną.

Zdejmuje buty, bierze tabletki nasenne, siada w śniegu i upija się.

Zasypia.

Ten drugi mężczyzna odchodzi.

Toller zamarza.

Tak się to mniej więcej odbyło, zgadza się?

- Można to wytłumaczyć tylko tak, że Toller został dotego zmuszony.

401.

Schilling podszedł do zwłok i odsunął je kawałek odściany.

- Cholera!

Popatrz, co za gównno!

Tu masz odpowiedź.

Marthaler zbliżył się i zobaczył, o co chodzi Schillingowi.

Prawa ręka Tollera była zakuta wkajdanki przyczepione do haka wbitego w ścianę.

- Nie miał szans.

Nie mógł uciec.

- O Boże!

-Ten hak jest nowy.

Został zamocowany niedawno.

Ktokolwiek to zrobił, zaplanował to.

Komisarz usiłował uporządkować myśli.

- Wiemy,co się stało.

Ale w ogóle tego nie rozumiem.

Nie pasuje do tego, co wydarzyło się do tej pory.

Tollerzabijałtrzy kobiety, dwie celowo,trzecią przez przypadek,bo sądzi,że mogłaby być świadkiem.

Chcemy zwabić go zasadzkę.

Zna nasze plany, więc to on nas w nią wciąga.

Uprowadza Kerstin.

A potem?

Co się stało potem?

Schilling milczał.

Patrzył na Marthalera.

Miał zmęczone oczy.

- Jaki rozmiarbuta nosi Kerstin?

- zapytał w końcu.

- Nie mam pojęcia.

W każdymrazie ma dość dużejstopy.

Często sobie z tego żartowaliśmy - urwał nagle.

-Walter, nie!

Nie mówisz serio.

Niemów, że naprawdę takmyślisz.

Schilling uniósł ręce, opuścił je.

- Nie wiem, Robert.

Nie wiem, co myśleć.

Alewyobraźsobie, że znalazła się wrękachszaleńca.

Nie wiesz, co z niąrobił.

Wyobraź sobie, że udało jej się go obezwładnić.

- A potem?

Copotem?

Schilling nie odpowiedział.

A Marthaler poczuł, jak niewypowiedziana myśl kolegi wwierca mu się w głowę.

402

Długo szukali wolnego miejsca.

Walter odjechał kawałek, żeby tyłem wsunąć się w lukę, gdy nagle pojawił się srebrnoszary peugeot i uprzedził ich.

- No nie!

- oburzył się Schilling.

-Widziałeś?

- Znowu - westchnął Marthaler.

- Coś takiego przydarzyło mi się kilka dnitemu.

Zmusiłeś do zachowania spokoju.

Wysiadł i podszedł do peugeota.

Przez przednią szybę rozpoznał okrągłątwarz, okraszona teraz bezczelnym uśmiechem.

Drzwikierowcy się otworzyły.

- Tupeciarze górą - powiedział Konrad Moreli.

- Poza tym oile mnie pamięć nie myli, ty w Kranichstein też niezaparkowałeś całkiem przepisowo.

Marthaler uśmiechnął się.

Poprosił Schillinga, żeby znalazł innemiejsce.

- I zwołaj wszystkich.

Powiedz im, co się stało.

- Przywiozłem ci kogoś - powiedział Moreli.

Marthaler schylił się.

Obok Konrada siedziała Stefanie Wolfram.

Skinęła głową.

Moreli dalej się uśmiechał.

- Najwyraźniej nie byliście w stanie zagwarantować bezpieczeństwa, więc ja musiałem się tym zająć.

-Chodźcie, nie będziemy stać na ulicy.

Ale mam mało czasu.

- Poczekaj - powiedział Moreli, gdy weszli do biur komisarza - jest coś, co może cię zainteresuje.

Szczerze mówiąc, już mi się chcezygać od nowości - miał na końcu języka Marthaler.

Ale powstrzymał się przez wzgląd na kolegę.

Usiedli przy małym stoliku.

Stefanie wyjęła z plecaka cienki album ze zdjęciami.

- Zastanawiałam się.

Cały czas starałam się przypomnieć sobie któregoś z facetów Gabi.

I coś mi przyszło do głowy.

403.

Rozłożyła album, kartkowała go chwilę i w końcu położyła na stole jedno zdjęcie. Widać było na nim mężczyznę i kobietę siedzących w turystycznych fotelikach. Obydwoje wznosili w stronę obiektu kieliszki z szampanem. Mężczyzna miał brodę i okulary słoneczne. Kobieta czarne, gładkie włosy do szyi. Marthaler pomyślało francuskiej piosenkarce, którą podziwiał w dzieciństwie, ale nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska. Wpatrywał się w kobietę. W końcu rozpoznał Gabriele Hasler.

- To zdjęcie zostało zrobione niedługo po tym, jak Gabisię domnie wprowadziła. Ja je zrobiłam podczas wspólnego śniadania na balkonie. Dopiero kupiłam aperukę. Później zawsze ją zakładała, spotykając się z mężczyznami.

- A ten mężczyzna?

- Zapomniałam, jak się nazywał. Ale to musi być jeden z jej pierwszych klientów. Bywał co tydzień, czasem nas nocował. Pamiętam, że przyjeżdżał na motocyklu, który parkował po drugiej stronie ulicy,

- Dalej - niecierpliwiał się Marthaler - zakładam, że wie pani, co się stało. Chodziła naszą uprowadzoną koleżankę.

- Później przestał przychodzić. Zapytałam Gabi, dlaczego. Zamiast odpowiedzieć, podniosła podkoszulek i pokazała mi plecy. Miała rany od przypalania. Ten facet ją związał, a potem potraktował zapalonym papierosem.

- Ale nie pamięta pani, jak się nazywał?

- Nie. Zadzwoń, jeśli sobie przypomnę.

- Koniecznie! Bardzo nam pani pomogła. Czy mogę zrobić kopię tego zdjęcia? Chciałbym je pokazać kolegom z obyczajówki. Może jest notowany.

Wyjęła fotografię z plastikowej pochewki i położyła na stole. Marthaler wstał.

- To wszystko?

- zapytał.

404

- A to mało?

- zdziwił się Moreli. Marthaler udął, że nie słyszy urazy w jego głosie.

- Tak, tak, Mortadela, rzeczywiście to jest coś. Ale niewiemy, jaką to ma wagę. Trzeba to wyjaśnić dlatego muszę was teraz przeprosić. Gdy się nimi zegnał, zobaczył, że Elviry nie ma przy biurku. Przyczepił żółtą karteczkę do zdjęcia i położył je na blacie. Na korytarzu spotkał Sabata.

- Robert, muszę z tobą pomówić.

- Słyszałeś, że znaleźliśmy Tollera?

Sabato skinął głową.

- To chodź zemną.

Musimy się natychmiast naradzić.

Ledwie usiedli w sali odpraw, zjawiła się Elvira.

- Co znaczy twoja kartka, Robert?

"Skopiować zdjęcie i zapytać obyczajówkę, kto to jest".

Żartujesz sobie?

Przecież go znasz!

- Elvira, nie zadawałbym sobie trudu, żeby pisać do ciebie kartkę, gdybym go znał.

- Przyjrzyj się dokładnie.

Odejmij brodę okularystyczne.

Skróć włosy i pomyśl, że jest trochę starszy.

Proszę!

Marthaler gapił się na zdjęcie, ale wciąż jeszcze niewiedział.

Podał jedalej.

- Ludzie, ludzie - Elvira powoli traciła cierpliwość - co z wasza detektywi.

To Steinwachs, Raimund Steinwachs z ósmego komisariatu.

Tańczyłam z nim raz na jakiejś imprezie firmowej.

Wtedy wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciu.

Marthaler zamarł.

Naraz wszystko się wyjaśniło.

Tej informacji im brakowało.

Potrzebował chwili, by uporządkować myśli.

Nie miał już cienia wątpliwości.

405.

- Tańczyłaś z mordercą - powiedział.
Wszyscy patrzyli na niego ze zdziwieniem.
- Toller nie żyje - zaczęła tłumaczyć.
- To nie on.
Poszliśmy we właściwym kierunku, ale złą drogą.
Kiedy nabraliśmy pewności, że to musiał być policjant, przestaliśmy myśleć.
To był nasz błąd.
Steinwachs i Toller byli najlepszymi przyjaciółmi.
Steinwachs wiedział o każdym naszym kroku, bo Toller wszystko mu opowiadał.
Mężczyzna, którego szukamy, nazywa się Raimund Steinwachs.
Toller w jakiś sposób miał z tą sprawą do czynienia.
Narazie nie wiemy, w jaki.
- Wiemy - wtrącił Sabato.
- W każdym razie podejrzewamy.
Mam jeszcze jedną nowinę - położył na stole mały czarny notes.
- To było w jednej ze skrzyń, które technicy przywieźli wczoraj w nocy z jego mieszkania i których zawartość miałem zbadać.
Prywatny adresownik Gabriele Hasler.
Pamiętacie, dziwiłiśmy się, że nic takiego nie znaleźliśmy.
No to jest.
Prawdopodobnie Toller wziął go, gdy pojechał ze Steinwachsem do domu dentystki.
- Ale dlaczego?
- Poczekajcie.
Odpowiedź za chwilę.
To jeszcze nie koniec.
Przekartkowałem go i natrafiłem na inicjały, które wydają mi się cholernie znajome: HJH.
Coś to komuś mówi?
- Nonie, znów zagadka - zdenerwował się Marthaler.
- Nie mamy czasu.
- To inicjały naszego szefa.
Hans-Jürgen Herrmann - powiedziała Elvira, wciąż jeszcze stojąca w drzwiach.
- Tak podpisuje notatki służbowe.
- Właśnie - przytaknął Sabato.
- Zadzwoń do numeru, który był zapisany obok.
Bingo.
Na drugim końcu zgłosiła się prywatna automatyczna sekretarka Herrmanna.
406
- To znaczy, że zeznał Gabriele Hasler.
Nigdy o tym nie wspomniał - odezwał się Petersen.
- Trzy razy możesz zgadywać, dlaczego - odpowiedział mu Döring.
- Milczą jak inni jej klienci.
Bo nim był.
- A Toller o tym wiedział - dodał Sabato.
- Co wyjaśnia, dlaczego jego kariera potoczyła się tak szybko.
- Wszystko sprawdzimy - wpadł mu w słowo Marthaler - ale teraz musimy działać.
Musimy znaleźć Steinwachsa, żeby znaleźć Kerstin.
Chcieliśmy z nim porozmawiać wczoraj, ale nie było go w domu.
Podobno maurolop.
Spróbujemy jeszcze raz.

Ale teraz wejdziemy tam, nawet jeśli niktnam nie otworzy.

Pół godziny później stanęli przed nowym domemw Nieder-Eschbach.

Rolety były opuszczone, ale ze środkadolatywała głośna muzyka.

- To kawałek, który zawsze puszczaają przed walkamibokszerskimi - powiedział Petersen.

-Tak- odparł Marthaler - zCarmina Burana.

Zadzwonili, ale nikt nieotworzył.

Obeszli dom dookołai zastukali w rolety.

Nic.

Marthaler wziął megafon i kilkakrotnie wezwał Steinwachsa doopuszczenia domu.

Znów zero reakcji.

- Wezwijcie SEK i ambulans.

Niech przyjadają najszybciej.

Nie wiemy, kto jest w środku.

I każcie otoczyósiedle.

Pilnujcie, żeby nie dopuścić gapiów.

Po kolejnejpółgodzinie wszystko było gotowe.

Uzbrojeni funkcjonariusze z jednostki specjalnej rozlokowalisię wokół domu.

Właśnie zabierali się do wyważeniadrzwi, gdy nadjechał mały transporter telewizji Hessischer Rundfunk.

SEK (Spezialeinsatzkommando) - antyterrorystyczny oddział policji 407.

- Kto was zawiadomił?

- zapytał Marthaler.

- Zadzwoił jakiś mężczyzna.

Twierdził, że jest poszukiwanym mordercą.

Mówił, że jak się spieszymy, zdążymy sfilmować jego zatrzymanie.

Marthaler skinął głową.

Psycholog Rainer Hirschberg miał rację.

Powiedział, że sprawca będzie próbował wykorzystać swoje aresztowanie, żeby pokazać wszystkim, że to przez niego świat wstrzymał oddech.

Dał rozkaz do ataku.

Ale gdy ludzie z SEK przyłożyliomy, drzwi otworzyły się.

Stań w nich Steinwachs z uniesionym rękami, że jest nieuzbrojony.

Na nosie miał ciemne okulary.

Stał wyprostowany i uśmiechał się do policjantów.

Wyglądał na szczęśliwego.

Jego twarz jaśniała dumą.

Marthaler podszedł do niego.

- Gdzie jest Kerstin?

Nie odpowiedział.

Zdjął okulary i uśmiechał się bez słowa.

- Odprowadzić!

- wrzasnął komisarz.

-Zawieźć go dokomendy!

I natychmiast przeszukać cały dom!

Znaleźli Kerstin w piwnicy.

Leżała na materacu.

Miała skrępowane nadgarstki i kostki.

Usta zaklejone szeroką taśmą izolacyjną.

Była bez butów, ale w ubraniu.

Żyła.

Patrzyła na nich oczami rozszerzonymi ze strachu.

Marthaler ukląkł i pogłaskał ją po włosach.

Rozpłakał się.

Szesnaście

Pierwsze przesłuchanie trwało wiele godzin.

Raimund Steinwachs złożył obszerne zeznania.

Milcząca temat motywu.

Wszystko, co robił z obydwoma kobietami, robił z przyjemnością.

Więcej nie chciał powiedzieć.

Jest świadom swoich czynów i nie widzi powodu, by wyjaśnić czy cokolwiek żałować.

Okazało się więc, że cały czas byli bardzo blisko prawdy, chociaż potrzebowali dużo czasu, by dostrzec, jak wszystkim się ze sobą wiąże.

Steinwachs poznał Gabriele Hasler podczas juwenaliów i tej samej nocy poszedł do jej mieszkania.

Zaintrygował ją, bo zażądała pieniędzy.

Przez jakiś czas spotykał się z nią regularnie, potem stracił ją z oczu.

Kilkakrotnie pytany, przyznał jednak, że to on przypalał Hasler papierosem i dlatego zerwała z nim kontakty.

Przypomniał ją sobie dopiero po tym artykule prasowym.

Na wiele tygodni przed zabójstwem zbierał o niej informacje i wyobrażał sobie, co z nią zrobi.

Zaaranżował to tak, by rano po nocy morderstwa był dowódcą zmiany w ósmym komisariacie.

Miał w ten sposób możliwość jeszcze raz znaleźć się na miejscu zbrodni i tym razem ze swoim kolegą Tollerem, któremu kazał znaleźć adresownika Gabriele Hasler.

Wiedział, że do

9.

stałych klientów należy także Herrmann.

Wymusili na nim zarówno pieniądze, jak i awans Tollera.

Steinwachs rzeczywiście obawiał się, że Stefanie Wolfram może go sobie przypomnieć.

Chciał temu zapobiec.

Żałował, że przez pomyłkę zabił kobietę.

Wiedział, że w końcu zostanie zdemaskowany, ale chciał sam zdecydować, kiedy to się stanie.

Andree Lorenz poznała forum Casanova.

Był tam zarejestrowany pod różnymi nickami.

Na spotkanie na wydmach pożyczył od Tollera granatowego szarpana.

Marthaler zadał mu pytanie, czy celowo skierował podejrzenia na kolegę.

- Staram się nie zdawać na przypadek.

- Więc czas obydwu zabójstw także nie był przypadkowy?

Urodziny Gabriele Hasler i rocznica ślubu Andrei Lorenz?

- W naszym zawodzie piękne jest to, że bez problemu można dotrzeć do wszelkich informacji, których człowiek potrzebuje.

- Kiedy Toller zorientował się, że to pan jest sprawcą?

- Późno.

Bardzo późno.

Dopiero jak miałem Kerstin Henschel.

W zasadzie był głupi.

Ale dzięki niemu dowadywałem się o wszystkim, co chciałem wiedzieć.

Nawiasem mówiąc, za wszelką cenę chciałem panu zaimponować.

- I nawet brzuch bolał go, kiedy pan tego zażądał, prawda?

- Tak, to też - uśmiechnąłem się Steinwachs.

- A jak odkrył prawdę, to go pan zabił.

- Kiedyś to się musiało stać.

Ale mówią, że to lekka, przyjemna śmierć.

- A jak się panu udało zwabić go na skały?

- Powiedziałem, że ukryłem tam Kerstin Henschel.

410

- Jest pan impotentem?

- zapytał Marthaler bez ogródek.

- Tak, co najmniej od kilku lat - odpowiedział Steinwachs równie bezpośrednio.

- Rozmawialiśmy z panią żoną.

Wiedział pan, że ma

romans?

Steinwachs długo wpatrywał się w komisarza z kamienną twarzą.

W końcu skinął głową.

- O co chodziło z tymi welonami?

- Kiedy opuściła nas matka - rozmarzył się Steinwachs - miałem cztery lata.

Oddali mnie na wieś do babki.

Była krawcową.

Umiała szyć najpiękniejsze suknie ślubne.

Często przyglądałem się jej przy pracy.

A czasem chodziliśmy na śluby i oglądali przed kościołem panny młode w jej sukienkach.

- Co stałoby się z Kerstin Henschel?

Copan zamierzał?

- Nie wiedziałem, co z nią zrobić.

Kiedy Toller mi o niej powiedział, pomyślałem, że mogłabymnie podniecić.

Ale tak się nie stało.

Potem przegapiłem właściwy moment, żeby ją po prostu zastrzelić.

Szczerze mówiąc, nieinteresowała mnie szczególnie.

Przed budynkiem komendy Marthalerspotkał GabrielaEisslera.

Po raz pierwszy w wyrazie twarzy komendantadostrzegł ślad rezygnacji.

- Wracam ze szpitala - powiedziałEissler.

- Byłem u Kerstin.

Fizyczniejest w porządku.

Nie została ranna.

Ale jeszcze nie wiadomo, jakie ślady cała ta sprawa zostawi w jej psychice.

Podali jej silny środek uspokajający,

- Mogę do niej pojechać?

- zapytał Marthaler.

- Nie, niech pan poczeka dzień albo dwa.

Lekarze chcą,

żeby spała.

Niepowinno się jej przypominać o tym, co się

stało.

Marthaler skinął głową.

- Jak przesłuchanie?

Czy Steinwachs wspomniał o roli Hansa-Jürgena Herrmanna?

- Tak.

Herrmann był klientem Gabriele Hasler.

Nasze obawy się potwierdziły: przemilczał znajomość z nią.

I w ten sposób utrudnił śledztwo.

Noi uległ szantażowi.

- Spróbujmy złapać go w sanatorium.

Chcę usłyszeć, co mado powiedzenia.

To oczywiście będzie miało konsekwencje.

Marthaler nie wiedział, co powiedzieć.

Nigdy nie lubił Herrmanna, ale teraz w żadnym razie nie odczuwał satysfakcji.

- Dwóch - powiedział Eissler.

Komisarz spojrzał na niego pytająco.

- Straciliśmy dwóch ludzi jednego dnia: Tollerai Steinwachsa.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy będziemy ich brakowało.

- Ale mnie jeszcze czegoś brakuje.

- Mianowicie?

- Moich kąpielówek, panienadkomisarzu.

Marthaler wsiadł do samochodu i pojechał do siebie.

Wszedł do mieszkania.

Tobi i dziadek byli już spakowani.

Oglądali w telewizji relację z zatrzymania.

- I? Czy to był on?

Tobi skinął głową.

- Dlaczego się uśmiechał?

- Nie wiem.

Ale często tak jest.

Uśmiechają się, gdy ich aresztujemy.

- Zawiezie nas pan teraz do domu?

- Tak.

Lecz pod dwoma warunkami.

Musicie mi obiecać, że niedługo mnie odwiedzicie.

I przyprowadzicie Marę.

I że dasz mi się przejechać na kolarzówce.

412

Tobi ponownie skinął.

Marthaler rzucił mu kluczyki.

- To odkręć teraz koło i zapakuj to twoje cudo do bagażnika.

Dziadek siedział w płaszczu w dużym pokoju.

- Dziękuję - powiedział schrypniętym głosem.

- Dziękuję, że mogliśmy pana mieszkać.

- Jak się pan czuje?

Stary człowiek próbował się uśmiechnąć.

- Wiem, że nie chciałby pan usłyszeć kłamstw.

Marthaler odwiózł ich do Gallus, potem pojechał do Bockenheim.

Zaparkował przed pensjonatem Uhland.

Na widok właścicielki siedzącej za ladą coś mu się przypomniało.

Wyjął z kieszeni płaszcz zdjęcie, które dałam Stefanie Wolfram.

- Pamięta pani, że już raz pokazywałem pani pewne zdjęcie?

- Tak.

Tej dentystki.

- A co z tym?

Rozpoznaje pani tę kobietę?

Wzięła fotografię do rąk.

- Tak.

Oczywiście.

Kiedyś często tu bywała z jakimś facetem.

Chyba się sprzedawała.

Nazywałam ją Mireille, z powodu fryzury.

Jak Mireille Mathieu, pamięta ją pan?

- Tak, ale ta Mireille ma perukę i nazywa się Gabriele Hasler.

To ta sama dentystka, której nierozpoznała pani na zdjęciu.

Czekał na jakąś reakcję, ale kobieta nie wyglądała na zaskoczoną.

- I co?

Nie dziwi to pani?

- Nie.

Zdziwiona jestem tylko wtedy, jak ktoś mnie nierozczaruje.

- Może to dobry przepis - zaśmiała się Marthaler.

- Może wtedy człowiek tak szybko nie da sobie złamać serca.

413.

- Tak, ale zanim się to pojmie, najczęściej kilka razy zostało już złamane.
- Ojej - zawołała Tereza, schodząc po schodach - ale macie wesołe tematy.
- Chodź - powiedział Marthaler - musimy szybko coś zrobić.
Pojechali do starej restauracji w Bornheim, na Bergerstrasse.
Marthaler czuł, że trudno mu się przestawić.
Tasprawa będziego zajmowała jeszcze wiele dni.
W milczeniu jadł kartofle z zielonym sosem.
Gdy i Tereza skończyła swoje danie, zaproponował, żeby wreszcie zaliczyć spacer na Lohr.
- Co z tobą?
- zapytała, idąc obok niego zaśnieżoną drogą.
- Jesteś dziś taki przygnieciony.
Tym razem jego nieporadne sformułowanie go nie rozśmieszyło.
- Tak.
Tyle myśli płacze mi się po głowie.
Tyle kobiecie mężczyźni zamienia swoje życie w piekło.
Może dlatego jestem przygnieciony.
Może potrzebuję urlopu słońca.
- Niedługo będzie wiosna.
Nie bój się, jesteśmy wystarczająco młodzi, żeby zrobić to lepiej.
- Ale już nie tak całkiem młodzi.
I niektóre drogi zasypał już śnieg.
- To znaczy?
- Ach, właśnie mi się przypomniało, to kawałek starej piosenki.
Tereza spojrzana na niego z powagą.
Podniosła dłoń musnęła opuszkami palców jego policzek.
- Ale śnieg się stopi.
Marthaler przeciągnął ręką po twarzy, jakby chciał przegnać mroczne myśli.
Zaśmiał się.
414
- Masz rację.
Śnieg stopnieje.
Stali jeszcze przez chwilę, patrząc na światła leżące pod nimi miasta.
Potem Tereza wzięła go pod ramię.
- Chodźmy do domu, robi się zimno.
Gdy zbiegali stromym zboczem, poślizgnęła się na ubitym śniegu.
Próbował ją podtrzymać, ale chwytając ją za rękaw, sam stracił równowagę.
Upadając, objęli się.
I ze śmiechem stoczyli po zaśnieżonej skarpie.

Jan Seghers:

Panna młoda w śniegu:

Przełożyła Elżbieta Kalinowska
SERIA ZE STRACHEM
Już w księgarniach:
Darek Foks Wielkanoc z tygrysem
Johan Theorin Zmierzch
Jan Seghers Zbyt piękna dziewczyna

Thomas Kanger Mężczyzna, który przychodził w niedzielę

Johan Theorin Nocna zamieć

Thomas Kanger Pogranicze

W serii ukaza się także:

Paweł Goźliński Jul

Jan Seghers Partytura śmierci

Lars Kepler Hipnotyzer

Matti Rónka Mężczyzna o twarzy mordercy

Kjell Ola Dahl Mały złoty pierścionek

Kjell Ola Dahl Mężczyzna w oknie

Matti Rónka Dobry brat, zły brat

Kjell Ola Dahl Czwarty złodziej

Więcej informacji: czarne.

com.pl

wydawnictwo Czarne Wołowiec 2010.